



Melissa Hill

Trafiony, zatopiony

Prószyński i S-ka

Melissa Hill

Trafiony, zatopiony

Darcy Archer pracuje w księgarni Chaucer's na Manhattanie. Jak przystało na romantyczną idealistkę, nie słucha głosu rozsądku i cierpliwie czeka, aż w jej życiu pojawi się mężczyzna, którego będzie mogła pokochać całym sercem. Pewnego dnia, jadąc do pracy rowerem, wpada na elegancko ubranego młodzieńca, spacerującego z psem. Nieprzytomny mężczyzna zostaje odwieziony do szpitala, a zwierzę trafia pod opiekę Darcy. W miejscu wypadku dziewczyna znajduje także niewielki pakunek - prezent owinięty w gruby zielony papier i obwiązany czerwoną wstążką. Zaintrygowana, zaczyna poznawać świat nieznajomego przechodnia, pełen książek, podróży i przygód, o jakich zawsze marzyła. Oczami wyobraźni widzi w poszkodowanym ideał mężczyzny i zastanawia się, czy aby nie jest on TYM JEDYNYM...

Czy fantazja może stać się rzeczywistością? Co się zdarzy, gdy książkę z bajki się obudzi? Czy Darcy Archer i Aidan Harris są sobie przeznaczeni?

Rozdział pierwszy

Ona za bardzo lubi książki i to pomieszało jej w głowie.

Louisa May Alcott*

Ktoś, kto twierdzi, że pieniądze nie mogą dać szczęścia, najwyraźniej nigdy nie przestąpił progu księgarni. A już z pewnością nie takiej jak Chaucer's, pomyślała z dumą Darcy Archer, rozglądając się po wspaniałym miejscu, w którym miała szczęście pracować.

Niewielkie ciepłe wnętrze, zachęcające przechodniów do wejścia, było utrzymane w nastroju mgliście kojarzącym się z Dickensem, a to dzięki ciemnym dębowym półkom od podłogi aż po sufit i złotym filigranowym nazwom działów na górze. Duże okno w wykuszu obitym boazerią i świąteczna wystawa przywodziły na myśl staroświeckie witryny z minionych epok, podobnie jak szyld stylizowany na zwój papirusu, wiszący nad wejściem z ulicy. Księgarenka, obsługująca zamożny rejon Upper West Side,

** A Story of Experience.*

oferowała eklektyczny wybór literatury, od wczesnych wydań klasyków po bestsellery dla dorosłych i dzieci. Miłośnicy książek i poszukiwacze prezentów jednakowo uwielbiali Chaucer's. Życzliwy i doświadczony personel oraz domowa atmosfera sprawiały, że było to wymarzone miejsce na spędzenie popołudnia.

O tej porze roku, gdy brakowało niewiele więcej niż tydzień do Bożego Narodzenia, księgarnia była świątecznie udekorowana: sznury lampek ciągnęły się wzdłuż półek, błyszczące płatki śniegu domowej roboty zwisały z odsłoniętych krokwi, a z kawiarenki na piętrze sączył się sugestywny zapach cynamonu. ^N - Przepraszam bardzo, szukam książki...

Darcy podniosła głowę znad wózka z towarem do ustawienia na półkach i zobaczyła starszą kobietę. Wyglądała bardziej na sześćdziesiąt niż pięćdziesiąt lat, była zadbana, z manikiurem, ubrana w kosztowny płaszcz i chustkę, no i ścisnęła jedną z najbardziej luksusowych torebek ostatniej dekady, za którą - co Darcy wiedziała od ciotki Katherine, znawczyni mody - musiałyby zapłacić co najmniej trzema swoimi czekami z miesięczną wypłatą.

Szukam książki w księgarni? Ech, gdybym dostawała chociaż dolara za każdym razem, gdy to słyszę, pomyślała Darcy. Obdarzyła jednak kobietę ciepłym uśmiechem.

- Może uda mi się pomóc. Jaki tytuł? Kobieta przygryzła wargę.

- W tym sęk... Nie pamiętam, ale wiem, że autorka jest kobietą o dwóch imionach... i tam są cztery córki, chociaż jedna ma chyba takie imię jak chłopiec. I zbliżają się święta, więc one chcą sobie wzajemnie kupić

prezenty, ale potem zmieniają zdanie i kupują wspólnie jeden prezent dla matki... - Zawiesiła głos i bezradnie spojrzała na półki.

Darcy wsunęła za ucho niesforny pukiel kruczoczarnych włosów. Bez względu na to, co próbowała z nim robić

- zresztą trzeba przyznać, że nie wysilała się za bardzo

- nigdy nie chciał tkwić na swoim miejscu.

- Czy to jakaś nowa książka? - spytała.

- Och nie, moja droga, to klasyka. - Kobieta spojrzała znacznie przytomniej, a jej głos stał się niemal wyniosły.

- Dziwię się, że pani tego nie wie. Długo tu pani pracuje?

Darcy mimo woli się uśmiechnęła. Tak się składało, że była w Chaucer's kierownikiem, a pracowała tu już prawie sześć lat. Tylko że właśnie zażądano od niej, by po skąpym opisie jak za sprawą magii wskazała poszukiwaną książkę wśród milionów innych. Lubiła jednak wyzwania...

- Mówi pani, że są cztery siostry i autorka z dwoma imionami? - spytała, ostrożnie prowadząc kobietę w stronę regału z klasyką.

Klientka skinęła głową. Spod sufitu płynęło ciche, smoothjazzowe wykonanie *It Must Have Been the Mistletoe*.

- Zaryzykuję więc i powiem, że może szuka pani *Małych kobietek* Louisy May Alcott.

Klientka się skrzywiła.

- Nie jestem pewna.

- W tej książce występują cztery siostry, a jedna z nich, Jo, ma imię nieco przypominające męskie.

Darcy zdjęła z półki cienką czerwoną książkę ze złożonymi obrzeżami kartek i podała ją kobiecie.

- Ojej - powiedziała tamta. - To jest piękne. Obejrzała książkę ze wszystkich stron, zachwycając się elegancką skórzaną oprawą i oryginalnymi ilustracjami umieszczonymi tu i ówdzie w tekście.

- Czy to ma być prezent? - spytała Darcy. Kobieta się uśmiechnęła.

- Tak. Bożonarodzeniowy prezent dla mojej dwunastoletniej wnuczki.

Darcy przypuszczała, że ktoś polecił klientce tę książkę, a ona sama nigdy nie zaznała przyjemności przeczytania *Małych kobietek*. Szkoda. Był to jeden z ulubionych tytułów Darcy, do którego doskonale pasował słynny cytat z Alcott o książkach mieszających w głowie. Darcy rzeczywiście zanadto lubiła książki, co jest stanem znanym pod nazwą bibliolatrii. Zawsze miała pod ręką przynajmniej jedną, aktualnie czytaną, a brak powieści przy sobie odczuwała niemal jak nagość. Odkąd sięgała pamięcią, nie było w jej życiu ani jednego dnia, żeby nie pochłonęła jej jakaś opowieść. Zwykła korzystać z każdej okazji - stania w kolejce, jedzenia, czasem nawet mycia zębów - aby oddawać się swojej największej przyjemności. Między innymi właśnie dlatego uwielbiała pracować w Chaucer's.

Zaczęło się od tego, że jako nastolatka Darcy przeprowadziła się na Manhattan z Brooklynu, gdzie mieszkała u ciotki Katherine, i rozpoczęła studia na Uniwersytecie Columbia, aby uzyskać tytuł magistra sztuki w dziedzinie pisania. Wśród dostępnych kierunków właśnie ten najbardziej zbliżał się do jej pasji. Szybko jednak odkryła, że próby samodzielnego układania historii to zupełnie co innego niż radość z lektury. Łatwość czytania stanowczo

nie przekładała się na łatwość pisania, a ciężar jej własnych oczekiwań w połączeniu z niepewnością co do rozmiarów talentu (lub jego braku) wkrótce sprawiły, że jako pisarka całkiem się zablokowała i musiała uznać swoją porażkę. Po magisterium przez pewien czas pracowała w „Celebrate”, kolorowym nowojorskim magazynie dla kobiet. Jej ciotka Katherine dzięki swojej wspaniale prosperującej firmie, organizującej różne eventy biznesowe, była zaprzyjaźniona z naczelną, mogła więc lobbować na rzecz Darcy.

Po dwóch żalonych latach przycinania nijakich dziesięciostronicowych opisów butów i torebek do jeszcze bardziej nijakich opisów, mających już tylko półtorej strony, po męczących staraniach, by dopasować się do hi-permodnych i z natury szykownych koleżanek z pracy, Darcy już miała się poddać i zrezygnować z myśli uczynienia swej pasji sposobem na życie, gdy któregoś dnia zawędrowała do Chaucer's, aby znaleźć poradnik, który mógłby jej trochę pomóc na beznadziejny brak bystrości w sprawach mody. Nieumiejętność przejścia obok księgarni bez zajrzenia do środka zawsze była jedną z jej głównych słabości, tym razem jednak właśnie dzięki temu uśmiechnął się do niej los.

Na drzwiach wisiało ogłoszenie: „Pracownik poszukiwany” - i Darcy pod wpływem odruchu natychmiast złożyła ofertę. Na górze, w kawiarni, od razu przeprowadzono z nią rozmowę kwalifikacyjną przy filiżance karmelowej mokki. Następnego ranka, gdy zadzwonił do niej właściciel z informacją, że dostała tę pracę, poczuła się tak, jakby jednocześnie przyszły do niej wszystkie Boże Narodzenia,

które świętowała za życia. Wyobrażała sobie, że będzie spędzać dni otoczona książkami i kiedy znajdzie ją ochota, zdejmować ją z półki, czule przesuwając dłonią po grzbiecie, wdychać zapach papieru... Istne niebo! Szybko jednak odkryła, że praca ta polega w o wiele większym stopniu na wypakowywaniu książek z pudeł i zmienianiu ich układu na półkach niż na siedzeniu z podkulonymi nogami w kącie i przeglądaniu towaru. Ale i tak miała poczucie, że wreszcie znalazła swoje powołanie. Prędko wyrzuciła ze świadomości długie godziny pracy, marną płacę, skaleczenia papierem i fatalistyczne przepowiednie, że książki się skończyły.

Ta nagła odmiana była wielkim ciosem dla jej ciotki Katherine, która uważała to za olbrzymi krok wstecz zarówno pod względem płacy, jak i perspektyw kariery. A chociaż w tym pierwszym zastrzeżeniu było nieco racji, to wspinaczka po drabinie kariery w mediach w ogóle Darcy nie interesowała. Bo Darcy była ulepiona z zupełnie innej gliny niż budząca respekt, nastawiona na osiągnięcie wysokich celów Katherine Armstrong, dlatego w okresie dorastania zawsze była najszczęśliwsza, gdy mogła wsadzić nos w książkę. Wśród najdawniejszych i najbardziej lubianych wspomnień Darcy była matka czytająca jej przed zaśnięciem, gdy przytulone leżały razem na łóżku. Upodobanie do czytania rodzice wszczepiali jej od małego, a rodzina spędziła mnóstwo szczęśliwych godzin, razem uciekając w cudowne fikcyjne światy. Jak często mawiała jej matka Lauren, książki stanowią przekonujący dowód na to, że zwykli ludzie też mogą tworzyć magię.

Niestety, ukochani rodzice Darcy zginęli w wypadku samochodowym, gdy miała dwanaście lat, i wtedy los związał ją z ciotką, na której, zgodnie z życzeniem umierających, spoczął obowiązek wychowania jej. Siostra Lauren, Katherine, wzięła Darcy do siebie i sprawowała nad nią pieczę, aż ta skończyła szkołę i w wieku siedemnastu lat przeprowadziła się na Manhattan, by rozpocząć studia. Przez te wspólne lata obie jakoś z sobą wytrzymały, jak to nastolatka po przejściach z trzydziestoletnią singielką robiącą karierę.

Katherine, budząca duży respekt w nowojorskiej elicie, od ponad piętnastu lat stała na czele Ignite, jednej z czołowych manhattańskich firm zajmujących się organizacją eventów, mającej biura niedaleko Union Square. Stąd wzięło się zainteresowanie Katherine karierą siostrzenicy. Darcy jednak, choć od początku wiedziała, że nikt nie zajmuje się sprzedażą książek dla pieniędzy, w imię swojej pasji życiowej była gotowa poświęcić tłuste comiesięczne czeki na rzecz wypłat, które ledwie starczały jej na życie. Odpowiedzią, jakiej udzieliła ciotce sześć lat temu na pytanie o odejście z magazynu dla kobiet, był cytat z Alberta Camusa: „Kiedy praca jest bezduszna, życie dusi się i zamiera”*

- Na miłość boską, Darcy! Albert Camus nie zapłaci twoich rachunków, ale na pewno załatwi ten problem zgrabny dwustronicowy artykuł sponsorowany, poświęcony ostatniej kolekcji Diora - powiedziała Katherine. - Jeśli

*** *Sans travail, toute vie pourrit. Mais sous un travail sans âme la vie étouffe et meurt. Źródło: Le métier d'homme, artykuł dla „L'Express” z 1955 roku.***

już musisz, to przynajmniej postaw sobie za cel pracę w salonie księgarskim albo nawet w wydawnictwie. Nie wątpię, że życie wśród książek wygląda w teorii atrakcyjnie, ale prawdę mówiąc, na jakie perspektywy liczysz, pracując w małej niezależnej księgarni?

- Na perspektywę wypełniania swoich dni czymś, co lubię i co przynosi mi zadowolenie - odparła Darcy pogodnie.

- Tak naprawdę trudno wymagać od życia więcej, czyż nie?

Darcy jednak wiedziała, że jej komercyjnie myślącej ciotce ani w głowie takie niepraktyczne koncepcje jak znajdowanie radości w pracy dla samej pracy, zwłaszcza bez towarzyszącego temu sowitego wynagrodzenia. Przecież Katherine przez lata zarzynała się (i nie przestała tego robić), aby stworzyć z Ignite to, czym było dziś

- kwitnącą firmę obsługującą korporacje. Często jednak Darcy zastanawiała się, czy cokolwiek z tego przyniosło ciotce zadowolenie lub satysfakcję, ponieważ zdawało się, że zawsze spogląda ona ku następnej przeszkodzie do pokonania, ku następnemu wyzwaniu.

W głębi duszy Darcy wiedziała, że radość i satysfakcja z pracy są właśnie tym, co chce znaleźć. Na to, by pożałować swojej decyzji, jeszcze miała czas. Zresztą tymczasem doszła do stanowiska kierownika księgarni, co z jednej strony było dość wątpliwym awansem, bo w rzeczywistości oznaczało zwiększoną odpowiedzialność przy niewiele większej płacy, ale z drugiej zapewniało większą swobodę twórczą w komponowaniu wystaw i układaniu książek na półkach, a co najważniejsze - dawało jej wolną rękę w zamawianiu wszystkich tytułów, które według niej odpowiadały klientom Chaucer's.

Przyglądając się teraz, jak kobieta wychodzi z egzemplarzem *Małych kobietek* zapakowanym w jedną z firmowych toreb w fioletowo-złote paski, westchnęła z satysfakcją. Jeszcze jedna zadowolona klientka.

Właśnie wtedy frontowe drzwi gwałtownie się otworzyły, a gdy Darcy się obróciła, zobaczyła Joshuę, swojego współpracownika i wieczornego zmiennika. Atrakcyjny facet zbliżający się do trzydziestki, z włosami krótko przystrzyżonymi przy kawowej skórze, stał w zielonej czapce elfa. Na jego chuderlawej postaci opinał się szary sweter, a sztruksowe spodnie sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili mogły mu się zsunąć z bioder. Mógłby być żywą reklamą sklepu Gap.

- Wesołego tygodnia przed świętami! - powiedział śpiwnie głosem pełnym ciepła i humoru.

Bez względu na to, w jakim nastroju była Darcy, Joshua zawsze dodawał jej otuchy. Wesołego czegoś przed Bożym Narodzeniem, na przykład miesiąca albo trzech tygodni, życzył im nieustannie już od weekendu Święta Dziękczynienia. Początkowo ją tym irytował, teraz jednak nawet wyczekiwała kolejnych pozdrowień. To było coś w rodzaju jej prywatnego kalendarza adwentowego.

Był fantastycznym współpracownikiem, takim dobrym duchem. Jeśli podejrzewał lub zauważył, że Darcy albo Ashley, druga sprzedawczyni w Chaucer's, czuje się przygnębiona albo wręcz ma pełnowymiarową depresję, wtedy należało się rozglądać: cała księgarnia była nagle pełna niepowtarzalnych „bonów Joshui”, wsuwanych niepostrzeżenie do kieszeni lub zostawianych przy kasie. Zawsze dotyczyły one przyjemnych drobiazgów. Były więc

na przykład: „Bon uprawniający posiadacza do bezpłatnego masażu pleców” albo „Kupon na zastępstwo przez pół zmiany”. Krótko mówiąc, kogoś tak kochanego było przyjemnie zatrudniać i zabawnie mieć za współpracownika. Poza tym Joshua dużo wiedział o literaturze, przy czym miał szczególny talent do mętnych kultowych książek, co wobec bardziej klasycznych upodobań Darcy czyniło z nich fantastyczny zespół.

Rzucił za ladą krótki barani kozuszek, włożył firmowy fartuch Chaucer's w fioletowo-złote paski, a Darcy poszła za ladę zdjąć swój. Z bliska Joshua pachniał jak mydło w płynie aromatyzowane jagodami ostrokrzewu, używane przez niego, odkąd natknął się na nie na wyprzedaży w pobliskim sklepie Bath & Body Works. Był najbardziej zniewieściałym mężczyzną hetero wśród znajomych Darcy, toteż zdziwiło ją niezmiernie, gdy dwa lata temu przedstawił jej swoją dziewczynę - oszałamiającą długonogą blondynkę, która z powodzeniem mogłaby trafić na strony poświęcone modzie w magazynie dla kobiet, w którym Darcy kiedyś pracowała.

- Co planujesz na dziś wieczór, szefowo? - spytał. - Oczywiście oprócz dania dnia u Luigiego?

Mieszkanie Darcy znajdowało się o dobre dwadzieścia minut od księgarni, nad popularną włoską knajpką przy przecznicy West Houston Street, niedaleko rogu, było jednak warte swojego czynszu, bo Darcy mogła dojeżdżać do pracy na rowerze. Od czasu wyprowadzki z Brooklynu pomieszkiwała w trzech lokalach na Manhattanie, a chociaż ten na drugim piętrze bez windy, bezpośrednio nad knajpką Luigiego, był zdecydowanie najmniej,

to miał najlepszą lokalizację - niedaleko Hudson River Park, nadrzecznej oazy w miejskim gwarze. Uwielbiała chodzić do parku w wolne dni i odbywać długie spacery nad wodą, mając widok na Statuę Wolności i Staten Island. Oczywiście w letnie miesiące trawniki pomiędzy kwietnymi rabatami stanowiły idealne miejsce do czytania, a miłe powiewy znad rzeki doskonale pomagały przetrwać największe upały i duchotę w mieście.

- Dziś rezygnuję z dania dnia - odpowiedziała Joshui. Przynajmniej raz dokądś szła. - Dziś wieczorem wybieram się na promocję książki.

- Ooo, kogoś, kogo znamy?

Z powodu ciasnoty w księgarni Chaucer's nie odbywały się ani promocje, ani inne wydarzenia literackie, ale nawet gdyby było inaczej, Darcy przypuszczała, że właśnie ten autor nie przyciągnąłby zbyt wielu stałych klientów.

- Oliver Martin, autor książek fantastycznonaukowych

- powiedziała, ale mina Joshui pozostała niewzruszona.

- Właśnie wszedł na listę bestsellerów „New York Timesa” i według ciotki Katherine jest wielką fiszą. - Palcami zaznaczyła w powietrzu cudzysłów. - Idę wyłącznie dlatego, że długo jej nie widziałam, a dawno już powinniśmy pogadać o tym, co u nas.

Oliver Martin rzeczywiście musiał być wielką fiszą, skoro Katherine Armstrong raczyła się wybrać na promocję jego książki. Chociaż ciotka nieustannie wysyłała Darcy zaproszenia na rozmaite eleganckie spotkania i zgromadzenia, które firma Ignite organizowała w całym mieście, to siostrzenica była skłonna spojrzeć przychylnym okiem jedynie na te, które miały coś wspólnego

z literaturą. Uwielbiała poznawać autorów. I chociaż trzeba powiedzieć, że ci cieszący się większym rozgłosem często okazywali się nieznośnie nadęci, to i tak było przyjemnie móc od czasu do czasu zaznajomić się z bardziej lansowaną częścią swojej branży.

- I idziesz tak jak teraz?! - Joshua spojrział na nią znacząco.

Darcy zerknęła na swoje szare spodnie, zielony sweter i skórzane botki na grubej podeszwie.

- A co w tym złego?

Ściągnęła gumkę z końskiego ogona i potrząsnęła głową, żeby zwiększyć objętość czarnych kręconych włosów, które teraz swobodnie opadły jej na ramiona, choć czynność ta nie miała wiele sensu, bo i tak wkrótce rowerowy kask miał je sprasować.

Joshua uśmiechnął się ciepło.

- Zawsze mówię ci to samo. Spróbuj czasem trochę się postarać. Zrobiłabyś sobie oczy i nałożyła trochę szminki na usta. Wtedy można by nawet wziąć cię za starszą i trochę bardziej kręłą siostrę Megan Fox. Aha, i zrezygnuj z tych okularków starej panny, przynajmniej na dzisiejszy wieczór, dobrze?

Darcy była przyzwyczajona do jego żartów.

- Nie wszystkim z nas tak się poszczęściło, by mieć twoje wyczucie klasy... dość niepowtarzalne - powiedziała kpiąco, zerkając na jego rurowate spodnie. - Publika literacka musi przyjąć mnie taką, jaka jestem.

Prawdę mówiąc, do mody drygu nie miała w ogóle. Zresztą w jej ciasnym mieszkaniu było niewiele miejsca, co dla niej oznaczało prosty wybór. Chętnie poświęciłaby

wszystko, nawet jedzenie, gdyby zdołała zmieścić u siebie więcej książek. Wprawdzie jej garderoba składała się przede wszystkim z funkcjonalnych strojów do pracy (w księgarni pył z papieru wciskał się dosłownie wszędzie), ale Darcy miała również kilka rzeczy na specjalne okazje: sukienkę kopertową w stylu lat siedemdziesiątych, znalezioną w znakomitym sklepiku z ciuchami w Greenwich, i - z zupełnie innej bajki - parę nienoszonych pantofli na wysokim obcasie Jimmy'ego Choo, które ciotka kupiła jej w prezencie kilka gwiazdek temu. Teraz jednak, gdy Joshua otwarcie wytknął jej niedostatki w stroju, musiała chyba liczyć się z tym, że kiedy już dotrze na przyjęcie w modnej okolicy Chelsea, dostanie podobną reprimendę również od Katherine.

Chociaż Darcy kochała ciotkę i o wszystkim, co krewna dla niej zrobiła, myślała z wielką wdzięcznością, przeżywała też rozterki związane z jej charakterem i przekonaniem, że cel uświęca środki. Katherine bowiem nieustannie koncentrowała się na tym, by Darcy nie tylko popychała naprzód swoją karierę, lecz również doskonaliła samą siebie. O ciągłych próbach ciotki, by wydać siostrzenicę za mąż za jakiegoś szanowanego nowojorczyka, nawet nie warto było wspominać. Prawda zaś była taka, że Darcy była z siebie całkiem zadowolona i nie interesowało jej uczestnictwo w życiu randkowym Manhattanu, często przerażającym i odległym o miliony mil od romantycznych rytuałów wspomnianych w ulubionych przez nią powieściach. I nawet jeśli górę brało u niej myślenie życzeniowe, to na pewno nie zamierzała zrezygnować z piorunującego wrażenia przy pierwszym spotkaniu. Przez te wszystkie

lata bywała w związkach z facetami - głównie takimi samymi molami książkowymi jak ona - ale żadna z tych znajomości nie była naprawdę poważna i rzadko zdarzało się, by któraś przetrwała więcej niż kilka miesięcy.

- Żaden żywy mężczyzna nie jest w stanie dorównać fikcyjnym bohaterom, na których punkcie tak szalejesz - żartował z niej często Joshua i Darcy musiała przyznać, że jest w tym chyba trochę racji.

Z pewnością nie sposób było zaprzeczyć, że zawsze przemawiała do niej idea prawdziwej miłości i bogatego uczuciowo, romantycznego związku, jaki reprezentowali Romeo i Julia, Lancelot i królowa Ginewra, Scarlett i Rhett oraz jej ulubieńcy, Elizabeth i, nomen omen, Darcy.

Później pożegnała się z Joshua, ciasno otuliła się ciepłą fioletową kurtką narciarską marki North Face, owinęła wokół szyi wełniany szalik i przygotowała się do tego, co dla niej, inaczej niż dla większości nowojorczyków, było jedną z najprzyjemniejszych czynności w ciągu dnia: przejazdu przez miasto. Za przejazd przez manhattańską Upper West Side turyści regularnie płacili grube pieniądze, a Darcy robiła to dwa razy dziennie pięć razy w tygodniu całkowicie za darmo.

Zeszła na niewielkie podwórko na tyłach księgarni, odczepiła rower i ciasno zapięła pod szyją kask. Była dumna ze swej znajomości nowojorskich ulic, korzystała na przykład ze znakomitego skrót przez Meatpacking District, aby uniknąć wściekłego ruchu na Szóstej Alei, i cieszyła się, że ukryty przed wzrokiem przechodniów pasaż w pobliżu Chelsea trzymał ją z dala od tłumów

na Czterdziestej Drugiej Ulicy. Szczególnie lubiła jeździć po mieście właśnie o tej porze roku, kiedy wszystkie wystawy sklepowe, zaciszne kawiarenki i trattorie jarzyły się światłem, gdy migotały białe i kolorowe lampki świąteczne, płonęły świece, a ludzie, którzy przyszli na wczesną kolację, zajmowali stoliki przy oknie i trzymali się za ręce albo okutani w grube wełniane płaszcze i rękawiczki dzielnie przysiadali na dworze, tuż przy krawężniku, żeby ukradkiem zapalić papierosa.

Darcy pewnie pedałowiała naprzód, zachwycając się kolorem nieba - posępnym wielkowiejskim odcieniem niebieskiego - które uwielbiała oglądać w ostatnich godzinach dnia, zanim na miasto spływała całkowita ciemność. Powietrze wypełniała muzyka Manhattanu: miks ryku klaksonów, syku rur, krzyków kramarzy i rozmów przechodniów.

Wszystko to docierało do niej jak przez mgłę, gdy trzymając się przy krawężniku, jechała w rytmie wyznaczanym przez sygnalizację uliczną. W tej chwili pędziła naprzód niesiona zieloną falą, po twarzy smagał ją prąd zimnego, rzeźwiącego powietrza. Oczy miała szeroko otwarte, a długie nogi - rozgrzane i gibkie. Czuła, że naprawdę żyje.

Wiedziała, że cykliści na Manhattanie - wskutek ich naturalnej skłonności do szybkości i zręcznego lawirowania między pojazdami - są powszechnie uważani przez nowojorczyków, a zwłaszcza taksówkarzy, za istoty znajdujące się w łańcuchu pokarmowym niewiele wyżej niż szczury i karaluchy, ale i tak za nic nie wyrzekłaby się swojego ukochanego roweru z przerzutką ani doznania

przypominającego lot ponad ulicą, nawet gdyby miała dzięki temu rzadziej doświadczać ludzkiej niechęci. Prawdę mówiąc, za dużą część złej reputacji cyklistów winę ponosili brawurowi kurierzy, którzy lekceważyli przepisy drogowe, a czasem także prawa grawitacji, gnając na złamanie karku tak, jakby chodziło o misję kamikadze, a nie zwykłą pracę do wykonania.

Śnieg nie padał, jeszcze nie, ale Darcy wyczuwała już jego zapowiedź na pogodnym niebie. Przy rogu Broadwayu i Columbus Avenue zwolniła i minęła modne bistro, gdzie równie modni goście siedzieli przy stołach nakrytych białymi obrusami, mając przed sobą kielichy treściwego czerwonego wina i talerze z pysznym makaronem. Pocięła jej ślinka. Powietrze było czyste, a ona sunęła ulicami, widząc po bokach ludzi zmierzających z targu do domów. Ich eleganckie torby były wyładowane organicznie uprawianą marchwią i bochenkami kubańskiego chleba albo starannie opakowanymi truflami. Oto jeszcze jeden wieczór dostatku w najbardziej uprzywilejowanym mieście Ameryki.

Czasami Darcy czuła się tutaj jak intruz, zwłaszcza na Upper West Side, wśród galerii i restauracji, bistr, kawiarni, wysokościowców, antykwariatów wyłącznie dla umówionych klientów i zakładów fotograficznych. Była zwyczajną osobą w nadzwyczajnym miejscu, taką, która trzy razy w tygodniu je makaron ramen, a w pozostałe cztery promocyjne dania od Luigiego, która nie ma własnego samochodu i bardzo dba o swoje nieliczne stroje, żeby nie wydawać ciężko zarobionych pieniędzy na nowe. Rozrywki, gdy mogła wybierać, szukała u siebie

w domu, w dobrych książkach, a nie w nowojorskich nocnych lokalach.

Mimo wszystko warto było mieszkać w najbardziej magicznym mieście na ziemi. Uśmiechnęła się. Może któregoś dnia znajdzie kogoś, kto będzie towarzyszył jej w tej baśni.

Rozdział drugi

Jej serce było tajemnym ogrodem, otoczonym wysokimi murami.

William Goldman*

Chwilę później Darcy dojechała pod modne bistro w Chelsea, gdzie odbywała się promocja książki znanego autora literatury fantastycznonaukowej. Postawiła rower przy latarni, wyciągnęła z kurierskiej torby zapieczętowanie i starannie je założyła. Mimo że media ciągle lamentowały nad przestępczością w Nowym Jorku, przez wszystkie lata, które tu spędziła, rowerowi nie ukradziono jej ani razu. Zadowolona z siebie zwróciła się ku wejściu i natychmiast skrzyżowała spojrzenie ze stojącą przy drzwiach osobą, jedyną wśród obecnych, którą miała szansę poznać, a mianowicie swoją ciotką.

Katherine Armstrong, posągowa pięćdziesięciolatka, blondynka ubrana od stóp do głów w rzeczy Chanel,

* William Goldman, *Naręczona księcia*, przet. Paulina Braiter, Warszawa 1995, Prószyński i S-ka, s. 161.

trzymała w wypielegnowanej dłoni kieliszek martini i poddawała krytycznej ocenie rozwichrzony wygląd Darcy aż po najdrobniejszy szczegół. Czując na sobie taksujący wzrok, Darcy spróbowała trochę napuszyć przygniecione włosy, potem wygładziła kurtkę i poprawiła kurierską torbę. Właśnie zaczął prószyć śnieg, który topniał w zetknięciu z jej coraz bardziej zaróżowionymi policzkami, więc odchyliła głowę i przez chwilę cieszyła się tym wrażeniem. Potem, przygotowana na nieuchronną napaść, zbliżyła się do wejścia, zbyt późno zauważywszy plamy z soli na tylnej części swoich nogawek. I tak nic z tym nie zrobię, pomyślała, otwierając drzwi, i szybko otrzepała spodnie z nadzieją, że ciotka niczego nie zauważy.

Zanim jednak zdążyła wejść na dwa kroki w głąb knajpki, omieść wzrokiem salę lub choćby zdjąć kurtkę, Katherine przystąpiła do ataku:

- Kochanie, dlaczego, na miły Bóg, wciąż używasz tego okropnego pojazdu w połowie grudnia, kiedy zaczyna śnieżyć.
- Darcy zwróciła uwagę, że ciotka stwierdza, a nie pyta. - Spieszysz się do śmierci? - Przynajmniej to było pytaniem.

Zdobyła się na zmęczony uśmiech.

- Nie, Katherine. Nie spieszysz mi się do śmierci, a poza tym już wiesz, dlaczego jeżdżę na rowerze.

Przez lata odbyły niezliczone dyskusje na temat przedkładania przez Darcy roweru nad wszelkie formy transportu publicznego, co zdaniem Katherine równało się lekceważeniu rozsądku, a w istocie również własnego bezpieczeństwa. Dla Darcy jednak przemieszczanie się komunikacją miejską było nie mniej zgubne, dawało bowiem okazję

do zagłębienia się w lekturze, co wielokrotnie skończyło się tym, że przejeżdżała o wiele przystanków za daleko, wskutek czego spóźniała się do pracy. Ciotka westchnęła.

- Twoi rodzice w grobie pewnie się przewracają. Niech odpoczywają w pokoju. Powierzyli mi cię, a ty jak starasz się uszanować ich życzenie i dostatnio żyć? Pedałujesz po ulicach Manhattanu i sama się prosisz, żeby ktoś cię rozjechał. Dlaczego nie możesz tak jak inni szanujący się nowojorczyacy jeździć metrem albo tymi cholernymi taksówkami?

Darcy otworzyła usta, by zaprotestować, ale Katherine zawczasu uciszyła ją uniesieniem ciężkiej od klejnotów dłoni.

- Powiem ci, że trzydzieści trzy lata to chyba trochę za dużo, żeby upierać się przy tym hipisowskim gadżecie. No właśnie, i od razu następna sprawa. Który człowiek sukcesu w naszych czasach zainteresuje się ekocentryczką, jeśli wie, że po randce będzie musiał odprowadzić do domu i ją, i rower? To dobre w wieku szkolnym. Mężczyźni w tym mieście pragną kobiet dorównujących im wyrafinowaniem, a tak w ogóle to jak sobie wyobrażasz jazdę rowerem na randkę? Z tych jimmychoosów, które ci dałam, niewiele by zostało, gdybyś próbowała w nich pedałować. Jest też oczywiście kwestia twojej pracy...

Darcy wyrozumiale pokręciła głową, a litanii narzekań rozpoczętej przez ciotkę słuchała jednym uchem i zaraz wypuszczała ją drugim. Znała już to wszystko doskonale i wiedziała, że nie ma sensu podejmować dyskusji. Gdyby pozwoliła Katherine zdobyć przyczółek w sprawie

roweru albo związków z mężczyznami, gdyby dała nabrać impetu krytykom jej pracy w księgarni, to bez wątplenia nie opuściłaby miejsca przy drzwiach tej knajpki przez resztę wieczoru. I tak wyglądało jej nadrabianie zaległości towarzyskich. Zasadzka, i tyle!

- W każdym razie, moja droga - ciągnęła Katherine, jednocześnie ujmując Darcy pod łokieć i wprowadzając ją na salę, by po chwili przystanąć z nią przy barze - zaprosiłam cię tutaj, ponieważ chciałabym, żebyś poznała kilka osób. Zależy mi zwłaszcza na jednej. To autor, który jest dziś bohaterem wieczoru. Oliver Martin - powiedziała triumfująco, jakby osobiście miała udział w jego sukcesie, i przesławszy siostrzenicy znaczące spojrzenie, wyczekiwała reakcji. A ponieważ na Darcy nie zrobiło to najmniejszego wrażenia, Katherine dodała zrezygowana: - Prawdę mówiąc, spodziewałabym się raczej, że skoro pracujesz w księgarni, to wiesz, kim on jest. Dla mojej siostrzenicy - zwróciła się do barmana - dirty martini z wódką Belvedere i trzema oliwkami nadziewanymi niebieskim serem.

Darcy szybko jej przerwała:

- Nie, nie. Wypiję kieliszek caberneta. Winnica bez znaczenia, może być stołowe.

Katherine szerzej otworzyła oczy.

- Stołowe? - powtórzyła ze zgrozą. - Ona na pewno nie chce stołowego. Niech pan jej poda cios du bois. Albo fourteen hands.

- Naprawdę może być stołowe - obstawała przy swoim Darcy, a barman z niepewną miną brał do ręki to jedną, to drugą butelkę, usiłując zdecydować, kto w tym zespole

dowodzi. Uśmiechnął się dyskretnie, gdy Darcy dodała: - Mówię poważnie.

Mimo wszystko musiał uznać, że to Katherine budzi więcej respektu, bo posłusznie odkorkował cios du bois. Przynajmniej nie jest to dirty martini, pomyślała Darcy z poczuciem drobnego triumfu. Wódki nie lubiła, ale choć mówiła to ciotce dziesiątki razy, Katherine zdawała się uważać, że siostrzenica się przyzwyczai. Nie przyzwyczaiła się.

- No więc - ciągnęła ciotka, mierząc wzrokiem stłoczonych ludzi, żeby sprawdzić, kto stoi w pobliżu i jest godzien tego, by zaszczyścić go rozmową - wygląda na to, że Oliver Martin będzie wielki.

- On pisze fantastykę naukową? - spytała Darcy, gdy barman podał jej kieliszek wina. - Nie czytałam niczego, co napisał, bo ten gatunek mnie nie interesuje. Nie moja bajka.

Prawdę mówiąc, był to jeden z niewielu gatunków literackich, których nie brała do ręki, należała wszak do tych, którzy w braku lepszej lektury są gotowi przeczytać wszystkie teksty na kartonie z mlekiem, ale niewykluczone, że wskutek bycia samozwańczą luddystką trudno jej było się zanurzyć w futurystycznych, technologicznie zaawansowanych światach.

Katherine lekceważąco machnęła ręką.

- Nieważne, czy interesujesz się fantastyką naukową. Sęk w tym, że on ostatnio wszedł na listę bestsellerów „New York Timesa”, więc chcę, abyś go poznała. Podobno prowadzi nawet jakieś rozmowy ze Spielbergiem.

Znów chwyciła Darcy za ramię i rozpychając się, ruszyła ku kątowi sali, gdzie zgromadziło się najwięcej ludzi.

Darcy tymczasem starała się tak balansować kieliszkiem, by nikomu nie oblać czerwonym winem pantofli od Prądy.

- Przepraszam, przepraszam - powtarzała Katherine stanowczo, torując sobie drogę łokciami.

Darcy tylko uśmiechała się przepaszająco i bez powodzenia próbowała pohamować ciągnącą ją bezlitośnie ciotkę. Wreszcie dotarły na obrzeże dużej grupy, której przewodził bohater wieczoru, Oliver Martin.

Darcy zamrugnęła. Facet stojący przed nimi mógł być uznanym autorem fantastyki naukowej, ale jego wyobrażenia o odpowiednim stroju najwyraźniej zatrzymały się w okresie, gdy był nastolatkiem. Nie żeby miała szczególne prawo krytykować, ale jednak nosiła garderobę przynajmniej do pewnego stopnia mieszczącą się w pojęciu mody dwudziestego pierwszego wieku. Zwróciła się do Katherine i przesłała jej błagalne spojrzenie, starając się zawrzeć w nim informację, że ten niski i tłustowłosy zmeźniały dzieciak, ubrany w bawełnianą koszulkę firmową Marvel Comics i kraciastą marynarkę sportową, jest oddalony o lata świetlne od jej ideału. Może nawet wyglądałby znośnie, gdyby zdecydował się ogolić, ostrzyc, przebrać w coś odpowiedniego dla osoby dorosłej i zrezygnować z masywnych okularów, popularnych wśród personelu laboratoryjnego; mimo wszystko modelem stanowczo by nie był.

Darcy oczywiście nie wymagała od mężczyzny wyglądu gwiazdora filmowego, nie rozumiała jednak, co według ciotki miała zobaczyć w Oliverze Martinie. Oboje byli niezaprzeczalnie ludźmi książki, ale poza tym nie wydawało się, by cokolwiek ich łączyło.

- Oliverze! - powiedziała rozkazującym tonem Katherine i zawłaszczającym gestem otoczyła go ramieniem, zupełnie nie przejmując się tym, że przerywa mu rozmowę, którą prowadził z kim innym. - To moja siostrzenica, Darcy Archer. Jesteś w mieście nowicjuszem, więc pomyślałam, że powinniście mieć okazję się poznać.

Darcy otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, choć jeszcze nie miała pomysłu, jak wykręcić się z tej niezręcznej sytuacji, ale Oliver ją uprzedził:

- Grasz? - spytał, mierząc ją wzrokiem od stop do głów. Zamrugła niepewna, co to za pytanie, i zerknęła na ciotkę, która przesłała jej uśmiech i natychmiast szybko się oddaliła.

- Przepraszam, ale nie bardzo wiem, o co panu chodzi.

- Czy grasz? - spytał Oliver ponownie, jakby powtórzenie pytania mogło pomóc w jego zrozumieniu. - W gry. Na komputerze albo na konsoli.

- Ach tak...

Przygryzła wargę, czując nową falę irytacji. Bezradnie zerknęła przez ramię tam, gdzie powinna znajdować się ciotka, ale ta znikła już w tłoku. Co, u licha, Katherine sobie wyobrażała?

- Obawiam się, że nie - powiedziała. - Mam raczej skłonności do luddyzmu.

Jej laptop Vaio był tak stary, że wciąż pracował na Windowsie 95, a używała go jedynie od czasu do czasu, gdy musiała przygotować ulotki reklamowe dla swojej księgarni. Nie miała zielonego pojęcia o Facebooku, Twitterze ani innych serwisach społecznościowych, które zdawały się zastępować kontakty twarzą w twarz. Dla niej jako

zwolenniczki słowa drukowanego komputery stanowiły coś zagrażającego jej sposobowi życia. Czas spędzony w sieci oznaczał dla niej cenne minuty stracone bez kontaktu z prawdziwą książką. I chociaż wiedziała, że jest staroświecka i nie na bieżąco, to czy było w tym coś strasznego?

Po jej wyznaniu Oliver nagle zobojętniał, jakby nie miał jej nic więcej do powiedzenia. Darcy upiła łyk wina, usiłując szybko wymyślić, o czym mogliby pogawędzić.

- Katherine powiedziała, że pan dopiero co przyjechał do Nowego Jorku. Skąd?

- Z San Diego - odpowiedział krótko autor.

- Och, z Kalifornii. Wspaniale - dodała z entuzjazmem, kiwając głową. - To zupełnie inny świat niż tutaj. Zwłaszcza pod względem pogody.

Wskazała okno, za którym sypał teraz gęsty śnieg i widać było hipnotyzujący ruch delikatnych płatków opadających w snopie światła latarni.

Mina Olivera nie wskazywała, by był zdania, że Nowy Jork różni się klimatem od miejsca, z którego przyjechał.

- Bo ja wiem...

Darcy przełknęła ślinę. Czyżby ten człowiek w ogóle nie wychodził na dwór?

- Pochodzę z Wisconsin, a na zachodzie zamieszkałem z jednego tylko powodu: Comic-Con. Widziałaś to kiedyś na własne oczy? - Znów spojrzał na nią wyczekująco.

- Eee... nie, nigdy - powiedziała, usiłując przywołać z pamięci skąpe informacje, jakie miała na temat tego wydarzenia. Oczami wyobraźni zobaczyła grupę dorosłych ludzi przebranych za Spidermana albo Thora. Stanowczo nie jej klimat.

- Och, totalnie powinnaś pojechać - powiedział tak, jakby wydawał jej polecenie.

Przykleiła uśmiech do twarzy i zerknęła na zegarek. Sytuacja stawała się niezręczna. Zwykle próby swatania podejmowane przez Katherine trafiały odrobinę bliżej celu. Czyżby ciotka popadła w taką desperację, że już każdy mężczyzna pasował jej na małżonka dla siostrzenicy?

Przypomniał jej się poprzedni pisarz, którego ciotka próbowała jej podsunąć mniej więcej przed rokiem - ubrany przez Valentina egoistyczny autor thrillerów, wyjątkowo podobny do macho, będącego głównym bohaterem jego bestsellerów. Mimo że był bogaty, odnosił wielkie sukcesy i urodą mógłby rywalizować z gwiazdoramii filmowymi, to osobowość miał żalną.

- Nie jestem pewna, czy to coś dla mnie - wyznała. - Niewiele wiem na ten temat. Moje upodobania literackie są zupeł...

- Co wobec tego czytasz? - przerwał jej Oliver.

- Wie pan, uwielbiam Jane Austen, siostry Brontë i większość klasycznych romansów regencyjnych. A poza tym oczywiście Dickensa i Szekspira. Współczesną literaturę też lubię. W zasadzie moje zainteresowania rozciągają się na wiele gatun...

- Czytałaś moje książki? - przerwał jej znów Oliver. Darcy poczuła, jak się rumieni. Autorzy prawie zawsze

zadawali to pytanie i w dziewięciu przypadkach na dziesięć dostawali nie tę odpowiedź, jaką chcieli usłyszeć. Pamiętała niedowierzanie autora thrillerów, że nie jest (zdaje się, że w odróżnieniu od większej części populacji czytelniczek) zakochana po uszy w Maksie Baileyu, bohaterze jego cyklu,

niezwykłym pogromcy przestępców, wystylizowanym na współczesnego Jamesa Bonda.

- Chodzi o to, że ja... nie czytam dużo fantastyki - brnęła. - Słyszałam jednak, że to bardzo dobra książka, a recenzje były...

Oliver wyglądał na zniecierpliwionego.

- Ta książka jest dobra. Nawet doskonała. Nie mogę uwierzyć, że wolisz łązawą Austen od czegoś naprawdę wartościowego. Co jest z wami, kobietami, że wolicie czytać o Colinie Farrellu w koszuli ociekającej wodą niż o czymś treściwym.

Darcy aż otworzyła usta wstrząśnięta grubiaństwem tego człowieka. Już miała mu odpalić, że Austen można nazywać różnie, ale z pewnością nie łązawą, lecz właśnie w tej chwili zabrzączał telefon, który miała w kieszeni.

- Przepraszam - powiedziała.

Wyciągnęła aparat i popatrzyła na wyświetlacz. Ashley pytała, czy Darcy nie miałyby nic przeciwko wzięciu nazajutrz jej zmiany. Jako absolwentka uniwersytetu i córka znanego dewelopera pracująca dla zabawy, a nie dla pieniędzy, Ashley nieustannie okazywała się mało dyspozycyjna, aczkolwiek była urocza i klienci ją uwielbiali. Oznaczało to dla Darcy, że musi być w księgarni od samego rana, zważywszy jednak na to, że wieczór od samego początku szybko zmierzał w niewłaściwym kierunku, nie miało szczególnego sensu go przedłużać. Prośba Ashley mogła w istocie okazać się darem niebios.

Popatrzyła na Olivera i uznała, że jakkolwiek wyglądałaby jej riposta, z pewnością nie dotarłaby do tego przerośniętego nastolatka. Nawet jeśli w branży wydawniczej był

akurat na szczycie i prowadził rozmowy ze Spielbergiem, to przejawiał bolesny niedostatek manier, a co więcej, również wiedzy literackiej.

- Pewnie przekona się pan kiedyś, że miał na myśli Colina Firtha, a nie Farrella. I proszę pamiętać, co często ludzie mówią: nie należy sądzić książki według filmu. - Zdobyła się na wymuszony uśmiech i dodała: - Przepraszam bardzo, muszę zatelefonować. Powodzenia dla pańskiej książki. Miło mi było poznać.

Podeszła do drzwi i napisała pozytywną odpowiedź Ashley. W tej chwili od tyłu zbliżyła się do niej Katherine.

- Dokąd idziesz? Dlaczego nie rozmawiasz z Oliverem?

Darcy zerknęła przez ramię na Olivera, który z ożywieniem gawędził teraz z mężczyzną trzymającym w dłoni hełm Iron Mana. Podejrzewała, że ta wymiana zdań toczy się znacznie bardziej po myśli pisarza. Przez moment zastanawiała się, czyjego rozmówca miał hełm na głowie na ulicy, gdy szedł na spotkanie.

- Daj spokój, ciociu Katherine. Zanim zaczniesz, wyjaśniam, że nie rozmawiam z tym człowiekiem, ponieważ nie mamy z sobą nic wspólnego. Owszem, on zajmuje się książkami, aja się nimi interesuję, ale to jeszcze nie czyni z nas pary.

Ciotka ciężko westchnęła.

- Och, czasami bywasz nieznośna. Czy ty kiedyś sobie kogoś znajdziesz? Szkoda. Pewnie wiesz, że w tym tygodniu wchodzi na ekrany film według książki Willa Andersona. Ja od razu wiedziałam, że to znakomita partia, a teraz oczywiście jego kariera jeszcze nabierze przyspieszenia. Zdaje mi się, że on był tobą zainteresowany.

- Tylko że jednocześnie był zakochany do szaleństwa w kimś innym, ciotki Katherine - przypomniała jej znużonym tonem Darcy. - Sam to powiedział. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie interesują mnie mężczyźni, dla których liczą się jedynie ich sukcesy i kariera? Chcę kogoś zabawnego i inteligentnego, kto potrafi rozmawiać nie tylko z sobą samym.

- Myślisz, że tylko ty? - odparła ciotka beztrąsko, po czym dodała ciepłej: - Chcę po prostu, żebyś była szczęśliwa, kochanie. W tym mieście nie jest łatwo być samej, zwłaszcza w okresie świąt, a...

- Nie jestem sama. Mam wielu przyjaciół i mam też ciebie, prawda? No dobrze, wiem, że w tym roku jedziesz na Boże Narodzenie na Saint Barts...

Ale niezależnie od tego, że ciotka rzeczywiście miała w tym roku spędzać święta poza miastem, nigdy nie miały tak naprawdę dobrego kontaktu. Darcy pomyślała o ich pierwszych wspólnych świętach przed ponad dwudziestu laty, niedługo po wypadku rodziców. Była wtedy tylko dzieckiem, chociaż miała poczucie, że dojrzała niemal z dnia na dzień, gdy straciła najbliższych i nagle musiała się wprowadzić do młodszej siostry matki, której właściwie prawie nie знаła. Nieprzystępna i dość surowa ciotka zawsze trochę Darcy przerażała. Miała niewiele z naturalnego ciepła i łagodności Lauren.

Przypomniała sobie teraz, jak w to pierwsze smutne Boże Narodzenie nowoczesne mieszkanie Katherine na Brooklynie było niemal pozbawione dekoracji, z wyjątkiem małej sztucznej choinki w kącie salonu i wianka z ostrokrzewu na drzwiach - co za odmiana po bogactwie

ozdób, które zwykle przystrajały jej rodzinny dom, klasyczny ceglany budynek w starszej części dzielnicy. Nie było z pietyzmem przygotowanej kolacji wigilijnej - Katherine zamówiła tajskie danie na wynos. Nie było też wielkich emocji przy otwieraniu prezentów, do czego Darcy była przyzwyczajona. W zasadzie wydawało się, że ciotka prawie całkiem zapomniała o świętach. Darcy nie wiedziała, czy to skutek świeżej jeszcze rany po utracie jedynej siostry zaledwie kilka miesięcy wcześniej, czy może oszołomienia wielką odpowiedzialnością, która nagle spadła na nią razem z funkcją prawnej opiekunki dwunastolatki. Najprawdopodobniej jedno łączyło się z drugim. Darcy zresztą też nie miała poczucia, że jest okazja do wielkiego świętowania, bo po wypadku rodziców sama była zrozpaczona. Mimo to Boże Narodzenie zawsze należało do jej ulubionych okresów w roku i brak tradycyjnych akcentów jeszcze bardziej podkreślił jej samotność i drastyczny rozdział między jej dawnym życiem a nowym.

Z upływem czasu, głównie mocą własnych starań, Darcy stopniowo nakłoniła ciotkę do bardziej tradycyjnego świętowania, chociaż Katherine wolała spędzać Boże Narodzenie w cieplejszym klimacie, za to Darcy nie wyobrażała sobie, by mogłaby być wtedy gdziekolwiek indziej niż na Manhattanie. I mimo że w rzeczywistości spędziły z Katherine zaledwie pięć lat pod jednym dachem, to zawsze miała poczucie, że ogranicza ciotkę w jej żywiołowym stylu życia, toteż starała się zyskać jak najwięcej samodzielności i jak najszybciej rozpocząć życie na własną rękę. Nie bardzo rozumiała, dlaczego Katherine teraz nagle uznała za swój obowiązek znalezienie dla niej partnera życiowego. Może

gdyby Darcy zaczęła żyć w związku albo wyszła za mąż, ciotka uwolniłaby się wreszcie od tego - uświadamianego lub nie - brzemienia. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że do większości zagadnień życiowych Katherine podchodziła jak biznesmen. Częściowo właśnie dlatego odniosła sukces na Manhattanie w tak bardzo konkurencyjnej branży. Darcy wiedziała, że brak ambicji jest jeszcze jedną cechą jej charakteru niezrozumiałą dla ciotki, sama jednak była zadowolona ze swojego życia, z pracy i kontaktu z ukochanymi książkami. Owszem, nie pogardziłaby nieco większą dozą urozmaicenia w życiu, ale wydawało się jej, że na to od czasu do czasu skarżą się niemal wszyscy.

Katherine położyła jej rękę na ramieniu, powodowana rzadkim przyływem czułości.

- Oczywiście, że masz mnie.

Na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie, bo Darcy zakładała właśnie szalik i rękawiczki.

- Chyba nie wychodzisz w tej chwili? Przecież dopiero co się zjawiałaś. Obiecuję, że nie będę cię przedstawiać żadnemu innemu...

- Naprawdę bardzo dziękuję, ale mam chyba dosyć jak na jeden wieczór. Poza tym muszę jutro rano być w pracy.

- Skoro nalegasz... Na pewno jednak nie możesz teraz pojechać do domu na rowerze - przekonywała ciotka, wskazując gęsto padający śnieg za oknem. - To zbyt niebezpieczne, poza tym robi się późno. Zamówimy ci taksówkę, a rower schowa się do bagażnika.

Chwilę później Darcy została załadowana do żółtej taksówki, a ciotka stała na zewnątrz i wpatrywała się

w szybę. Kierowca odjechał, Katherine na pożegnanie klepnęła dłonią w dach samochodu. W odpowiedzi Darcy jej pomachała.

- Powiedziała pani West Houston? - spytał kierowca, gdy skręcił za róg.

- Nie - odrzekła stanowczo. - Zmiana planów. Proszę podwieźć mnie kilka przecznic dalej i skręcić w prawo. Tam mogę wyjąć rower z bagażnika, żeby pojechać na nim do domu.

Bardzo lubiła, kiedy płatki śniegu spadały jej na policzki. Zdecydowanie wolała zmierzyć się z żywiołem, niż tkwić zamknięta w dusznym samochodzie.

- W taką pogodę? - spytał burkliwie taksówkarz. Darcy skinęła głową.

- W taką pogodę - powtórzyła tonem oznajmającym koniec dyskusji. - W każdym razie dziękuję - dodała, bo nie chciała się wydać niegrzeczna.

Chwilę później kierowca wyładował jej rower, a gdy Darcy włożyła dłoń do torby, żeby wyjąć pieniądze, dotknęła przypadkiem starego, zniszczonego egzemplarza *Dumy i uprzedzenia*. Poczula nagłą tęsknotę, by jak najszybciej znaleźć się w domu, zaparzyć sobie kubek herbaty rumiankowej i wleźć pod kołdrę razem ze swoim odpowiednikiem płci męskiej, panem Darcym. Mama też była wielką miłośniczką Austen, pomyślała ciepło i uśmiechnęła się nostalgicznie, gdy przypomniała sobie, jak Lauren Archer pierwszy raz wskazała jej tę książkę. Potem *Duma i uprzedzenie* stała się jej ulubioną powieścią wszech czasów. Początkowo była jeszcze zbyt młoda, by wiele zrozumieć z zasadniczego tematu słynnej opowieści

Austen, ale później raz po raz do niej wracała, znajdując w niej źródło otuchy. I chyba traktowała tę książkę jak namacalną więź ze zmarłą matką.

Gdy taksówkarz wszedł do auta i odjechał, postawiła nogę na pedale. Została sama na wyziębionej ulicy, śnieg padał jej na ramiona. Ostrożnie odepchnęła się od ziemi, wiedziała bowiem, że podczas jazdy musi bardzo uważać. Patrzyła na wprost i jechała pustymi ulicami, a przed nią tańczyły śnieżynki. Była teraz znacznie szczęśliwsza niż jeszcze niedawno, gdyż znów panowała nad własnym przeznaczeniem, a wkrótce miała się znaleźć w domu. „Miałam absolutnie cudowny wieczór. Ale nie dzisiaj” - pomyślała jeszcze słowami Groucho Marksa.

Rozdział trzeci

Sny są ilustracjami z książki, którą twoja dusza pisze o tobie.

Marsha Norman

Zachodzące słońce osunęło się leniwie w wody jeziora przy granicy majątku Pemberley. Był środek lata, a upał tylko potęgował nastrój, który ogarnął Darcy, gdy zrobiła pierwszy nieśmiały krok ku tafli wody. Chociaż była damą i nie powinna mieć skłonności do tak zwanych zwierzęcych żądź, trudno jej było zapanować nad oczekiwaniami, które ją w tej chwili rozpierały. Wyglądało na to, że im szybciej oddycha, tym bardziej fiszbiny gorsetu wciskają jej się w ciało i krępują drżące serce. Jej wysiłki, by odzyskać spokój, wydawały się całkiem daremne.

Czy on tam będzie? - zastanawiała się. Wiedziała, że \ łamie wszystkie zasady, że jeśli ktokolwiek zobaczy ją sam na sam z tym człowiekiem, narazi się na zszarganie reputacji. Ale nie dbała o to. Będąc razem z nim, wpadała w ekstazę, a od zachwyty kręciło jej się w głowie. To nią

wstrząsnęło, bo przecież początki nie były, najogólniej mówiąc, zbyt udane.

Gdy jezioro ukazało się przed nią w pełnej krasie, mocniej ścisnęła parasolkę i przyspieszyła kroku. Nagle usłyszała za plecami tętent, obróciła się i zapało jej dech.

Przyjechał. Ich spojrzenia się spotkały, gdy powściągał wielkiego ogiera, by zeskoczyć na ziemię. Wzrokiem zdawał się przenikać jej duszę, więc Darcy położyła drżącą dłoń na dekolcie swej empirowej sukni z podwyższonym stanem.

Nieśmiały uśmiech przemknął jej po twarzy, podczas gdy jego twarz pozostała nieprzenikniona w świetle zachodu. Ale to on zrobił pierwszy ruch. Wolno ruszył w jej stronę i w tym czasie chyba podjął decyzję, bo resztę dzielącej ich odległości pokonał dziarskimi, męskimi krokami.

Ani się obejrzała, jak stał tuż przed nią, tak blisko, że czuła oszałamiający męski zapach brandy, którą pił po obiedzie, i tytoniu fajkowego, który - o czym wiedziała - trzymał w kieszeni fraka.

- Jesteś - powiedział po prostu.

- Jestem - odparła, czując, jak rumieniec okrywa jej szyję i rozlewa się na policzki.

Odnalazł spojrzeniem jej wargi i wtedy zrozumiała, co zaraz się zdarzy. Jakby pod wpływem tej myśli jego oczy stały się szare jak dym, a po twarzy przemknął mu wyraz zdecydowania. Nieznacznie pochylił ku niej głowę, a jej się zdawało, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Pocałuje ją! Pan Darcy zaraz ją pocałuje!

- Panno Archer... - powiedział cicho.

- Tak? - wyszeptała bez tchu, patrząc mu w oczy. Drrr... Drrr... Drrr... Drrr...

Zdezorientowana potrząsnęła głową, jakby chciała spłoszyć natrętnego owada, bo nie mogła przecież stracić następnych słów pana Darcy'ego. Rozejrzała się dookoła poirytowana, usiłując ustalić, kto nie daje jej przeżyć najbardziej romantycznej chwili życia.

Drrr... Drrr... Drrr... Drrr...

Usiadła na łóżku i odsunęła z twarzy niesforne loki, wciąż próbując uzmysłwić sobie, gdzie jest. Dzwoniący aparat leżał tuż obok niej na poduszce. Musiała go tam zostawić wieczorem po wysłaniu SMS-a do Katherine, że szczęśliwie dotarła do domu. Resztę wieczoru spędziła w łóżku na lekturze i widocznie zasnęła, zanim włączyła budzik. Znow miała znajomy, powracający sen, który właśnie zbliżał się do niezwykle satysfakcjonującego rozwiązania... ale został przerwany.

Zerknąwszy zaspanymi oczami na wyświetlacz telefonu, Darcy przekonała się, że nie odebrała mnóstwa połączeń. Co gorsza, była prawie dziesiąta rano! Spóźniła się do pracy już ponad godzinę, a biedny Joshua wydzwaniał do niej bez końca i właśnie próbował znowu.

Ogarnięta paniką, zaczęła niezgrabnie przebierać palcami po klawiaturze, żeby odebrać połączenie. Już całkiem przytomna wcisnęła klawisz odbioru.

- Mój Boże, Joshua, bardzo cię przepraszam. Wiem, że powinnam dawno być tam z tobą, ale budzik mi się nie włączył, a komórka ma wyłączony sygnał i jest na wibracji, więc jestem w proszku. Bardzo cię przepraszam, zaraz wyjeżdżam z domu.

- Darcy, dzięki Bogu. - Joshua wydawał się zaniepokojony. - Wszystko w porządku? Dzwonię od godziny.

Myślałem, że rano zaczyna Ashley, ale powiedziała mi, że się z tobą zamieniła. Już niewiele brakowało, żebym zaczął wydzwaniać po szpitalach. Gdzie jesteś? Co robisz?

Najwyraźniej był zanadto wzburzony, by wyjaśnienia mogły do niego dotrzeć.

Darcy wstała z nadzieją, że jednak uda jej się jakoś uspokoić kolegę, który miał skłonność do dramatyzowania, w czym nieco przypominał matki z telewizyjnego show *Małe miss*. Była pewna, że właśnie w tej chwili Joshua wyłamuje sobie palce i jest bliski łez. Nic dziwnego, że w poprzedniej pracy, gdzie był sanitariuszem, jakoś mu się nie wiodło.

Ponieważ Joshua dorastał w rodzinie chirurgów, wydawało się nieuniknione, że pójdzie w ślady starszego rodzeństwa i wybierze karierę medyczną, w końcu jednak okazał się zbyt delikatny, by odnaleźć się w codziennym chaosie, jaki towarzyszył tej pracy. Ulżyło mu, że rodzice pogodzili się z jego decyzją, gdy zrezygnował ze studiów i postanowił zamiast tego rozwinąć swoje zainteresowanie literaturą. Tak trafił do księgarni Chaucer's, gdzie (zwykle) miał mniej stresującą pracę niż w pogotowiu ratunkowym, a w dodatku mógł podjąć w wolnym czasie wymarzone studia aktorskie. O dziwo losy zawodowe Darcy i jej kolegi potoczyły się bardzo podobnie, co dowodziło, że nie można walczyć ze swoim przeznaczeniem.

- U mnie wszystko w porządku, Joshua. Możesz odwołać poszukiwania. Wczoraj wieczorem zapomniałam nastawić budzik, to wszystko. I przepraszam, że tak cię wystraszyłam.

Darcy szybko przeszła przez pokój do przylegającej malutkiej łazienki i puściła wodę z prysznica, a jednocześnie próbowała jedną ręką ściągnąć przez głowę górę od pizamy.

- Już wskakuję pod prysznic i zaraz będę razem z tobą.

- Z mojego punktu widzenia wyglądało to tak, że mógł cię potrącić samochód, kiedy jechałaś do pracy, i wylądowałaś nieprzytomna na OIOM-ie w Mount Sinai. Czy naprawdę nie rozumiesz, jak bardzo się o ciebie niepokoję, zwłaszcza kiedy jeździsz na tym rowerze?

Darcy mimo woli zachichotała.

- A czy ty nie rozumiesz, jak bardzo przypominasz zamartwiającą się matkę?

- Ktoś musi się o ciebie troszczyć - odpowiedział łagodnie Joshua i wzruszył tym Darcy.

- Dziękuję. Przyjeżdżam jak najszybciej, okej?

- I weź, do cholery, taksówkę! - jęknął Joshua błagalnie. - Nie myśl nawet o tym, żeby znowu jechać na rowerze. Dziś od rana jest wielki chaos na ulicach przez ten śnieg. Służby sypią sól, ale wciąż wszędzie jest horror. Ludzie prawie dostają szału. Jak byśmy byli w *Martwej strefie*, słowo daję.

- Joshua, nic mi nie będzie. Wierz mi, mój rower widział gorszą pogodę. Do zobaczenia niedługo.

- Tylko nie pedałuj za szybko! - powiedział na pożegnanie.

Umyta i ubrana Darcy zeszła na parter. Po drodze spotkała sąsiadkę, panią Henley, zrędliwą starszą kobietę, która zajmowała mieszkanie po drugiej stronie korytarza i właśnie szła do siebie. Przesłała jej uśmiech.

- Dzień dobry! Znosi się, że będzie dzisiaj zimno! - powiedziała Darcy głośno na powitanie.

- Jest połowa grudnia, więc jak miałyby być? - odburknęła kobieta jak zwykle z kwaśną miną na wychudzonej twarzy, nie przystając nawet na chwilę.

Darcy wiedziała, że sama jest sobie winna, bo zaczepiła sąsiadkę. W ciągu trzech lat jej mieszkania w tym budynku pani Henley tylko kilka razy odpowiedziała na jej pozdrowienie lub próbę nawiązania sąsiedzkiej pogawędki. Darcy rozumiała, że wielu ludzi podobnie jak ona ceni sobie samotność i zadowala się własnym towarzystwem, ale to odrzucenie ją zabolalo. W Nowym Jorku mieszkały miliony, czasem jednak to miasto zmieniało się w wielką samotnię.

Gdy otworzyła na oścież frontowe drzwi, natychmiast poczuła zmianę temperatury. Joshua miał rację co do pogody, pomyślała. Przy takim mrozie istniało poważne zagrożenie, że włosy, które wciąż miała wilgotne, zamarzną jej pod kaskiem. Brakowało jej już czasu, by zawrócić i popracować nad nimi suszarką, pomyślała więc, że jeśli skończy z zapaleniem płuc, to trudno. Dla księgarni Chaucer's można się poświęcić, dobro wyższe.

Odpięła rower od ozdobnej balustradki odgradzającej front restauracji Luigiego od wejścia na klatkę schodową i w myślach podziękowała dozorczy za zapobiegliwość i posypanie stopni solą ubiegłego wieczoru. Ustawiła rower na ścieżce. Przekładając nogę nad ramą, by oprzeć ją o pedał, przez nieuwagę poślizgnęła się na lodzie i upadła do tyłu na zmrożone podłoże.

- Cholera! - zaklęła, gdy rower przewrócił się prosto na nią.

Pozbierała się i ponownie go ustawiła, tym razem na wszelki wypadek trzymając się balustradki. Uznała, że musi zachować ostrożność. Nie chciała przecież dowieść, że mieli rację ci, którzy wydawali się przekonani, że jazda w takich warunkach narażają na duże niebezpieczeństwo.

Głęboko odetchnęła, a potem wsiadła, tym razem bez problemów. Koła od razu złapały kontakt z podłożem i już mogła pedałowac w stronę centrum. Panika, która nie opuściła jej jeszcze od chwili przebudzenia, cichła, jej puls stopniowo się wyrównywał. Darcy rytmicznie poruszała nogami, a rower swobodnie przemykał po ulicach. Jeszcze raz głęboko odetchnęła dla uspokojenia i skupiła uwagę na trasie. Wkrótce przekonała się, że ruch uliczny wcale nie jest tak uciążliwy, jak twierdził Joshua. Zresztą o tej porze było już w zasadzie po porannym szczycie. Uśmiechnęła się ciepło. Jej kolega potrafił czasem się zamartwiać zupełnie bez potrzeby.

Stopniowo włączała swojego autopilota. Jej ciało знаło tę trasę tak dobrze - prosto Szóstą Aleją w stronę Central Parku - że prawdopodobnie mogłaby pokonać ją w półśnie. Zaczęła więc myśleć o wszystkich sprawach, które miała do załatwienia tego dnia w księgarni.

Należy zacząć od specjalnego zamówienia pani Hansen, stwierdziła, przypomniawszy sobie mail od jednej ze stałych klientek, przysłany poprzedniego dnia. Potem zamówienia świąteczne, chyba że Joshua już się nimi zajął. Trzeba było również przygotować świąteczne podarunki dla klientów - w tym roku były to podłużne cukierki w kształcie laseczek, które można było dopasować kolorystycznie do sprawunków. Takie drobiazgi zawsze

wywoływały uśmiech na twarzach zestresowanych ludzi, robiących zakupy w ostatniej chwili.

Jeśli uda się zrobić to wszystko przed weekendem, księgarnia będzie znakomicie przygotowana na najazd ostatnich przedświątecznych klientów w następnym tygodniu, uznała, podziwiając gigantyczne bombki na szczycie fontanny między Czterdziątą Dziewiątą a Pięćdziesiątą Ulicą. Chwilę potem przemknęła przed słynną rzeźbą *Love* na rogu Pięćdziesiątej Piątej. A po świętach będzie mogła dokładniej zastanowić się nad długo już hołubionym pomysłem włączenia do oferty księgarni spacerów literackich po mieście, po trasach dopasowanych do życzeń klientów.

Ostatnio sporo czasu spędziła na badaniu potencjalnych tras i różnych zakątków miasta, mających związek z literaturą, takich jak dawna knajpa w Greenwich odwiedzana przez Francisca Scotta Fitzgeralda, spalona fabryka odzieżowa w pobliżu parku na placu Waszyngtona - ta tragedia znalazła odbicie w kilku współczesnych dziełach literackich - a także rozświetlone przez Henry'ego Jamesa różne domy neoklasycystyczne, w których mieszkali przedstawiciele osiemnastowiecznego nowojorskiego towarzystwa, a później także Edith Wharton. Licznych kawiarni, teatrów i knajp często odwiedzanych przez wybitnych powieściopisarzy amerykańskich nawet nie warto było wspominać.

Wpadła na ten pomysł wieki temu, podczas rozmów z klientami i turystami, którzy przejawiali duże zainteresowanie spuścizną literacką Nowego Jorku, ale nad jego urzeczywistnieniem musiała jeszcze popracować.

Proponowanie ludziom zwiedzania miejsc związanych z literaturą traktowała jak naturalną drogę rozwoju, ale wciąż przeżywała rozterki, szukając w sobie odwagi, aby po prostu to zrobić. Nie pierwszy raz żałowała, że nie ma w sobie takiego ducha przedsiębiorczości jak Katherine.

Największym jednak marzeniem Darcy było otworenie któregoś dnia własnej księgarni, takiej, jakich kiedyś było w Nowym Jorku mnóstwo, ale z czasem zabrakło. To miało być coś z fantazją, lecz i lekką dozą staroświecczyny, przytulne domowe wnętrza z osobnymi przestrzeniami na nowe i stare książki i na różne ciekawostki, z zacisznymi kącikami, w których można się zagubić, aby goście przeglądający zawartość półek zapomnieli o całym świecie, tak jak powinno być w każdej wspaniałej księgarni. Darcy tęskniła za pokazaniem książek w taki sposób, żeby nieodparcie kusily niczym biżuteria albo czekoladki, chciała też mieć przestrzeń, w której odbywałyby się publiczne prezentacje tytułów, spotkania grup czytelniczych i promocje, a ponadto działałaby kawiarnia, która wieczorami mogłaby przekształcać się w winiarnię.

Może pomysł był idealistyczny, ale czy nie jest to cecha wszystkich pięknych marzeń?

Sygnalizacja świetlna na razie jej sprzyjała, ale niedaleko końca Szóstej Alei, przed skrzyżowaniem z Zachodnią Pięćdziesiątą Dziewiątą, Darcy zwolniła tempo pedałowania, przygotowana, by zatrzymać się na czerwonym świetle przy przejściu dla pieszych. Tymczasem światło właśnie zmieniło się na zielone, więc ponownie lekko przyspieszyła.

Za późno zauważyła dużego psa wychodzącego zza wysokiego vana FedEx-u prosto pod jej koła. Mocno nacisnęła na hamulce, zrozumiała jednak, że nie zdąży się zatrzymać.

- Hej, uwaga! - rozległ się krzyk, który, o dziwo, dobył się z jej ust.

Skręciła i znów naciskając na hamulec, szarpnęła kierownicą. Przez ułamek sekundy cieszyła się, że uniknęła zderzenia z psem. Wpadła jednak prosto na pieszego, który znajdował się na drugim końcu smyczy.

Rozdział czwarty

Przeznaczenie spotykamy często na ścieżkach, które wybieramy, aby przed nim ująć.

Jean de La Fontaine*

W chwili gdy przednie koło roweru uderzyło przechodnia, Darcy spadła z siodełka. Ledwo uniknęła zderzenia z vanem i odbiła się od skrzynki pocztowej po prawej. Kilka samochodów nadjeżdżających z tyłu ominęło ją z piskiem hamulców, głośno trąbiąc, a ona potoczyła się na bok. Tymczasem ciężarówka FedEx-u odjechała jakby nigdy nic.

Rower Darcy poleciał w przeciwną stronę, a pasek torby kurierskiej, którą zwykle nosiła przewieszoną na skos, zacisnął się jej na szyi i jak imadło przytrzymał głowę przy ziemi. Poczula chłód sączący się przez spodnie i uświadomiła sobie poniewczasie, że leży przy krawężniku, w brudnym ścieku, który tworzy się podczas opadów śniegu na ruchliwych ulicach Manhattanu.

* *The Horoscope*, w: *Bajki*, księga VIII.

Oszołomiona ostrożnie usiadła. Zastanawiała się, czy czegoś sobie nie skręciła albo nie złamała, ale wciąż była w jednym kawałku. Gdyby była bohaterką komiksu, w tej chwili wokół jej głowy latałyby jak w pijanym widzie niebieskie ptaszki.

- Ej, temu facetowi nic się nie stało?! - zawołał ktoś w pobliżu.

I nagle, jakby wezbrała jej w głowie fala pamięci, Darcy uświadomiła sobie, że ten głos wcale nie mówi o niej. Przypomniała sobie doznanie uderzenia rowerem w czyjeś ciało. Chciała się wyprostować, ale lewy bok boleśnie zaprotestował, więc wydała gardłowy jęk.

- Proszę pani! Ej, proszę pani! Potrzebny ambulans?! - zawołał inny głos.

- Cholerni popaprani rowerzyści... - mruknął jeszcze inny, który raczej nie wskazywał na gotowość do pomocy.

Darcy skupiła wzrok na brązowym kształcie, znajdującym się jakieś półtora metra od miejsca, w którym siedziała. Potrząsnąwszy głową, żeby odzyskać jasność myślenia, próbowała nadać sens otaczającej ją kakofonii głosów. Chciała wstać, ale zakręciło jej się w głowie i jeszcze raz z pluskiem wylądowała w ścieku.

Znów spojrzała na przewrócony pagórek, zauważyła grzywę ciemnych, potarganych włosów, spostrzegła też, że kształt ma dwie nogi zakończone kosztownie wyglądającymi czarnymi skórzanymi butami, z których jeden miał teraz wyraźną rysę w poprzek obcasa. A brązowy pagórek okazał się płaszczem, w dodatku eleganckim. Elegancki to on był, zanim wytarzał się w brudzie Szóstej Alei, pomyślała zaraz.

W miarę jak scena nabierała kształtów, Darcy wreszcie wróciła do rzeczywistości i stwierdziła ze zgrozą, że to bynajmniej nie ona potrzebuje pomocy. Kobieta, u której zauważyła torby z piekarni Pain d'Avignon w niedalekim Plaža Food Hall, podniosła jej rower i oparła o latarnię. Nad sobą zaś Darcy ujrzała pochylonego faceta ubranego w strój do biegania. Prawdopodobnie wybiera się na poranną przebieżkę w parku po drugiej stronie ulicy, pomyślała mętnie.

- Ktoś chyba już wezwał pogotowie - powiedział. - Niech pani tu lepiej posiedzi jeszcze chwilę.

Gapiała się na niego z otwartymi ustami, zupełnie nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. Czy jest ranna? Co się stało? Raz jeszcze skupiła wzrok na leżącym mężczyźnie w brązowym płaszczu i poczuła ulgę, gdy zauważyła przy nim innego przechodnia, starszą kobietę, która sprawdzała, co się stało. Mówiła do niego i delikatnie potrząsała go za ramię. Ale mężczyzna się nie poruszył.

Ogarnięta paniką Darcy raz jeszcze spróbowała wstać.

- O Boże, czy nic mu się nie stało?! - zawołała, bo wreszcie zdołała wydobyć z siebie głos.

Kobieta kucająca przy poszkodowanym mężczyźnie spojrzała na nią i powiedziała:

- Nie wiem. Oczy ma zamknięte, mógł stracić przytomność.

Spróbowała również ułożyć mężczyznę na plecach.

- Jezu, niech pani go nie rusza! - krzyknął ktoś ostrzegawczo.

- Może mieć uszkodzoną szyję albo kręgosłup. Proszę poczekać na ambulans!

Próbując zastanowić się nad konsekwencjami tych stów, Darcy poczuła, że znów zakręciło jej się w głowie. Uszkodzenie kręgosłupa. Boże wielki... czyżby właśnie złamała komuś kark?

Wbrew radzie biegacza wstała i wolno podeszła do skulonej postaci - porządnie ubranego mężczyzny, który wyglądał na trzydzieści kilka lat i miał tak nieruchomą i pogodną twarz, że musiał być nieprzytomny. Zwróciła uwagę na jego orli nos, ciemne brwi i wydatne kości policzkowe. Spadł mu jeden z butów - lśniący czarny pantofel, który stanowił komplet z ciemnoszarymi spodniami i kasztanowym golfem. Przykucnęła, by po niego sięgnąć, ale starsza kobieta ją powstrzymała.

- Proszę nie dotykać, to może być dowód - ostrzegła surowo. - Policja już jedzie.

O Boże, czy tego dnia może zdarzyć się jeszcze coś gorszego? Nagle Szósta Aleja się rozmazała, a Darcy poczuła pod głową twardy krawężnik, znów bowiem osunęła się na ziemię. Obok w ścieku leżał but mężczyzny, a u stóp pana skamlał zaniepokojony pies. Pies... Poruszyła głowę, żeby dokładniej przyjrzeć się zwierzęciu. Był to szary husky z niebieskimi oczami w odcieniu lodu, mającymi niemal idealny kształt migdałów, białymi spiczastymi uszami i długim puchatym ogonem, który poruszał się wahadłowo, gdy pies obchodził właściciela, ciągnąc za sobą czerwoną skórzaną smycz.

Nieświadomie przyglądała się temu, usiłując poskładać fakty w całość. Mężczyzna musiał wybrać się na spacer

z psem. Na zebnę wyszedł z za vana w ostatniej chwili, właśnie gdy zmieniało się światło.

Próbując wstać, wyciągnęła rękę do zwierzęcia z nadzieją, że trochę je uspokoi.

- Co tam, piesku - szepnęła.

- Niech się pani nie męczy. Karetka zaraz przyjedzie, sanitariusze będą wiedzieli, co robić - pokrzepił ją ktoś z boku.

Podniosły się głosy protestu, gdy Darcy znów wstała, wpatrzona w mężczyznę leżącego przed nią bez ruchu na jezdni.

Gdyby tylko uważała... Gdyby była skupiona na drodze, a nie na wszystkim, co ma zrobić tego dnia, i na banialukach.. . Gdyby wieczorem nastawiła budzik i wygramoliła się w porę z łóżka, nic z tego by się nie stało. Mężczyzna z psem, rzecz jasna, przechodził przy zmieniającym się świetle, ale ona niezaprzeczalnie jechała za szybko, skoro nie zdążyła się zatrzymać. Poczowała łzy pod powiekami i gulę rosnącą w gardle, ale wtedy stanowczo powiedziała sobie „dość!”. To nie ona była tu ofiarą, nie miała prawa płakać.

Znów przykucnęła i lekko dotknęła zranionego ramienia mężczyzny. Na rękawie płaszcza zauważyła długie rozdarcie. Odkupię mu, obiecała sobie w myślach, chociaż obawiała się, że okrycie kosztowało więcej, niż wynosi jej miesięczna pensja. Jakoś dam radę, pomyślała, usiłując sobie przypomnieć, jak dużo zostało jej jeszcze do limitu na karcie kredytowej. A chociaż golf mężczyzny po kontakcie z jezdnią był zmięty i poplamiony, to Darcy widziała, że i on jest kosztowny. Dotknęła eleganckiego kaszmiru, zachwycona jego miękkością.

Usłyszała w oddali syreny i wkrótce nadjechał ambulans. Pojazd gwałtownie się zatrzymał, chwilę potem otworzyły się drzwi z tyłu. Tłumek się rozstał.

- Więcej miejsca, prosimy! - zawołali sanitariusze i Darcy się poruszyła, jak przez mgłę zauważywszy, że przewróconym pieszym zajmują się teraz kobieta i mężczyzna w niebieskich uniformach, raz po raz odpędzający psa.

Gdy się cofała, jej mięśnie boleśnie dały o sobie znać. Nie ulegało wątpliwości, że będzie miała siniaki i zadrapania, ale poza tym wydawało jej się, że wszystko jest w porządku.

Po sprawdzeniu, czy mężczyzna daje oznaki życia, sanitariusz zaczął przeszukiwać jego ubranie i wyciągnął z niego portfel, a w nim sprawnie odnalazł dokument tożsamości.

- Aidan! Aidan, słyszy mnie pan?! - zawołał. - Panie Harris... czy pan mnie słyszy?!

Darcy stwierdziła z rosnącym niepokojem, że mężczyzna wciąż nie reaguje. Wielki Boże, co ona zrobiła? A jeśli ten człowiek wcale się nie ocknie? Jeśli ma dzieci? Jeśli zniszczyła życie jemu i jego rodzinie? I to tuż przed Bożym Narodzeniem... Stłumiła szloch, który rósł jej w gardle.

Znów wpadła w panikę, tymczasem sanitariusze ostrożnie przełożyli nieprzytomnego mężczyznę na nosze i załadowali go do ambulansu.

- Pani była z panem Harrisem? - spytała ją kobieta w mundurze, która nagle stanęła przed nią.

Policjantka, uświadomiła sobie Darcy i przełknęła ślinę. Nie zauważyła podjeżdżającego wozu patrolowego.

- Nie. - Pokręciła głową. - Ja... jechałam na rowerze
- powiedziała zawstydzona. - Wyszedł mi pod koła. Nie miałam czasu... Czy nic mu nie będzie?

Kobieta zmarszczyła czoło i zapisała coś w notesie, a pytanie pozostawiła bez odpowiedzi. Gdy Darcy tłumaczyła, w jaki sposób mężczyzna z psem chcieli przejść w ostatniej chwili na światłach, policjantka nie reagowała. Najwidoczniej podzielała opinię jednego z gapiów, że ma do czynienia z jeszcze jedną cholerną rowerzystką. Ale w tej chwili Darcy nie zamierzała protestować przeciwko takiemu ujęciu sprawy.

- Naprawdę nie miałam sposobu, żeby go ominąć. Pojawił się przede mną całkiem nagle, są świadkowie...

Spojrzała ku gapiom, którzy pomagali jej wcześniej, ale ku jej strapieniu nie zobaczyła już nigdzie ani biegacza, ani kobiety z torbą pełną pieczywa.

- Może mi pani podać swoje imię, nazwisko, adres i telefon kontaktowy? - zwróciła się do niej policjantka.

- Odezwiemy się, jeśli będziemy potrzebowali więcej informacji.

Gdy samochód policyjny wreszcie odjechał, czas jakby się zatrzymał. Darcy przyglądała się, jak sanitariusze zatraskują drzwi i ambulans też zaczyna się oddalać. I co teraz? Czy była w wielkim kłopotcie? Jak ciężkie były obrażenia mężczyzny? I kiedy się ocknie, jeśli w ogóle?

Czy to normalne, żeby ktoś pozostawał nieprzytomny dłużej niż kilka minut? Czy ten człowiek ma trwałe uszkodzenie mózgu? Może będzie w śpiączce przez długie dni, tygodnie, miesiące albo nawet lata? Jaki punkt widzenia przyjmie policja? Czy uznają, że do wypadku doszło z jej

winy, i czy zostanie oskarżona o uszkodzenie ciała, niebezpieczną jazdę lub coś podobnego?

Ciężko zestresowana odwróciła się i nieprzytomnie rozejrzała za swoim rowerem. Tłumek już całkiem się rozproszył, gapie zajęli się swoją pracą, zakupami, poranną przebieżką i innymi sprawami, które czekały ich po odejściu z miejsca dramatycznego zdarzenia.

Zbliżając się do roweru, z grubsza otaksowała jego stan. Nie była pewna, czy najeżdżając na Aidana Harrisa, nie złamała lub nie pogięła ramy albo kół. Potem spojrzała w dół i zobaczyła obok nieznaną torbę z zakupami. Natychmiast domyśliła się, że musiała ją przypadkowo zostawić kobieta, która tak życzliwie podniosła jej rower. Już miała się pochylić, by sprawdzić, czyjej podejrzenie jest słuszne, gdy nagle z prawej strony usłyszała cichy skowyt.

W całym tym zamieszaniu zapomniano o husky. Nic zresztą dziwnego. Który sanitariusz zapakowałby psa do ambulansu, żeby wziąć go do szpitala?

Chociaż Darcy lubiła psy i gdy była młodsza, miała nawet jednego, ulubieńca rodziny, to tej budzącej wilcze skojarzenia rasy zupełnie nie znała. Ostrożnie podchodząc do psa, przypomniawszy sobie o batoniku proteinowym, który zawsze trzymała w torbie na wszelki wypadek. Ta sytuacja niewątpliwie zaliczała się do nagłych, wyjęła więc batonik z bocznej kieszeni. Chrupka tabliczka miała smak masła orzechowego, ulubiony przez Darcy, a gdy tylko pies usłyszał szelest rozrywanego opakowania, zaraz do niej przykuśtykał z przednią łapą zaplątaną w smycz, smakowicie się oblizując.

- Masz, piesku - powiedziała wesoło, ściągnając błyszczącą folię, i odłamała kawałek batonika.

Położyła go przed nosem psa i cofnęła się tak bardzo, jak tylko pozwalał na to ruch uliczny. Chwilę później husky skoczył naprzód i zręcznie porwał łup. Darcy uśmiechnęła się, podzieliła batonik na podobne kawałki i po kolei dała wszystkim zwierzątkom.

Gdy batonik się skończył, pies oblizwał swój szaro-biały pysk, jakby dawał do zrozumienia, że chce mu się pić, czym nieco zawstydził Darcy i skłonił do wyciągnięcia fioletowej butelki. Wylała sobie nieco wody na dłoń. Pies, teraz już bardziej zadowolony i ufny, zlizwał tę porcję i jeszcze sześć następnych. Jego różowy język, szorstki jak papier ścierny, był sztywny i łaskotliwy, więc gdy dotykał jej dłoni, Darcy z trudem powstrzymywała się od chichotu.

W końcu ostrożnie wyciągnęła rękę w stronę miękkiego psiego łba, zginając przy tym palce, by gest nie wyglądał groźnie. Gdy ręka znajdowała się już blisko celu, husky starannie ją obwąchał, potem znowu oblizwał czubki jej palców, jakby czerpał przyjemność z majaczącego tam jeszcze zapachu batonika. To najwidoczniej go usatysfakcjonowało, bo wyraźnie się rozluźnił i pozwolił, by Darcy położyła mu dłoń na głowie i podrapała go za uszami. Pewna, że zdobyła zaufanie zwierzęcia, pochyliła się i podniosła smycz.

- Już dobrze. Grzeczny piesek, prawda?

Husky nie wydał żadnego odgłosu, jeśli nie liczyć dyszenia, ale wywalił na bok jeźor, a jego lodowoniebieski wzrok spoczął na twarzy Darcy. Przykucnęła i wsunęła dłoń w lśniącą białą sierść pod pyskiem. Jej uwagę

zaprzątnął błysk, spostrzegła przy obroży przywieszkę w kształcie kości. Pochyliła się bliżej i przeczytała wyryte na niej imię: Bailey.

- I co teraz, Bailey? - spytała, a pies natychmiast zareagował na swoje imię energicznymi ruchami ogona. Zaraz potem, ku zaskoczeniu Darcy, wspiął się na tylne łapy i położył jej przednie na piersi. Był tak duży, że w tej chwili niemal patrzyli sobie w oczy. Darcy nerwowo przełknęła ślinę i nieco się odsunęła. - Spokojnie, piesku! Siad! - zawołała, a husky dokładnie wypełnił jej polecenie, co niewątpliwie należało zapisać mu na plus.

Gdy znów oparł wszystkie cztery łapy na chodniku, Darcy zaczęła rozplątywać jego smycz.

- Co mam teraz zrobić? - zastanawiała się głośno. - A przede wszystkim co mam zrobić z tobą?

W myśli przeanalizowała sytuację. Nie dość, że najechała na właściciela psa, Aidana Harrisa, i pozbawiła go przytomności, to zrobiła to najwyraźniej wtedy, gdy mężczyzna wyszedł na poranny spacer z Baileyem. A teraz pies siedział przed nią i prawdopodobnie zastanawiał się, podobnie jak ona, co dalej.

Darcy rozważała skomplikowane następstwa tej sytuacji. Nie mogła przecież wziąć psa do pracy, a... do diabła! Głośno nabrała powietrza, nagle bowiem uprzytomniła sobie, gdzie już dawno powinna być. Wyciągnęła komórkę, zerknęła na wyświetlacz i oczywiście przekonała się, że nie odebrała kolejnych połączeń. Wszystkie z telefonu Joshui.

Wybrała jego numer i z niepokojem czekała, aż kolega się odezwie. Wyobrażała sobie, że Joshua jest w absolutnej panice.

- Gdzie ty jesteś, na miłość boską do wszystkich diabłów?! - krzyknął piskliwie. - Dzwoniłem do ciebie dwadzieścia razy i zero odpowiedzi! Wiem, że na ulicy trudno usłyszeć sygnał, ale, na litość boską, Darcy, co...

- Szesnaście - powiedziała półprzytomnie. - Co?

- Dzwoniłeś do mnie szesnaście razy. To dla ścisłości.

- Wszystko jedno. Jest grubo po jedenastej. Gdzie ty się podziewasz? - spytał znowu.

- Posłuchaj, Joshua, tylko na chwilę się uspokój, dobrze? Przepraszam, wiem, że bardzo się spóźniłam, ale był wypadek i...

- O mój Boże, wiedziałem, że prędzej czy później to się zdarzy. Po prostu wiedziałem.

Darcy wolałaby opowiedzieć mu całą historię bez przerywników.

- Tak się składa, że to ja najechałam na człowieka. Rowerem.

- Łzy cisnęły jej się do oczu, bo wstrząs powoli mijał i poziom adrenaliny jej opadał, mogła więc bardziej adekwatnie ocenić powagę sytuacji. - Nic mi się nie stało, ale facet, na którego najechałam, stracił przytomność i nie wiem, czy z tego wyjdzie.

Na szczęście Joshua całkiem osłupiał, więc zaczął słuchać, a ona opowiedziała mu całą resztę i wytłumaczyła, że teraz nie tylko niepokoi się o stan tego mężczyzny, lecz również próbuje wymyślić, jak zwrócić mu psa.

- To moja wina, że on miał wypadek, a pies został na ulicy - powiedziała drżącym głosem. - Muszę przynajmniej znaleźć sposób, żeby dać mu znać, że pies jest bezpieczny.

Pilnie musiała się też dowiedzieć, czy temu człowiekowi, Aidanowi Harrisowi, też już nic nie grozi. Najlepiej byłoby oczywiście wziąć Bailey'a do szpitala, do którego zabrano jego właściciela, i tam zdecydować, co dalej. Inaczej groziło jej, że zjedzą ją nerwy.

- Jesteś na Zachodniej Pięćdziesiątej Dziewiątej? - zastanawiał się Joshua, gdy przedstawiła mu swoje zamiary.

- Tamtego pewnie zabrali na oddział ratunkowy do Szpitala Roosevelta - powiedział, wcielając się na nowo w sanitariusza.

- Ewentualnie do Świętego Łukasza, ale Roosevelt jest bliżej.

- W porządku.

Joshua miał rację. Szpital Roosevelta był oddalony zaledwie o kilka przecznic.

- Jeśli tam pójdziesz, poproś, żeby i ciebie obejrzel

- poradził Joshua teraz już ciepłym, krzepiącym tonem.

- Wygląda na to, że nie tylko pan od psa ucierpiał. Tylko się nie spiesz, najpierw dojdź do siebie. Wypij kawę i postaraj się nie panikować.

Darcy skinęła głową. Prawdę mówiąc, rada brzmiała cudownie. Stanowczo musiała gdzieś usiąść, przynajmniej na chwilę.

- Oczywiście nie musisz dzisiaj przychodzić do pracy, dam sobie radę. A po lunchu ma być Ashley. Potraktuj to jak bon Joshui.

- Dziękuję, Joshuo - powiedziała i westchnęła z wdzięcznością, wiedziała bowiem, że nie byłaby w stanie zająć się dzisiaj obowiązkami. - Przyrzekam się odwdzińczyć.

- Nie żartuj. Tylko upewnij się, że nic ci nie jest. I pamiętaj, że jeśli przyjdiesz do księgarni z jakimś dziwnym psem, wszystkie bony Joshui tracą ważność.

Uśmiechnęła się.

- Wiem, że nie przepadasz za psami. Chyba muszę wziąć go z sobą do szpitala.

- Dobrzy pracownicy oddziału ratunkowego też z pewnością nie są miłośnikami psów, moja droga. Muszą zajmować się ludźmi. Coś ci powiem. Zamiast próbować szczęścia po szpitalach, zostaw to mnie. Zadzwonię do jednego człowieka, który wciąż pracuje w Roosevelcie.

Darcy nieco się rozchmurzyła.

- Sądzisz, że ten twój znajomy będzie umiał powiedzieć, czy ten człowiek, którego najechałam, odzyskał przytomność i czy wszystko z nim w porządku?

- Niczego nie mogę obiecać. Dawno już z nim nie gadałem, więc mógł nawet zmienić pracę, ale spróbować nie zaszkodzi.

- Doceniam wszystko, co dla mnie robisz, Joshuo. Dziękuję.

- Mówię ci, teraz idź gdzieś chwilę posiedzieć, najlepiej w ciepłym miejscu. Ja tymczasem zadzwonię do tego kolegi i sprawdzę, czy uda mi się cokolwiek z niego wycisnąć.

Wdzięczna Joshui za pomoc Darcy pożegnała się, a on obiecał oddzwonić, gdy tylko czegoś się dowie.

Czuła nadchodzący gigantyczny ból głowy, więc pociągnęła za smycz Bailey'a i podeszła do roweru. W tej chwili znów zauważyła torbę z delikatesów i zaczęła się zastanawiać, czy zostawić ją przy latarni na wypadek, gdyby właścicielka przypomniała sobie i po nią wróciła. Podniosła torbę i przekonała się, że nie zawiera żadnych wyrobów delikatesowych ani pieczywa, tylko coś o wiele cięższego. Gdy zajrzała do środka, zobaczyła pakunek,

prezent pięknie owinięty w gruby zielony papier i obwiązany czerwoną wstążką z grogramu. Sama torba, choć nieco pognieciona, też wyglądała kosztownie. Skąd się jednak tu wzięła? - zastanawiała się Darcy. Obok niej Bailey machał ogonem z takim entuzjazmem, że zaczęła sądzić, iż to jego pan ją niósł, zanim zdarzyła się kolizja. Kiedy teraz nad tym myślała, przypomniawszy sobie, że mężczyzna istotnie miał coś pod prawym ramieniem, po tej samej stronie, po której trzymał smycz.

Oderwała wzrok od pudła z prezentem i znów spojrzała na Baileya. Szybko zrozumiała, że musi zwrócić Aidanowi Harrisowi nie tylko psa.

Rozdział piąty

To, co jest za nami, i to, co jest przed nami, ma drobne znaczenie w porównaniu z tym, co jest w nas.

Ralph Waldo Emerson

Wciąż wstrząśnięta następstwami wypadku Darcy ustawiła rower w ten sposób, by jednocześnie móc prowadzić Bailey'a na smyczy i nieść nie tylko swoje rzeczy, lecz i prezent Aidana Harrisa. Ponieważ była obolała, a ubranie po upadku wciąż miała wilgotne, postanowiła za radą Joshui schronić się w pobliskiej kawiarni. Miała nadzieję, że zostanie tam wpuszczona z psem. Ale większość lokali przy Zachodniej Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy była dość ekskluzywna, przeszła więc do następnej przecznicy, bo przy Siódmej Alei działały niezobowiązujące sieciówki, w których powinna bez kłopotów znaleźć stolik.

Przypiąwszy rower przed kawiarnią, wzięła drżącą ręką smycz i z pewnym wahaniem weszła do środka. Odetchnęła z ulgą, gdy uśmiechnięta kasjerka radośnie ją powitała.

- Ładny pies - powiedziała, gdy Darcy zamówiła kubek mocnej angielskiej herbaty śniadaniowej i żurawinową muffinkę jako zastrzyk cukru.

Ni stąd, ni zowąd Darcy przyszły do głowy nieśmiertelne słowa CS. Lewisa: „Nie ma tak dużej filiżanki herbaty ani tak długiej książki, aby mogły mnie zadowolić”. Z jej punktu widzenia trudno było o bardziej trafną maksymę; pamiętała przecież, jak matka siadała z podkulonymi nogami, książką w dłoni i kubkiem herbaty pod ręką, bo było to dla niej krzepiącym rytuałem. Darcy też wyniosła ten zwyczaj z domu i starała się go podtrzymywać. Żałowała tylko, że nie ma przy sobie żadnej ze swoich ulubionych książek, które mogłyby dodać jej otuchy. W porannym pośpiechu bowiem zapomniała włożyć do torby *Dumę i uprzedzenie*.

Gdy prowadziła Bailey'a w głąb sali, do wolnego stolika, kawiarnia była pełna ludzi odpoczywających po przedświątecznych zakupach. Husky szedł cierpliwie obok niej, jakby był do takich miejsc przyzwyczajony, a ona zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie został wyszkolony na psa towarzyszącego. Nie wydawało jej się jednak, by było to typowe dla tej rasy, poza tym miała wrażenie, że jest dość młody. Ale jeśli jego właściciel aż tak bardzo na nim polegał, to należało postarać się ze wszystkich sił, by jak najszybciej znowu do niego dołączył.

Zdenerwowana odtwarzała w głowie wypadek dziesiątki, a potem setki razy. Światło zmienia się na zielone, hamulce jej roweru zgrzytają, koła się obracają, rześkość powietrza, zapach świeżego chleba z pobliskiej piekarni, pozornie wolne skrzyżowanie i nagle łup, chlup, trzask,

torba kurierska wbija jej się w żebra, a na ziemi leży na plecach mężczyzna. Nieprzytomny.

Aż się wzdrygnęła od tego obrazu, ale teraz miała przed oczami tylko jego, Aidana Harrisa: muskularny tors i szerokie ramiona pod kasztanowym golfem, oczy zamknięte, ciemne jedwabiste włosy dotykające jezdni. Wsypała do herbaty dodatkową porcję cukru, aby łatwiej jej było przewyciężyć wstrząs, upiła łyk, a potem wygodnie się oparła z nadzieją, że ciężar tego porannego dramatu stopniowo będzie malał, chociaż nie mogła całkiem się odprężyć, póki nie wiedziała, do którego szpitala zabrano mężczyznę i, co ważniejsze, czy przeżyje.

Bailey siedział na podłodze obok niej i znów sprawiał wrażenie, jakby był do tego przyzwyczajony, chociaż przejawiał nadzwyczajne zainteresowanie jej muffinką. Z poczucia winy Darcy odłamała kawałek ciasta i nakarmiła psa.

- Na pewno jesteś przyzwyczajony do bardziej eleganckich miejsc niż to - mruknęła do niego.

Jego pan miał przecież szykowne ubranie i obuwie, a okolica też wiele mówiła.

Ponieważ mężczyzna prowadził po ulicy psa, nie miał na sobie garnituru i nie niósł aktówki, wydawało się nieprawdopodobne, by był w drodze do pracy. Należało raczej sądzić, że mieszka gdzieś w pobliżu, może na Upper West Side albo na Upper East. Tylko że takie rozważania nie miały sensu. Darcy uświadomiła sobie, że o Aidanie Harrisie nie wie niczego poza tym, że lubi psy i szykownie się ubiera (a wyglądało na to, że i w wyborze prezentów kieruje się niezłym gustem).

Znów sięgnęła po torbę i ostrożnie wyjęła ciężkie pudełko. Opakowanie robiło wrażenie kosztownego i luksusowego, było przyjemne w dotyku, twarde i ozdobione delikatnym żyłkowaniem. Dekorowała je nie mniej kunsztowna kokarda, intensywnie czerwona, w odcieniu wpadającym w kasztanowy. Darcy zaczęła się zastanawiać, dla kogo był przeznaczony taki podarek. Czy Aidan Harris miał przed sobą jakieś ważne spotkanie, gdy wpadła na niego, zniweczyła jego plany, a może nawet odebrała mu życie?

Z trudem przełknęła ślinę, powstrzymując łzy cisnące się jej do oczu. Nie mogła nawet znieść myśli na ten temat. A jeśli spowodowała u tego człowieka poważne uszkodzenie ciała, może nieodwracalne? Nie sądziła, by mogła się z tym pogodzić i dalej żyć.

Właśnie starała się odpędzić od siebie te myśli, gdy usłyszała sygnał telefonu. Przez chwilę patrzyła na aparat i niemal bała się dowiedzieć, jakie nowiny ma dla niej kolega.

- Joshua... cześć - powitała go łamiącym się głosem.
- Okazało się, że miałem rację, jak zwykle, o czym zresztą wiesz...

Darcy niecierpliwie czekała, aż Joshua skończy typową dla siebie przydługą gadkę wstępną i wreszcie przejdzie do rzeczy.

- Wygląda na to, że twoja ofiara - Darcy wzdrygnęła się, słysząc to sformułowanie - rzeczywiście została zabrana do Szpitala Roosevelta.

- Znajomy potwierdził, że mężczyzna, którego potrąciłam, właśnie tam jest?

- Oczywiście nie. Gdyby wyjawiał poufną informację, mógłby stracić pracę, ale po dłuższych zabiegach wydobyłem od niego wiadomość, że dziś rano przywieziono na oddział ratunkowy pieszego zranionego na rogu Szóstej Alei i Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Jeśli więc Bergdorf nie miał akurat wyprzedaży, bo dochodzi tam wtedy do karamboli...

- Wspaniale to wiedzieć, Joshua, dziękuję ci - powiedziała Darcy. - Nie przypuszczam, by twojemu znajomemu wymyśliło się cokolwiek o stanie zdrowia tego człowieka. Czy nadal jest nieprzytomny? Czy... - Nabrała tchu wcale nie przekonana, że chce usłyszeć odpowiedź.

- Niestety, moja legendarna zdolność perswazji nie jest aż tak wielka - wyznał Joshua. - Prywatność pacjenta i tak dalej...

- Rozumiem.

Joshua ciągnął jeszcze dość długo szczegółowe i pozbawiające złudzeń wyjaśnienie polityki prywatności obowiązującej w szpitalach, z uwzględnieniem wszystkich zawiłości, aż wreszcie ponownie poradził Darcy, żeby nie przejmowała się w tej chwili księgarnią, bo fort pod jego dowództwem broni się dzielnie.

- Dziękuję, mam u ciebie dług wdzięczności - powiedziała i rozłączyła się.

Rozmowa jednak nie okazała się zbyt pocieszająca, jeśli nie liczyć tego, że potwierdziło się aktualne miejsce pobytu jej „ofiary”.

Darcy wzdrygnęła się i spróbowała poszukać dobrych stron tej sytuacji. Przynajmniej szpital nie był daleko, chociaż prawdę mówiąc, nie wydawało jej się, by mogła

teraz sprostać takiemu wyzwaniu jak jazda na rowerze. W ciepłej kawiarni przemoczone nogawki jej spodni nieco przeschnęły, a cukier pomógł jej do pewnego stopnia przezwyciężyć wstrząs, uznała więc, że może ruszyć dalej.

Trzymając w jednej ręce smycz Bailey'a i prowadząc rower drugą, powoli brnęła zaśnieżonymi ulicami w stronę oddziału ratunkowego Szpitala Roosevelta.

Znów rozważała kwestie prywatności, które przed chwilą zarysował jej Joshua. Przypinając rower przed szpitalem, pomyślała, że skoro nie jest członkiem rodziny, to raczej nie może mieć nadziei na uzyskanie jakichkolwiek informacji o stanie Aidana Harrisa. Jeśli jednak wyjaśni okoliczności i powie, że była uczestniczką tego wypadku, to może przynajmniej powiadomią ją, czy obrażenia poszkodowanego są poważne. Na to liczyła, ale wcześniej miała przed sobą jeszcze parę innych kroków do zrobienia.

- Czas dać znać twojemu panu, gdzie jesteś, piesku - powiedziała i podrapała Bailey'a za uszami.

Głęboko odetchnęła i zbliżyła się do dwuskrzydłowych drzwi oddziału ratunkowego. Tam jednak drogę zastąpił jej strażnik.

- Bardzo przepraszam, ale nie może pani wprowadzić psa do środka.

Do diabła.

- Rozumiem, ale to nie mój pies. On należy do pacjenta leżącego w szpitalu.

Darcy złożyła pełną relację z wypadku i wyjaśniła, że musi zwrócić Bailey'a właścicielowi.

- Przykro mi, ale nie mogę pani z nim wpuścić bez względu na okoliczności. Psy mają zakaz wstępu do szpitala.

Darcy głośno wypuściła powietrze. Należało się tego spodziewać, ale była tak skoncentrowana na odprowadzeniu zwierzaka, że o niczym innym właściwie nie myślała.

- Co wobec tego mam zrobić? - spytała.

- Może go pani na przykład przywiązać koło rowerów. Proszę się nie martwić, będę miał na niego oko.

Darcy pytała o bardziej długofalowe rozwiązanie problemu, ale ta rada zdawała się chwilowo wystarczać. Bez Bailey'a mogła wejść do środka i przekazać informację dla pana Harrisa, że jego pies znalazł się pod opieką. Mam nadzieję, że mężczyzna jest w dostatecznie dobrym stanie, by ją odebrać, pomyślała, przygryzając wargę, aby powstrzymać kolejną falę łez.

- W porządku, dziękuję.

Posłusznie zaprowadziła Bailey'a do pobliskiego stojaka na rowery i przywiązała smycz.

- Przykro mi, piesku - powiedziała, targając go za uszy, ale husky zdawał się rozumieć sytuację i po prostu usiadł obok roweru, jakby robił to od lat. - Muszę tylko sprawdzić, czy będziesz mógł wrócić do swojego pana, dobrze?

Zwierzak po prostu odwzajemnił jej spojrzenie i usiadł w wyczekującej pozycji. Zwróciła uwagę, że jest bardzo dobrze ułożony. Przecież tak łatwo doszła do szpitala, chociaż prowadziła ulicami i psa, i rower. Najwyraźniej dobrze go wyszkolono, bo poza tym w ogóle nie był płochliwy.

Przeszła przez podwójne drzwi i skierowała się prosto do recepcji oddziału ratunkowego, po drodze zwracając uwagę na różne okolicznościowe szczegóły. W kącie mieniła się mała choinka z podstawą zamaskowaną białą osłoną i obłożoną paczkami, które, jak przypuszczała, musiały być

puste. Migaty kolorowe światełka, a z ukrytego głośnika płynęły słodkie kolędy. Ktoś sepleniący śpiewał właśnie o swoich dwóch przednich ząbkach, które chciałby dostać na gwiazdkę.

Oddział ratunkowy był prawdopodobnie ostatnim miejscem, gdzie człowiek miałby ochotę się znaleźć o tej porze roku, ale przynajmniej personel się starał.

Mimo woli naszło ją nagle wyobrażenie dusznej, szarej szpitalnej poczekalni, w której razem z Katherine spędziła koszarne godziny, czekając na wiadomości po wypadku rodziców. Teraz zrobiła wszystko, by pozbyć się tego obrazu i skupić na zadaniu, które miała do wykonania.

Zbliżając się do recepcji, z trudem przełknęła ślinę. Teraz, gdy była już na miejscu, wcale nie była pewna, czy naprawdę chce się dowiedzieć, w jakim stanie jest mężczyzna. A jeśli jego obrażenia zagrażały życiu?

Odchrząknęła i zadała sobie wiele trudu, by jej głos zabrzmiał zupełnie zwyczajnie.

- Przepraszam, dzień dobry - zaczęła, uśmiechając się do recepcjonistki, która odpowiedziała jej chłodnym spojrzeniem.

- Przyszłam tu w sprawie pacjenta Aidana Harrisa. Zdaje się, że przywieziono go dziś rano, mniej więcej godzinę temu?

Chciała stworzyć wrażenie, że jest rodziną albo kimś z przyjaciół, liczyła bowiem, że kobieta przez nieuwagę ujawni jakąś informację o stanie jego zdrowia.

Kobieta wpisała kilka komend do stojącego przed nią komputera.

- Harris, mówi pani? A pani to...?

Choćby pękła, tu udawać już nie mogła. Zresztą zupełnie nie potrafiła kłamać i przynajmniej tyle łączyło ją z ciotką Katherine, która miała zwyczaj mówienia prawdy, choć w zdecydowanie bardziej oględny sposób.

- On jest tutaj przeze mnie - wyrzuciła z siebie, a potem ku swojej konsternacji wybuchnęła płaczem. Wszystkie lęki i troski, które dręczyły ją od wypadku, nagle znalazły ujście. - Wpadłam na niego dziś rano, jadąc na rowerze. Światło było zielone, naprawdę, a on zniemacka znalazł się na jezdni, przysięgam, i... - Pociągnęła nosem. - Przepraszam, ale kiedy karetka go zabierała, był nieprzytomny, więc przez cały czas odchodzę od zmysłów, zastanawiając się, co mogło mu się stać. Czy z nim wszystko w porządku? - spytała błagalnie recepcjonistkę. - Wiem, że pani nie może udzielać poufnych informacji, to rozumiem, ale czy nie mogłaby mi pani przynajmniej powiedzieć, czy z nim wszystko w porządku? Bo z tego, co wiem, mogłam nawet go zabić. I mam jego psa... Szedł z nim na spacer, więc chciałabym, żeby pan Harris się dowiedział, że z Baileyem wszystko w porządku i że się nim dobrze opiekuję.

Recepcjonistka miała ciepłe oczy, które spojrzały na nią współczująco. Wydawała się wytrącona z równowagi udręką i głęboką rozpaczą Darcy.

- Masz rację, kochana, że nie wolno nam udzielać informacji o pacjentach - powiedziała, ale podniosła słuchawkę telefonu. - Poczekasz chwilę? Zobaczę, czy coś mogę zrobić.

Darcy odetchnęła z ulgą, chociaż ta rozmowa zdawała się trwać wieki, a ona czekała, by usłyszeć jakiegokolwiek

nowiny o Aidanie Harrisie. W końcu recepcjonistka rozłączyła się i zwróciła się do niej:

- Tak jak powiedziałam, nie mogę udzielać informacji o stanie pacjentów. - Nabrała tchu. - Ujmijmy więc rzecz w ten sposób: nikt przywieziony dziś rano na ten oddział ratunkowy z ranami głowy nie doznał żadnych poważnych obrażeń - dodała znacząco, krzyżując z Darcy spojrzenia. - Wszyscy są obecnie w stanie stabilnym - zakończyła.

Darcy omal się nie popłakała, tak bardzo jej ulżyło.

- Och, dzięki Bogu!

- Naturalnie „stan stabilny” nie oznacza, że wszystko jest w porządku na sto procent - zastrzegła. - U ofiar urazów wewnątrzczaszkowych często występuje dezorientacja. - Recepcjonistka zmierzyła ją wzrokiem. - Tak jak powiedziałam, nie mogę przekazać żadnych informacji medycznych o konkretnym pacjencie bez jego zgody, nawet gdyby była pani członkiem rodziny. Niestety, nie wszyscy nasi pacjenci są w takim stanie, że mogą takiej zgody udzielić.

Tym razem Darcy miała kłopot z odczytaniem intencji recepcjonistki. Czy to znaczy, że Aidan Harris jest w stanie stabilnym, ale nie do końca wie, co się z nim dzieje, czyli że zagrożenie jeszcze nie minęło? Tak czy inaczej, przypuszczała, że dowiedziała się już wszystkiego, co w tej chwili miała szansę usłyszeć.

- Dziękuję i oczywiście rozumiem pani sytuację - powiedziała w duchu współpracy. - Mam jeszcze pytanie ogólne. Jeśli na miejscu wypadku została własność ранego, na przykład zwierzę domowe, to jak szpital pomaga mu w odzyskaniu tej własności?

- Sądzę, że opieka nad zwierzętami powinna zostać powierzona członkom rodziny albo najbliższemu krewnemu.

- Czyli nie ma możliwości, żebym mogła zwrócić psa panu...

- Żadnej - powiedziała recepcjonistka życzliwie, lecz stanowczo. - Zwierząt nie wpuszcza się do szpitali, moja droga.

- Rozumiem. - Darcy intensywnie myślała. - Czy wobec tego jest możliwe zostawienie wiadomości, z której dany pacjent albo jego rodzina dowie się, że pies trafił w dobre ręce i czeka na odbiór, gdy tylko będzie to możliwe?

Przypuszczała, że ktoś już zadzwonił do rodziny Aidana, a jeśli tak, to ludzie martwią się o Bailey'a i chcą go odzyskać.

- Czy mogę zostawić pani swój numer, żeby rodzina do mnie zadzwoniła? Albo sam pan Harris... Jestem pewna, że będzie chciał odnaleźć Bailey'a, gdy tylko stanie na nogi. To znaczy... - Urwała niezadowolona z tak niezręcznego doboru słów.

- Naturalnie. Dopilnuję, żeby informację przekazano - odrzekła kobieta, a Darcy, za której plecami rosła już spora kolejka, wyczuła, że recepcjonistka zaczyna się niepokoić.

- Dziękuję. Nie potrafię nawet powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna za życzliwość - powiedziała i zapisała numer swojej komórki na kawałku papieru.

- Nie ma za co - odrzekła recepcjonistka. - Życzę pani miłego dnia i wesołych świąt.

- Wzajemnie.

Darcy uśmiechnęła się, pokrzepiona wiadomością, że jej ofiara zdaje się zdrowieć, a Bailey znajdzie się wkrótce pod opieką rodziny. Czuła się, jakby zdjęto jej z ramion wielki ciężar.

Jej dzień wreszcie zaczął wyglądać lepiej. Aidan Harris zyska w końcu status przypadkowo spotkanego człowieka, bohatera dziwnej historii, którą opowiada się znajomym przy drinku, a zanim jej życie w pełni wróci do normalności, będzie sygnałem ostrzegawczym.

Rozdział szósty

*Poza psem książka jest najlepszym przyjacielem człowieka.
Wewnątrz psa jest zbyt ciemno, żeby czytać.*

Groucho Manc

Gdy Darcy wyszła ze szpitala, znów przez te same dwuskrzydłowe drzwi, zimowy chłód zepsuł jej radosny nastrój i przywrócił ją do rzeczywistości. Zaczęła się zastanawiać, co właściwie ma zrobić z Baileyem, póki nie zadzwoni rodzina właściciela, żeby go odebrać.

Była już bardzo zmęczona i marzyła tylko o tym, żeby iść do domu, wykąpać się, usiąść na kanapie z książką i zostawić cały poranny dramat za sobą. Nie mogła jednak ciągnąć Bailey'a i roweru z powrotem przez całe centrum, kiedy nogi się pod nią uginały. Pies jednak był za duży, by przewieźć go transportem publicznym. Zresztą w autobusie albo metrze musiałyby być w koszyku. Co robić?

Pozostawało jej jedno: spróbować dopaść taksówkarza, który byłby gotów wziąć tak dużego psa jak Bailey, i mieć nadzieję, że dalej wszystko się ułoży. W budynku,

w którym mieszkała, nie wolno było trzymać zwierząt, miała jednak nadzieję, że na kilka godzin uda się jej przemyścić czworonoga bez kłopotów.

- Dobre wiadomości, Bailey. Wygląda na to, że z Aidanem wszystko w porządku - powiedziała, rozplątując smycz i odczepiając rower.

Pies spojrzał na nią przenikliwie, a ona uświadomiła sobie, że pierwszy raz wymieniła imię właściciela w jego obecności.

- Niedługo będziesz mógł iść do domu.

Na słowo „dom” pies postawił uszy i cicho zaskowyczał. Darcy zmarszczyła czoło, zrobiło jej się smutno. Żeby nie wiadomo jak się starała, pies musiał być całkiem zagubiony w tym, co się działo, i na pewno nie rozumiał, dlaczego pan nagle go opuścił i zostawił z dziwną obcą osobą.

- Wiem, piesku, że chcesz już wrócić do domu

- powiedziała i położywszy mu rękę na łbie, podrapała go za uszami. - Tymczasem jednak mój musi ci wystarczyć, w porządku? Chodź, poszukamy taksówki

- zakończyła pogodzona z tym, że łowy mogą potrwać dość długo.

Prowadząc rower i Bailey, dotarła na skrzyżowanie z Ósmą Aleją, znajdujące się o dwie przecznice od miejsca wypadku. Zdawało jej się, że minęły już wieki. Zerknąwszy na zegarek - prezent od Joshui z wypisanym na tarczy cytatem z Dr. Seussa: „Czemu tak szybko jest tak późno?”

- zauważyła, że czas na lunch już minął. Nic dziwnego, że czuła się taka zmęczona. Ale gdy skręciła w Ósmą Aleję, przez cały czas rozglądając się za wolnymi taksówkami, Bailey nagle stanął.

Lekko szarpnęła smyczą i pociągnęła go w wybranym przez siebie kierunku.

- Chodź, piesku, robi się zimno, a musimy iść naprzód, jeśli chcemy znaleźć taksówkę.

Pociągnęła jeszcze raz, ale Bailey stawiał opór i tym razem po prostu usiadł na chodniku.

Zdziwiona tym aktem uporczywości Darcy spróbowała jeszcze raz, lecz pies szarpnął w swoją stronę i omal nie wyrwał jej smyczy z ręki. Jejku, a jeśli on ucieknie i się zgubi?

- pomyślała Darcy panicznie. Nie mogła do tego dopuścić teraz, po wszystkim, co się stało. Zwłaszcza że niedługo rodzina Aidana Harrisa miała się dowiedzieć, kto wziął psa pod opiekę. Z pewnością strapienia z Aidanem im wystarczały, nie potrzebowali dodatkowo wiadomości, że kobieta, która na niego najechała, gdzieś przepadła, a do tego zgubiła zwierzątko.

Westchnęła i postawiła rower na nóżce, po czym przykucnęła tak, by jej oczy znalazły się na poziomie oczu psa.

- Bailey, chodź już, chodź - zakomenderowała nieco bardziej stanowczo.

Gdy jednak pies nadal nie chciał się ruszyć, głęboko odetchnęła i ujęła się pod boki.

- Bailey, chodź. Tędy. Noga?

Spróbowała kilku wariantów tej samej komendy, ale husky wciąż z uporem muła ciągnął ją w innym kierunku. Darcy skuliła ramiona.

- Bailey, chodź, piesku, proszę cię - zawołała bezsilnie.

- Naprawdę muszę zaprowadzić cię do domu.

Na wspomnienie słowa „dom” pies znowu zastrzygł uszami, wywalił jęzor i zaczął machać ogonem, jakby chciał

powiedzieć: „W porządku, chodźmy więc”. Pokręciła głową zmylona jego zmianą zachowania.

- Przecież do domu idzie się tędy.

Pociągnęła za smycz i machnęła dłonią we właściwym kierunku. Bailey znów stawiał opór, po czym pociągnął ją w przeciwną stronę, ku Columbus Circle i parkowi. Wymownie wpatrywał się przy tym w Darcy, jakby chciał telepatycznie przekazać jej wiadomość. Przyszedł jej do głowy znany cytat z Groucho Marksa o tym, że wewnątrz psa jest zbyt ciemno, żeby czytać. Zaczęła się więc zastanawiać, co jej umyka.

Może pies próbuje powiedzieć, że dom - jego dom! - znajduje się właśnie tam. Gdy zaświtała jej ta myśl, spojrzała na upartego husky i spytała:

- Próbujesz mi powiedzieć, że do twojego domu idzie się tędy?

Wskazała w stronę Columbus Circle i parku. Bailey zaskowyczał, a potem zaszczekał.

Darcy poczuła się, jakby właśnie przeżywała „moment Lassie”. Znalazła się nagle w świecie sprzed wielu lat, wróciła myślą do dzieciństwa, gdy oglądała czarno-białe powtórki filmów o wiernym collie, który zawsze wydawał się mądrzejszy od swoich właścicieli. Nic się, jak widać, nie zmieniło. Przypomniała sobie, jak śmiała się z mamą z rozdrażnienia Lassie, kiedy właściciele drapali ją za uszami i pytali: „Co się stało, piesku? Timmy wpadł do studni?”. Darcy pamiętała, że choć była wtedy dzieckiem, myślała: „Dalej, tępaki, słuchajcie Lassie. Ona jest mądrzejsza niż wy wszyscy razem wzięci”.

Przygryzła wargę. Czy ponosiła ją wyobraźnia, czy Bailey miał w tej chwili wyraz pyska podobny do Lassie?

Nagle ją olśniło. Oczywiście! Gdyby mogła odkryć, gdzie Bailey mieszka, wtedy mogłaby od razu zwrócić go rodzinie, nie czekając, aż ktoś się z nią skontaktuje. Mądry psiak najwyraźniej myślał jaśniej niż ona.

Chociaż nie budziła w niej entuzjazmu wizja spotkania z żoną lub krewnymi Aidana Harrisa, pamiętała przecież o swojej roli w jego wypadku. Przynajmniej miałyby okazję zwrócić im nie tylko psa, ale i paczkę. Wtedy zakończyłyby swoją rolę w tym dramacie, mogła odpoczywać przez resztę dnia i postarała się odłożyć ten epizod *ad acta*. Chyba że Aidan Harris będzie chciał pozwać ją o zwrot kosztów leczenia - wtedy musiałyby zapomnieć o poczuciu winy i się bronić.

- No, niech ci będzie - mruknęła pod nosem, przestawiła rower i ruszyła w kierunku parku. Nieco dłuższy spacer na pewno jej nie zabije, poza tym będzie jej wtedy łatwiej namówić taksówkarza na kurs do centrum. - To jest zwykła loteria, ale może niedługo wrócisz do domu.

Trąciła Baileya, by szedł pierwszy, i pozwoliła mu przejąć inicjatywę. Pies zerknął jeszcze na nią, jakby oczekiwał potwierdzenia, więc uśmiechnęła się do niego.

- Dalej, piesku, teraz ty dowodzisz. Prowadź. Idziemy do domu.

Bailey pociągnął za smycz i ruszył. Poszczekując, energicznie przebierał łapami, a od czasu do czasu zerkał na nią z psim uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: „Wreszcie zrozumiałaś. Już myślałem, że będziemy tam siedzieć cały dzień”.

Darcy trzymała się za husky, który bez wahania przeprowadził ją na drugą stronę Columbus Circle, minął! Time

Warner Centre i Trump International Tower na Central Park West. Dziarskim krokiem zaszli mniej więcej piętnaście przecznic dalej na północ, za wieżowiec, w którym kręcono *Pogromców duchów*, i piękny, nawiązujący do niemieckiego renesansu budynek mieszkalny Dakota. Przez cały czas trzymali się obrzeża parku. Podczas tego przemarszu Darcy musiała nie tylko dotrzymać kroku zdeterminowanemu czworonogowi, lecz również prowadzić rower i pogodzić się z myślą, że to zwierzak decyduje o tym, dokąd idą. Bailey jednak sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie, a jego zachowanie wskazywało, że dokładnie wie, dokąd zmierza.

Chociaż pies naprawdę zdawał się znać drogę, Darcy wolałaby, żeby dał jej jakiś znak albo wskazówkę, jak daleko od celu się znajdują albo jak długo jeszcze potrwa ich wędrówka. Znowu ogarniało ją zmęczenie i chciała w tej chwili, żeby ten dziwny dzień już się skończył. Mimo wszystko mocno trzymała smycz. Nie mogła ryzykować, że po tych wszystkich przejściach jeszcze zgubi Baileya.

W miarę jak szli kolejnymi ulicami, dostrzegła wyraźną zmianę w zabudowie. Stateczność zabytkowych domów mieszkalnych, które mijali, i coraz elegantszy wygląd ludzi mijanych na chodniku zaczynały ją niepokoić, jak zawsze bowiem miała poczucie, że w takim miejscu niechlubnie się wyróżnia, zwłaszcza że była w tak opłakanym stanie. Podejrzewała, że z oklapniętym końskim ogonem, w przemoczonym ubraniu i brudnej kurtce wygląda całkiem dosłownie tak, jakby wyciągnięto ją z rynsztoka.

Nagła myśl zatrzymała ją w miejscu, Bailey również musiał więc przystanąć.

- Czy mieszkasz w domu ze stróżem? - spytała psa.

On oczywiście nie odpowiedział, ale nieznacznie przekrzywił głowę. Darcy żałowała, że nie umie czytać w jego myślach. Spojrzała przed siebie, próbując ustalić, gdzie się znajduje. Bailey równie dobrze mógł prowadzić ją do Harlemu (choć Darcy nie wydawało się, by jej nogi zniosły taką odległość), ale gdy przypomniała sobie strój, który Aidan miał na sobie tego ranka, i niesioną przez niego fikuśną paczkę, powzięła podejrzenie, że mężczyzna jednak mieszka w eleganckiej części miasta. Gdyby okazało się, że zajmuje z Baileyem mieszkanie w jednym z tych domów, które mają przed wejściem markizę i dywan, a na dole siedzi stróż albo konsjerżka, to Darcy nie wyobrażała sobie, jak (i czy w ogóle) przedostanie się przez taką zaporę.

Ciężko westchnęła.

- To oczywiste, że twój pan mieszka gdzieś tu w pobliżu, Bailey - powiedziała.

Zakończone białymi skarpetkami łapy radośnie zatańczyły na chodniku i pies znów ruszył, choć Darcy na drugim końcu smyczy szła coraz bardziej opornie. Im bliżej byli miejsca, w którym Darcy, cierpiąca z powodu bolących nóg, spodziewała się znaleźć ostateczny cel tej wędrówki, tym większy podziw budziły w niej efektowne gmachy w stylach art déco, neorenesansowym i beaux arts, które górowały nad ulicami ze wszystkich stron. Musiała przyznać, że pan Baileya po raz kolejny dowiódł swego dobrego gustu wyborem okolicy do zamieszkania.

Zdaniem wielu była to bajeczna lokalizacja. Twierdzono, że na Manhattanie tylko na Upper West Side można cieszyć

się wszystkimi możliwymi wygodami i gwarem żyjącego miasta, a jednocześnie łączyć to z różnymi udogodnieniami typowymi dla przedmieść oraz z elegancją i pięknymi terenami zielonymi. Dzięki pracy w księgarni Chaucer's Darcy wiedziała, jakie możliwości zrobienia zakupów i zjedzenia z klasą oferuje ta okolica. Były tu takie miejsca dla smakoszy jak Zabar's i Fairways, a poza tym setki cudownych kawiarni, lodziarni, włoskich wędliniarni, cukierni i eleganckich restauracji, chociaż Darcy nie było stać na to, by kupować lub jeść w którymkolwiek z tych lokali.

Piękne mieszkania w bogato zdobionych budynkach lub zabytkowych kamienicach przy wysadzanych drzewami alejach, cudowne targowiska, świetne restauracje i wspaniałe tereny rekreacyjne w Riverside Park (by nie wspominać o Central Parku) dodatkowo przyczyniały się do tego, że szczęśliwcy z Upper West Side wiedli tu życie jak w bajce.

Właśnie gdy Darcy zaczęła się zastanawiać, z czego utrzymuje się Aidan Harris, jeśli stać go na mieszkanie w tej okolicy, Bailey raptownie przystanął. Tak raptownie, że omal nie najechała mu na ogon przednim kołem. Pies szybko zerknął za siebie, niuchnął i obrócił się w prawo. Najwyraźniej dawał sygnał, że należy skręcić.

Darcy z rowerem ruszyła więc za nim zaciszną boczną uliczką obsadzoną drzewami. Przed sobą zauważyła przerwę w luksusowej zabudowie z okresu międzywojennego, zaczęły się tu bowiem dwupiętrowe domy z elewacjami z brązowego piaskowca. Bailey przyspieszył kroku i zaprowadził Darcy dokładnie pod trzeci dom po prawej, gdzie usiadł u podnóża schodów.

Darcy zerknęła na psa.

- Tutaj? - spytała, wskazując.

Bailey wystawił język i zamachał ogonem.

- Rozumiem, że to jest „tak” - powiedziała Darcy i zmierzyła wzrokiem fasadę odpychająco eleganckiego domu.

Przygryzła wargę i zaczęła się zastanawiać, co dalej. Przynajmniej nie musiała pertraktować z portierem. Ale była to prawdziwa nieruchomość na Manhattanie. Darcy nie pamiętała, ile mniej więcej kosztuje taki dom z elewacją z piaskowca w tym rejonie, ale domyślała się, że niemało.

- Całkiem nieźle - rzuciła do Bailey'a. - Nie mogłeś mi wcześniej powiedzieć, że jesteście z panem tacy dziani?

Postawiła rower przy schodach prowadzących do frontowych drzwi i ostrożnie rozejrzała się dookoła. Zastanawiała się, czy ktoś nie obserwuje jej z okna i nie wykręca już numeru policji, bo przecież nie była swojakiem w tej okolicy.

- Tylko tego jeszcze mi brakowało, żeby znowu przyjechały gliny - mruknęła. - Człowiek stara się zrobić dobry uczynek, i co? - Ruszyła z Baileyem po schodach. - Ale może ludzie pomyślą po prostu, że jestem płatną pomocą domową.

Husky spojrzał na nią z powątpiewaniem.

Dotarła do dzwonka i mocno wcisnęła guzik, zerkając przy tym na urodziwy klon w doniczce stojący przed wejściem.

- No to sprawdzamy, czy ktoś jest w domu.

Bailey wiercił się u jej nóg, jakby oczekiwał, że Darcy otworzy drzwi i wpuści go do środka. Nikt jednak nie

zareagował i po chwili Darcy zadzwoniła ponownie. Nadal bez skutku. Załamało ją to. Niech to diabli.

Bailey popatrzył na nią i niecierpliwie zaskomlął.

- Wierz mi, że też chciałabym, żeby ktoś nam otworzył. Nic jednak na to nie poradzę, Bailey. Wygląda na to, że nikogo nie ma w domu.

Zerknęła na zegarek. Było wczesne popołudnie, więc jeśli żona czy dziewczyna Aidana (lub nawet jego chłopak) była w pracy, to nie należało się spodziewać, że wkrótce wróci. Oczywiście bardzo możliwe jest też, że gdy bliscy dowiedzieli się o wypadku Aidana, po prostu pojechali do szpitala. Darcy była na siebie bardzo zła, że nie przewidziała tego wcześniej. Niech to wszyscy diabli, zaklęła w myśli. Koniec nadziei na szybkie załatwienie sprawy.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała Bailey'a po głowie.

- Przepraszam, piesku, ale wygląda na to, że jesteś skazany na mnie nieco dłużej.

Baileyowi zaburczało w brzuchu, co przypomniało Darcy, że prawdopodobnie od rana niczego nie jadł. Nic dziwnego, że tak mu się spieszyło do domu.

Musiała znaleźć sposób, żeby go nakarmić, a siebie przy okazji też. Zrezygnowała przecież ze śniadania, bo była spóźniona do pracy, więc sama zjadła tylko muf finkę w kawiarni już dość dawno temu. Nie sądziła jednak, by mogli znaleźć cokolwiek do jedzenia w tej okolicy. Chyba że zaciągnęłyby dług hipoteczny.

- Przykro mi, Bailey, wracamy do pierwotnego planu - poinformowała psa ze znużeniem. - Musisz jeszcze na pewien czas zrezygnować z wygód, do jakich jesteś przyzwyczajony. Wracamy do centrum.

Rozdział siódmy

Książki nie są w zamyśle meblami, ale nic innego nie mebluje domu tak pięknie.

Henry Ward Beecher*

Po zaskakująco łatwym znalezieniu taksówki, której kierowca był gotowy wziąć psa - Darcy podejrzewała, że przewóz domowych ulubieńców jest na porządku dziennym wśród miłośników zwierząt z Central Park West - wkrótce znaleźli się z powrotem w okolicy dobrze znanej Darcy, na ulicach wysadzanych wiązami, gdzie samochody parkowały przy krawężniku zderzak w zderzak. U Luigiego po godzinie szczytu panował już spokój, nie było kolejki przy kontuarze i tylko kilku zapóźnionych niedobitków opierało się o szybę i jadło pizzę, popijając colą. Darcy przyjęła to z prawdziwą ulgą, uznała bowiem, że nie będzie musiała czekać zbyt długo na zamówienie, które złożyła telefonicznie, jadąc taksówką.

* *Eyes and Ears*. Londyn 1862, s. 146.

Radosne skowyty trwały przez całe dwa biegi schodów, prowadzące do jej mieszkania, w końcu jednak Darcy stanęła przed drzwiami i zaczęła nerwowo szukać kluczy, chcąc wprowadzić Bailey'a do środka, zanim zrzędliva pani Henley usłyszy zamieszanie na schodach i wytknie na klatkę swój niemały nos, aby sprawdzić, co się dzieje. Husky, który wcześniej zachowywał się statecznie, teraz dla odmiany wydawał się mocno podniecony zmianą otoczenia, choć bardziej prawdopodobne było to, że przemawiał do niego zapach pieczonego czosnku i sosu bolognese, docierający z knajpki na dole.

Darcy właśnie znalazła klucze, gdy usłyszała kroki na schodach. Ciężkie kroki mężczyzny. Spłoszona, że jej pasażer na gapę zostanie odkryty, przekręciła klucz w zamku i szeroko otworzyła drzwi, aby wepchnąć psa do mieszkania. W tej samej chwili ukazał się Ricardo, jeden z kelnerów Luigiego, trzymający w dłoni biało-czerwone kraciaste pudło od pizzy. Zawartość była tak gorąca, że z boku opakowania sączyła się para.

Ślinka jej pociekła. Z powodu pizzy, nie Ricarda.

Ricardo miał około dwudziestu pięciu lat i metra osiemdziesięciu wzrostu. Był słusznej budowy i nosił beżowe sztruksowe spodnie oraz firmową czerwono-zieloną koszulę pod zaplamionym fartuchem. I ten najnowszy nabytek wśród personelu Luigiego pałał nie wiadomo czemu wyjątkową sympatią do Darcy. Może kręciły go (starsze) amatorki książek, takie z włosami ściągniętymi z tyłu, okularkami do czytania na nosie i rozpiętym kołnierzykiem koszuli, który był atrakcją dla niektórych facetów, chociaż Darcy czuła się niemal tak staro, że mogłaby być jego

matką, i kilka razy już mu to powiedziała. Teraz jednak niemal instynktownie poprawiła potargany koński ogon i sprawdziła dekolt, żeby mieć pewność, że nie dostarcza Ricardowi mimowolnych zachęt. Choć i tak było to wysoce nieprawdopodobne. W tej chwili wyglądała tak - policzki wyszczypane na różowo przez mróz, rozczochrane włosy i mokre, brudne ubranie oblepione szarą psią sierścią - że raczej nie mogłaby podniecić żadnego mężczyzny.

- Zamówiłaś pizzę, Darcy? - spytał, stając na podeście. - Jak to możliwe, że nie jesteś w pracy...? O, kto to jest ten duży gość?

Kelner spostrzegł w mieszkaniu Bailey'a okrążającego choinkę i nieproszony wszedł do środka, tak jakby był tam już dziesiątki razy.

Tylko nie to.

- Cześć, Ricardo - westchnęła ciężko, gdy położył pudełko z pizzą na blacie w jej kuchni.

Była bardzo zmęczona, bolały ją stopy, nogi i ramiona miała jak z ołowiu. Chciała tylko rozsiąść się na kanapie i zjeść. Zapach rozgrzanych pomidorów z bazylią, rosnącego ciasta i bąbli topniejącego sera zaatakował jej zmysły, aż zaburczało jej w brzuchu.

- Chodź tu, piesku - zakomenderował kelner, opadłszy na kolana, a Bailey zaszczekał podniecony i obiegł go dookoła z nieszkodliwym powarkiwaniem, po czym skoczył prosto na niego.

Ricardo usiadł na piętach i drapał go za uszami. Widać było, że zdobył przyjaciela na dobre i złe. Darcy skrzywiła się, słysząc te hałasy. Miała nadzieję, że sąsiedzi nie doniosą gospodarzowi.

- Dobrze sobie z nim radzisz - zwróciła się do Ricarda, zapalając dwie lampy małej mocy. Potem pstryknęła przełącznikiem.

Natychmiast zbudziła się do życia jej nieduża choinka (najmniejsza, jaką umiał znaleźć uliczny sprzedawca) z ozdobami domowej roboty. Czarodziejskie lampki oświetliły mały duży pokój ciasno zastawiony meblami i przeładowane półki, uginające się bardziej niż zwykle od mnóstwa świątecznych girland i ozdób z folii.

- Mój szwagier ma dwa husky, jeden bardziej szalony od drugiego. Masz szczęście, bo ten twój wydaje się dość spokojny.

- On... on nie jest mój.

Darcy musiała szybko coś wymyślić. Umyła ręce i sięgnęła po kawałek margherity na cienkim, chrupiącym cieście z nadzieją, że żadne tłumaczenia nie będą konieczne. Ale Ricardo cierpliwie czekał, aż skończy przeżuwać kawałek, wpatrując się w nią pytającym spojrzeniem.

- Opiekuję się nim za kolegę z pracy, tylko kilka godzin. Miała nadzieję, że Ricardo nie wspomni o psie swojemu szefowi, który był również gospodarzem w tym domu.

- Super. - Spojrzał na choinkę. - A to co? Breloczki do kluczy? Uśmiechnęła się.

- Nie, książki. Tak naprawdę to są pudełka od zapalek oklejone kolorowym papierem, ale każde reprezentuje inną książkę. - Ujęła pierwszą z brzegu ozdobę i odwróciła, by przeczytać tytuł: - Zobacz, to jest *Moby Dick*. A to *Opactwo Northanger*. A tutaj *Wielki Gatsby*...

- Już rozumiem, rozumiem. Nie musisz mi czytać całego drzewka. To przecież nie tajemnica, że masz słabość do książek.

Rozejrzała się dookoła, a Darcy spróbowała spojrzeć na swój pokój jego oczami: półki uginające się od książek, chwiejne piramidy aktualnych i najbliższych lektur, wyrastające w różnych miejscach, obok kanapy, pod stolikiem na telewizor, na parapecie, gdzie sterta blokowała drogę światłu i tak wątlému w zimie. Uśmiechnęła się, dumna ze swojego zbioru. Żałowała jedynie, że nie ma miejsca, by pomieścić kolejne tomy.

Rozprawiwszy się z pierwszym kawałkiem pizzy, szybko sięgnęła po następny, po krótkim wahaniu dała też jeden Baileyowi, choć nie była pewna, czy taki zapychacz jest zdrowy dla psa. Ponieważ jednak Bailey pochłoniął go jednym kłapnięciem, uznała, że nie ma to znaczenia. Potem z uprzejmości poczęstowała Ricarda, on jednak tylko się skrzywił.

- Pizza bez mięsa jest jak spaghetti bez sosu - pouczył ją.

- Mówisz jak prawdziwy Włoch - zażartowała i podeszła do lodówki.

Nie było tam wiele artykułów, wiedziała jednak, że ma jeszcze trochę piwa ze składkowego obiadu na Święto Dziękczynienia, który zjadła z Ashley i Joshua. Zapłaciła Ricardowi za pizzę i poczekała, aż usłyszy tupot jego tenisówek na schodach, a gdy odwróciła się wreszcie ku swoim drzwiom, zauważyła panią Henley, wystawiającą głowę na klatkę schodową.

- Co to za hałasy? - spytała z miną wyrażającą irytację.

- Po prostu dostawa pizzy - odrzekła Darcy z uśmiechem, zapomniawszy, że drzwi do jej mieszkania są szeroko otwarte.

- Przepraszam za zamieszanie.

- Czyżbym widziała tam jakiegoś psa?

Darcy ponieważświe dostrzegła swój błąd i przytknęła drzwi. Pani Henley wyciągnęła kościsty palec w stronę jej mieszkania.

- Wypchanego? - próbowała zażartować Darcy.

- Hm, wypchane psy nie oddychają i na pewno nie wsadzają nikomu łba między nogi.

Bailey znalazł się nagle u stóp Darcy, obwąchał podest, spojrział na panią Henley i pozdrowił ją skowytem, który stawał się już jego znakiem firmowym. Darcy głęboko odetchnęła pełna najgorszych przeczuć, spodziewała się bowiem wykładu o prawie budowlanym i regułach zakazujących trzymania psów, tymczasem staruszka nagle się rozpromieniła i zaczęła wymachiwać długimi kościstymi palcami, jakby rozmawiała z sympatią ze szkolnych lat.

- Jaki wspaniały psiak - powiedziała, kompletnie zaskakując Darcy. - Też miałam kiedyś psa, wiele lat temu, w Queens, zanim mąż ściągnął mnie siłą do centrum. Tam nie było podwórza, a mąż któregoś dnia po prostu wypuścił tego psa. Myślałam, że wróci, ale...

Darcy stała z otwartymi ustami. To było więcej słów, niż usłyszała od pani Henley przez trzy lata sąsiedztwa! Tymczasem Bailey stukał łapami o deski podestu i obwąchiwał szlafrok staruszki.

Kobieta powoli przytknęła, wyciągnęła pomarszczoną rękę i pogłaskała miękką srebrzystą sierść na jego głowie.

- Jaki grzeczny piesek - powiedziała łagodnie, jakby mówiła do dziecka. - Grzeczny, grzeczny piesek.

Bailey trącił nosem jej dłoń, kichnął dwa razy, po czym obrócił się i wbiegł z powrotem do mieszkania Darcy.

- Dziękuję - powiedziała Darcy, traktując ten komplement tak, jakby Bailey naprawdę był jej psem.

Dwie kobiety stały zakłopotane, bo nie miały już sobie nic więcej do powiedzenia, odkąd Bailey przestał się między nimi kręcić.

- No cóż, dobranoc - rzuciła w końcu pani Henley i szybko zamknęła drzwi, ale Darcy zauważyła, że nie było znajomego trzaśnięcia.

Wróciwszy do mieszkania, ku swemu zdziwieniu zastała Bailey'a błogo wypoczywającego na dywaniku pod półką z książkami. Zwinięty w kłębek wyglądał jak etola z norek i wydawał się całkiem na swoim miejscu.

- Może mała szkoła przetrwania wcale nie jest taka zła, co, piesku? - spytała szeptem Darcy, pogłaskała go po głowie, a potem chwyciła następny kawałek pizzy.

Bailey zbudził ją następnego ranka niemiłosiernie wcześnie. Na dworze jeszcze było ciemno. Skuliła się pod przykryciem, jednocześnie załamana i zdumiona energią, jaką okazywał, skacząc i podrygując, jakby to była najlepsza zabawa na świecie.

- Idź sobie - mruknęła, usiłując schować głowę pod kołdrę, ale pies uznał, że to też jest zabawa.

Darcy wstała, a husky kręcił się dookoła niej jak trąba powietrzna, musiała więc celowo stawiać bardzo krótkie kroki, żeby niechcący się nie przewrócić. Dopiero

gdy weszła do łazienki, a pies spojrzał na nią z niechęcią od drzwi, uświadomiła sobie, że biedak przez całą noc nie wychodził.

Szybko się ubrała, chwyciła kurtkę narciarską i czerwoną skórzaną smycz. Wtedy przypomniała sobie, dlaczego Bailey u niej jest, wyjęła więc telefon i zerknęła na ekran, żeby sprawdzić, czy właściciele zaczęli go szukać, ale nie było ani jednego nieodebranego połączenia.

Podejrzewała, że rodzina Aidana Harrisa ma dość problemów po wypadku, choć była przekonana, że przynajmniej grzecznościowy telefon byłby na miejscu. Mogliby spytać, czy u Bailey'a wszystko w porządku. Chyba że wiadomość z numerem telefonu jeszcze do nich nie dotarła. Darcy zapisała sobie w pamięci, żeby tego dnia w pracy nie rozstawać się z telefonem komórkowym.

Praca! Co, u licha, miała zrobić z Baileyem, wychodząc do księgarni? Nie mogła przecież zostawić go na cały dzień w mieszkaniu. Po pierwsze, był o wiele za duży i nie byłoby dla niego dobrze, gdyby siedział tak długo w zamknięciu. Po drugie, nie miała pojęcia, jaki chaos zastałaby w domu po powrocie. Przez kilka godzin pobytu w jej mieszkaniu pies zdążył się już pozbyć sporej ilości szarej, miękkiej sierści. Woląa sobie nawet nie wyobrażać stopnia zniszczeń, gdyby w ruch poszły ostre pazury (lub nawet kły), kiedy nudziłby się przez cały dzień. Ale do pracy zabrać go nie mogła. Nie mogła?

W tej chwili jednak Bailey był zainteresowany wyłącznie wyjściem na dwór. Wzięty na smycz praktycznie wyciągnął ją za drzwi. Piszczął przez całą drogę na dół, w sieni i jeszcze na chodniku przed domem. Dopiero

gdy spostrzegł pierwszy hydrant, podniósł przy nim nogę i wypuścił z siebie mocny strumień. Darcy była pod wrażeniem. Właśnie tak robią psy.

- Kim jest ten twój przyjaciel? - spytał znajomy głos dochodzący z progu knajpki.

Do diabła. Darcy wzdrygnęła się i z mocno bijącym sercem odwróciła się do Luigiego. Jej gospodarz, mężczyzna pod sześćdziesiątkę, był chudy i żylasty, pod wygniecioną czapką w czerwono-zieloną kratę miał krótko ostrzyżone siwe włosy. Bailey, który już załatwił swoją sprawę, podszedł teraz do niego, by obwąchać mu nogi. Ubrany już w fartuch i biały strój kucharza, gotowy na kolejny dzień pracy Luigi trzymał w prawej ręce coś, co sprawiło, że husky zaczął podskakiwać.

- Opiekuję się... psem znajomego - wymamrotała Darcy, świadoma tego, że dostanie od gospodarza burę za przygarnięcie czasowo bezdomnego zwierzaka. - To nie przeszkadza? - spytała niepewnie.

Ulżyło jej, gdy Luigi zachichotał.

- Czy dałbym mu kawałek pepperoni, gdybym uważał, że jest inaczej?

A więc to dlatego Bailey podskakiwał niemal na wysokość pierwszego piętra. Luigi wyciągnął kilka pachnących plasterów soczystego czerwonego mięsa, cofnął się na próg i tam spędził chwilę w kucki, póki pies nie ułożył się u jego nóg zadowolony i najedzony.

- Czy to dla niego zdrowe? - spytała Darcy, zapisując w pamięci, żeby zaraz po przyjściu do pracy przejrzeć dział poświęcony zwierzętom domowym i dowiedzieć się dokładniej, czego można się spodziewać po takim

psie jak Bailey. Nie chciała zwrócić Aidanowi Harrisowi rasowego zwierzaka ze zmianami miażdżycowymi.

Gospodarz wzruszył ramionami, drgnął mu szpakowaty wąsik.

- Od dzieciństwa jem to na śniadanie i tylko na mnie popatrz.

- Dziękuję - powiedziała z roztargnieniem, przypomniawszy sobie, że nie ma w kuchni niczego, co choćby przypominało karmę dla psów. O to też musiała się zatroszczyć.

Jeszcze nawet nie wypła swojej porannej filiżanki herbaty, a już czuła się zmęczona.

Oboje weszli do środka: Luigi wrócił do pizzerii, a ona na klatkę schodową. Nasycony pepperoni Bailey ciągnął za smycz, zdecydowany jak najszybciej dotrzeć do swojego bliżej nieokreślonego celu. Na podeście drugiego piętra pojawił się cień i Darcy ku swemu zaskoczeniu ujrzała panią Henley stojącą przy oknie w różowych papuciach i falbaniastym szlafroku.

- Dzień dobry - powiedziała sąsiadka, spoglądając na Bailey'a.

- Widzę, że pani przyjaciel już załatwił swoje sprawy.

Darcy zaczerwieniła się niepewna, czy regulamin pozwala psu siusiać na hydrant przeciwpożarowy.

- Psy mają swoje potrzeby - stwierdziła z nerwowym chichotem.

Pani Henley skinęła głową, siwe włosy miała zakręcone.

- Pracuje pani dzisiaj? - Tak.

Darcy westchnęła i zerknęła na Bailey'a, który węszył w pobliżu drzwi pani Henley. Były uchylone tylko o włos,

a nos Bailey'a otworzył je odrobinę szerzej. Darcy zauważyła, że w odróżnieniu od jej dużego pokoju, zapchanego do granic możliwości, mieszkanie sąsiadki jest umeblowane skąpo i ascetyczne jak szpital.

Pani Henley stała w pewnym oddaleniu, usta miała zaciśnięte jak to ona, ale spoglądała zdecydowanie cieplej niż zwykle.

- Skoro pani go tu zostawia, mogę popilnować, jeśli oczywiście pani sobie życzy.

Darcy zamurowało.

- Dziękuję, ale nie mogłabym chyba...

Mimo wszystko propozycja pani Henley wzbudziła w niej mieszane uczucia. Z jednej strony takie rozwiązanie bardzo ułatwiłoby jej życie i o wiele lepiej zabezpieczyło mieszkanie, ale z drugiej Darcy czuła się tymczasem odpowiedzialna za Bailey'a, nawet jeśli niekoniecznie jej się to podobało.

- Bzdury, moja droga - powiedziała starsza pani, a policzki nabrały jej kolorów. - Lata już minęły, odkąd kimkolwiek się zajmowałam, a o psie nawet nie wspomnę. I całkiem podoba mi się takie wyzwanie. Jak powiedziałam, trochę znam się na psach. U mnie będzie w dobrych rękach.

Zanim Darcy zdążyła gruntownie to przemyśleć, podała sąsiadce smycz.

- Jeśli naprawdę nie ma pani nic przeciwko temu, to dziękuję bardzo. Ratuje mi to życie, bo właściwie nie mogę go wziąć do pracy... Odbiorę psa zaraz po powrocie, obiecuję - ciągnęła, choć plątał jej się język. Znowu spojrzała na sąsiadkę, zdumiona zmianą jej postawy. - Doceniam ten gest, pani Henley.

- To nie kłopot - odrzekła starsza pani stanowczo, usiłując powstrzymać Bailey'a przed wciągnięciem jej do wnętrza mieszkania. -1 proszę mówić do mnie Grace.

- Grace - powtórzyła Darcy, uświadomiwszy sobie, że dopiero po trzech latach poznała imię sąsiadki.

Bailey wydał z siebie skowyt, na chwilę wystawił jeszcze pysk na klatkę, popatrzył na Darcy, zamachał ogonem i szybko znikł w mieszkaniu pani Henley. To się nazywa wierność, pomyślała Darcy nieco urażona, że pies tak łatwo poszedł do kogo innego. A już jej się zdawało, że powstała między nimi niezwykła więź.

Szybko wzięła prysznic, ubrała się, potem jeszcze ciepło okutała, włożyła na głowę kask i ostrożnie wsiadła na rower. Z zadowoleniem stwierdziła, że prawie nic się nie stało, jeśli nie liczyć braku kilku szprych i cichego pobrzękiwania przy każdym obrocie kół. Początkowe zdenerwowanie szybko ustąpiło i wkrótce jechała już swoim zwykłym rytmem. I było jak zawsze, więc roześmiała się pod nosem.

Rano ulice były hałaśliwe i barwne, a gdy mijała piekarnię Bouchon's, poczuła zapach croissantów, maślany i chrupki. Przez chwilę wdychała też owocową woń naparów z herbaciarni Limoncello's. Ponieważ do Bożego Narodzenia został niecały tydzień, wszystkie sklepy mijane po drodze do centrum miały migoczące neony albo dekorację z lampek i cała ulica dosłownie się mieniła. Klienci wchodzili do sklepów przy dźwiękach kolęd, czasem zabawnych, ujjazzowionych, innym razem tradycyjnych, pełnych dzwoneczków, ale zawsze radosnych.

- Dzięki Bogu! - ucieszył się Joshua, gdy niecałe pół godziny później Darcy weszła do księgarni, przymocowawszy rower na zewnątrz. - Jak się czujesz? Boli cię głowa? Dzisiaj też mogłaś wziąć wolne, przecież wiesz. Chociaż oczywiście cieszę się, że cię widzę. Wczoraj był spory ruch, bo przecież święta za pasem, a Ashley zdaje egzaminy, więc mam trochę zaległości.

Był dzisiaj ubrany w modnie rozdarte szare dżinsy i jaskrawoczerwony sweter, który opinał się na jego wąskim torsie niczym druga skóra. Na głowie miał równie czerwoną czapkę Świętego Mikołaja wykończoną pomponem z bielutkiego futra, który kołysał się, ilekroć Joshua się poruszył.

- Czuję się dobrze - powiedziała, uśmiechając się do znajomej twarzy. - Dziękuję, że mi wczoraj tak pomogłeś. To było dziwne przedpołudnie.

- A co się właściwie stało? - spytał, gdy Darcy wdziewała przez głowę swój firmowy pasiasty fartuch i przygotowywała się do pracy. - Opowiedz mi wszystko, od samego początku.

- Jak wiesz, najechałam rowerem na człowieka, niejakiego Aidana Harrisa.

Joshua popatrzył na nią.

- Ten facet był taki miły, że się przedstawił, kiedy już go stuknęłaś?

Darcy zrelacjonowała mu całą tę ponurą historię, zaczynając od tego, jak Aidan Harris z psem wyszedł jej prosto pod koła na skrzyżowaniu. Dodała opis wizyty w szpitalu oraz zaimprovizowanej wędrowki po Upper West Side.

- Uuu, nadziany facet. A fajny?

Darcy się zamyśliła. Przypomniała sobie jego miękkie ciemne włosy i wydatną szczękę.

- Lepiej. Bardzo przystojny.

- To dobrze, bo jeśli już tak robisz, że ktoś pada na twój widok z wrażenia, to uważam, że powinien być przynajmniej fajny.

Joshua był nieznośny.

- Czy ty aby na pewno jesteś hetero? - zażartowała Darcy. - Poza tym on wcale nie padł na mój widok, tylko sama go przewróciłam. I nadal mam jego psa. W szpitalu czworonoga nie chcieli, więc nawet nie bardzo wiem, co z nim zrobić, póki nie odezwie się do mnie rodzina.

Wysoki śmiech Joshui był tak głośny, że prawie zagłuszył Binga Crosby'ego, którego *White Christmas* płynęło właśnie z głośników.

- Ty? Opiekujesz się psem? A gdzie on teraz jest? W biurze rzeczy znalezionych u Luigiego?

- Ciepło... Zajął się nim moja sąsiadka.

- Twoja świrięta sąsiadka? Ta przerażająca staruszka, która ubiera się tylko na różowo?

- Grace - powiedziała Darcy prawie tak, jakby chciała jej bronić. - I wcale nie jest świrięta, tylko małomówna.

Darcy doszła do tego wniosku po drodze do pracy. Kiedy teraz się nad tym zastanowiła, stwierdziła, że pani Henley właściwie nigdy nic nie zrobiła, tyle że opierała się próbom nawiązania dobrosąsiedzkich stosunków. To zresztą wydawało się całkiem rozsądne w mieście, gdzie można było mieszkać zarówno obok nauczycielki, jak i seryjnej morderczyni.

- Poza tym ona lubi psy.

- I różowy kolor - przypomniał Joshua.

- O Boże - jęknęła Darcy, która po słowach kolegi znów poważnie się zaniepokoiła. Czyżby zbyt pochopnie oddała Bailey'a w ręce całkiem obcej osoby? Może za bardzo chciała mieć z głowy problem, jaki stwarzała obecność psa w pracy? - Myślisz, że ona naprawdę jest świrnięta? - spytała. - A jeśli zostawiłam psa Aidana z umysłowo chorą kobietą? Jeśli ona właśnie sprzedaje go na eBayu...?

Joshua położył jej rękę na ramieniu.

- Wyluzuj. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent mieszkańców tego miasta ma świra, mimo to jakoś opiekują się swoimi zwierzętami. Jestem pewien, że temu kundlowi nic się nie stanie.

Odsuwając od siebie na chwilę niepokój o Bailey'a, Darcy jeszcze raz sprawdziła, czy ktoś nie dzwonił. Ku jej rozczarowaniu nadal nie było kontaktu od rodziny Harrisa, ani nieodebranych połączeń, ani SMS-a. A przecież rozsądek podpowiadał jej, że nawet jeśli pies jest przepiękny, to nie może długo pozostawać pod jej opieką. Jeśli nikt z rodziny nie odezwie się do południa, powinna jeszcze raz zadzwonić do szpitala i zażądać rozmowy z samym Aidanem Harrisem.

Godziny w księgarni mijały szybko, a klienci nie dawali Darcy spokoju, domagając się szukania książek o trudnych do zidentyfikowania tytułach: o „tequili i ptaku” - Joshua w końcu dociekł, że chodzi o *Zabić drozda* - albo o „nastolatce, która świruje w wieczór szkolnego balu”, czyli *Carrie* Stephena Kinga. Klienci prosili też o rady, a to właśnie była ta część pracy, którą Darcy lubiła najbardziej.

Nigdy nie czuła się lepiej niż wtedy, gdy klient wracał do księgarni zachwycony książką, którą mu podsunęła, i oddawał w jej ręce wybór następnej. Miewała jednak i duże wpadki. Tuż przed lunchem mniej więcej czterdziestopięcioletni biznesmen z surową twarzą podszedł do lady z drogim wydaniem *Wielkich nadziei*. Gdy Darcy wybijała cenę na kasie, uśmiechnęła się do niego.

- Wspaniała książka. Czy pan wie, że Dickens zmienił zakończenie, kiedy krytyk powiedział mu, że to byłoby zbyt smutne, gdyby Pip spędził resztę życia w samotności, i że czytelnicy nie byłiby z tego zadowoleni? - zagała. - Właśnie dlatego Dickens doprowadził w końcu do ponownego spotkania Pipa z Estellą po śmierci jej męża i zawarł w książce delikatną sugestię, że czeka ich wspólna przyszłość.

Mężczyzna popatrzył na nią.

- Chyba nie ma już sensu, żebym to kupował, skoro zdradziła mi pani zakończenie...

Darcy przeżyła wstrząs. Kompletnie wyleciało jej z głowy, że nie wszyscy znają klasykę, a ponieważ mężczyzna chciał kupić ilustrowane wydanie, założyła, że to jego ulubiona lektura z dawnych lat albo prezent.

Wciąż próbowała przewyciężyć konsternację i pozbierać się po niedoszłej do skutku transakcji, gdy z głębin fartucha dobiegł ją sygnał telefonu. Numer był z Manhattanu, nieznany, spojrzała więc na Joshuę, który właśnie dokładał książki na stół z bestsellerami przy wejściu. Pokazał jej uniesione kciuki, co oznaczało, że ma odebrać.

- Darcy Archer, słucham - powiedziała, kierując się na zaplecze mające rozmiary schowka na szczotki.

- Pani Archer, tu doktor Ingrid Mandeville. Dzwonię ze Szpitala Roosevelta.

Darcy poczuła przyływ lęku. Czyżby stan Aidana Harrisa się pogorszył, a może wystąpiły jakieś nieprzewidziane komplikacje? Szybko jednak trochę się uspokoiła, bo w tym drugim przypadku prawdopodobnie dzwoniłaby do niej policja, nie lekarka. Inna sprawa, że nieszczęśliwie poprawiło jej to samopoczucie. Nastawiła więc uszu, a tymczasem kobieta mówiła dalej:

- Przekazano mi numer pani telefonu dzisiaj rano. Rozumiem, że była pani świadkiem wypadku, w którym wczoraj brał udział jeden z moich pacjentów. Niejaki pan Harris.

- No tak.

Darcy nie była pewna, czy powinna podkreślić, że to właśnie ona była jego sprawczynią, ale uznała, że warto poczekać i sprawdzić, co lekarka ma do powiedzenia.

- To raczej dość niezwykła informacja, ale według notatki jest pani obecnie w posiadaniu psa pana Harrisa, czy tak?

- To prawda. Nie wiem, czy sanitariusze w ogóle go zauważyli, gdy zajmowali się panem Harrisem. Ale pies został na miejscu wypadku, więc uznałam, że najlepiej będzie...

- Mój pacjent bardzo chciałby z panią porozmawiać, pani Archer. Proszę mieć świadomość, a chcę, żeby to było jasne od samego początku, że nasza rozmowa toczy się za pełną zgodą pana Harrisa. Ma on pewne kłopoty z przypomnieniem sobie wczorajszych wydarzeń i liczy, że pani będzie w stanie mu je uświadomić.

Uświadomić? Jak miała uświadomić mu, co zaszło? Chyba że tak naprawdę Aidan Harris chciał rozpocząć dyskusję o tym, kto zawinił, żeby obciążyć ją częścią rachunków za pobyt w szpitalu. Mimo wszystko raczej nie mógł wiedzieć, że to właśnie ona na niego najechała.

- Nie bardzo wiem, jak mogłabym pomóc - powiedziała z wahaniem. - Zresztą jestem w tej chwili w pracy, więc gdyby rodzina pana Harrisa mogła jak najszybciej zorganizować odbiór psa, byłabym bardzo wdzięczna.

- Hm, to jest właśnie część problemu, pani Archer - oświadczyła zwyczajnie lekarka. - Nie byliśmy w stanie skontaktować się z rodziną pacjenta, ponieważ on nie potrafi niczego o swojej rodzinie powiedzieć. To dość poważna sytuacja.

Darcy wytrzeszczyła oczy i znów poczuła ściskanie w żołądku.

- Poważna sytuacja? - powtórzyła przerażona. Czyżby mimo wczorajszych zapewnień recepcjonistki

stan Aidana Harrisa jednak się pogorszył? W takim razie... Darcy nawet nie chciała myśleć o następstwach takiego obrotu sprawy i kłopotach, w jakich zapewne się znajdzie.

- Tak - potwierdziła lekarka, czym przyprawiła ją o gwałtowny skurcz serca. - Powiem krótko. W tej chwili pan Harris zdaje się pamiętać jedynie to, że ma psa.

Rozdział ósmy

Pamięć człowieka jest jego prywatną literaturą.

Aldous Huxley

Tego wieczoru po pracy, z głową pełną pytań i żołądkiem podchodzącym do gardła ze strachu, Darcy wróciła do Szpitala Roosevelta. Doktor Mandeville spodziewała się jej przyjścia, więc Darcy musiała na nią poczekać przy recepcji jedynie chwilę.

- To bardzo niezwykła sytuacja, ale bardzo jestem wdzięczna, że pani przyszła, i pan Harris też na pewno to doceni.

Kobieta zaczęła tłumaczyć, jak przy okazji takich wypadków skutkiem ubocznym bywa niekiedy czasowa amnezja, ale jej zdaniem obecny stan Aidana Harrisa był w większym stopniu wynikiem szoku pourazowego niż fugi dysocjacyjnej.

- Fugi? - spytała Darcy.

Wprawdzie znała ten termin, ale nie całkiem wiedziała, jak ma się on do tego, co się dzieje z Aidanem

Harrisem. Przez swą fachowość brzmiał dość groźnie. Jak poważne uszkodzenia spowodowała u tego człowieka? Przypomniała sobie, że Agatha Christie podobno kiedyś znikła i odnalazła się dopiero po jedenastu dniach w hotelu w Harrogate, zupełnie nie pamiętając niczego, co działo się w tym okresie. Zapytana, czy to może być coś podobnego, lekarka pokręciła głową.

- Nie. Stan, o którym pani wspomniała, zwykle można opisać po fakcie tak, że kiedy osoba wychodzi z tego epizodu, znowu zaczyna pamiętać, co się z nią dzieje, i nie potrafi nic powiedzieć o tej czarnej dziurze bez względu na to, czy trwała dni, czy godziny. Pan Harris ma raczej objawy zwykłej odwracalnej amnezji, która przeważnie charakteryzuje się utratą tożsamości, wspomnień, osobowości, adresu, bliskich i innych cech identyfikujących.

- Czy wobec tego... czy stało się coś, co spowodowało, że mózg został w ten sposób uszkodzony...? Było na przykład uderzenie w głowę lub inny powód?

Darcy wciąż bała się przyznać przed lekarką, że to właśnie ona najechała na Aidana Harrisa, ponieważ oznaczałoby to również jej odpowiedzialność za jego obrażenia i ich ewentualne konsekwencje. Oczywiście nie wiedziała, czy mężczyzna uderzył się w głowę, gdy upadł - nie widziała tego, bo fiknęła kozła z roweru.

- Nie, fizyczne obrażenia mózgu są minimalne. Ten stan jest bardziej uwarunkowany psychicznie, taka dysocjacyjna reakcja na duży stres. To się zdarza dość często po wstrząsie lub traumie, ale nie wskutek fizycznego uszkodzenia mózgu - ciągnęła lekarka i Darcy odetchnęła z ulgą.

Uff, brzmiało to tak, jakby wskutek wypadku trudno mu było przywołać z pamięci pewne szczegóły. To Darcy mogła zrozumieć, sama również była mocno poruszona tym, co się zdarzyło poprzedniego dnia, i jeszcze do siebie nie doszła, a przecież to nie ona straciła przytomność i nie ona skończyła, leżąc bezwładnie na plecach. Pocieszała się więc, że łatwo zrozumieć, dlaczego Aidan Harris wciąż odczuwa skutki wstrząsu po wypadku.

- W tej chwili wszystko dla niego okrywa mgła, ale za kilka dni może z tego stanu wyjść. Zwykle zdarza się to, gdy coś znajomego, najlepiej wywołującego reakcję emocjonalną, pobudzi pamięć - wyjaśniła doktor Mande-ville, prowadząc Darcy do windy. Obie wsiadły. - Może pani sobie jednak wyobrazić, jak bardzo pan Harris jest w tej chwili dezorientowany i rozdrażniony tym, że nie może sobie przypomnieć, kim jest. Z tego powodu nie możemy naturalnie skontaktować się z jego bliskimi, żeby pomogli mu wyklarować tę sytuację. Wśród rzeczy osobistych w jego portfelu nie było karty ICE. Karty z danymi osób, które należy powiadomić w razie wypadku - dodała, widząc, że Darcy nie rozumiała.

Gdy winda dojechała na drugie piętro, Darcy wróciła myślami do paczki, którą miał przy sobie Aidan i która teraz tkwiła bezpiecznie w szufladzie w jej mieszkaniu. Czy taki przedmiot mógłby pobudzić pamięć Aidana Harrisa?

- On chwilowo pamięta tylko psa, a my bez względu na okoliczności nie możemy wpuścić zwierzęcia na teren szpitala - mówiła dalej lekarka, zanim Darcy miała szansę o cokolwiek spytać. Przeprowadziła gościa długim, cichym korytarzem i przystanęła na moment przed drzwiami.

- Kiedy pana Harrisa poinformowano, że zajęła się pani jego psem, bardzo stanowczo wyraził chęć, by z panią porozmawiać.

Darcy ruszyła za lekarką cała w nerwach, nie wiedząc, co właściwie ma zrobić albo powiedzieć. Automatyczne drzwi przy końcu korytarza otworzyły się z sykiem i przez chwilę było słychać fragment *Jingle Bells*, po czym drzwi syknęły jeszcze raz, by się za nimi zamknąć. Melodyjka, zwykle radosna, tym razem sprawiła, że serce Darcy zaczęło bić jeszcze gwałtowniej. Czy można sobie wyobrazić gorsze miejsce do spędzenia świąt? Czy na Aidana czeka w domu zatroskana żona z dziećmi?

Pokój był surowy, bez ozdób, nie znalazło się w środku miejsce dla kwiatów ani żadnej kartki świątecznej. Gdy w zeszłym roku Joshui wycinano pęcherzyk żółciowy i Darcy przyszła w odwiedziny, ledwie mogła się ruszyć, tyle było u niego bukietów, kartek z życzeniami i pluszaków. Żałowała, że niczego z sobą nie wzięła, ale zaproszenie do szpitala kompletnie ją zaskoczyło. Zresztą nie знаła tego mężczyzny.

Milczący Aidan Harris leżał na łóżku dokładnie przed nią. Był podłączony do rur i rurek wszelkiego możliwego kształtu, koloru, rozmiaru i długości. Na ten widok Darcy przełknęła ślinę. Pomyślała, że wygląda teraz czyściej. W pewnym sensie ma więcej połysku niż wtedy, gdy widziała go poprzedniego dnia rano na ruchliwej ulicy. Jego wspaniałe czarne włosy zostały umyte i zaczesane, twarz miał ogoloną, choć wydawała się niepokojąco blada. Darcy mogła za to zobaczyć, że oczy, które zapamiętała zamknięte, są aksamitnie piwne.

- Aidanie, to jest Darcy Archer, która zaopiekowała się panem.

Odwrócił się, by popatrzeć na Darcy, a ona musiała sobie powtórzyć w myślach, by się nie gapić. Aidan Harris miał skupione, niemal przeszywające spojrzenie, gęste brwi i wyraźnie zarysowaną szczękę. To była uroda tego rodzaju, że obdarzony nią mężczyzna śmiało mógłby rywalizować z Rhettem Butlerem albo Heathcliffem. Gdy Aidan uśmiechnął się do Darcy, w kącikach jego oczu pojawiły się drobniutkie bruzdy. Widocznie dużo czasu spędzał na słońcu albo przynajmniej na świeżym powietrzu, bo skórę miał w oliwkowym odcieniu. Uniósł dłoń i szybkim ruchem przeczesał gęste włosy, a Darcy poczuła, że ma ochotę zrobić to samo. Dotykać jego włosów, nie swoich.

Musiała bardzo się pilnować, by utrzymać ręce przy sobie. Zupełnie nie mogła zrozumieć, jak ktoś tak przystojny i wspaniały może leżeć jak neptek w szpitalnej piżamie, przykryty białym prześcieradłem. Zaniepokojona wrażeniem, jakie wywarł na niej ten człowiek, szybko się wyprostowała z nadzieją, że nikt nie zauważył natarczywości jej spojrzenia. Nie była z tych, które wytrzeszczają gały na widok faceta, i rzadko jej się zdarzało, by aż odebrało jej mowę.

Darcy, dla której słowa były treścią życia, nagle przekonała się, że nie potrafi wydobyć z siebie najprostszego zdania. Aidan Harris wydawał się nieco stropiony, zapewne więc właśnie się zastanawiał, czy nie zaprosił kogoś odrobinę opóźnionego w rozwoju. Poczula, jak oblewa się rumieńcem, i szybko wbiła wzrok w podłogę. Była teraz zawstydzona prawie tak samo jak poprzedniego dnia rano, gdy we śnie ukazał jej się pan Darcy. Musiała powiedzieć

sobie w duchu, że to nie jest regencyjna Anglia, a Elizabeth Bennet byłaby bardzo rozczarowana jej spętanym językiem. W dwudziestym pierwszym wieku takie kupki nieszczęścia nie były w cenie.

Odchrząknęła i spróbowała znaleźć swój najlepszy zawodowy ton:

- Dobry wieczór, panie Harris. Mam nadzieję, że już czuje się pan lepiej po wypadku.

- Nie bardzo - odparł krótko, a w tych dwóch słowach bez wątpienia krył się wielki zawód.

Darcy znów zaczęło rozpaczliwie ciążyć poczucie winy z powodu najechania na tego człowieka, co gorsza, miała przekonanie, że jeśli nie wie on o tym do tej pory, to można by znaleźć lepszą chwilę, by ujawnić prawdę. Mężczyzna miał niski, szorstki głos, co ją zaskoczyło, bo spodziewała się jakiegoś bardziej... wyrafinowanego. Mimo wszystko chciała znów go usłyszeć.

- Pani zostawiła w recepcji wiadomość, że jest u niej mój pies?

Tym razem zauważyła w jego mowie ledwo dostrzegalny obcy akcent, czyżby irlandzki? Imię i nazwisko z pewnością mogły na to wskazywać. Ale był to tylko prawie niezauważalny zaśpiew, zamaskowany przez znacznie wyraźniejsze nosowe tony rodem z Nowego Jorku. Darcy podejrzewała, że nawet jeśli Aidan Harris jest z pochodzenia Irlandczykiem, to jest również imigrantem i spędził w Nowym Jorku już wiele lat.

- Bailey? - Uśmiechnęła się. - Tak, miewa się dobrze. W tej chwili opiekuje się nim moja sąsiadka. Wspaniały pies. Bardzo dobrze ułożony i rozumny.

- Bailey... - Harris pokiwał głową tak, jakby usłyszał to imię po raz pierwszy.

- Czy to imię coś dla pana znaczy, Aidan? - spytała doktor Mandeville. - Czy potrafi pan zobaczyć tego psa oczami wyobraźni, jak wygląda, jak długo go pan ma, dokąd pan z nim szedł wczoraj rano? Czy pamięta pan cokolwiek na jego temat?

Gdy lekarka bombardowała go pytaniami, mężczyzna zacisnął dłonie na krawędzi łóżka z taką siłą, że aż pobieleły mu knykcie. Darcy serdecznie mu współczuła. I była przerażona, że to wszystko jej wina.

- Nie, nic nie znaczy - odparł z zauważalnym rozdrażnieniem.
- Jak mówiłem wcześniej, pamiętam tylko coś, co dotyczy psa. Jest szary i wygląda trochę jak wilk.

- Słusznie. To husky - potwierdziła Darcy, której nieco ulżyło, że mężczyzna wreszcie cokolwiek sobie przypomniał.

Bez wątpienia uda mu się kawałek po kawałku złożyć w całość resztę, kiedy tylko odzyska zwierzaka, choć oczywiście już wiedziała, że tutaj psów się nie wpuszcza. Nie miała pojęcia, jak długo właściciel Bailey'a pozostanie w szpitalu, ale przecież mogła pokazać mu zdjęcie pupila zrobione telefonem komórkowym.

Aidan Harris zamknął oczy.

- Potrafię go sobie wyobrazić, ale tylko tyle. Dlaczego, do pioruna, miałbym pamiętać jeszcze coś innego? - Ze złością grzmotnął pięścią w materac.

- W porządku, Aidanie, nie przyspieszajmy spraw bez potrzeby. Może porozmawia pan jeszcze chwilę o psie z panią Archer i sprawdzi, czy coś mu gdzieś nie dzwoni - zaproponowała

doktor Mandeville bez wahania i spojrzała na Darcy, która skinęła głową, mimo że wciąż była przerażona.

Nie ulegało wątpliwości, że Aidan Harris jest niesamowicie sfrustrowany swoim stanem, a zważywszy na poziom jego irytacji, Darcy wcale nie spieszyło się do wyznania, że to właśnie ona najechała na niego rowerem.

To musiało być straszne: budzić się i nie móc sobie przypomnieć, kim się jest ani gdzie się mieszka. Najbliżej takiego stanu Darcy znajdowała się pewien czas temu, gdy pijana, po rozrywkowym wieczorze z Joshua, usiłowała dociec, które drzwi prowadzą do jej mieszkania. Uniknęła katastrofy, gdy próbowała bladym świtem przekręcić klucz w drzwiach pani Henley, bo sąsiadka na szczęście miała bardzo zdrowy sen.

Nagle Darcy coś sobie przypomniała.

- Pani doktor! - zawołała, gdy kobieta zbierała się już do odejścia. - Musi to pani wiedzieć z dokumentów pana Harrisa, ale na wszelki wypadek powiem, że prawdopodobnie mieszka on w domu z elewacją z brązowego piaskowca przy ulicy odchodzącej od Central Park West. Mogę podać adres, jeśli się przyda.

Lekarka skinęła głową.

- Dziękuję. Chyba rzeczywiście wyciągnęliśmy tę informację z dokumentów Aidana, ale nie udało nam się pod tym adresem skontaktować z nikim z rodziny.

„Może mieszka sam?” - chciała odpowiedzieć Darcy i przelotnie zerknęła na lewą rękę Aidana. Obrączki tam nie było.

- Skąd pani to wie? - podejrzliwie spytał Aidan, gdy lekarka wyszła. - Chodzi mi o mój dom.

Darcy lekko się zarumieniła i opowiedziała mu, jak Bailey nie pozwolił się zaprowadzić do niej, póki najpierw nie spróbowali wejść do jego domu. Uśmiechnęła się na wspomnienie wyczynów psa z poprzedniego dnia, chociaż na wszelki wypadek pominęła informację, że dała mu na obiad pizzę, a na śniadanie pepperoni. Coś jednak przyszło jej do głowy.

- Czy czeka pana długi pobyt w szpitalu? - spytała, zastanawiając się, ile czasu będzie jeszcze miała gościa w domu.

Spochmurniał.

- W najlepszym razie kilka dni przez ten cholerny wstrząs mózgu i przez to, że nie wiem, kim właściwie jestem. Podobno nie mogą mnie wypuścić, żebym nie poszedł nie wiadomo dokąd. Twierdzą, że to ma związek z ubezpieczeniem czy jakimś podobnym nonsensem.

- Przykro mi, nie chciałam pana wzburzyć.

- Wszystko w porządku. To przecież ja powinienem panią przeprosić i przede wszystkim podziękować za zajęcie się moim psem - powiedział i przesłał jej uśmiech, od którego rozpromieniła się cała jego twarz, a w kącikach oczu pojawiły się bruzdki.

Darcy przełknęła ślinę i odwróciła wzrok.

- Cała przyjemność po mojej stronie. To przemiły pies. Jestem jednak pewna, że za panem tęskni. Szkoda, że pan nie widział, jak bardzo zależało mu wczoraj na tym, żeby wrócić do domu. Zdawał się zupełnie nie rozumieć, że nie mam kluczy.

Aidan Harris znów zmarszczył czoło i Darcy zaniepokoiła się, że powiedziała coś niewłaściwego, ale właśnie wtedy sięgnął do szafki przy łóżku. Otworzył ją i wyjął

przezroczystą torebkę z zamknięciem, z której wydobyl pęk ciężkich kluczy.

- Dali mi to wcześniej i natychmiast zacząłem się zastanawiać, czy nie pracuję w Fort Knox albo jakimś podobnym miejscu. Proszę spojrzeć.

Wskazał na grube kółko do kluczy, które niewprawnemu oku Darcy wydało się złote. Oprócz kluczy był do niego przyczepiony łańcuszek zakończony małą plaketką z logo New York Mets.

- Przynajmniej pan wie, że jest kibicem baseballu - powiedziała z uśmiechem, chociaż gdyby miała w ciemno obstawiać, komu kibicuje ktoś z tej części miasta, wskazałaby Yankees.

- Na to wygląda. - Harris ciężko westchnął. - Niewyobrażalne...

Zapadło krótkie milczenie. Darcy nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć, więc spytała, jaki rodzaj karmy dawać Baileyowi.

- Czy on coś szczególnie lubi? Wygląda na to, że jeszcze chwilę razem pomieszkamy.

Zauważyła, że Aidan toczy z sobą jakąś walkę.

- Zastanawiałem się... Czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, żeby poopiekować się nim jeszcze trochę, póki nie stanę na nogi? - spytał w końcu i dodał skruszonym tonem: - Wiem, że to śmiała prośba, zwłaszcza że nawet pani mnie nie zna, ale...

- To ja - wyrzuciła z siebie nagle Darcy, a Harris wytrzeszczył na nią oczy. - Na rowerze. To ja na pana najechałam. Miałam zielone światło, a pan z Baileyem wyszedł mi prosto pod koła na skrzyżowaniu...

- Ach, rozumiem.

Przez chwilę milczał, a Darcy przeklinała się, że to powiedziała.

- Nie mogłam pana ominąć. Byli świadkowie, jeśli mi pan nie wierzy - dodała w końcu zmieszana.

Bardzo chciała, żeby mężczyzna się odezwał albo jakoś zareagował. Czy był wściekły, a może nawet bliski furii? Nie sposób było powiedzieć. Podrapał się tylko po podbródku i znów spojrzał w bok na Darcy.

- To wyjaśnia kwestię opieki nad psem. Właśnie miałem zapytać, jak pani się na niego natknęła.

Wzdrygnęła się i na chwilę wstrzymała oddech. Bardzo nie chciała, żeby rzucił się na nią z pretensjami o spowodowanie wypadku i zobaczył w niej przyczynę wszystkich swoich obecnych nieszczęść. Zdarzył się jednak cud, bo mężczyzna wzruszył ramionami.

- Cóż, ponieważ nie mogę sobie niczego przypomnieć, to chyba muszę po prostu przyjąć pani wersję.

Darcy popatrzyła na niego skruszona.

- Ale na pociechę powiem, że wierzę pani - ciągnął lżejszym tonem, a Darcy odczuła ulgę. - Skoro mówi pani, że nic nie mogła zrobić, to na pewno tak było.

- Bardzo się martwiłam, odkąd spostrzegłam, że jest pan nieprzytomny - wyznała. - I strasznie się bałam, że spowodowałam jakieś nieopisane szkody, poważne obrażenia mózgu albo coś podobnego. Naturalnie wiem, że zanik pamięci to dla pana nie zabawa, ale...

- A co z panią, pani Archer? - spytał. - Jak pani wyszła z wypadku? Mam nadzieję, że bez szwanku.

Wzruszona, że mimo wszystko mężczyzna jest na tyle rycerski, by spytać o jej samopoczucie, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Proszę mówić do mnie Darcy. Nic mi się nie stało. Skończyło się na kilku siniakach i kilku połamanych szprychach.

- Dobrze, Darcy, zajmę się tym, kiedy już wyjdę z tej piekielnej otchłani - burknął i znów spochmurniał.

- Nie ma potrzeby - zaprotestowała. - Wszystko jest w porządku.

- Nie, przynajmniej tyle mogę zrobić. Przecież nie tylko zadała sobie pani wiele trudu, żeby zaopiekować się moim psem, ale także poświęciła czas, żeby tu przyjechać i ze mną porozmawiać. Doceniam to, ponieważ, jak pani widzi, jestem zdany na własne siły.

- To musi być przerażające.

Uśmiechnęła się, żeby dodać mu otuchy i zamaskować niepokój z powodu przedłużającego się pobytu psa. To był przecież drobny problem w porównaniu z tym, czego doznawał teraz pan Bailey.

- W każdym razie chociaż tymczasem niczego pan nie pamięta - odezwała się ponownie - rodzina na pewno wkrótce tu pana znajdzie. Pewnie już dzwonią po szpitalach w całym mieście.

Zmarszczył czoło.

- Niestety, nawet jeśli to robią, to dzięki jakimś głupim zasadom prywatności szpital nie ma prawa udzielać informacji nikomu z wyjątkiem osób, które konkretnie wskażą. A ja oczywiście nie mogę dać im pozwolenia

na informowanie określonych osób, bo nie mam pojęcia, kto powinien mnie szukać.

Znów nerwowo przeczesał dłonią włosy, poirytowany swoją bezsilnością. Darcy mogła mu tylko współczuć.

-Ojej.

To dopiero biurokratyczny koszmar, pomyślała. Ciekawe, co za geniusz administrowania wykombinował taką zasadę.

- Naprawdę muszę więc się dowiedzieć, kim, na Boga, jestem - ciągnął szorstkim tonem. - W tej chwili mam tylko jedną poszlakę, mojego husky. I to, że mieszkam gdzieś niedaleko Central Parku... Tak pani mówiła?

- Tak. W pięknym domu z elewacją z brązowego piaskowca na Upper West Side. I ma pan przed drzwiami uroczy klon w donicy - dodała dość bezsensownie, ale po prostu starała się myśleć o rzeczach, które mogą pobudzić jego pamięć. Inna sprawa, że nie należało sądzić, by zwykłe drzewko mogło wywołać silną reakcję uczuciową, o jakiej wcześniej wspomniała lekarka. Darcy poczuła się głupio i zamilkła. Zabrakło jej konceptu. - Naprawdę mi przykro, panie Harris - powiedziała po chwili bezradnie. - Jeśli tylko jest coś, co mogłabym zrobić...

Aidan Harris z zadumaną miną znów bawił się kluczami.

- Proszę mówić do mnie po imieniu. A jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, to sądzę, że rzeczywiście jest coś takiego. - Urwał i wlepił te przenikliwie spoglądające oczy prosto w Darcy. - Jak pani wie, znajduję się tutaj w dość rozpaczliwej sytuacji. Skoro zaś spytała pani wcześniej o karmę dla psa i już wie, gdzie znajduje się mój dom, to czy mógłbym poprosić o wyświadczenie drobnej przysługi...

Rozdział dziewiąty

Dom jest twierdzą swego właściciela.

James Otis*

Darcy ponownie znalazła się przed domem Aidana Harrisa w okolicy Central Park West, ale tym razem nie musiała dzwonić do drzwi. W nadziei na to, że pomoże mu to przełamać amnezję, Aidan powierzył jej klucze i poprosił, aby poszła do jego domu i znalazła coś (a może nawet kogoś), co mógłby rozpoznać i co w rezultacie wyrwałoby jego pamięć z letargu.

- Może jakieś zdjęcie albo notes, cokolwiek, co wyda ci się ważne albo w jakiś sposób znaczące. Proszę cię, Darcy, ja naprawdę muszę się stąd wydostać. Chcę odzyskać swoje życie.

W jego głosie pobrzmiwała taka desperacja, że odmowa była praktycznie niemożliwa, a choć Darcy nie była pewna, czy zdoła wejść do domu zupełnie obcego człowieka i zidentyfikować przedmiot, który może być

* *Against Writs of Assistance*, 24 lutego 1761.

dla niego ważny, czuła, że powinna przynajmniej spróbować. Jeśli się nie uda, pomyślała nieco egoistycznie, to będzie chociaż mogła wziąć trochę porządnej karmy dla psa wielkości Baileya i nie drenować swojej karty kredytowej.

Nadal była na siebie zła, że tak szybko zgodziła się zaopiekować psem, i nie była pewna, jak zareaguje Lui-gi, kiedy zorientuje się, że Bailey nie jest tylko gościem na jedną noc. Nie mówiąc już o tym, jak będzie się czuła w towarzystwie tak dużego psa w swoim maleńkim mieszkanku, w którym ledwie mieściła się ona sama i jej rzeczy. Mimo to zamierzała dotrzymać obietnicy złożonej Aidanowi. Bailey będzie musiał po prostu przyzwycząić się do ograniczonej przestrzeni, a ona do braku miejsca na sofie i do puszystej szarej sierści na wszystkich powierzchniach, pomyślała cierpko.

Sądząc po rozmiarach prawdziwego domu Baileya, określenie „ograniczona przestrzeń” było raczej oględne.

Darcy sięgnęła do torby i wyłowiła komplet kluczy, które dał jej Aidan, zastanawiając się, który z nich pasuje do drzwi frontowych.

Zauważyła breloczek drużyny Mets i przemknęło jej przez głowę, że Aidan mógł kiedyś mieszkać na Brooklynie, Long Island albo w Queens, skąd pochodziła większość kibiców zespołu. Ona sama jako dziewczyna z Brooklynu była wielką fanką Metsów. Przynajmniej kiedyś - pomyślała ze smutkiem, wspominając, jak ojciec pasjonował się baseballlem. Oglądała razem z nim mecze w telewizji, a on często obiecywał, że zabierze ją na stadion Shea. To jednak nigdy nie nastąpiło.

Przez lata straciła kontakt z drużyną i baseballlem w ogóle. Katherine nie interesowała się sportem. Jediną rzeczą, jaka ją pochłaniała, była praca, dlatego też nastoletnia Darcy spędzała mnóstwo czasu z książkami, podczas gdy ciotka przebywała na Manhattanie, doglądając niekończących się ważnych spraw. Ale nie mogła narzekać; w tych trudnych okolicznościach ciotka zawsze dbała o nią najlepiej, jak umiała. Darcy nie mogła się powstrzymać od porównania swojego niepokoju z powodu zwykłego psa w charakterze niespodziewanego gościa z głębokim szokiem, jaki musiała przeżyć jej ciotka na wieść, że nagle stała się jedyną opiekunką dwunastoletniej dziewczynki.

Teraz przyjrzała się dokładniej drugiemu breloczkowi z logo Cartiera, odnotowując, iż charakterystyczne podwójne C umieszczone było w pierścieniu wykonanym z czegoś, co wyglądało jak bardzo drogie, wielokaratowe złoto. Gwizdnęła cicho, zastanawiając się, dlaczego ludzie gotowi są płacić aż tyle za zwykły brelok do kluczy. Przypuszczała jednak, że jeśli ktoś śpi na pieniądzach, to wyrzucanie ich na drobiazgi sygnalizujące status jest czymś najnaturalniejszym pod słońcem.

Pierwszy klucz z breloczka Cartiera nie pasował. Darcy spojrzała nerwowo przez ramię i upewniła się, że nikt jej nie obserwuje. Niezależnie od zgody właściciela nie miała ochoty tłumaczyć się wścibskim sąsiadom.

Następny klucz też nie pasował. Z narastającym zdenerwowaniem wybrała trzeci, włożyła do zamka i przekręciła. Ku jej uldze zamek kliknął i drzwi w końcu się otworzyły.

Weszła do środka i szybko zamknęła za sobą drzwi, znowu obawiając się, że sąsiedzi wezwą policję. Dopiero

gdy ogarnęła ją cisza panująca w domu, przestała myśleć, że może nie być sama.

Mimo iż szpitalowi nie udało się skontaktować z żadnym mieszkańcem domu, Darcy pomyślała, że powinna była na wszelki wypadek zadzwonić do drzwi. Aidan Harris mógł mieszkać tu z dziewczyną. Albo z chłopakiem, współlokatorem czy nawet z rodzicami. Jeśli tak, Darcy mogła tylko zgadywać, jak zareagują na widok obcej osoby wkraczającej do ich domu w ciemny zimowy wieczór.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła jej się w oczy w holu, był wielki bukiet świeżych lilii w wazonie na stoliku, sugerujący, że mieszka tu kobieta. Darcy nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby mężczyzna - nawet taki jak Joshua - zadawał sobie trud kupowania ciętych kwiatów do dekoracji. Pytanie brzmiało, czy ta kobieta, być może żona Aidana, jest w tej chwili w domu.

- Halo! - zawołała Darcy, postępując krok do przodu na drewnianej posadzce.

Lustro na ścianie pokazało jej odbicie z ciemnymi włosami ściągniętymi w nieporządny kucyk, fioletowy sweter w serek, czarne spodnie, duże oczy i bladą cerę.

- Czy ktoś tu jest? - jej nieśmiały, ale donośny głos odbił się echem od wysokich ścian i białego, obramowanego listwami sufitu w holu.

Darcy zamarła, nasłuchując. Słyszała własny oddech. Gdyby nie on, w pomieszczeniu panowałaby idealna cisza.

- Wygląda na to, że nikogo nie ma - wyszeptała w przestrzeń, opierając się o najbliższą futrynę.

Nie wiedziała, czy ma odczuwać ulgę, czy rozczarowanie. Ktoś, kto tu mieszkał, mógł znajdować się właśnie

w drodze do szpitala i Aidan (albo Bailey) nie będzie jej więcej potrzebował. Bez wątpienia jednak miała wielką ochotę obejrzeć ten piękny dom. Zawsze chciała się przekonać, jak wyglądają wnętrza takich odrestaurowanych budynków. Być może trafiła jej się jedyna okazja w życiu. Na Brooklynie mieszkała z Katherine w czteropokojowym domku, a wszystkie znane jej mieszkania na Manhattanie były wielkości pudełka od butów i miały mniej więcej tyle samo uroku.

W środku było ciepło i Darcy poczuła, że na skutek wyczerpania długą jazdą rowerem ze szpitala po czole spływa jej kropla potu. Starła ją ręką i zatrzymała się, zbierając myśli. Jestem w środku. Co teraz?

Niepewnie położyła rękę na najbliższych drzwiach i już miała zamiar zapuścić się dalej, kiedy przypomniała sobie, że powinna wytrzeć buty. Spojrzała na nieskazitelne drewniane podłogi i leżący u jej stóp wielki wzorzysty turecki dywan. Zapewne w domu była gospodyni albo sprzątaczką, ale i tak nie chciała zostawić błotnistych śladów i narobić bałaganu. Wystarczająco już nabałaganiła w życiu Aidana.

Wytarła buty na wycieraczkę i weszła, uważnie zapoznając się z otoczeniem. Niecałe półtora metra dalej, w holu, dokładnie naprzeciwko niej, wisiał niebiesko-rdzawy abstrakcyjny obraz, w którym od razu rozpoznała dzieło Rothki, bo kiedyś widziała jego wystawę w MoMA. Gwizdnęła cicho pod nosem. Z kim właściwie ma do czynienia?

Gapiała się na olejne malowidło, próbując wyobrazić sobie jego wartość.

- I tak sobie wisi u Aidana Harrisa w holu. O rany - westchnęła.

Obejrzawszy się przez ramię, jakby nagle skądś miał wychynąć złodziej i porwać jej obraz sprzed nosa, Darcy podświadomie przycisnęła torbę do siebie. Skoro ci ludzie powiesili sobie Rothkę przy wejściu, to co muszą mieć w innych pokojach?

Zacząła się zastanawiać, czy ten obraz mógłby się przydać. Może miałyby jakieś znaczenie dla Aidana albo niósł emocjonalne skojarzenia? Niektórzy wykształcili w sobie bardzo osobisty i twórczy stosunek do sztuki. Choć Darcy zdecydowanie do nich nie należała. Lubiła oglądać dzieła sztuki, ale nigdy nie odczuwała potrzeby trzymania ich w mieszkaniu. Jeśli mogłaby rozporządzić taką kwotą, bez wątplenia wybrałaby pierwsze wydanie powieści zamiast obrazu. Ale jeżeli Aidan traktuje ten obraz tak jak ona swoje książki, to na pewno ma on dla niego szczególne znaczenie i być może natychmiast go rozpozna. Darcy domyślała się, że dzieło jednego z najbardziej szanowanych amerykańskich artystów zainspirowanych impresjonizmem nie było łatwe do zdobycia, więc moment wejścia w jego posiadanie lub specjalna okazja, którą drogi zakup z pewnością miał uświetnić, mogłyby stanowić znaczące wspomnienie, potrzebne teraz Aidanowi.

Ale co miałyby zrobić? Zapakować na rower obraz warty co najmniej milion dolarów i popedałować z nim przez śnieg do szpitala? Nie ma takiej opcji.

Nie była pewna, dokąd ma pójść, a tym bardziej czego szukać. Na końcu krótkiego korytarza, obwieszzonego

mniejszymi, ale niewątpliwie również oryginalnymi modernistycznymi grafikami, wypatrzyła drzwi. Gdy nacisnęła klamkę, ustąpiły i znalazła się w kuchni swoich marzeń.

Nie była wielką kucharką - prawdę mówiąc, jej umiejętności sprowadzały się do gotowania jajek - ale uwielbiała książki kucharskie, szczególnie zaś piękne fotografie potraw na tle wspaniałych kuchni. Pomieszczenie, w którym się znajdowała, wyglądało dokładnie jak jedna z nich i Darcy pomyślała, że jeśli kiedykolwiek zamieszkałaby w domu z taką kuchnią, zajmowałaby się wyłącznie gotowaniem.

Urzekła ją elegancja od sufitu do podłogi; błyszczące nieskazitelne powierzchnie z nierdzewnej stali i granitu. Nie ma sposobu, żeby w takiej kuchni nie zostawały odciski palców, nawet jeśli zatrudniałoby się całą armię sprzątaczek, pomyślała, instynktownie cofając ręce, żeby niczego nie dotknąć. Zauważyła importowany piec Rayburn i chłodziarkę do wina z oszklonymi drzwiami, za którymi widać było rzędy butelek z o wiele wyższej półki niż te, które zazwyczaj kupowała w hali targowej przy Essex Street.

Westchnęła z rozmarzeniem na widok pomysłowo wyeksponowanego miksera Cuisinart, ekstrawaganckiej misy na owoce od Alessiego i wielu innych urządzeń najwyższej klasy, które wyglądały jak zdjęte z wystawy sklepu Williams-Sonoma. Tak, to rzeczywiście była kuchnia jak z marzeń, nie tylko jej własnych. W oszołomieniu potrząsnęła głową. Chociaż jej specjalność kulinarna wymagała użycia sera Kraft American, dwóch kromek chleba i patelni, była przekonana, że takie miejsce wywindowałoby zwykłą grillowaną kanapkę do poziomu delicji.

Próbowała wyobrazić sobie Aidana poruszającego się w tej przestrzeni. Zastanawiała się, czy wchodzi tu pod koniec dnia, po uporaniu się z licznymi zadaniami, którymi z niewątpliwym sukcesem zajmował się w pracy. Brak niewprawnych rysunków na lodówce oraz jakichkolwiek zabawek sugerował, że raczej nie mieszkają tu dzieci. Wyobraziła sobie, jak Aidan otwiera chłodziarkę i wyjmuje pinot grigio, po czym wybiera z lodówki świeże produkty i zabiera się do przygotowywania luksusowego posiłku.

Spojrzała w stronę pieca, na którego poręczy wisiała najwyraźniej nieużywana ścierka z logo Williams-Sonoma (niezłe oko, Darcy). Była ciekawa, czy Aidan chwyta ją i przewiesza sobie przez ramię podczas gotowania, tak jak to robił jej ojciec, kiedy udawał, że pomaga matce przy obiedzie.

Czy Aidan gotuje? A jeśli tak, to co? - rozmyślała. W kuchni nie było żadnych śladów, przynajmniej nie takich, które wyjaśniałyby, co mieszkańcy domu mogli jeść wczoraj na śniadanie. W zlewie nie było ani sztućców, ani talerzy, ani nawet filiżanki po kawie, z której ktoś mógł pić tamtego poranka. Granitowe blaty lśniły, a całe pomieszczenie wyglądało na zupełnie nieużywane. No cóż, może po prostu zawsze jedzą w mieście.

Ale niezależnie od tego, co gotowali albo czego nie gotowali i czy dzielili tę kuchnię z dziećmi, Darcy wiedziała, że gdzieś w tych szafkach musi być jedzenie dla Bailey'a. A jednym z powodów jej wizyty było zdobycie psiej karmy...

Musiała ją zlokalizować, a w tym celu powinna zajrzeć do szafek, a być może także do lodówki. Bo na żadnym

blacie nie leżała, ot tak sobie, torba z psim żarciem ani też nie było żadnych śladów wskazujących na to, gdzie się może znajdować.

Darcy wytarła ręce w spodnie i odwróciła się w stronę spiżarni. Po prawej stała lodówka, pomyślała więc, że na wszelki wypadek zajrzy najpierw tam, chociaż rozsądek podpowiadał jej, że karma powinna raczej być w schowku.

Uśmiechnęła się, przyznając się w duchu do tego, że podoba jej się przebywanie w czyimś domu i odgadywanie stylu życia właściciela. Przypominało to lekturę książki o nieznanym zakończeniu.

Usprawiedliwiwszy w ten sposób swą ciekawość, otworzyła lodówkę i szybko zlustrowała jej zawartość: na górnej półce znajdowało się kilka słoików wykwentnego sosu do makaronu, kawałek parmezanu zawinięty w celofan i plastikowe pudełeczko ze świeżymi liśćmi bazylii. Oprócz tego były tam zwykłe rzeczy spotykane w lodówkach: mleko, woda mineralna, jajka, masło, wędliny w plastrach i trochę warzyw, a także kilka bardziej wyszukanych artykułów, jak ser z błękitną pleśnią i nadziewane oliwki. Sądząc po opróżnionej do połowy butelce veuve clicquot, gospodarze lubili także szampana. Zastanowiła się, co takiego mógł świętować Aidan.

Nadal zdezorientowana zamknęła lodówkę i weszła do spiżarni. Zapaliwszy światło, zaczęła przeczesywać wzrokiem półki, na których panował wzorowy porządek, chociaż stanowiły istny róg obfitości, pełen egzotycznych słoików, butelek, koszyków i pudełek zawierających chutney z mango, migdały w polewie z wasabi, płaskie chlebki z sezamem, olej z konopi i cukierki o smaku

syropu klonowego. Najwyraźniej domownicy należeli do nielicznego grona nowojorczyków, którzy nie zamawiali jedzenia z restauracji każdego wieczoru. Kątem oka dostrzegła koszyk stanowiący dowód na to, że regularnie otrzymywali dostawy artykułów spożywczych ze sklepu Dean & DeLuca. Znowu cichutko gwizdnęła. Kiedy jest się bogatym, nawet zwykle nudne zakupy nie stanowią żadnego problemu.

O jedną półkę niżej Darcy wypatrzyła kilka psich misek, które automatycznie przypisała Baileyowi, a także rzędy puszek z ekologiczną karmą i torbę psich chrupek. Skupiła uwagę na puszkach i wybrała jedną z nich, opatrzoną etykietą „Confit z kaczki ze słodkimi ziemniakami”.

- Bardzo wymyślne. Sądzę, że Bailey jada prawdopodobnie lepiej niż ja - wyszeptała głośno.

Postawiła kilka puszek i torbę z suchym jedzeniem na blacie i rozejrzała się za jakąś torbą. Wyciągnęła najbliższe szuflady i prawie natychmiast odkryła wbudowany kosz na odpadki. Zajrzała do środka, zastanawiając się, czy Aidan segreguje śmieci. Proszę, oby okazał się porządnym chłopcem - westchnęła w duchu.

Kosz składał się z trzech pojemników, z których jeden zawierał kolekcję niedawno wyrzuconych tekturowych pudełek, kartonów i innych surowców wtórnych.

Później, myśląc o czymś innym, Darcy otworzyła szafkę pod zlewem i od razu znalazła to, czego szukała - średniej wielkości worek na śmieci, wystarczająco mocny, aby wytrzymać ciężar puszek i zabezpieczyć je na bagażniku rowerowym. Przejrzała pobieżnie pozostałą zawartość szafki. Same ekologiczne środki czystości. Doskonale.

A więc przynajmniej jedna część zadania została wykonana. Teraz musiała znaleźć coś nadającego się do transportu, co mogłoby pomóc Aidanowi w jego problemach z pamięcią.

Zdjęcia, pomyślała, wracając do holu i próbując szybko zapoznać się z rozkładem pomieszczeń. Fotografie stanowiły nie tylko najpewniejszą pomoc, lecz mogły również rozwiązać wszelkie wątpliwości Darcy dotyczące mieszkańców domu, a mianowicie tego, czy Aidan dzieli go z całą rodziną, czy tylko z jedną osobą.

Wybrała kolejne drzwi i weszła do pomieszczenia, które wyglądało na oficjalną jadalnię albo pokój do przyjmowania gości. Rozejrzała się po ustawionych tu i ówdzie nielicznych meblach i wkrótce trafiła na żyłę złota.

Na pobliskim kredensie, rozdzielone srebrnymi bibelotami, stały dwie czarno-białe fotografie, na oko pochodzące z początków dwudziestego wieku. Przedstawiały mężczyznę i kobietę, być może pradziadków Aidana, w dniu ślubu. Nieco dalej natknęła się na niewielką szafkę zastawioną egzotycznymi drobiazgami: było tam orientalne rzeźbione pudełko, figurka słonia z kości słoniowej, afrykańska maska plemienna i posążek mężczyzny z krępująco okazałą erekcją. Darcy zaróżowiła się, po czym wydedukowała, że musi to być jakiś rodzaj symbolu płodności. A potem - bingo! Rząd zdjęć człowieka, w którego wjechała na skrzyżowaniu i który leżał teraz w szpitalnym łóżku, nie pamiętając, kim jest.

Jedna z fotografii została prawdopodobnie zrobiona w powietrzu, gdy Aidan wykonywał przerażające akrobacje ze spadochronem. Darcy przełknęła ślinę. Wiedziała, że

za nic w świecie nie odważyłaby się na coś podobnego, chociaż z opowieści i zdjęć wynikało, że to świetna zabawa. Na drugim zdjęciu Aidan nurkował w masce w jakichś bajecznych tropikalnych wodach w towarzystwie niezliczonych kolorowych ryb, podnosząc w stronę aparatu kciuk i palec wskazujący ułożone w znak „OK”. Może był w Australii albo na którejś z wysp Oceanu Indyjskiego? Darcy poczuła ukłucie zazdrości. Po tym, jak przeczytała *Ptaki ciernistych krzewów*, zawsze chciała pojechać do Australii. Wydawała się jej taka niezwykła i egzotyczna. Ale nigdy nie miała okazji. Nie wspominając już o tym, że przy swojej nędznej pensji chyba nigdy nie będzie mogła sobie na to pozwolić.

Dysponując pewną wiedzą na temat tego miejsca, Darcy uznała, że to musiała być pamiętna wyprawa. Ostrożnie więc włożyła zdjęcie do torby w nadziei, że taka jedyna w swoim rodzaju podróż musi coś znaczyć dla Aidana. Chociaż pewnie dalekie wyprawy są codziennością dla ludzi jego pokroju, pomyślała natychmiast. Może egzotyczne wakacje to nic wielkiego dla kogoś, kto dużo podróżuje. Darcy była pewna, że gdyby odwiedziła choć drobną część krajów, w których z pewnością przebywał Aidan, albo uczestniczyła w którejś z jego przygód, zachowałyby te wspomnienia do końca życia.

Następne zdjęcie sprawiło, że zamarło jej serce. Aidan był na nim uwieczniony w towarzystwie kobiety prezentującej idealnie białe zęby w szerokim uśmiechu i bujne rude włosy wysuwające się spod narciarskiej czapki oraz gogli. Stali ramie w ramie na szczycie stoku narciarskiego na tle ośnieżonych gór. Aspen, Vail czy Mont Blanc?

Wzruszyła ramionami. Po co zgadywać, skoro i tak nie potrafiłaby rozpoznać tych miejsc. Nigdy w nich nie była i nie umiała odróżnić gór w Ameryce od tych za granicą. Widziała tylko zdjęcia Mont Blanc, bo oczywiście nigdy nie była we Francji. Uniosła fotografię i schowała ją do torby.

To oznaczało, że jej wcześniejsze podejrzenia co do kwiatów w holu były słuszne: Aidan jest z kimś związany, pomyślała, zaskoczona swoim rozczarowaniem. Ci dwoje z pewnością są parą, w dodatku atrakcyjną. Przystojny, wysoki Aidan i kobieta o figurze modelki, zniewalającym uśmiechu oraz pięknych kościach policzkowych. Wszystko, co dotyczyło Aidana, nosiło znamiona doskonałości: wspaniały dom w eleganckiej dzielnicy Upper West Side, luksusowe meble i cenne obrazy, piękna towarzyszka i budżet pozwalający na podróże do najbardziej fascynujących zakątków świata.

Wyglądało na to, że facet ma wszystko to, o czym inni mogą jedynie pomarzyć. Naprawdę cudowne życie.

Darcy zatrzymała się na środku pokoju i rozejrzała się wokół szeroko otwartymi oczami, teraz jeszcze bardziej ciekawa, kim jest człowiek zamieszkujący ten skarbiec Alladyna. Kim tak naprawdę jest Aidan Harris?

Rozdział dziesiąty

Nazywam się Aidan Harris i jestem idiotą.

Przeglądając po raz kolejny swoją listę kontaktów, nie mogłem pozbyć się myśli, że przeoczyłem coś zupełnie oczywistego. Ale chociaż ze wszystkich sił próbowałem przyzwyczaić się do tego głupiego iPhone'a i niesamowitych rzeczy, które podobno potrafi, muszę przyznać, że naprawdę tęsknię za moim BlackBerry. Rozumiem, że cała ta nowa technologia to ostatni krzyk mody, absolutnie niezbędny dla nowoczesnego człowieka, ale czy zwyczajna klawiatura to jakaś fanaberia, do jasnej cholery? Kilka normalnych klawiszy, dzięki którym wiem, że coś się dzieje? Wirtualne przyciski po prostu nie działają, a poza tym mam do nich za grube palce.

- Usiłuję skorzystać z mojej listy kontaktów, ale jakoś nie mogę sobie z tym poradzić - powiedziałem do dziewczyny z salonu Apple'a, która mnie obsługiwała.

Miała na imię Jenna, dowiedziałem się tego po czterdziestu pięciu minutach oczekiwania w podziemiach gigantycznego futurystycznego szklanego klocka, który zagnieździł się na Piątej Alei. Uważam, że zupełnie tu nie

pasuje, szczególnie w zestawieniu z położonym naprzeciwko pięknym gmachem hotelu Plaža w stylu francuskiego renesansu. To absolutnie inny świat.

Niewiarygodne, ale okazało się, że w tej jaskini skarbów należy umówić się na spotkanie, aby móc po prostu o coś zapytać. Czy ktoś słyszał kiedyś o umówionych spotkaniach w sklepie z telefonami komórkowymi? Przyglądając się jednak tłumom pokornie oddającym cześć firmie we wnętrzu jej flagowego okrętu, zacząłem rozumieć, dlaczego tak jest.

- To naprawdę nie takie trudne - powiedziała Jenna.

Pomimo jej szerokiego uśmiechu i energicznego sposobu bycia odniosłem wrażenie, iż walczy z zakłopotaniem, które w niej budzę. Oto facet w wieku jej ojca usiłuje dotrzymać kroku nowej technologii.

Niezależnie od tego, co sobie myślała, nie byłem wcale zielony, jeśli chodzi o nowe technologie. Chciałem po prostu wykonywać za ich pomocą podstawowe działania bez konieczności studiowania fizyki molekularnej.

Przez chwilę patrzyłem, jak Jenna robi coś dziwnego ze słuchawką. Nagle zaczęła do niej mówić - czy to były omamy, czy ktoś jej odpowiadał?

- Okej, Aidan, teraz proszę do niej coś powiedzieć, żeby rozpoznawała pański głos - poleciła, jakby mówienie do przedmiotów nieożywionych było dla istot ludzkich czynnością naturalną.

Czy fakt, że poczułem się dotknięty tym poufałym zwrotem, stanowi kolejny dowód mojego zaawansowanego wieku? W porządku, trzydzieści siedem lat to jeszcze nie starość, ale z pewnością nie jestem staroświecki, oczekując,

że obca osoba będzie się zwracać do mnie z szacunkiem, a nie jak do najlepszego kumpla. Pozbyłem się jednak tego frustrującego uczucia, ponieważ uznałem, że to raczej długotrwałe oczekiwanie w dusznym szklanym pudełku, szczypiący mróz na dworze i stopień trudności zadania, które próbowałem wykonać, sprawiały, że czułem się jak stary zrzęda. Może jestem niesprawiedliwy, a Jenna chce mi tylko pomóc i jest przy tym bardzo miła...

- Ale z kim mam rozmawiać i co mam powiedzieć?
- zapytałem podejrzliwie, kiedy podstawiła mi słuchawkę pod usta.

Młoda asystentka obdarzyła mnie przyjaznym uśmiechem.

- Wszystko jedno. Ustawiam dla pana Siri.

- Kogo? - zapytałem teraz już zupełnie skonsternowany.
Jenna się roześmiała.

- Siri to pańska nowa najlepsza przyjaciółka. Nie ogląda pan reklam? Aha, i był jeszcze ten niesamowity odcinek *Teorii wielkiego wybuchu*, w którym jeden z komputerowych maniaków miał z nią coś w rodzaju romansu. Siri jest asystentem głosowym, nawigatorem, czyli inteligentną komputerową osobistą asystentką i przewodniczką - wyjaśniła w pełni świadoma, że umknęła mi połowa informacji. - Wykorzystuje technologię rozpoznawania głosu, aby odpowiadać na pańskie pytania, podpowiadać panu i wykonywać działania na pańskim iPhone - kontynuowała radośnie. - Naprawdę nigdy nie widział pan tych reklam?

Zdezorientowany pokręciłem głową.

- Nie, nie widziałem - odparłem. - Ale nie jestem tym zaskoczony, bo prawie w ogóle nie oglądam telewizji.

Chociaż właściwie, biorąc pod uwagę moją pracę, można by sądzić, że nie mam trudności z przystosowaniem się do nowinek technicznych. Na pewno pomogłyby mi rozplanować czas lepiej niż w ostatnich dniach.

Skupiłem uwagę na Jennie, która teraz naciskała zapamiętane kolejne guziki. Sprawiała wrażenie osoby, która wie, co robi, więc pozwoliłem jej działać i zająłem się rozmyślaniami o dalszych zadaniach na ten dzień. W końcu oddała mi telefon.

- Proszę, Aidan. Wszystko powinno już działać. Musi pan tylko nacisnąć ten guzik - wskazała odpowiednią ikonkę - a Siri pokaże to, co będzie ci potrzebne. Kontakty, mapy, cokolwiek... Wyciągnie to na ekran. Jeśli więc będziesz chciał dodać kontakt, po prostu jej to powiedz, a ona to zrobi. Dobrze to brzmi?

- Chyba tak - kiwnąłem głową i wziąłem od niej aparat. Na tyle dobrze, na ile może brzmieć odcieleśniony głos z wnętrza maszynki. - Co się stało ze starym typem osobistego asystenta? - spytałem żartobliwie. - W ludzkiej postaci?

Posłała mi uśmiech.

- Pewnie go zredukowali. Chyba że jest się superbogaty, rzecz jasna. Pozostali mają Siri. Jaką formę płatności pan wybiera? - zapytała. - Gotówka czy karta?

Jeszcze raz rzuciłem okiem na iPhone'a, teraz już podobno gotowego do pracy.

- W dokumentach są dane do faktury. To konto firmowe.

Spodziewałem się, że Jenna gdzieś pójdzie, żeby sprawdzić dane firmy, ale ona wyjęła tylko małe przenośne

urządzenie, podobne do terminalu kart płatniczych, i pomajstrowała przy nim przez chwilę. Znalazłszy to, czego szukała, spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Świetnie, Aidan, wszystko załatwione.

Przez chwilę czekałem, aż wręczy mi rachunek, ale tego nie zrobiła.

- Miłego dnia - powiedziała, najwyraźniej chcąc zająć się następnym klientem.

Niezgrabnie przesunąłem ręką po włosach ze świadomością, że koniecznie muszę iść do fryzjera. Wiedziałem, że znowu wyjdę na zupełnego ciemniaka.

- Ale... czy dostanę jakiś rachunek lub coś w tym rodzaju?

Jenna ponownie się uśmiechnęła.

- Właśnie go wysłałam mailem. Powinien zaraz dojść. Kiedy to mówiła, iPhone wydał dźwięk sygnalizujący nadejście wiadomości.

- To pewnie to.

- Okej.

Spojrzałem na ekran aparatu i przekonałem się, że miała rację, po czym wsunąłem go do kieszeni płaszcza.

- Dzięki za pomoc, Jenna.

- Nie ma sprawy, Aidan. Jeśli kiedyś będziesz miał problem inny niż techniczny, wystarczy po prostu wezwać Siri. Pomoże we wszystkim, gwarantuję.

Hm... We wszystkim? To ciekawe...

Po spiralnych schodach wyostałem się z brzucha Apple'a do szklanego pudełka i uśmiechnąłem się, kiedy zobaczyłem przez okno Bailey'a czekającego na mnie cierpliwie na zewnątrz. Siedział pod drzewem, przywiązany

do hydrantu, i w bezruchu wpatrywał się w szklany budynek, zastanawiając się pewnie, co to za miejsce i co ja tam robię. To był naprawdę wspaniały pies. Czasami czułem wyraźnie, że doskonale rozumie, co się dzieje. Pomijając fakt, że jego rasa jest znana z inteligencji i wybitnej umiejętności obserwacji, w mojej opinii Bailey znajdował się o klasę wyżej od innych psów.

Gdy tylko wyszedłem na przeszywająco zimne powietrze, pies natychmiast wstał, witając mnie machaniem ogona. Patrzył na mnie lodowatobłękitnymi oczami, jakby chciał zapytać, czemu tak długo mnie nie było. Trafiłeś w dziesiątkę, kolego.

Odwiązałem jego czerwoną smycz od hydrantu i wyciągnąłem z kieszeni iPhone'a, jeszcze raz analizując słowa Jenny. Wokół mnie na Piątej Alei świąteczni zakupowicze wypełniali swoją misję, krążąc od jednego sklepu do drugiego, najwyraźniej wiedząc, gdzie znaleźć to, czego szukają. Koszule u Bergdorfa, biżuteria u Tiffany'ego albo Cartiera, szaliki u Louisa Vuittona. Zazdrościłem im przez moment, pragnąc, by moja własna misja była równie łatwa.

Spojrzałem na Bailey'a.

- Jak uważasz, stary? Myślisz, że uda mi się zdobyć na czas to, czego potrzebuję?

W odpowiedzi pies przechylił głowę. Nie mogłem nie zrozumieć oczywistego przekazu tych bystrych migdałowych oczu. Ściągnąłem usta i powiedziałem:

- Dobra, chwytam. Wątpisz we mnie.

Jeśli tylko Bailey umiałby przewracać oczami, na pewno by to wtedy zrobił.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka, ale tym razem nie ogarnęła mnie panika, bo już wiedziałem, jak odebrać rozmowę. Spojrzałem na wyświetlacz, ale numer był zastrzeżony.

- Tu Aidan Harris - powiedziałem do słuchawki. Zaczęła tak jak zawsze, od środka zdania:

- Wiesz, nie rozumiem, jak to się dzieje, że zawsze tuż przed gwiazdką jestem uziemiona w delegacji w jakimś dalekim kraju. Dlaczego nie mam takiej pracy jak ty? Obijasz się beztrąsko po Nowym Jorku z nieograniczonym budżetem.

- Ha, ha, chciałbym - zaśmiałem się, nie czując się ani trochę urażony. - Gdzie jesteś tym razem?

- W Hongkongu. Na tej durnej fuzji. Oczywiście możni tego świata chcą się spotykać tylko w terminach najmniej odpowiadających ich pracownikom. Lecę więc, *sayonara* i tak dalej. - Wydawała się rozdrażniona.

- Yyy, *sayonara* to po japońsku, wiesz? - nie mogłem się powstrzymać, żeby jej nie dokuczyć.

- Tak, tak, tak, oczywiście jesteś ekspertem w tych sprawach.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odpowiedziałem tonem niewiniątka. - Mam nadzieję, że nie dają ci za bardzo popalić. I mam pomysł, może powinnaś przedstawić swojego szefa Siri. - Opowiedziałem jej o moich niedawnych doświadczeniach z kultem Apple'a. - Teraz, kiedy znam już korzyści wynikające z posiadania osobistej asystentki, nie będę musiał nigdy więcej zwracać głowy istotom ludzkim.

Zaśmiała się krótko.

- Ha! Jakbyś akurat kiedyś poległ na jakiejś istocie, ludzkiej czy komputerowej. Zobaczymy, jak długo to potrwa. - Przerwała na chwilę i przeszła do prawdziwego powodu rozmowy. - Więc tak. Dobrą stroną tego wszystkiego jest to, że po powrocie będę miała więcej wolnego, więc prawdopodobnie przylecę wcześniej, niż planowałam, jeśli to ci odpowiada.

- Fantastycznie. Nie mogę się doczekać, żeby cię zobaczyć.

- Ja też - odparła ciepło. - Minęły całe wieki. Dobrze będzie zobaczyć twoją buźkę i resztę ekipy też. Co u nich słychać?

- Wszystko dobrze. Cieszę się na gwiazdkę i spotkanie z tobą. Czy wiesz już na pewno, kiedy przylatujesz?

- Jeszcze nie. Dam ci znać, jak wszystko załatwię. Ale dość o mnie, co u ciebie? Pada śnieg?

Spojrzałem w niebo.

- Na razie nie, ale chyba niedługo zacznie. Jest za to okropnie zimno - powiedziałem, szcękając zębami.

Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy nie wpaść do hotelu Plaża na małą przerwę, ale potem przypomniałem sobie, że Bailey jest ze mną, a uroczy skądinąd personel kawiarni Palm Court nie potraktowałby chyba zbyt przychylnie podobnej do wilka bestii straszącej jego gości. Musiała mi wystarczyć kawa na wynos ze Starbucksa.

- Mam nadzieję, że będzie padać, kiedy przyjadę. Nie ma to jak śnieżne Boże Narodzenie.

- Wpiszę to na listę i zobaczę, co da się zrobić - zażartowałem, ale wyczuła napięcie w moim głosie.

- Co się dzieje? Czym się teraz zajmujesz?

Skrzywiłem się i wyjaśniłem jej, co staram się znaleźć i - co ważniejsze - jak mało czasu mam na wykonanie zadania. I chociaż od początku wiedziałem, że prośba będzie ogromnie trudna do spełnienia, musiałem przyznać, że kusilo mnie to wyzwanie.

- No, niełatwa sprawa. Myślisz, że to da się zrobić? Wzruszyłem ramionami, bawiąc się smyczą Baileya.

- Mam taką nadzieję.

- Cóż, przynajmniej masz to szczęście, że pieniądze nie stanowią problemu. Jestem pewna, że sobie poradzisz. Albo czekaj, już wiem... Może zapytaj Siri, skoro jesteś takim neofitą? - zażartowała. - Słyszałam, że potrafi znaleźć wszystko.

- Ha. Pewnie, chciałaby dusza do raju.

- No dobrze, muszę kończyć, chciałam ci tylko przekazać najnowsze wieści.

- Dzięki. Miło było usłyszeć twój głos. Baw się dobrze w Hongkongu i koniecznie daj mi znać, kiedy przylatujesz. Wyślę po ciebie samochód.

- Naprawdę? Byłoby cudownie. - Z jej tonu wynikało, że uśmiechnęła się szeroko, i byłem zadowolony, że przyszło mi to do głowy. - Wyślę ci szczegóły lotu, jak tylko kupię bilet, ale przypuszczam, że będzie to Newark. Wynajęty samochód? Jeden z tych wielkich lincolnów?

Zachichotałem.

- Lepiej nie przyzwyczajaj się za bardzo do przywilejów, bo przewróci ci się w głowie.

- Ha, ha, dobrze mnie znasz.

Pożegnaliśmy się, a kiedy zakończyłem rozmowę, spojrzałem na ekran iPhone'a i zastanowiłem się, czy

ona i dziewczyna z Apple'a nie mają przypadkiem racji. Może powinienem zapytać o coś Siri choćby dla zabawy.

Nacisnąłem guzik, który pokazała mi Jenna, i ukradkiem rozejrzałem się, czy nikt na mnie nie patrzy. Pewnie nie powinienem czuć się głupio, mówiąc do słuchawki, pewnie wszyscy to robią.

Powitał mnie chłodny, trochę mechaniczny głos kobiety.

- Witaj, Aidan, co mogę dla ciebie zrobić?

- Potrzebuję coś znaleźć.

Kiedy szczegółowo przedstawiłem prośbę, nastąpiła krótka pauza. W końcu Siri odpowiedziała:

- Biorąc pod uwagę twoje położenie, w okolicy znajduje się pięć miejsc. Czy podać ci wskazówki dojazdu?

Ze zdumienia podniosłem brwi. Pięć? Czy to naprawdę jest takie proste? Potem przypomniałem sobie treść mojej prośby i istotny detal, który pomiąłem. Znowu przemówiłem do słuchawki i dodałem tę informację. Po kolejnej pauzie nie było odpowiedzi.

Uśmiechnąłem się. Siri nie wiedziała, co powiedzieć.

Rozdział jedenasty

Miała w sobie ogromną ciekawość życia, nieustannie obserwowwała i rozmyślała.

Henry James*

Darcy mogłaby spędzić całe wieki na rozglądaniu się po domu Aidana Harrisa, ale przypomniała sobie, że musi kończyć, jeśli nie chce dotrzeć do siebie po północy. Obiecała Aidanowi, że wróci do szpitala następnego dnia i powie mu, czy znalazła coś pomocnego, musiała też oczywiście odebrać Bailey'a od pani Henley i go nakarmić.

Poszła z powrotem do kuchni po torbę z psim jedzeniem i ruszyła z nią przez korytarz, kiedy po lewej stronie drzwi dostrzegła biurko, którego wcześniej nie zauważyła. Na biurku stał telefon z automatyczną sekretarką. Błyskało charakterystyczne światełko.

Darcy zagryzła wargi, zastanawiając się, czy aby nie powinna odsłuchać wiadomości. Owszem, można byłoby to uznać za naruszenie prywatności Aidana, ale czy to nie

* *Portret damy.*

on sam przysłał ją tutaj, powierzając jej zadanie odnalezienia czegoś, co pomoże mu odzyskać pamięć? Przecież ten facet miał wczoraj wypadek i spędził całą noc w szpitalu. Na pewno ktoś - krewni, dziewczyna albo nawet koledzy z pracy - musiał zauważyć jego nieobecność i chce wiedzieć, gdzie on się podziewa. A jeśli wiadomość zostawiła któraś z tych osób, zadanie Darcy stanie się o wiele łatwiejsze.

Oszczędzając sobie dalszych rozważań, Darcy podeszła do sekretarki i nacisnęła guzik odtwarzania. Maszyna wydała bipnięcie i zmysłowy głos kobiecy wypełnił pokój.

- Aidan, jesteś tam? - Przerwała na chwilę i Darcy dosłyszała w tle odgłosy świadczące o tym, że kobieta dzwoni z jakiegoś hałaśliwego miejsca. - Próbowałam dodzwonić się na twoją komórkę, ale od razu włącza się poczta głosowa... Nie rozumiem, co się dzieje. Wiem, że jesteś zajęty, ale nie mogę uwierzyć, że zapomniałeś i wystawiłeś mnie do wiatru akurat dzisiaj. - Urażone westchnienie. - No dobrze, po prostu zadzwoń do mnie, kiedy to odsłuchasz, okej?

Klik. Wyłączyła się. To wszystko. Nie było żadnych innych wiadomości. A ta nie zawierała żadnego nazwiska ani informacji kontaktowych. Kto to był? - zastanawiała się. Sądząc z tonu i treści wiadomości, jej autorka musiała pozostawać w bliskich stosunkach z Aidanem i na pewno nie była jego koleżanką z pracy. Czy mogła to być dziewczyna z fotografii z nart?

Kimkolwiek była, na pewno czekała wczoraj na Aidana albo przynajmniej na wiadomość od niego. „Nie mogę uwierzyć, że zapomniałeś i wystawiłeś mnie do wiatru akurat dzisiaj” ...

Zastanawiając się, skąd kobieta mogła dzwonić, Darcy podniosła słuchawkę, żeby zapisać dane, ale ku swojemu rozczarowaniu odkryła, że ostatnie połączenie wykonano z zastrzeżonego numeru. Oczywiście nie znaczyło to, że z takiego numeru dzwoniła kobieta. Telefon zarejestrował jeszcze tylko jedno połączenie: z poprzedniego dnia, z numerem kierunkowym 212. W takim razie ktokolwiek to był, dzwonił stąd, z Manhattanu.

Może należałoby oddzwonić na ten numer i sprawdzić, czy rozmówca może rzucić trochę światła na skomplikowaną zagadkę, którą stanowił Aidan Harris? Nie, zdecydowała Darcy, powinna najpierw porozmawiać o tym z Aidanem, dowiedzieć się, co o tym sądzi. Poza tym przekona się, czy to, co do tej pory znalazła, nie obudzi w nim jakichś skojarzeń.

Wzięła z biurka długopis i kawałek papieru, zanotowała numer z kierunkowym 212 i odsłuchiwała jeszcze raz nagranie, zapisując je słowo w słowo. Pomyślała, że kobieta - kimkolwiek była - wydawała się mocno zdenerwowana, ale nie wściekła ani nie obrażona. Powiedziała, że dzwoniła kilka razy na komórkę, więc Darcy zanotowała w pamięci, by zapytać Aidana o rejestr połączeń w jego telefonie, zakładając, iż nadal go ma. Pozostawało jej żywić nadzieję, że nie zginął gdzieś w zamieszaniu i nie będzie musiała go odkupić. Z niepokojem pomyślała o ewentualnej konieczności odkupienia butów i eleganckiego płaszcza. Skoro facet wydał siedmiocyfrową kwotę na obraz do przedpokoju i wszystkie te luksusowe urządzenia kuchenne, to ile musi przeznaczać na ubrania?

To przywiodło jej na myśl sypialnię Aidana i inne części domu, których dotychczas nie zbadala. Spojrzała na zegarek. Nie miała zbyt wiele czasu, ale powinna chociaż szybko rzucić okiem, na wypadek gdyby zauważyła coś ciekawego. Bo jedno było pewne: Aidan Harris prowadził ciekawe życie. Świadczył o tym jego dom, nie zdradzając jednocześnie żadnych faktów z prywatnego życia właściciela.

Na piętrze znalazła mały, oszczędnie umeblowany gabinet z biurkiem i stojącym na nim otwartym laptopem. Podejrzewając, że jej wysiłki okażą się daremne, Darcy podeszła do komputera i włączyła go, ale zgodnie z przewidywaniami był zabezpieczony hasłem. Szybko wypróbowała kilka pomysłów: jego nazwisko, Bailey - ale bez efektu. Liczby, pomyślała z irytacją. Choć przecież nie mogła go winić za ustalenie hasła mniej oczywistego niż imię własnego psa.

Były tam również rzędy kosztownych szafek biurowych z palisandru, ale wszystkie szuflady były zamknięte. Darcy nie mogła zrozumieć, dlaczego w domu z obrazem Marka Rothki wiszącym w holu zabezpiecza się szuflady wypełnione zapewne gumkami recepturkami i materiałami piśmiennymi.

Wystrój gabinetu sprawił, że znowu zaczęła się zastanawiać, z czego Aidan żyje. Biorąc pod uwagę jego irlandzkie pochodzenie, nie mógł być potomkiem któregoś z zamożniejszych arystokratów z Manhattanu, a więc sam zapracował na swoją fortunę. Tylko jak? Czy jest jakimś wilkiem z Wall Street, na przykład menedżerem funduszu hedgingowego? Tacy faceci naprawdę tarzali się

w forsie, a wielu z nich przeprowadzało się do tej części miasta ku rozgoryczeniu wspomnianych arystokratów, którzy uważali ich za nuworyszy. Mógł też być milionerem od nowych technologii w rodzaju Billa Gatesa, kimś, kto założył firmę w garażu ojca, a potem zarobił na tym więcej, niż wynosi zadłużenie niektórych państw.

Odpowiedź na to pytanie, podobnie jak na inne dotyczące Aidana Harrisa, pozostawała tajemnicą, przynajmniej do czasu, gdy znikną luki w jego pamięci.

Kiedy Darcy znalazła w końcu sypialnię, przez chwilę przypatrywała się imponującemu podwójnemu łożu, myśląc, że w jej małym mieszkanku trudno byłoby przecisnąć przez drzwi sam materac z niego. A jeśli jakimś cudem udałoby jej się wstawić do mieszkania ten ogromny mebel, nie byłoby tam już miejsca na nic innego, włączając ją samą.

Powoli szła przez pokój. Musi tu gdzieś być jakiś szczególnie osobisty przedmiot, który poruszy pamięć Aidana albo przynajmniej wyjaśni, kim jest kobieta od wiadomości na sekretarce albo ta ze zdjęcia.

Spojrzała na łóżko i próbowała zgadnąć, po której stronie sypia Aidan. A może na środku? Następnie zbadała oba stoliki nocne. Na pierwszym z nich znajdowała się tylko lampa. Na drugim, po prawej stronie łóżka, leżał magazyn „The New Yorker” i „New York Times”. Darcy od razu się zorientowała, że właśnie dowiedziała się czegoś nowego. Przeszła na tę stronę łóżka, która nosiła ślady kogoś, kto najwyraźniej czytał, leżąc. Usiadła, uważając, żeby nie poruszyć elegancko ułożonych poduszek, i wzięła do ręki gazetę - wydanie z poprzedniego dnia. „The New

"Yorker" pochodził z ubiegłego miesiąca. Darcy zwróciła uwagę na to, że obie gazety nie wyróżniały się niczym szczególnym, nawet nalepką adresową.

Potem wypatrzyła szufladkę w stoliku nocnym i chwyciła za wypolerowaną mosiężną rączkę. Zaczerpnęła głęboko powietrza, mając nadzieję, że, po pierwsze, szuflada nie jest zamknięta na klucz, a po drugie, że jeśli ją otworzy, nie natrafi na nic, co mogłoby sprawić, że się zaczerwieni albo naruszy prywatność Aidana.

Szuflada otworzyła się z łatwością. Zaglądając do środka, Darcy poczuła przyływ adrenaliny. Skoro już wcieliła się w niechlubną rolę podglądacza, niechby chociaż dokonała ważnego odkrycia.

W środku leżała duża fotografia, dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Zdjęcie kobiety, tym razem blondynki, zupełnie innej niż dziewczyna z nart. Zaciekawiona wyjęła je. Zdziwiła się, że nie było oprawione, tylko po prostu wciśnięte do szuflady. Może to jakaś jego eks?

Przyjrzała się blondynce dokładniej. Dziewczyna śmiała się szeroko otwartymi ustami. Jedną stopę podniosła nieco nad ziemię, jak gdyby zamierzała podskoczyć albo ruszyć do tańca. Ręce trzymała wysoko nad głową, jakby chciała odrzucić bujne blond włosy z ramion albo artystycznie zmierzwić w powiewie wiatru. Tło było lekko zamazane, ale za plecami kobiety znajdowała się chyba fontanna albo jakiś wodospad, ona sama zaś wydawała się świadoma obecności aparatu, jednocześnie zachowując naturalność.

Darcy poczuła leciutkie ukłucie zazdrości na myśl, że nigdy nie będzie tak wyglądała. Chociaż niewiele kobiet by to potrafiło. Natychmiast zadała sobie pytanie, czy to

modelka i co znaczy dla Aidana, w jaki sposób jest z nim związana... A co najważniejsze, dlaczego Aidan trzyma jej zdjęcie w szufladzie nocnego stolika.

Poczuła skrępowanie. W tej fotografii było coś intymnego. Odkryła coś nieprzeznaczonego dla oczu innych.

Odwróciła zdjęcie, zastanawiając się, czy jest na nim jakaś dedykacja albo data, cokolwiek, co odpowiedziałoby jej, kim jest kobieta i w jaki sposób jest związana z Aidanem. Jeśli ta kobieta jest dla niego ważna, trzeba zabrać z sobą zdjęcie i pokazać mu je w szpitalu.

Czując się jak Nancy Drew, powieściowa dziewczyna detektyw, ostrożnie umieściła fotografię w torbie jako kolejny punkt na liście zagadek dotyczących Aidana Harrisa.

Rozdział dwunasty

Zostań wierny sobie.

William Szekspir*

Dotarta na West Houston Street grubo po dwudziestej, więc kiedy sąsiadka otworzyła drzwi, Darcy od razu zaczęła ją przeproszać. Nie miała numeru telefonu do pani Henley i nie mogła uprzedzić jej, że wróci później.

- Bardzo przepraszam, nie wiedziałam, że wrócę tak późno.

Chociaż Bailey nie był jej psem, potrafiła sobie wyobrazić, jak czuje się zabiegana pracująca matka, spóźniająca się po dzieci do przedszkola. Patrząc na husky, zastanawiała się teraz, jak przechowa takie wielkie psisko w swoim maleńkim mieszkanku jeszcze przez jedną noc, a może dłużej, kto wie?

- Nie musisz przeproszać, i tak nigdzie się nie wybierałam. - Pani Henley gestem zaprosiła ją do mieszkania, które okazało się jasne, radosne i... bardzo różowe.

* *Hamlet*, przekład Macieja Słomczyńskiego.

Różowe były rolety, poduszki na sofie i światełka na białej sztucznej choince, z której gałązek zwieszały się różowe ozdoby. Bailey tańczył jej wokół nóg, skamląc i popiskując. Darcy poczuła ulgę, że w końcu ma dla niego jakieś porządne jedzenie.

- Proszę, piesku - powiedziała, wręczając mu jedno z rdzawo-brązowych psich ciasteczek, które zabrała z domu Aidana.

Bailey podskoczył i wyrwał ciasteczko z jej ręki, po czym ułożył się na różowej satynowej osłonie choinki i zaczął je delikatnie obgryzać, przytrzymując przednimi łapami. Starsza pani wyłoniła się z kuchenki z tacą w dłoniach. Taca, jak skonstatowała Darcy, była śnieżnobiała, bez śladu różu, ale zaraz potem dostrzegła różowe papierowe serwetki.

- Tak mi przykro - przeprosiła po raz szósty od chwili, kiedy opuściła dom Aidana. - I dziękuję, ale naprawdę nie powinna pani robić sobie tyle kłopotu.

Pani Henley postawiła tacę na stoliku do kawy i usadowiła się na różowej kanapie.

- Nie ma o czym mówić, to żaden kłopot - zapewniła. Była zupełnie inna, niż wyobrażała sobie Darcy.

Spojrzała na Bailey'a zwiniętego pod migoczącą choinką.

- Spędziliśmy wspaniały dzień, prawda, piesku? Zabrałam go do Hudson Parku na długi spacer nad rzeką, a w drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na parę hot dogów - wyjaśniła. - Ja fundowałam, ale pomysł wyszedł od Bailey'a. Bardzo się ucieszył na widok wózka z hot dogami, prawda?

Bailey podniósł wzrok i leniwie pomachał ogonem, po czym położył łeb na białych łapach i spoglądał to na panią Henley, to na Darcy.

- Jestem pani naprawdę bardzo wdzięczna - powtórzyła Darcy zachwycona.

Starsza pani podała jej filiżankę kawy tak czarnej, że mogła dostrzec swoje odbicie w falującej powierzchni płynu. Wcześniej przezornie położyła na spodeczku kilka maślanych herbatników. Darcy nie była szczególną miłośniczką kawy, jeśli już ją piła, to wybierała latte albo cappuccino, ale gorący napój ją rozgrzewał. A ponieważ nie jadła jeszcze kolacji i była głodna, szybko pochłonęła cztery grube maślane ciasteczka. Wyprostowała się na wygodnym krześle naprzeciwko kanapy i westchnęła. Czuła się tak, jakby usiadła po raz pierwszy tego dnia.

- Wszystko w porządku, skarbie? - zapytała pani Henley.

Darcy łagodnie skinęła głową.

- Jestem chyba po prostu zmęczona.

Pani Henley nachyliła się i dołała kawy do jej filiżanki.

- W takim razie potrzebujesz więcej mojej specjalnej mieszanki.

Darcy zachichotała i sięgnęła po filiżankę.

- Ładna choinka - powiedziała, przyglądając się uważniej pastelowym ozdobom.

- Dziękuję. Prawda, że jest śliczna?

Pani Henley odstawiła dzbanek na tacę i z satysfakcją usadowiła się wygodnie w swojej miękkiej różowej podomce i puszystych różowych pantoflach.

- Och, tak - potwierdziła Darcy wymijająco. - Co to za ozdoby? Czy to... buty? - zapytała, nareszcie rozpoznając kształt.

Najwyraźniej buty były dla pani Henley tym, czym dla niej książki. Dokonała nowego odkrycia dotyczącego sąsiadki, która stale ją zaskakiwała.

Starsza pani zmarszczyła nos i machnęła dłonią.

- Baletki, oczywiście. Dawno, dawno temu byłam ba-letnicą. Raz nawet tańczyłam w Lincoln Center. Co to były za emocje...

- Och, to cudowne, pani Henley, nie miałam o tym pojęcia. - Ale jak Darcy miała wiedzieć coś takiego, skoro odwiedziła sąsiadkę po raz pierwszy? - To musiało być wspaniałe przeżycie.

- Prosiłam cię, mów do mnie Grace. Tak, było cudownie, pięknie, ale tak jak mówiłam, to było dawno temu.

Jej oczy zaszyły mgłą, utkwiała wzrok w choince, jakby patrzyła w przeszłość. Zamyśliła się. Darcy nie czuła się upoważniona do wypytywania o dalsze szczegóły, zbyt mało się jeszcze znały. Podniosła się więc i gestem przywołała do siebie Bailey'a. Pora wracać.

Podniósł głowę i nagle wystrzelił spod choinki jak pocisk i stanął przy niej, chociaż chwilę wcześniej prawie drzemał.

- Już wychodzicie? - zapytała pani Henley, ale w jej głosie słychać było zmęczenie.

Kiedy próbowała się podnieść, Darcy zaprotestowała:

- Grace, proszę, nie musisz mnie odprowadzać. Zajęliśmy ci już wystarczająco dużo czasu i jestem pewna, że Bailey dał ci w kość.

Pani Henley usiadła i uśmiechnęła się. Bailey, machając radośnie ogonem, raz jeszcze podbiegł do niej i polizał ją w rękę, po czym wrócił do Darcy.

- To był miły dzień, prawda, piesku? Jutro o tej samej porze? - zapytała z błyskiem w oku, patrząc z nadzieją na Darcy.

- Naprawdę? - Darcy przeżyła zaskoczenie. Następnego dnia pracowała na drugą zmianę, co

oznaczało, że nie musiała przychodzić do księgarni przed dwunastą, ale koniecznie chciała pojechać do szpitala, żeby jak najszybciej wręczyć Aidanowi jego rzeczy. Jeśli Grace zgodziłaby się zaopiekować psem, Darcy mogłaby załatwić swoje sprawy rano. Niespodziewana uprzejmość sąsiadki wydawała się odpowiedzią na jej modlitwy.

- To byłoby wspaniale, dziękuję. Jestem ci naprawdę wdzięczna.

Po drodze do wyjścia zgarnęła czerwoną skórzaną smycz i przypięła ją Baileyowi - inaczej mógłby smyrgnąć po schodach na dół, a ona nie miała dość energii na zabawę w berka.

- Naprawdę ratujesz mi życie. Nie wiem, jak mam ci dziękować - ciągnęła, żegnając się, ale przerwało jej chrapanie Grace.

Następnego dnia Darcy obudziła się wcześniej rano i skonstatowała, że czuje się wypoczęta i odprężona, choć nadal trochę obolała po wypadku. Po raz pierwszy od dłuższego czasu obudziła się przed budzikiem. Zamiast tego została powitana pocałunkiem przez samca dzielącego z nią

łóżko. Pierwszy przedstawiciel płci przeciwnej od dawna - pomyślała, otwierając oczy.

E tam, no i co z tego, że to pies.

Katherine miała rację: jej obecna przerwa w randkach trwała nieco dłużej, niż myślała. Nie z powodu braku starań zarówno ze strony Darcy, jak i jej ciotki. Było kilku facetów, na których widok początkowo serce biło jej mocniej, ale nie spotkała jeszcze mężczyzny, z którym czułaby się naprawdę związana na poziomie intelektualnym i emocjonalnym. I to na tyle mocno, by zajmował jej uwagę we dnie i w nocy, żeby liczyła godziny do następnego spotkania. Po co przedłużać kontakt, jeśli tak się nie dzieje? Darcy już dawno temu postanowiła, że nie zadowoli się byle kim. Przypuszczała, że przynajmniej pod tym względem jest podobna do ciotki. Katherine nigdy nie wyszła za mąż, a chociaż Darcy pamiętała kilku adoratorów, których ciotka przed laty zapraszała na kolacje do ich brooklyńskiego mieszkania, to jednak miała wrażenie, że jej obecność i odkrycie, iż Katherine jest właściwie samotną matką, w pewnym sensie odstraszały tych mężczyzn. Darcy często martwiła się, że to z jej powodu ciotka nigdy nie założyła rodziny, dlatego też postanowiła wydostać się spod jej kurateli jak najszybciej.

Odwróciła się do Bailey'a, który ział jej prosto w twarz. Podrapała go za uszami i zachichotała, kiedy polizał ją w policzek.

- Strasznie się rozpychasz, wiesz?

Bailey westchnął, jakby chciał powiedzieć: „Tak, już to słyszałem. Powiedz mi coś, o czym nie wiem”.

- No cóż, niestety nie posiadam takiego wielkiego łóża jak twój pan, dlatego zanim wrócisz do domu, będziesz musiał przyzwyczać się do skromniejszych warunków, dobrze?

Usiadła, pozwalając Baileyowi położyć sobie ciężki łeb na kolanach, i drapała go pod brodą w przekonaniu, że łatwo przyzwycząłaby się do takiego współlokatora.

- Wiesz, Bailey, od dzieciństwa nie miałam do czynienia z psem.

Podniósł na nią wielkie błękitne oczy, jakby nagle zainteresował się tym, co powiedziała.

- Dopiero teraz rozumiem, jak bardzo mi tego brakowało.

Darcy pozwoliła sobie na wspomnienie o czarno-białym cocker-spanielu, którego miała w dzieciństwie. Timmy, bo tak się nazywał na cześć psiego bohatera serii książek *The Famous Five*, był wspaniały i Darcy z oddaniem biegała z nim wokół rodzinnego domu na Brooklynie. Bailey przywołał to miłe wspomnienie.

Darcy szybko zjadła śniadanie, tym razem częstując psa solidną porcją jego wyrafinowanej karmy. Prawdę mówiąc, karma wyglądała i pachniała tak apetycznie, że przez chwilę sama miała ochotę jej spróbować. Nie była jednak aż tak zdesperowana. Wyprowadziła husky na spacer, po czym znowu zostawiła go u Grace, wskoczyła na rower i pojechała prosto do Szpitala Roosevelta.

Wchodząc do szpitalnej sali, zawahała się niepewna, czy Aidan w swoim obecnym stanie będzie ją pamiętał.

Wszystkie troski rozwiały się jednak, kiedy rozjaśnił się na jej widok i powitał ją uśmiechem, który spowodował, że jej żołądek wykonał małe salto.

- Jak się dziś czujesz? - zapytała.

Zauważyła, że połowa rurek, fiolek, tarczek i wtyczek, do których był podłączony wczoraj, zniknęła.

- Doskonale, oprócz tej jednej rzeczy. - Popukał się znacząco w czubek głowy. - Dzięki, że przyszedłeś, jestem ci naprawdę wdzięczny. Jak się ma Bailey? Mam nadzieję, że psia karma wydała ci się odpowiednia?

Pomyślała, że Aidan zmusza się do prowadzenia niezobowiązującej rozmowy, ale z pewnością o wiele bardziej chce się dowiedzieć, co jeszcze znalazła poprzedniego wieczoru w jego domu.

Darcy wciąż jeszcze myślała o ukrytych w nim skarbach, całymi godzinami zastanawiając się, jakim człowiekiem jest właściciel. Mówiąc szczerze, życie Aidana Harrisa - a przynajmniej sposób, w jaki z niego korzystał - było intrygujące jak pierwsze strony dobrej powieści, ona zaś wiedziała, że chce czytać dalej... w nadziei, że dowie się więcej. Przyczynił się do tego również fakt, że on sam wyglądał tak, jakby wyszedł z kart takiej książki.

Jak to jednak bywa u bohaterów literackich, gdzieś w świecie istniała jego idealna druga połowa. Darcy musiała tylko postarać się dopasować do siebie fragmenty układanki i pomóc mu ją znaleźć.

Pokrótko opisała mu rozkład i wyposażenie domu, spodziewając się jakiejś reakcji, przebłysku zrozumienia. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Wtedy wręczyła mu oprawioną fotografię z rudowłosą dziewczyną na stoku

narciarskim, a także zdjęcie blondynki, które znalazła w szufladzie nocnego stolika.

- Coś ci to mówi?

Przez dłuższą chwilę studiował oba zdjęcia, ale z wyrazu jego twarzy wynikało jasno, że z niczym mu się nie kojarzą.

- Przykro mi, nie rozpoznaję żadnej z tych osób.

- Nie musisz mnie przeproszać.

Mimo wszystko było jej go żal. Najwyraźniej powrót pamięci nie następował tak szybko, jak się początkowo spodziewali.

Następnie Darcy wyjęła zdjęcia z wakacji, przedstawiające Aidana nurkującego i skaczącego ze spadochronem. Znowu przyjrzał im się dokładnie, ale po chwili pokręcił głową.

- Nic. Jakbym patrzył na zdjęcia kogoś innego. Naprawdę nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek robił takie rzeczy.

Na jego napiętej twarzy rysowało się rozczarowanie. Darcy próbowała go pocieszyć, opowiadając mu o jego wspaniałym domu i rzeczach, którymi będzie się cieszył, kiedy tam wróci.

- W twoim holu wisi obraz Rothki... Prawdziwy Rothko - dodała z szacunkiem. - Przypominasz sobie może, kiedy albo nawet dlaczego go kupiłeś? Jakaś ważna okazja? Coś istotnego w związku z twoją pracą? Duży awans, załatwienie ważnej sprawy albo coś podobnego?

Nie miała pojęcia, jak wysoko trzeba awansować, żeby nagle podjąć decyzję o kupnie tak kosztownego obrazu, ale to był jego świat, nie jej, musiała więc spróbować postawić się na jego miejscu.

Co to musi być za świat? Cudowne życie uprzywilejowanej nowojorskiej socjety, o którym marzy tylu ludzi przybywających po raz pierwszy do tego miasta. Tam ulice naprawdę wybrukowane są złotem. Wczoraj w domu Aidana Darcy poczuła zaledwie powiew luksusu i nie potrafiła sobie wyobrazić, jak wygląda codzienne życie w takich warunkach. Pomyśleć, że mogłaby pozwolić sobie na jądanie w najlepszych restauracjach, być rozpoznawaną z nazwiska w najdroższych hotelach i zapraszana na wspaniałe przyjęcia w najelegantszych lokalach...

Przypomniała sobie, jak któregoś razu umówiła się z Katherine w hotelu Plaza na nieplanowanego drinka. Był mglisty wieczór przed Bożym Narodzeniem; siedziały na pokrytych wzorzystym brokatem krzesłach w wykuszu przy oknie, spoglądając na dorożki stojące przed Central Parkiem, a kelner w białych rękawiczkach podawał im najlepszego szampana pod kryształowymi żyrandolami. Wydawało się, jakby współczesny świat wycofał się z tego uprzywilejowanego miejsca; dla Darcy było to niemal jak podróż w czasie, prosto na karty powieści Edith Wharton, aby przekonać się, jak mogło wyglądać życie w Nowym Jorku w początkach dziewiętnastego wieku.

Kiedy jednak opowiedziała Aidanowi o obrazie, ten znowu westchnął ciężko, mówiąc:

- Naprawdę nie mam pojęcia.

Biedak wyglądał na tak zagubionego i przygnębionego, że Darcy miała ochotę podejść i go przytulić. Nie mogła jednak sobie na to pozwolić. Natychmiast przypomniała sobie wiadomość zostawioną na sekretarce. Odczytała

mu ją słowo po słowie ze swoich notatek, obserwując go uważnie, kiedy słuchał. Nic.

- Ktoś w każdym razie za tobą tęskni, a to dobrze wiedzieć - zapewniła go, przechodząc do drugiego nieodebranego połączenia i towarzyszącego mu numeru. - Podejrzewam, że to tylko kwestia czasu, zanim twoja dziewczyna, czy kimkolwiek jest ta kobieta, pojawi się tutaj. Czy chcesz tymczasem zadzwonić pod ten numer na wypadek, gdyby to było coś ważnego?

Aidan sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zakłopotanego.

- Chciałbym, gdybym tylko miał ten cholerny telefon. Sięgnął do szafki i wyjął z niej iPhone'a. Nawet z tej odległości można było dostrzec, że ekran jest potłuczony na kawałki. To przynajmniej wyjaśniało, dlaczego Aidan nie odsłuchuje wiadomości z komórki.

Darcy spochmurniała na widok zniszczeń.

- Możesz to dodać do mojego rachunku - zażartowała nerwowo. - I tak jestem ci już winna za pralnię.

Machnął ręką - silną i umięśnioną, jak zauważyła Darcy, szybko przełykając ślinę.

- Nie wygłupiaj się. Przecież i tak wyświadczasz mi przysługę, opiekując się Baileyem. Wczoraj wieczorem też mi pomogłaś.

- Przynajmniej tyle mogłam zrobić.

Darcy ze wstydem poczuła ulgę na myśl, że nie musi się obawiać o finansowe albo, co gorsza, prawne konsekwencje swego udziału w wypadku. Musiała też przyznać, że prawdopodobnie był to jeden z powodów, dla których tak bardzo chciała pomóc

Aidanowi. Innym był fakt, że nie potrafiła się oprzeć żadnej tajemnicy.

Zaciekawiona, wzięła od niego aparat. Telefon sporo mówi o życiu właściciela, podobnie jak półki z książkami. Nacisnęła duży guzik pod ekranem, ale - jak można się było spodziewać - wyświetlacz nadal był czarny.

- Może nie jest tak źle. Chyba jest jakiś sposób, żeby odzyskać z niego dane - zapewniła Aidana, siląc się na optymizm.

Prawda była taka, że Darcy nie miała pojęcia, czy naprawdę można to zrobić, ponieważ nigdy nie posługiwała się iPhone'em. Przypomniała sobie, że Joshua jest prawdziwym guru technologicznym i gorliwym wyznawcą Apple'a, postanowiła więc zapytać go o to w pracy.

- Ciesz się, że nie wpadł do wody. Według mojego kolegi to pocałunek śmierci.

Aidan popatrzył na nią z zastanowieniem.

- Przepraszam, cały czas rozmawiamy o mnie, a nie przyszło mi nawet do głowy, żeby zapytać o ciebie. Czym się zajmujesz, Darcy Archer?

Kiedy powiedziała mu, że pracuje w księgarni Chaucer's, natychmiast się rozjaśnił.

- A więc jesteś miłośniczką literatury? - Uniósł żartobliwie brwi. - Brzmi interesująco.

Ten zwrot w rozmowie sprawił, że Darcy przypomniała sobie o czymś i pomyślała, że może warto spróbować.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy wczoraj wieczorem? - zapytała. - Zauważyłam, że kilkakrotnie powtórzyłeś specyficzne słowo: niewyobrażalne. - Mówiąc dalej, obserwowała uważnie wyraz jego twarzy. - „Ciągle powtarzasz

to słowo. Nie sądzę, żeby znaczyło to, co myślisz"* - dodała z wahaniem, zastanawiając się, czy te słowa mają dla niego jakieś znaczenie.

Aidan gwałtownie poderwał głowę i natychmiast powiedział:
- *Narzeczona księcia.*

Darcy była zachwycona, że rozpoznał cytat pochodzący ze znanej opowieści Williama Goldmana. Z zapalem wychyliła się nieco do przodu.

- Czy to może być twoja ulubiona książka?

Nie widziała wczoraj u niego w domu żadnych książek, nie była więc pewna, czy Aidan lubi czytać.

- A może jesteś fanem tego filmu? Aidan kręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Ale musi w tym coś być, skoro mówisz, że to cytuję. Szkoda, że nie pamiętam niczego konkretniejszego, co pomogłoby mi wydostać się z tego przeklętego miejsca.

Teraz sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zasmuconego i Darcy zdecydowała, że lepiej będzie skoncentrować się na tym, co może mu pomóc, zamiast kierować jego myśli na nieistotne tematy.

- A twój portfel? - zapytała. - Oprócz dokumentów na pewno znajdzie się tam coś istotnego.

- Nie. To była pierwsza rzecz, którą sprawdziłem, kiedy lekarze oddali mi moje rzeczy. Same zwykłe rzeczy: kilka kart kredytowych, karta wstępu do siłowni, bilet na metro...

*** William Goldman, *Narzeczona księcia*, przetł. Paulina Braiter, Prószyński i S-ka, Warszawa 1995.**

- Bilet do metra... - To wydało się Darcy dziwne. - Po co miałbyś jeździć metrem?

Sądząc po domu i prestiżowym adresie, Aidan nie był raczej typem człowieka, który kiedykolwiek musiałby się zmierzyć z metrem. Założyła automatycznie, że ma prywatnego szofera albo korzysta z wynajętej limuzyny.

Wzruszył ramionami, wyjął portfel i pokazał go jej, jakby chciał udowodnić, że mówi prawdę. Potem otworzył inną przegródkę.

- Są też dwa bilety do teatru i popatrz tylko, rachunek z Gray's Papaya.

- Gray's Papaya? - powtórzyła Darcy zaskoczona i rozba-
wiona myślą o popularnej jadłodajni, będącej wręcz instytucją
wśród miłośników hot dogów. Kolejne miejsce, w którym
trudno jej było wyobrazić sobie człowieka tak zamożnego jak
Aidan. Po chwili przypomniała sobie jednak, co Grace
powiedziała jej wczoraj o Baileyu - był podekscytowany na
widok stoiska z hot dogami, kiedy wyszli na spacer.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, ale nie lubię hot dogów -
oznajmił Aidan - albo przynajmniej nie wydaje mi się, żebym
je lubił - dodał schrypniętym głosem, po czym nagle zaczął
kaszleć.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Darcy z niepokojem.

- Napiłbym się trochę wody, jeśli można.

Na stoliku stał musztardowo-żółty dzbanek i stos białych
plastikowych kubków. Darcy wzięła jeden, napełniła go do
połowy i podeszła do Aidana. Zanim uniosła jego głowę wolną
ręką, trochę wody wylało mu się na podbródek. Kiedy pił, jego
kark był ciepły i miękki. Ta bliskość wydawała jej się dziwnie
naturalna.

- Nie za dużo - powiedziała do niego. Gdzieś o tym czytała.
- W porządku - odparł. - Dziękuję.

Darcy ponownie napełniła kubek na wypadek, gdyby znowu chciał się napić, i odstawiła go na stolik. Potem poczuła się głupio - przecież od tego są pielęgniarki.

- No cóż, w opinii mojej sąsiadki Bailey z pewnością lubi hot dogi, ale mogę dokładniej sprawdzić Graya, jeśli chcesz - zaproponowała, kiedy upewniła się, że atak kaszlu minął. - Daj mi ten rachunek, mogę tam wpaść, wracając z pracy. Nigdy nic nie wiadomo, może ktoś cię zapamiętał, a może nawet jesteś tam stałym klientem.

Aidan ze znużeniem uniósł ręce i odrzekł:

- Nie, naprawdę, i tak zrobiłaś już o wiele za dużo, nie chcę na tobie nic wymuszać.

- Poważnie, to żaden problem. Już ci mówiłam, że to niedaleko mojej pracy. Poza tym ciekawi mnie, dlaczego ktoś taki jak ty rozkoszował się w tym tygodniu „specjałem na ciężkie czasy” - odczytała z rachunku, uśmiechając się lekko.

- Zabij mnie, nie wiem. Poza tym wmawiasz mi, że jestem dzianym facetem, ale w portfelu mam tylko jakieś trzydzieści dolarów.

To również wydawało się dziwne. Wyobrażała sobie, że milionerzy zazwyczaj mają przy sobie trochę więcej gotówki. Może jednak Aidan nie jest typem człowieka, który szasta pieniędzmi na prawo i lewo. Fakt, iż pomimo swojego bogactwa Aidan nadal robi zwykłe rzeczy, takie jak podróżowanie metrem czy jedzenie fast foodów,

sprawił, że Darcy jeszcze bardziej go polubiła. Tak, może i jest dziany, ale nie obawia się zadowalać tym, co wszyscy. Spojrzała na zegarek.

- Przepraszam, bardzo bym chciała zostać dłużej, ale muszę jechać do pracy.

- Oczywiście.

- Nie martw się o Bailey'a. Opiekuje się nim moja sąsiadka. Jest w naprawdę dobrych rękach. Sprawdzę ten bar z hot dogami i dam ci znać, jeśli czegoś się dowiem. - Uśmiechnęła się. - Tymczasem powinieneś zadzwonić pod ten numer i sprawdzić, czy rozmowa z kimś, kto na pewno cię zna, nie otworzy jakiejś szufladki.

Aidan znów wpadł w buntowniczy nastrój.

- Cóż, zadzwoniłbym, ale przecież nie mam telefonu! A lekarze ciągle trzymają mnie na obserwacji i nie pozwalają mi wychodzić z tego cholernego łóżka, że nie wspomnę o pokoju.

Darcy zamyśliła się na chwilę.

- Mówiłeś, że ile masz w portfelu?

- Około trzydziestu dolarów. Wyciągnęła rękę.

- Załatwię ci telefon na kartę. Tak żebyś miał kontakt ze światem, zanim naprawią twój iPhone.

- Zrobiłabyś to? - W jego głosie słychać było taką radość, że Darcy miała niemal łzy w oczach. - Naprawdę, Darcy, nie mam pojęcia, jak ci dziękować.

- Nie musisz mi dziękować, to żaden problem - odparła, chociaż w duchu cieszyła się jak dziecko z jego wdzięczności. - Wyobrażam sobie, jak bardzo czujesz się zagubiony i przerażony, a przecież to moja wina, że

wylądowałeś tutaj. Rozdzieliłam cię z twoim psem i są święta...

Nagle Darcy przypomniała sobie o paczuszce Aidana. Nie pomyślała o niej od chwili, kiedy włożyła ją do szuflady.

- Och, prawie zapomniałam... Mam jeszcze coś twojego. - Opowiedziała mu o pięknie zapakowanym prezencie, który znalazła na miejscu wypadku. - Przyniosę ci go jutro. Może poruszy jakieś tryby.

- Hm, z tego, co mówisz, wynika, że nie jesteś pewna, czy to należy do mnie.

- Ale pamiętam, że coś niosłeś. Sądzisz, że mogłeś właśnie być w drodze do kogoś, komu miałeś to dać, albo...?

Wtedy dotarło do niej, że kobieta, która wczoraj zostawiła wiadomość na sekretarce, była zdenerwowana. Brzmiała tak, jakby Aidan nie pojawił się na jakimś ważnym spotkaniu - randce albo służbowym obiedzie. Oczywiście!

- Aidan - powiedziała Darcy bez tchu, czując się jak idiotka, że nie skojarzyła tych faktów, kiedy odsłuchiwała wiadomość.

- Zastanawiam się, czy nie zamierzałeś właśnie doręczyć komuś tej paczki, kiedy w ciebie wjechałam.

Rozdział trzynasty

Nie pochwalam niespodzianek. Nie wzmagają zadowolenia i sprawiają znaczne niedogodności.

Jane Austen*

Go tam nowego u twojej ofiary?

Dotarłszy do księgarni, Darcy nie mogła się nie roześmiać, słysząc obcesowe pytanie kolegi. Typowe. Było wczesne popołudnie, tuż po lunchu - zazwyczaj jeden z najspokojniejszych momentów dnia w Chaucer's. Dobry czas na metkowanie i uzupełnianie braków na półkach. Z kawiarni na górze dochodziły zapachy piernikowych bułeczek i miętowy aromat precli, znajdujących się w ofercie od tygodnia. Darcy czuła, że ślinka napływa jej do ust.

- On nie jest moją ofiarą, Joshua. Czuje się dobrze, stan stabilny, tylko że... nadal nic nie pamięta.

*** *Emma*, przeł. Jadwiga Dmochowska, Prószyński i S-ka, Warszawa 2008.**

Joshua uniósł starannie wyskubane brwi i wyprostował reniferowe poroże.

- Coś w stylu Jasona Bourne'a.

- Przestań, to poważna sprawa. To musi być przerażające zapomnieć o swoim życiu i ludziach, których kochasz.

Uśmiechnęła się, bo do kasy podeszła klientka.

- Czy byłaby możliwość uzyskania osobistej dedykacji od autora? - spytała natarczywym tonem młoda kobieta o perłowo-blond włosach, najwyraźniej świadoma swoich praw.

- To prezent gwiazdkowy.

Darcy musiała dwukrotnie przyjrzeć się książce, próbując się zorientować, czy klientka mówi serio.

- Od autora tej książki?

- Oczywiście - odparła kobieta ostro przez ostrzyknięte botoksem usta, jakby nie życzyła sobie pytań.

- Obawiam się, że to niemożliwe, proszę pani - wyjaśniła Darcy z cierpliwym uśmiechem.

Za kobietą ustawiła się już kolejka ludzi trzymających w rękach książki. Darcy zastanawiała się, dlaczego zawsze tak się dzieje, kiedy pojawia się trudny klient.

Kobieta obróciła się, stukając po ladzie ostentacyjnie złotą biżuterią, i wyraziła głośno swe pretensje:

- Dlaczego nie? Powiedziano mi, że to najlepsza niezależna księgarnia w mieście.

Klienci z kolejki obserwowali ją z zainteresowaniem. Darcy, starając się ze wszystkich sił nie podnieść głosu, odpowiedziała uprzejmie:

- To prawda, ale mimo że zawsze robimy, co w naszej mocy, aby pomóc klientom, obawiam się, że w tym wypadku nie jest to możliwe. Pan Lewis zmarł w 1963 roku.

- Nie staracie się - odparła naburmuszona klientka i wyszła, zostawiając na ladzie siedmiotomowe wydanie *Opowieści z Narnii*.

Darcy westchnęła. Zapowiadał się kolejny długi dzień.

Później, kiedy podczas przerwy siedziała w kawiarni przy pierniczku i cynamonowej latte, wyjęła kartkę z numerem telefonu, z którego ktoś dzwonił do domu Aidana. Obiecała, że zrobi wszystko, aby dowiedzieć się, kto próbował się z nim skontaktować, zanim dostarczy mu sprawny aparat. Rozmyślała nad tym i była niemal przekonana, że dzwoniła osoba, z którą miał się spotkać w dniu wypadku. Nie była jednak pewna, czy kobieta wiedziała o prezencie, ale pamiętała jej wymówki, że Aidan zawiódł ją akurat tego dnia. Czyżby miała na myśli jakiś szczególny dzień, na przykład rocznicę albo urodziny?

Darcy wiedziała, że opierając się na zgromadzonych informacjach, mogłaby stworzyć tysiąc jeden pomysłów na temat Aidana Harrisa i jego życia. Przy jej wyobraźni nie byłoby to trudne. Jest nadętym maklerem z zamiłowaniem do sztuki, otoczonym wianuszkami pięknych dziewcząt, lub może oddanym ojcem rodziny, który odziedziczył majątek po irlandzkich imigrantach, którym się powiodło. Zastanawiała się jednak, czyjego prawdziwa historia nie jest ciekawsza od hipotez.

Wiedziała, że nie przestanie o tym myśleć, dopóki nie dowie się więcej. Wystukała numer telefonu i w oczekiwaniu na połączenie zaczęła zgadywać, co może zawierać pięknie opakowana paczka.

Kilka sekund później w słuchawce odezwał się kobiecy głos.

- *Buenos dias*, rezydencja państwa Kensington, w czym mogę pomóc? - powiedział z silnym akcentem.

Darcy się wyprostowała. Rezydencja państwa Kensington.

- Dzień dobry... Tak, mam nadzieję, że mi pani pomoże. Jestem... jestem Darcy Archer. - Gorączkowo próbowała zebrać myśli. Kim jest dla Aidana? Znajomą? Miłosierną samarytanką? - Jestem... koleżanką Aidana Harrisa.

- Tak? - powiedziała kobieta z lekkim zniecierpliwieniem. To nazwisko najwyraźniej nic jej nie mówiło. - W czym mogę pomóc?

Próbując opanować zdenerwowanie, Darcy ciągnęła:

- Jak już mówiłam, jestem koleżanką Aidana Harrisa. Niestety, wczoraj rano uległ wypadkowi - na szczęście niezbyt poważnemu - a ja byłam u niego w domu i zauważyłam, że ten numer jest na liście połączeń. Nie jestem pewna, czy pani zna pana Harrisa, czy może zna go ktoś inny w... rezydencji. Na pewno ktoś dzwonił do niego wczoraj z tego numeru. Potrzebuję pomocy w tej sprawie i pomyślałam, że może pani mogłaby...

Kobieta przerwała jej nagle:

- Pana i pani Kensingtonów nie ma w tej chwili w domu. - Och.

Darcy była nieco zaskoczona szorstkim tonem kobiety, ale przypuszczała, że plecie bez sensu. Zastanawiała się teraz, kim mogą być państwo Kensingtonowie. Chyba nie rodzicami Aidana, sądząc po nazwisku. Mogliby za to być rodzicami jego dziewczyny. Może zastanawiają się, dlaczego zawiódł ich córkę? Po chwili uświadomiła sobie,

że ponosi ją wyobraźnia. Zmusiła się do kontynuowania rozmowy:

- No cóż, czy mogę w takim razie zostawić pilną wiadomość dla państwa Kensington? - zapytała. - Chodzi

o to, że zapewne dzwonili wczoraj do mojego kolegi, ale jak już mówiłam, on w tej chwili jest w szpitalu, a ja potrzebuję pilnie skontaktować się z kimś, kto zna.

- Przecież mówiła pani, że jest jego koleżanką?

- Tak, ale...

- Jestem teraz bardzo zajęta - ucięła ostro kobieta, najwyraźniej znudzona łzawą opowieścią.

Darcy po raz kolejny zdumiała obcesowość rozmówczyni.

- Można byłoby zapewne użyć określenia „nowa koleżanka” - odparła. - Ja naprawdę tylko staram się pomóc.

Kobieta westchnęła ze znużeniem.

- Dobrze, dobrze, proszę mi podać swoje nazwisko i numer. Miller jest w Europie, ale przekażę to pani Kensington. Dzisiaj jest w spa, więc pewnie nie oddzwoni od razu.

W takim razie to pani domu musiała dzwonić do Aidana, wydedukowała szybko Darcy, słysząc, że pan Kensington jest w podróży. Czując, że cienki promyk słońca zaczyna przeświecać przez mgłę spowijającą dotychczas Aidana, szybko wyrecytowała swoje dane, mając wbrew wszystkiemu nadzieję, że pani Kensington, kimkolwiek jest, wkrótce oddzwoni.

- Dobrze - powiedziała kobieta. - Przekażę informację, a pani oddzwoni, jeśli zechce.

Darcy odchrząknęła głośno, zdeprymowana napauszonym tonem odpowiedzi. Dlaczego niektórzy ludzie uważają, że proste gesty, jak oddzwonienie do kogoś, są poniżej ich godności? I dlaczego ktoś tak sympatyczny jak Aidan utrzymuje kontakty z kimś tak nieprzyjemnym? Nie, to nie fair, teraz ulega stereotypom, nie rozmawia przecież ze znajomą Aidana. Pani Kensington może okazać się bardzo miłą osobą, a ten cerber przy telefonie - jej osobista asystentka, gospodyni czy ktoś w tym rodzaju

- po prostu wykonuje swoją pracę.

- Bardzo pani dziękuję, pani... Przepraszam, nie dosłyszałam pani nazwiska?

- Maria - odparła kobieta niechętnie.

- Mario, naprawdę doceniam pani pomoc. Aidan jest w tej chwili mocno zdezorientowany, a jeśli pani Kensington jest jego przyjaciółką tak jak ja, to z pewnością zechce mu pomóc.

Maria miała niewątpliwie dość tej rozmowy.

- Tak, okej, w porządku - odparła zirytowanym tonem.

- Już mówiłam, że przekażę wiadomość pani Kensington. Tylko niech pani pamięta, że ona jest dzisiaj przez cały dzień u Elizabeth Arden.

W tym momencie Darcy nastawiła uszu i przypomniała sobie, że Maria wspominała o wizycie w spa. Pani Kensington jest dzisiaj u Elizabeth Arden? Szybko pożegnała się z Marią. Nie chciała, aby kobieta domyśliła się, że niechcący przekazała jej bardzo ważną informację.

Darcy знаła salon Elizabeth Arden na Piątej Alei. Katherine była tam stałą klientką, chociaż ona sama nigdy nie przestąpiła progu tego świętego miejsca. A skoro pani

Kensington spędza dzień w tym salonie, to może należałoby zajrzeć tam po pracy i... I co? Nie mogła przecież po prostu tam wejść i poprosić o rozmowę. Recepcjonistki w takich miejscach przypominały stróżujące psy. Maria mogła być niedyskretna, ale te damy z pewnością nie okażą się równie niefrasobliwe. Nie wspominając już o tym, że Darcy nie znała nawet imienia pani Kensington.

Przez resztę dnia nie mogła pozbyć się z głowy myśli o trudnym położeniu Aidana i czuła, że oczekiwanie na telefon doprowadzi ją do szaleństwa. Tajemnicza pani Kensington była potencjalnie jedną z osób, które obracały się w tych samych kręgach, co Aidan. Spędzanie dnia u Elizabeth Arden nie należało do tanich rozrywek, wprost przeciwnie. Darcy widziała kilka przyprawiających o zawrót głowy cen w broszurce, którą zostawiła gdzieś Katherine. Zwykły zabieg na twarz kosztował prawie tyle, ile Darcy wydawała na zakupy spożywcze przez miesiąc. Prawie...

Biorąc jednak pod uwagę, że istniał ktoś taki jak pan Kensington, kobieta z pewnością nie mogła być dziewczyną ani partnerką Aidana. Darcy pokręciła głową, karcąc się w duchu za swą naiwność. Wprawdzie romanse pozamałżeńskie zdarzają się zawsze, ale trudno jej było pogodzić się z wizerunkiem Aidana jako faceta związanego z żoną innego mężczyzny. Albo zdradzającego kobietę, z którą jest w związku, pomyślała, przypomniawszy sobie zdjęcia. Tylko co ona naprawdę o nim wie? Aidan wydaje się miłym facetem i zachował się wobec niej bardzo sympatycznie po tym, jak o mało go nie zabiła tamtego ranka. Ale bardzo często tacy rozbrajający mężczyźni okazują się pożeraczami kobiecych serc. Czyż ona sama nie przekonała

się o tym zarówno w prawdziwym życiu, jak i czytając książki? I czy nie wydawało się logiczne, że kobieta, która dzwoniła do Aidana i była tak rozczarowana, że się nie zjawił w umówionym miejscu poprzedniego dnia (i która z oczywistego powodu nie mogła dodzwonić się na jego komórkę), próbowała później dzwonić do niego z domu?

Oznaczało to, że w chwili obecnej stanowi ona dla Darcy jedyną szansę dowiedzenia się, kim jest Aidan, i skontaktowania go nie tylko z własną pamięcią, ale również z tymi, których kochał.

Zastanowiła się później, czy pani Kensington nie jest aby blondynką z fotografii z nocnego stolika. Fakt, że jest zamężna, wyjaśniałby, dlaczego zdjęcie było ukryte. Aidan bez wątpienia starał się utrzymać ich związek w tajemnicy. Darcy umierała z ciekawości. Niezależnie od tego, czy są kochankami, czy też nie, pani Kensington na pewno ma jakiś związek z Aidanem. Trzeba tylko dowiedzieć się jaki. Ale czy może tak po prostu pojawić się w spa i poprosić o rozmowę z kobietą, której nawet nie zna z imienia? Po raz kolejny przeklęła w duchu brak technologicznej smykałki.

Dopiła kawę, zeszła na dół, włączyła Google'a na służbowym komputerze i wpisała nazwisko „Kensington”, dodając na wszelki wypadek „Manhattan”. Na ekranie pojawiła się ogromna ilość informacji o mieszkańcach miasta noszących to nazwisko.

Matko... jak to zawęzić? Darcy zastanowiła się, co wie albo przypuszcza na temat pani Kensington: gospodyni, ekskluzywny salon kosmetyczny, prawdopodobne powiązania towarzyskie z Aidanem. Podała nowe kryteria

wyszukiwania: „Kensington, nowojorska elita”, i wcisnęła enter, biorąc głęboki oddech, podczas gdy przeglądarka szybko przetworzyła jej pytanie i wypluła odpowiedź.

Na twarz Darcy wypłynął uśmiech - odgadła prawidłowo. Pani Kensington (miała na imię Tabitha) była gwiazdą śmietanki towarzyskiej, chociaż stwierdzenie, że pochodzi z wyższych sfer Nowego Jorku, było zwykłym niedopowiedzeniem. Ta kobieta należała do gatunku, który po prostu rządził wyspą Manhattan. Jej nazwisko pojawiała się przy okazji niezliczonych imprez dobroczynnych i podobnie jak Aidan miała dość pieniędzy, aby palić nimi w piecu. Blogerzy i felietoniści rozplýwali się nad jej wykwintnym gustem i niedościgłym wyczuciem stylu. Ekran pełen był list darowizn, których kwoty przyprawiły Darcy o zawrót głowy. Pani Kensington patronowała wszystkiemu, od flagowego sklepu Chanel na Piątej Alei poprzez licytacje w domu aukcyjnym Christie's aż do rozmaitych wydarzeń w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej. Tabitha Kensington była zdecydowanie grubą rybą, jak określała to Katherine.

Darcy kliknęła na link do magazynu „Page Six” dziennika „New York Post” i zobaczyła zdjęcie uderzająco pięknej blondynki. Bingo.

Niestety, nie mogła sobie przypomnieć, czy Tabitha Kensington była rzeczywiście blondynką ze zdjęcia, które znalazła w stoliku nocnym Aidana, ale prezentowała się równie wspaniale. Nie wyglądała na więcej niż trzydzieści lat; była albo bardzo młoda, albo doskonale zakonserwowana. Darcy rozmyślała nad tym przez chwilę, sądząc, że te dwie rzeczy mogą się łączyć, po czym natychmiast zastanowiła się, ile lat ma pan Kensington.

Nie mogła uniknąć myśli o kobietach uwodzących starszych, bogatych mężczyzn, ale natychmiast odrzuciła tę możliwość, gdy na kolejnej stronie zobaczyła wspólne zdjęcie państwa Kensington. Miller mógł być starszy od żony o jakieś sześć, siedem lat. Tabitha, jak się okazało, była nie tylko piękna, ale i mądra. Ukończyła historię na Uniwersytecie Columbia i konserwację zabytków na Harvardzie, pracowała jako młodszy kustosz w Archiwach Państwowych i nadzorowała prace konserwatorskie w National Gallery w Londynie, po czym wróciła do Stanów i podjęła obowiązki głównego kustosza w Metropolitan Museum of Art. Tam poznała swojego męża, za którego wyszła dopiero pięć lat temu. Z pewnością nie potrzebowała pieniędzy Millera - Darcy dowiedziała się, że jest jedyną córką multimilionerów Stanleya i Martiny Washbourne'ów, posiadających sieć pięciogwiazdkowych hoteli w Europie. Mówiąc oględnie, Tabitha Kensington była certyfikowaną arystokratką.

Należało jeszcze ustalić, czy obecnie pozostaje w związku z Aidanem Harrisem. W głębi duszy Darcy miała nadzieję, że Aidan nie jest taki.

Rozdział czternasty

Jedyny wniosek, do jakiego dochodzę, zastanawiając się, dlaczego się w to wpakowałem, jest taki, że chyba lubię być karany. Bóg wie, że czasami bywam idiotą. I będę jeszcze większym, jeśli to spartaczę.

Mój świeżo zorganizowany iPhone zabrzączał. Cokolwiek zrobiła z nim Jenna ze sklepu, teraz automatycznie wyjaśniał mi, co się dzieje. Chłodny głos Siri obwieścił:

- Wiadomość przychodząca, od Mel.

Mimo wszystko głos robota sprawiał, że robiło mi się ciepłej na sercu.

Otworzyłem wiadomość, przeczytałem i uśmiechnąłem się.

Cześć, tęsknię za tobą. Przyjedziesz później?

Szybko wystukałem odpowiedź:

Będę najszybciej, jak się da, ale najpierw muszę załatwić parę spraw, mam nadzieję na postęp w najważniejszej z nich, a potem wpadnę i zabiorę cię do siebie.

Odwdzięczyła mi się uśmiechniętą buzią i xoxo. Poczułem silne wzruszenie. Chociaż widziałem się z nią niecałe dwie doby temu, nadal miałem wielką ochotę trzymać ją w ramionach. Pomyślałem o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku lat, i przyznałem sam przed sobą, że zrobiłbym dla niej wszystko, byleby tylko była szczęśliwa.

W tej sekundzie Bailey wyrwał mnie z zamyślenia, gwałtownie hamując i szarpiąc za smycz. O mało nie potknąłem się o własne nogi, kiedy w końcu zorientowałem się, że jesteśmy na miejscu. Gdy odzyskałem równowagę, pomyślałem, że Bailey jest po prostu przemądrzały. Ile psów zna dokładnie położenie domu aukcyjnego Christie's? Prawdopodobnie niewiele, a poza Manhattanem jeszcze mniej. Co za rozpieszczone psisko.

- Jesteś prawdziwym snobem. Wiesz o tym? Ja dopiero niedawno dowiedziałem się, gdzie jest Christie's. Burżujskie psisko z ciebie, co? - Uśmiechnąłem się do niego.

Bailey szczechnął cicho, jakby zgadzał się ze mną, że owszem, należy do tej socjoekonomicznej grupy psów, po czym spojrzał na budynek, zastanawiając się, czy wejść do środka.

- Tak, idę, idę - powiedziałem, znowu prowadząc go do hydrantu i przywiązując do niego smycz. - Niestety, musisz tu zostać, kolego. Bez urazy. Po prostu nie sądzę, żeby faceci z Christie's życzyli sobie, żebyś obśliniał im ich Renoiry, jaja Faberge i inne cacka. Zaczekaj tu na mnie.

Bailey spojrzał na mnie i znowu odniosłem wrażenie, że zamierza przewrócić oczami i głośno westchnąć, jakby podejrzewanie go o takie prostactwo jak ślinienie się

stanowiło dla niego ujmę na honorze. Nie miałem wątpliwości, że to prawda; gdyby taki pies jak Bailey miał okazję wkroczyć na czcigodne salony Christie's, z pewnością wykazałby się nienagannymi manierami. Byłem jednak równie pewien, że starannie wyselekcjonowany personel domu aukcyjnego nie podziela mojego punktu widzenia.

- Połóż się, chłopie. Niedługo wrócę, obiecuję.

Temperatura szybko się obniżała i chociaż wiedziałem, że husky są przystosowane do mrozów, a Bailey ma piękne zimowe futro, to jednak martwiłem się, że musi siedzieć na lodowatym chodniku. To nie jest zabawne nawet w futrze. Ja też miałem na sobie zimowy płaszcz, ale nie zamieniłbym się z Baileyem. Współczułem zwierzętom i ludziom, którzy nie mają innego wyjścia.

Jestem mięczakiem. Fakt, iż znajduję się w takiej, a nie innej sytuacji nie oznacza, że nie mam serca. Zawsze współczułem innym, którzy nie mieli tego, czego potrzebowali do życia. Owszem, to świetnie, że na tyle mogę sobie pozwolić, ale wierzę również w potrzebę dzielenia się. I chcę mieć pewność, że mam do czynienia z ludźmi o podobnym systemie wartości. W końcu mieć szczęście to jedno, a mieć szczęście i nie dbać o dobro innych to drugie. Mój sposób myślenia niekiedy wykracza być może poza tradycyjne ramy, ale ostatecznie jestem tylko facetem z Dublina, któremu poszczęściło się w Nowym Jorku. To wszystko. Obcowanie z pieniędzmi i ładnymi przedmiotami zmienia niektórych, ale nie mnie.

Pogłaskałem Bailey'a po głowie i jeszcze raz przyrzekłem mu, że to nie potrwa długo. Westchnął i ułożył się na chodniku. Wyprostowałem się w tej samej chwili, kiedy

uniósł na mnie wzrok, jakby mówił: „Okej, idź już, idź”. Pomachał lekko puszystym ogonem.

Odwróciłem się w stronę wejścia do domu aukcyjnego na sławnym i prestiżowym Rockefeller Plaza. Wiedziałem, że istnieją spore szanse, że znajdę tutaj to, czego potrzebuję. A jeśli nie, to może ktoś pokieruje mnie w odpowiednie miejsce.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do westybulu zaprojektowanego specjalnie do przyjmowania gości. Gości z pieniędzmi. Włożyłem komórkę do kieszeni spodni. Recepcjonistka popatrzyła na mnie z uśmiechem. Przez ostatnich kilka lat zdążyliśmy całkiem nieźle się poznać i wiedziałem, że natychmiast skieruje mnie pod właściwy adres. Miałem tylko nadzieję, że powiedzenie „Najsilniej przekonują pieniądze” okaże się dziś prawdziwe.

Na wszelki wypadek skrzyżowałem palce.

Rozdział piętnasty

Może to normalne, kochanie, ale wolałabym być naturalna.
Holly Golightly*

Darcy pożegnała się z Joshua o piątej, wsiadła na rower i skierowała się prosto na Piątą Aleję. Kiedy dotarła na róg Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy, nadal nie wiedziała, jak ma zaaranżować rozmowę z Tabithą Kensington, chociaż świeże powietrze oczyściło jej umysł, a jazda na rowerze wyzwoliła endorfiny.

Zostawiła rower o pół kwartału od wejścia do salonu i wmieszała się w tłum na Piątej Alei, myśląc o tym, że w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin jej życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Dotychczas żyła według własnych zasad i codziennego, dość jednostajnego rytmu; teraz musiała opiekować się psem i atrakcyjnym milionerem, który nie pamiętał własnego nazwiska, a właśnie w tej chwili poszukiwała nowojorskiej celebrytki

* Truman Capote, *Śniadanie u Tiffanyego*.

na ulicy, gdzie sklepy były zbyt ekskluzywne, by miała śmiałość obok nich przejść.

Przeciągnęła dłonią po włosach i otrzepała dzinsy z kurzu, spoglądając na elegancką fasadę salonu Elizabeth Arden. Zaczepnęła głęboko powietrza.

- Dobra, Archer - szepnęła. - Oto wchodzi panna nikt.

Już miała pchnąć szklane drzwi, gdy w jej kieszeni zabrzączał telefon. Spojrzała na wyświetlacz. To Katherine. Darcy zagryzła usta i zastanowiła się, czy nie odrzucić połączenia, ale wiedziała, że ciotka będzie dzwonić dopóty, dopóki nie odbierze. Postanowiła więc mieć rozmowę z głowy.

- Katherine, cześć.

- Cześć, kochanie. Chciałam ci tylko powiedzieć, że bardzo się spodobałaś Oliverowi Martinowi - zaczęła ciotka bez żadnych wstępów i zwracania sobie głowy pytaniami o samopoczucie. - Jaka szkoda, że musiałaś tak szybko uciec. Ale mam jego numer telefonu, więc nie wszystko stracone.

Darcy przewróciła oczami. Wyglądało na to, że wszystko, co powiedziała ciotce tamtego wieczoru, wleciało jednym uchem, a wyleciało drugim.

- Gdzie jesteś? Pomyślałam, że już skończyłaś pracę. Mam nadzieję, że nie jeździsz na tym okropnym rowerze po mieście. Ma padać śnieg i...

- Jestem na Piątej Alei, właśnie wchodzę do jednego z twoich ulubionych lokali - powiedziała Darcy zaczepnym tonem, po czym wyjaśniła dokładnie, gdzie jest, wiedząc doskonale, że ciotka oniemieje. Darcy niezmiernie rzadko

bywała u fryzjera, a co dopiero w luksusowym salonie piękności.

Katherine rzeczywiście nie posiadała się ze zdumienia.

- Czyżby któraś z twoich ukochanych książek w końcu spadła z półki i uderzyła cię w głowę?

Darcy uśmiechnęła się i oparłszy się o ścianę obok drzwi salonu, zaczęła opowiadać o tym, co się stało, jak wpadła na Aidana Harrisa na ulicy i że w rezultacie opiekuje się jego psem i próbuje skontaktować się z kimkolwiek, kto go zna. Mówiła szybko, prawie na jednym wdechu, głównie dlatego, że nie chciała dać ciotce okazji do powiedzenia „a nie mówiłam” na temat niebezpieczeństw związanych z jazdą na rowerze.

- I właśnie dlatego - podsumowała - mam nadzieję, że uda mi się złapać tu Tabithę Kensington, bo wygląda na to, że jest nie tylko piękna i wykształcona, ale również bogatsza od Mitta Romneya. I chyba jest znajomą Aidana Harrisa.

W słuchawce zapadła głucha cisza.

- Katherine? - zapytała Darcy, zastanawiając się, czy ciotka ją słyszy. Nie był to pierwszy raz, kiedy wolałaby, żeby ciotka rozłączyła się w połowie rozmowy.

- Jestem - odpowiedziała Katherine słabym głosem. - Po prostu nie mogę uwierzyć, że kogoś przejechałaś... Chociaż właściwie mogę. Ile razy ci...

- Wiem, wiem. - Darcy zżymała się wewnątrz. - Dostałam już nauczkę. - Co prawda niewystarczającą, aby zmienić środek transportu, pomyślała. - Ale na szczęście to nic poważnego i staram się to naprawić. Czy wiesz może przypadkiem, kto to jest Tabitha Kensington?

Znając koneksje ciotki i zdecydowanie wysoką pozycję pani Kensington wśród nowojorskich elit, pomyślała, że być może Katherine zna to nazwisko.

- Wiem, kim jest, nie mówiąc już o jej reputacji - odpowiedziała Katherine złowrogo, co sprawiło, że Darcy nerwowo przełknęła ślinę. - I co zamierzasz teraz zrobić?

Darcy popatrzyła na swoje niechlujne buty i lekko kopnęła w chodnik. Zerknęła na drzwi salonu.

- Tak naprawdę to nie jestem pewna. Wiem, jak wygląda Tabitha, bo w Internecie jest mnóstwo jej zdjęć, więc wymyśliłam, że po prostu wejdę i zapytam o nią, a jeśli to nic nie da, to może poczekam na nią na zewnątrz...

Znowu zapadła cisza, a potem Katherine zagrzmiała:

- Czasami zastanawiam się, czy my naprawdę jesteśmy z sobą spokrewnione. To chyba najgorszy pomysł, o jakim słyszałam. Masz pojęcie, jak długo trwa dzień w spa u Elizabeth Arden? Nie, nie, oczywiście, że nie masz - odpowiedziała na własne pytanie. - Ta kobieta może tam siedzieć dosłownie do północy. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Darcy wzruszyła ramionami i milczała. Skąd, u diabła, miała wiedzieć, jak to funkcjonuje? Katherine westchnęła.

- A więc Tabitha Kensington jest jedynym ogniwem prowadzącym do tego człowieka, który, nawiasem mówiąc, wygląda bardzo interesująco.

Darcy pokręciła głową. Oczywiście wspomniała, że Aidan jest młody i zamożny, więc ciotka naturalną kolejną rzeczą już widziała w nim potencjalnego kandydata do jej ręki.

- I zamierzasz po prostu zachować się jak stalker? - chciała wiedzieć Katherine.

Darcy zignorowała ostatnie pytanie i skupiła się na pierwszym.

- Nie mam żadnego innego pomysłu. Telefon Aidana jest rozbity, szpital nie przekazuje informacji nieupoważnionym osobom, a numer Kensingtonów był w połączeniach przychodzących jego domowego telefonu. Dzwoniła do niego Tabitha albo ktoś z jej domu. Jest jeszcze ten prezent, który niósł, i nagranie na sekretarce... Słuchaj, ten wypadek to przede wszystkim moja wina - dodała, próbując raczej przekonać samą siebie. - Przeze mnie Aidan nie przyszedł na ważną randkę albo jakieś szczególne spotkanie, więc muszę pomóc mu dowiedzieć się, komu miał doręczyć prezent, a przede wszystkim kim jest...

- Darcy, nie do ciebie należy bawienie się w pielęgniarkę - przerwała jej Katherine.

- Wiem o tym - odparła Darcy cierpliwie - ale, jak już mówiłam, to moja wina, że znalazł się tam, gdzie jest. Chcę tylko mu pomóc. A to jedyny sposób poza opiekowaniem się jego psem. - Głos jej zadrżał i pomyślała, że chyba zaraz się rozpłacze. Czterdzieści osiem dramatycznych godzin zaczynało dawać o sobie znać.

- Dobrze - powiedziała ciotka i zaczerpnęła głęboko powietrza. Kiedy przemówiła znowu, jej głos brzmiał bardziej miękko. Darcy dobrze знаła ten ton: Katherine przeszła do trybu rozwiązywania problemów. - Szczerze mówiąc, uważam, że lepiej byłoby się zająć tym zniszczonym telefonem, ale to możemy odłożyć na później. Skoro

jesteś teraz przed salonem Elizabeth Arden i wiemy, że Tabitha Kensington nadal jest w środku, być może będę mogła ci pomóc, ale chcę, żebyś wiedziała, że będę musiała poprosić kogoś o wielką przysługę, rozumiesz?

Darcy szeroko otworzyła oczy. Czyżby ciotka miała zamiar użyć swoich wpływów, żeby Darcy została wpuszczona do salonu? Wyglądało jednak na to, że Katherine rozważała o wiele bardziej bezpośrednie rozwiązanie.

- Oczywiście pani Kensington jest mi znana, ale tak szczęśliwie się składa, że jedna z moich dobrych przyjaciółek z branży jest jej naprawdę bliską znajomą. - Po chwili dodała: - Właściwie jestem pod wrażeniem, że udało ci się dotrzeć tak daleko, bo Tabithę Kensington nie jest łatwo wytropić. Jej służąca popełniła wielki błąd, mówiąc ci o tym salonie. Normalnie potrzebowałabyś GPS-a, żeby ją zlokalizować. Nie myśl więc, że możesz do niej ot tak po prostu podejść w czasie pedikiuru.

Darcy nastawiła uszu. Ciotka zazwyczaj chętnie pomagała jej w drobnych sprawach, ale tym razem musiało to być coś naprawdę trudnego, skoro Katherine użyła określenia „wielka przysługa”. Milczała więc i czekała na dalsze słowa ciotki.

- Przede wszystkim musisz wiedzieć, kochanie, że nie znam tej kobiety osobiście i nie mam możliwości załatwienia tego bezpośrednio z nią. Dlatego muszę zwrócić się do mojej znajomej. Mam nadzieję, że jest w dobrym humorze i będzie chciała mi pomóc. Nie mogę ci nic obiecać, ale być może uda mi się zaaranżować dla ciebie audiencję u Tabithy tak, żebyś po drodze nie została aresztowana. Zrozumiano?

- Tak. - Darcy miała wrażenie, że powinna stanąć na baczność i zaszalutować.

Katherine odetchnęła głęboko.

- No dobrze. Chcę, żebyś została dokładnie tam, gdzie jesteś. Masz się nie ruszać. Nie podchodź do salonu Elizabeth Arden ani o krok. Nie wolno ci teraz zmarnować tej szansy. Jeśli wejdiesz do środka, zaczniesz o nią wypytywać i opowiadać tę niewiarygodną historię, zostaniesz splewiona i prawdopodobnie wyprowadzona na zewnątrz przez ich ochroniarzy. Rozumiesz mnie, Darcy?

Nie ulegało wątpliwości, że ciotka byłaby doskonałym instruktorem musztry.

- Tak jest, kapitanie - zameldowała Darcy.

- Mówię poważnie. To nie pora na żarty - odparła Katherine tonem pozbawionym wesołości.

- Okej, przepraszam. Tak, obiecuję, że nie podejść do drzwi salonu. Nie przestąpię progu, żeby nikt w salonie nie pomyślał sobie, że nękam Tabithę Kensington.

- Dobrze. Teraz czekaj, niedługo oddzwonię. Może będę miała dobre wieści, a może nie. To zależy.

Darcy nie miała czasu odpowiedzieć, bo Katherine się rozłączyła.

Rozglądała się nerwowo po tłumie wypełniającym Piątą Aleję, mekkę zakupową. Majstrowała przy swojej narciarskiej kurtce, uderzała stopą w chodnik, a w końcu zrobiła krok w tył i oparła się o ścianę budynku. Miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą, i rzeczywiście czuła się jak prześladowca. Prawdę mówiąc, naprawdę wierzyła, iż może po prostu wejść do takiego przybytku i porozmawiać z taką kobietą jak Tabitha Kensington.

Słowa ciotki pozwoliły jej zorientować się w sytuacji. Zdała sobie sprawę, że czasami źle ocenia swoje możliwości. Cóż, nic się na to nie poradzi, jeśli ma się tak optymistyczne nastawienie do świata. Poza tym Darcy nie przyszło do głowy, że ktoś - zamożny czy nie - może być aż tak niedostępny. Również w tej kwestii wiele dowiedziała się od Katherine.

Aidan niewątpliwie obracał się w kręgach pozostających poza zasięgiem Darcy, a Katherine wiedziała z całą pewnością, że kontakt z osobami pokroju Tabithy Kensington wymaga odpowiednich koneksji. Na szczęście ciotka zadzwoniła do niej, zanim Darcy zdążyła zrobić z siebie zupełną idiotkę i zepsuć jedyną szansę, aby pomóc Aidanowi.

Kolejny raz spojrzała na zegarek. Rozumiała, że Katherine nie otrzyma odpowiedzi w kilka minut, ale jak długo to będzie jeszcze trwało? Co trzeba zrobić, żeby przekonać „dobrą znajomą”? Straciła czucie w uszach, a jej palce mogły lada chwila odpaść z zimna, do tego była zmęczona i głodna po długim dniu pracy, co oznaczało, że za moment albo zrezygnuje, albo spróbuje szczęścia i jednak wejdzie do salonu.

Dokładnie wtedy telefon zabrzączał jej w dłoni. Darcy podskoczyła. Zanim zdążyła odebrać, szklane drzwi salonu Elizabeth Arden otworzyły się z impetem i, rozglądając się wokoło, wyszła z nich surowo wyglądająca kobieta tuż po pięćdziesiątce. Miała na sobie czerwony garnitur, jej włosy były upięte w ciasny kok na karku, a twarz nosiła ślady niedawnego zabiegu botoksowego. Najwyraźniej nie była w nastroju do żartów. Darcy pomyślała, iż jest

wściekła, że musi wyjść z salonu na zimną Piątą Aleję w lodowaty grudniowy dzień.

Kobieta rozejrzała się, przeszukując wzrokiem tłum. Po chwili jej orle spojrzenie spoczęło na Darcy, jakby znalazła osobę, której szukała. Darcy znowu spojrzała na telefon, który przestał dzwonić, a dama od Elizabeth Arden wycelowwała w nią wymanikiowany palec.

- Darcy Archer?

Darcy nerwowo kiwnęła głową, jakby przyłapano ją na gorącym uczynku.

- Ee, tak, to ja.

Kobieta pstryknęła palcami i gestem nakazała jej podejść.

- Proszę za mną.

Brwi Darcy ze zdumienia podjechały na środek czoła, a jej komórka zabrzęczała, sygnalizując przychodzącą wiadomość. Bez słowa weszła za kobietą do sanktuarium Elizabeth Arden, czując się tak, jakby za chwilę miała spłonąć.

Ukradkiem rzuciła okiem na telefon i zobaczyła, że wiadomość pochodzi od Katherine. Kliknęła szybko, przełykając ślinę ze zdenerwowania i podniecenia.

Wiadomość była krótka: „Wchodzisz”.

Rozdział szesnasty

Za pieniądze nie da się kupić szczęścia, ale można za nie kupić książki, a to jest właściwie to samo.

Autor nieznany

Darcy została szybko przeprowadzona przez recepcję i teraz szła wzdłuż rzędów klientek, których włosy suszono, prostowano, wzmacniano maseczkami, farbowano i zakręcano. Natychmiast sięgnęła ręką do swego cienkiego końskiego ogona i żałowała w duchu, że nie poświęciła więcej czasu, by choć trochę poprawić swój wygląd przed wejściem tutaj. Rozejrzała się i zanotowała w pamięci dwie fryzury, które jej się spodobały - na wypadek gdyby kiedyś przyszło jej do głowy zaszaleć i coś zmienić.

Potem pomyślała, że i tak wybrałaby jakieś krótkie cięcie, i postanowiła nie dać się onieśmielić. W końcu duże pieniądze i wypielegnowane ciało nic nie znaczą. Wszyscy ludzie są tacy sami, kiedy wieczorem ściągają z siebie ubranie i kładą się spać.

Uśmiechnęła się uprzejmie, widząc, że kilka kosmetyczek odsuwa się, żeby przepuścić ją i jej przewodniczkę, która zdążyła jej się przedstawić jako Olivia. Z ich przerażonych min Darcy wywnioskowała, że z Olivią nie należy zadzierać. Pokonały kilka korytarzy, a kiedy podeszły do drzwi na końcu jednego z nich, odwróciła się i spojrzała Darcy prosto w oczy.

- Pani Kensington jest w tym pokoju zabiegowym. Jest szanowaną klientką Elizabeth Arden, a jej zadowolenie i poczucie komfortu są dla nas sprawą priorytetową. Nie chciałabym, aby cokolwiek ją zaniepokoiło albo w inny sposób zakłóciło jej dzisiejszy relaks w naszym spa. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Darcy wolno pokiwała głową; nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- Dobrze - powiedziała Olivia.

Jeszcze raz obrzuciła Darcy krytycznym spojrzeniem, najwyraźniej niezadowolona, że nie może zrobić niczego, aby poprawić jej wygląd przed wejściem do gabinetu. Odwróciła się do drzwi, uniosła dłoń i delikatnie zapukała. Gdy z wnętrza dobiegł cichy pomruk, Olivia bezszelestnie przekręciła gałkę w drzwiach. Darcy pomyślała, że personel obmywa chyba każdy kawałek metalu w tym miejscu salonowym odpowiednikiem WD-40, aby mieć pewność, że nigdy nie rozlegnie się niechciany pisk czy zgrzyt. Tłumiąc chichot, wyobraziła sobie alarm włączający się w momencie, kiedy - o zgrozo! - gałka u drzwi piśnie podczas przekręcania.

Olivia z namaszczeniem otworzyła drzwi. Darcy musiała przyznać, że towarzysząca jej kobieta jest uosobieniem

spokoju. W poprzednim życiu była chyba zakonnica klauzurową.

Po wejściu do prywatnego gabinetu zabiegowego Darcy odetchnęła głęboko powietrzem przesyconym odprężającym zapachem trawy cytrynowej. Wnętrze było tak mroczne - oświetlone jedynie światłem świec - że musiała odczekać chwilę, aż jej oczy przyzwyczają się do ciemności. W końcu zauważyła owiniętą szlafrokiem damę wyciągniętą na leżance i poddającą się masażowi stóp, wykonywanemu przez pochyloną nad nią kobietę. Trzecia pracownica, drobniutka Azjatka, która na pierwszy rzut oka mogła uchodzić za jedenastolatkę, masowała prawą rękę klientki, czwarta zaś nakładała jej na twarz miksturę przypominającą glinę. Na oczach damy leżały dwa plasterki ogórka.

Darcy mogła jedynie domyślać się, że pielęgnowana kobieta to Tabitha Kensington - nie widziała ani jej twarzy, ani lśniących, długich blond włosów, ukrytych pod turbanem z ręcznika.

- Pani Kensington - powiedziała Olivia nieznacznie tylko głośniejszym od szeptu. - To jest osoba, którą chciała pani widzieć. Panna Archer.

Tabitha Kensington uniosła kształtną dłoń i łagodnym gestem odprawiła kobietę, która nakładała jej maseczkę z gliny na twarz. Zdjęła z oczu plasterki ogórka i usiadła na leżance, dając pedikiurzystce znak, by nie przerywała pracy. Kiedy przemówiła, Darcy pomyślała, że ona nie musi przestrzegać niepisanej zasady szeptania:

- A, rozumiem. Dziękuję, Olivio, że panią przyprowadziłaś. - Potem zwróciła się do Darcy, natychmiast

przechodząc do pytań: - Słucham panią? Zadzwoiła do mnie Alexa Falcone i poprosiła, żebym z panią porozmawiała.

Boże, Alexa Falcone, sławna nowojorska fotografka, dorównująca reputacją Annie Leibovitz? Darcy nie miała pojęcia, że Alexa należy do „przyjaciół” Katherine. Pajęcza sieć powiązań, którą ciotka latami wiła w mieście, przedstawiała się doprawdy imponująco. Teraz była w pełni świadoma, z kim ma do czynienia.

- Nie powiedziała mi, o co chodzi ani co sama ma z tym wspólnego, ale jest na tyle bliską przyjaciółką, że postanowiłam spełnić jej prośbę.

Nietrudno było się domyślić, że Tabitha jest przyzwyczajona do stawiania na swoim. Darcy odkaszlnęła nerwowo.

- Właściwie to spotkanie zaaranżowała moja ciotka Katherine. - Czuła się niezręcznie. Niepotrzebnie dała tej kobiecie do zrozumienia, że uzyskanie audiencji u niej jest równie trudne jak w przypadku królowej Anglii. - Założycielka firmy Ignite Event Management. - Najwyraźniej nic to nie mówiło pani Kensington, więc Darcy dodała: - Firma zorganizowała w tym roku wielkie otwarcie Level 42. - Miała na myśli centrum handlowe w Soho, które częściowo dzięki strategii marketingowej Katherine, wdrożonej jeszcze przed otwarciem, cieszyło się sławą jednego z najmodniejszych miejsc zakupowych w mieście.

Tabitha uniosła starannie wypielęgnowane brwi i dała znak stojącej obok kobiecie, aby kontynuowała nakładanie maseczki.

- Och, tak. Cudowne miejsce, mają tam kreacje doskonale się zapowiadających młodych projektantów - przytaknęła z entuzjazmem.

Darcy zanotowała w pamięci, aby powiedzieć o tym Katherine. Na pewno będzie jej miło.

- Niestety, nie wiem, co mogę dla pani zrobić - ciągnęła Tabitha. - Zazwyczaj nie rozmawiam z PR-owcami bez wcześniejszych ustaleń, a już na pewno nie...

- Jestem tutaj z zupełnie innego powodu - zapewniła Darcy szybko. - Właściwie to dłuższa sprawa. - Nie była pewna, czy może bez żadnych wstępów tak po prostu opowiedzieć od początku do końca historię Aidana i jego amnezji.

- No cóż, proszę najpierw usiąść. Zakłóca pani moją aurę - poprosiła Tabitha. - A skoro pani historia jest taka długa, to powinna pani wybrać sobie jakiś zabieg.

- Och, nie, naprawdę nie sędzę... - zaprotestowała Darcy, ale zanim zdążyła się zorientować, jedna kosmetyczka już pomagała jej włożyć szlafrok, a druga prowadziła ją w stronę leżanki.

- Może manikiur, proszę pani? - zaproponowała kosmetyczka, spoglądając na jej obgryzione paznokcie.

Darcy, która nigdy w życiu nie używała nawet pilnika do paznokci i była przerażona perspektywą jakiegokolwiek „zabiegu”, instynktownie skurczyła się w sobie.

- Naprawdę nie, serdecznie dziękuję.

- Czy zdaje sobie pani sprawę, jak trudno się tu umówić? - przerwała jej ostro Tabitha. - Na pani miejscu nie patrzyłabym darowanemu koniowi w zęby - dodała tonem na tyle stanowczym, że Darcy musiała się poddać.

Nie była pewna, czego ma się spodziewać, nie mówiąc już o tym, ile ta męka będzie ją kosztować. Wstrzymała oddech, kiedy kosmetyczka poprosiła ją, aby usiadła prosto i zanurzyła dłonie w jakimś roztworze. Odpręż się, Darcy, tłumaczyła sama sobie. Przecież to nie badanie cytologiczne. Chociaż akurat w tej chwili, gdyby miała wybór, może właśnie wolałaby to drugie... Naprawdę nie miała pojęcia, co ją tu czeka. Ale skoro kobiety na całym świecie regularnie poddają się takim zabiegom, to chyba nie powinna się niczego obawiać. Po prostu nigdy nie korzystała z podobnych usług.

Prawda była taka, że Darcy nie znosiła, kiedy sytuacja wymykała jej się spod kontroli, i zawsze czuła się najszcześliwsza w granicach własnego małego świata, gdzie nie mogło zdarzyć się nic zbytnio odbiegającego od normy. O wiele lepiej jest natykać się na niespodzianki w książkach.

- Cudownie. - Tabitha Kensington była chyba zadowolona, że Darcy postanowiła przyłączyć się do zabawy. - Proszę więc opowiedzieć mi, jaka ważna sprawa kazała pani dziś zakłócić mój zabieg na twarz.

Darcy, starając się nie krzywić zarówno z powodu tonu Tabithy, jak i kosmetyczki podchodzącej z nożyczkami do paznokci, zaczęła opowiadać o wypadku i o tym, jak skrzyżowały się ścieżki jej i Aidana. Kiedy mówiła, wszystkie kobiety obecne w gabinecie zachowywały niepokojące milczenie, więc Darcy instynktownie zniżyła głos do szeptu, jakby wyznawała jakąś straszliwą tajemnicę. Tabitha wydawała się nieporuszona. Kończąc opowieść, Darcy obróciła się i spojrzała na nią

w nadziei na jakąś reakcję. Brwi kobiety uniosły się pod maseczką.

- No dobrze - powiedziała. - Ładna historia, ale nadal nie wiem, co ma wspólnego ze mną.

Darcy uśmiechnęła się uprzejmie... na tyle, na ile mogła, bo manikiurzystka niemiłosiernie ścisnęła jej palce, jednocześnie odsuwając skórki przy paznokciach. Zastanawiała się, czy ta kobieta nie była w poprzednim wcieleniu specjalistką od tortur.

- Właśnie miałam przejść do tej kwestii. Ten biedny człowiek poprosił mnie, żebym poszła do jego domu i sprawdziła, czy znajdzie się tam coś, co mogłoby mu pomóc. Więc... - wypowiadając te słowa, Darcy zdała sobie sprawę, że ta część historii brzmi nieco podejrzanie - ... więc poszłam do jego domu, znalazłam kilka przedmiotów, które uznałam za przydatne, i sprawdziłam jego telefon na wypadek, gdyby ktoś już zauważył jego nieobecność. Znalazłam tam pani numer czy też raczej numer telefonu w pani domu.

Darcy skończyła mówić i niepewnie przełknęła trochę rumiankowej herbatki, która wyrosła przed nią jak spod ziemi. Znowu spojrzała na Tabithę. Jej nieprzenikniony wzrok sprawiał, że czuła tym większy niepokój.

- Mówi pani, że na jego sekretarce był mój numer telefonu?

- Tak. - Darcy kiwnęła głową, mając nadzieję, że nie popełniła żadnego wykroczenia. Przypuszczała, że mówi o czymś, co jest od dawna znane. Na wszelki wypadek postanowiła dodać jeszcze jedno wyjaśnienie. - Zadzwoiłam pod ten numer dziś rano i rozmawiałam z kimś,

kto wspomniał, że pani... może po południu być tutaj. - Specjalnie nie wymieniła imienia Marii w obawie, że może narazić ją na nieprzyjemności. - Zostałam również poinformowana, że pani mąż jest w Europie, więc założyłam, że to on dzwonił do Aidana.

- Jak się nazywa ten pani znajomy?

Darcy zmarszczyła czoło. Była pewna, że już kilkakrotnie wymieniła jego nazwisko.

- Aidan Harris. Mieszka w pobliżu Central Park West, okolice wyższych Siedemdziesiątych.

Brwi Tabithy uniosły się pod maseczką z glinki.

- Cóż, przykro mi, ale obawiam się, że nie mogę pani pomóc. Nie mam najmniejszego pojęcia, kim jest Aidan Harris.

Rozdział siedemnasty

Po przywitaniu z recepcjonistką zostałem poprowadzony do biura na tyłach budynku przez inną kobietę, która bardzo miło poprosiła mnie, żebym zaczekał, aż któryś z menedżerów będzie mógł się ze mną spotkać. Byłem pewien, że nie potrwa to długo; w Christie's nie pozwalano tracić czasu klientom z taką książeczką czekową jak moja.

Usadawiłem się w fotelu, a kobieta zaproponowała mi coś do picia. Powiedziałem, że z przyjemnością napiję się czarnej kawy, a kiedy wyszła, natychmiast poczułem się winny, że nie zapytałem, jak ma na imię. Nie lubiłem myśleć o ludziach jako o „personelu pomocniczym”. To ważne, aby nazywać tych, z którymi pracujemy i którzy nam pomagają, ich własnymi imionami. Albo chociaż takimi, pod którymi chcą być znani. Niektórzy rodzice mają beznadziejny gust, jeśli chodzi o imiona dla dzieci. Znałem kiedyś małżeństwo, które nazwało córkę Leia, po księżniczce z *Gwiezdnych wojen*. Mel mówiła mi, że w szkole znała dziewczynkę o imieniu Aquanette, jak lakier do włosów. Nie zdziwiło mnie, że dziewczynka upierała się, by mówiono do niej Etta. Rozsądne posunięcie.

W oczekiwaniu na kawę rozglądałem się po biurze. Był to ładny pokój, gustownie udekorowany kilkoma przyciągającymi uwagę przedmiotami. Na ścianie wisiał obraz Matisse'a, a w rogu pokoju wyeksponowano wazę. Przyjrzałem jej się bliżej i upewniłem się, że pochodzi z epoki Ming. Uśmiechnąłem się, myśląc o tym, co powiedziałyby mój ojciec, gdyby mógł mnie teraz zobaczyć, i o tym, jak bardzo zmieniło się moje życie, skoro jestem w stanie od razu rozpoznać takie szczegóły. Jedno jest pewne: odszedłem bardzo, bardzo daleko od O'Connell Street.

Kiedy wróciłem na fotel, przyszło mi do głowy, żeby znowu wyjąć telefon - tylko po to, żeby jeszcze raz skontaktować się z Mel. Przypomniałem jednak sobie, że ma dziś trudny dzień i na pewno będzie zajęta, postanowiłem więc popatrzeć na jej piękną twarz.

Wybrałem galerię i z uśmiechem przewijałem zdjęcia - radosne wspomnienia z ostatnich kilku tygodni, utrwalone, od kiedy, śmiejąc się, pokazała mi, jak posługiwać się aparatem fotograficznym w iPhone. Muszę przyznać, że to był dobry rok, z pewnością lepszy niż poprzedni. Wyglądało na to, że najgorsze mamy już za sobą i teraz Mel czuje się bezpieczna i szczęśliwa. Znowu jest sobą.

To wielka ulga. Unieszczęśliwienie Mel byłoby ostatnią rzeczą, której bym sobie życzył. Mimo to sądzę, że oboje zrozumieliśmy, iż czasem życie nie układa się zgodnie z naszymi planami i chociaż lubię spędzać czas sam z sobą, to żyję również po to, aby widywać się z nią tak często, jak to możliwe.

Spojrzałem na zdjęcia, zrobione w różnych miejscach i w różnych nastrojach. Na wszystkich blond włosy fruwały

wokół jej uśmiechniętej twarzy. Na jednym tańczyła z szerokim uśmiechem wokół brzegu fontanny Bethesda w Central Parku. Na innym siedziała na drewnianym koniu na karuzeli, też w Central Parku, z trudem powstrzymując się od parsknięcia śmiechem.

Zanim zdążyłem przywołać więcej wspomnień, drzwi biura za moimi plecami otworzyły się i wszedł znany mi mężczyzna. Podążająca za nim młodsza kobieta niosła srebrną tacę. Prosiłem o czarną kawę, ale wewnętrzny regulamin Christie's nie przewidywał chyba możliwości podania gościowi zwykłej filiżanki kawy i zalecał wyjęcie najlepszej porcelany.

Wziąłem od niej filiżankę, doceniając jej wysiłek, chociaż nie mam nic przeciwko tekturowym kubkom, byle tylko kawa była gorąca i świeża.

Zanim zdążyłem powiedzieć coś więcej niż „dziękuję”, choćby zapytać ją o imię, jej szef o nazwisku George Stafford odchrząknął, przełknął łyk kawy (ze śmietanką i cukrem) i rozsiadł się wygodnie.

- Panie Harris, miło znowu pana widzieć. Mam nadzieję, że u pana wszystko w porządku?

Nieznacznie skinąłem głową, powiedziałem, że owszem, ale pomyślałem o Baileyu czekającym na zimnej ulicy. Postanowiłem ograniczyć wymianę uprzejmości i skoncentrować się na zadaniu. Opowiedziałem George'owi o mojej misji, on zaś przytaknął i odparł, że już go poinformowano, czego poszukuję.

- Oczywiście nie znaczy to, że nic takiego nie da się znaleźć... Uniosłem brwi, czekając na nieuchronne „ale”.

- Muszę jednak zadać panu pytanie. Czy jest pan pewien, że szuka właśnie tego szczególnego rocznika?

- Tak - odpowiedziałem. - Dlaczego pan o to pyta? George ściągnął usta.

- Chodzi o to, że miesiąc temu sprzedaliśmy właśnie taki egzemplarz na aukcji.

Cholera. Przeciągnąłem ręką po włosach. Gdybym miesiąc temu wiedział, czego będę potrzebował, na pewno coś bym zrobił w tej sprawie. Tylko że o tym nie wiedziałem, to był pomysł z gatunku tych, które rodzą się za pięć dwunasta, pod wpływem impulsu. Teraz jednak liczyło się wyłącznie to, czy zdołam zdobyć cenny przedmiot na tyle szybko, by zdążyć na wielki dzień.

- Czy myśli pan, że osoba, która to kupiła na aukcji, będzie skłonna wziąć pod uwagę odsprzedaż?

George ściągnął wargi.

- Raczej nie. To poważny kolekcjoner, od dłuższego czasu penetrował rynek w poszukiwaniu tego egzemplarza.

Wypuściłem powietrze z płuc. Przeżyłem rozczarowanie.

- Czy mamy jakieś inne możliwości? Musi być jakieś rozwiązanie. Wiem, że to trudna sprawa, ale na pewno jest ktoś, kto zechce to sprzedać. Przecież zawsze tak się dzieje.

George w zamyśleniu pokiwał głową.

- Jestem skłonny zgodzić się z panem. Jestem jednak również świadomy wiążącego pana terminu. Panie Harris, zapewniam, że szanuję pana firmę i doceniam fakt, iż jest pan tak lojalnym klientem, ale na pewno zdaje pan również sobie sprawę, że zbliża się koniec grudnia. Ludzie szykują się do wyjazdu na Saint Barts albo do Saint-Tropez, jeśli już

tam nie wyjechali. Wszyscy, którzy mogą panu pomóc, są prawdopodobnie nieobecni, przynajmniej do Nowego Roku.

Wiedziałem, o czym mówi. Sugerował, że każdy, kto mógłby mi sprzedać tak cenny przedmiot, jest już na swoim jachcie. Wiedziałem jednak również, że wielu podróżników nie wyjechało jeszcze na święta. Nie zamierzałem się łatwo poddawać. Zbyt wiele od tego zależało.

- Cóż, George, ciężko mi uwierzyć, że nie mam żadnych opcji - powiedziałem, nie kryjąc poirytowania. Taki ton głosu zazwyczaj sprawiał, że ludzie robili to, o co prosiłem. - Szczególnie że jestem gotów rozstać się z pokaźną kwotą. Co więc może pan dla mnie zrobić?

George wciągnął powietrze i spojrzał mi prosto w oczy. Wiedział, że mówię serio.

- No cóż - zaczął z wahaniem. - Przypuszczam, że istnieje możliwość... skorzystania z listy.

Skinąłem głową.

- Jakiej listy? - wykazałem żywe zainteresowanie. - Proszę powiedzieć mi więcej.

George starannie dobierał kolejne słowa.

- Christie's nie angażuje się bezpośrednio w takie transakcje, ale wiemy, że pewne przedmioty są sprzedawane i kupowane prywatnie. Często jesteśmy informowani o nich, ponieważ obserwacja tego rodzaju praktyk na rynku niejako należy do naszych obowiązków... Głównie ze względu na najważniejszych klientów. - Zrobił małą przerwę w celu wywołania odpowiedniego efektu. - Mamy więc prywatną listę kolekcjonerów zamieszkujących obszar Nowego Jorku, którzy mogą posiadać interesującą pana rzecz.

- Doskonale - powiedziałem, wyraźnie pokrzepiony na duchu.
- Czy w takim razie mógłby pan skontaktować się z tymi ludźmi w moim imieniu?

- Panie Harris, przede wszystkim jeszcze raz zapewniam, że bardzo cenimy pana jako klienta, ale zazwyczaj tego nie robimy, jeśli nie mamy pewności, że osoby te poważnie rozważają sprzedaż. Komuś takiemu jak pan z pewnością nie muszę tłumaczyć, że ludzie ci nie lubią, gdy ktoś zwraca się do nich bez zapowiedzi. Nie biorą udziału w aukcjach na eBayu, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Uśmiechnąłem się. Gdyby tylko była możliwość znalezienia tego, co mnie interesuje, na eBayu, już dawno bym to zrobił.

- Oczywiście - odparłem. - Sugeruje pan więc, abym sam się z nimi skontaktował?

- Tak. Jeśli obieca pan zachować dyskrecję, z przyjemnością przekażę panu niezbędne dane. Nie mogę zagwarantować sukcesu, ponieważ nie są mi znane szczegóły dotyczące poszczególnych kolekcji, ale może przynajmniej uda mi się skierować pana w odpowiednią stronę. Jak już mówiłem, pański termin jest... mało realistyczny.

Kiwnąłem głową. Wszystko doskonale rozumiałem. Zbyt długo zwlekałem, a teraz mogę zawieść.

- Dziękuję - powiedziałem. - A zatem spróbujmy. Zobaczmy, co z tego wyjdzie.

George, wyraźnie usatysfakcjonowany, wstał i obiecał wkrótce wrócić. Usiadłem z powrotem w fotelu i pomyślałem, że nie wyjdę z Christie's z pustymi rękami. Nie spodziewałem się, że będzie łatwo, i należało się cieszyć, że zyskałem przynajmniej punkt zaczepienia.

Jakieś dziesięć minut później pojawił się George, trzymając w ręku skoroszyt. Okrążywszy biurko, usiadł, otworzył skoroszyt i spojrzał na mnie, jakby rozważając coś w myślach, po czym oświadczył:

- Na pewno rozumie pan, że te informacje są ściśle tajne. Pchnął skoroszyt w moim kierunku.

- Oczywiście, że rozumiem - odrzekłem. Uniosłem skoroszyt, ale powstrzymałem się przed

rozchyleniem okładek. Nie chciałem zaniepokoić George'a zbyt dużym entuzjazmem. Musiałem powiedzieć coś, co pozwoliłoby mu spokojnie zasnąć.

- Proszę okazać mi zaufanie. Obiecuję, że go nie zawiodę. Nikt nie dowie się, w jaki sposób wszedłem w posiadanie informacji, a nazwa Christie's nie padnie w żadnej rozmowie.

Wstałem, podziękowałem i uścisnąłem mu dłoń.

Wychodząc z biura, wyciągnąłem z kieszeni telefon i poprosiłem Siri, aby przypomniawszy mi o prezencie dla George'a w dowód wdzięczności za jego trud. W holu rozejrzałem się, wypatrując recepcjonistki. Chciałem podziękować, ale nigdzie jej nie było, więc wyszedłem na ulicę.

Bailey siedział wyprostowany, jakby wiedział, że pojawię się właśnie w tym momencie. Odwiązałem smycz, a on spojrzał na mnie, milcząco wypytyjąc, co się działo i co będziemy teraz robić. Sprawdziłem godzinę. Było późne popołudnie, więc miałem jeszcze czas, żeby od razu przystąpić do działania. Czas liczył się teraz przede wszystkim.

- No, Bailey - powiedziałem do niego. - Idziemy do domu. Muszę wykonać parę telefonów, a ty pewnie byś coś przekąsił.

Radośnie pomachał ogonem i ruszył za mną. Po drodze otworzyłem skoroszyt, który dał mi George, i spojrzałem na schowany w nim pojedynczy arkusz papieru. Rozpoznałem kilka nazwisk z listy. Kolekcjonerów było sześciu, a wszyscy posiadali... albo przynajmniej swego czasu weszli w posiadanie dokładnie tego, czego szukałem. Pozostawało jedno pytanie: czy któryś z nich zechce się z tym rozstać?

Rozdział osiemnasty

Na świecie pełno jest oczywistych rzeczy, których jakimś zbiegiem okoliczności nikt nigdy nie zauważa.

Arthur Conan Doyle*

Pomimo iż Darcy przez kilka następnych minut zastanawiała się wraz z Tabithą Kensington, z jakiego powodu numer telefonu Tabithy pojawił się na sekretarce Aidana Harrisa, nie udało im się niczego wymyślić.

Początkowe obawy Darcy, że Tabitha jest drapieżną lwicą, rozwiały się, gdy się okazało, że pani Kensington przypomina raczej domową kicię. Nie tylko uparła się, że zapłaci za (piekielny) manikiur Darcy, ale była również tak miła, że przejrzała listę kontaktów w swojej komórce, próbując znaleźć Aidana Harrisa, ewentualnie koleżankę lub znajomą o tym nazwisku.

*** *Pies Baskerville'ów*, w. *Księga wszystkich dokonań Sherlocka Holmesa*, przet. Anna Krochmal i Robert Kędziński. Marta Domagalska, Zofia Wawrzyniak, Wydawnictwo REA, Warszawa 2011, s. 662.**

Szczodrość Tabithy udowodniła Darcy, że pozory i opinie mogą często mylić, podobnie jak postać Aidana, który przewróci! do góry nogami jej postrzeganie świata zamożnych nowojorczyków.

- Przykro mi, że nie mogę nic więcej zrobić, naprawdę - powiedziała Tabitha. - Przypuszczam, że po prostu ktoś ode mnie z domu go zna. Zatrudniam sporo personelu, więc mogłabym sprawdzić, zapytać moją asystentkę - zaproponowała.

Darcy uśmiechnęła się bez entuzjazmu. Doceniała uprzejmość Tabithy, ale miała wątpliwości, czy może to być ktoś z „personelu” - szczególnie że Aidan zdawał się należeć do tej samej klasy co państwo Kensingtonowie. Nie rozumiała, jak to możliwe, że się nie znają. Sądziła, że wszystkie grube ryby pływają razem i poruszają się w tych samych kręgach. Ale może było to kolejne fałszywe założenie. Jednocześnie wątpiła, by Aidan utrzymywał kontakty z ochmistrem, kamerdynerem czy innym służącym, którego ludzie tacy jak Tabitha zatrudniali do prowadzenia domu. Mimo to podziękowała grzecznie:

- Byłoby wspaniale, pani Kensington. Naprawdę bardzo to doceniam, Aidan również.

- Proszę, mów mi Tabitha. - Celebrytka uśmiechnęła się ciepło, a maseczka z glinki popękała wokół ust i nieznacznie się ukruszyła. - Oczywiście istnieje również możliwość, że ktoś pomylił się, wybierając numer. Pomyślałaś o tym?

Darcy przyznała, że przyszło jej to do głowy. Ale numer Kensingtonów był jedynym zapisanym w telefonie Aidana oprócz zastrzeżonego numeru, z którego dzwoniła wystawiona do wiatru kobieta. Była niemal

stuprocentowo pewna, że to wszystko jest jakoś z sobą powiązane.

Chyba że znowu oceniała książkę po okładce. Może Aidan utrzymywał kontakty z kimś z personelu Kensingtonów. Nie ma reguł twierdzących, że ludzie mogą się spotykać jedynie w ramach własnej klasy społecznej. Biorąc pod uwagę zdroworozsądkowe podejście Aidana do życia, taka hipoteza była całkiem prawdopodobna.

Jedną rzecz Darcy wiedziała za to na pewno: jeśli Aidan naprawdę żył w związku z pracownicą Tabithy, nie mogła to być Maria. Darcy przypomniała sobie, z jakim spokojem Maria przyjmowała informacje na temat jego stanu zdrowia.

Po wymianie numerów telefonów Darcy pożegnała się z Tabithą i jeszcze raz przeprosiła za zakłócenie jej odpoczynku w spa. Tabitha obiecała, że poleci asystentce skontaktować się z Darcy, jeśli uda im się czegokolwiek dowiedzieć, a na końcu wymogła na Darcy obietnicę, że nie powie nikomu (na przykład reporterowi z magazynu „Page Six” dziennika „New York Post”), iż widziała ją w takim stanie. Mówiąc ściślej, w maseczce z glinki, bez widocznych rysów twarzy. Darcy zapewniła, że nie piśnie ani słowa.

Martwiła się trochę, że Tabitha zechce ją poprosić o pokazanie komórki i przejrzy ją w poszukiwaniu ewentualnych zdjęć zrobionych z ukrycia podczas spotkania. Podejrzewała bowiem, że w życiu sławnych kobiet często się to zdarza, i przez chwilę - bardzo krótką - współczuła swej rozmówczyni. Co ona sama oddałaby, żeby móc siedzieć sobie przez cały dzień, nic nie robiąc, podczas gdy

wszyscy inni by się nią zajmowali. Oczywiście jeśli by to wytrzymała. Skórki przy paznokciach nadal szczypały ją po pierwszym w życiu manikiurze, ale musiała przyznać, że jej dłonie, miękkie teraz w dotyku, wyglądały bardzo ładnie, a paznokcie były idealnie równej długości. Kilka dni otwierania pudeł z książkami w księgarni i wróć do poprzedniego stanu, pomyślała ponuro. W perspektywie jednak miała jutrzejszy wolny dzień. Postanowiła, że wykorzysta go na nadrobienie zaległości w czytaniu. Przez ostatnie dni była tak zajęta pomaganiem Aidanowi, że wieczorami nie była w stanie utrzymać otwartych oczu, nie mówiąc już o przeczytaniu kilku rozdziałów przed zaśnięciem. Nie poznawała samej siebie.

Wychodząc z salonu piękności, Darcy wysłała szybką wiadomość do Katherine, by podziękować za pomoc i zapewnić, że czuje się dłużniczką ciotki, mimo że spotkanie nie przyniosło żadnych konkretnych rezultatów. Kiedy wsiadała na rower, spojrzała na zegarek i uznała, że skoro już jest w tej części miasta, to równie dobrze może pojechać parę przecznic dalej do salonu Apple'a i przekonać się, czy istnieje jakaś nadzieja na uratowanie zmiażdżonego iPhone'a Aidana.

Koło fontanny Pulitzera zeskoczyła z roweru i przymocowała go do szyny parkingowej na betonowym placu, naprzeciwko olbrzymiego szklanego pudła, stanowiącego siedzibę jednego z potentatów na rynku najnowszych technologii.

Jej awersja do najnowszych zdobyczy techniki była znana wśród przyjaciół. Odnosiła smutne wrażenie, że sklepy z nowinkami technologicznymi zaczynają

zastępować księgarnie i biblioteki jako miejsca, gdzie dzieci mogą spędzać czas. Jaki gadżet mógłby kiedykolwiek oddać zapach i dotyk prawdziwej książki albo radość z jej otwierania i przewracania kartek? Książka to zdecydowanie więcej niż tylko słowa na papierze. Darcy nadal miała wszystkie książki, które kupiła i przeczytała w ciągu ostatnich dwudziestu lat, a wiele z nich czytała kilkakrotnie. Kupowała nawet kolejne wydania tych, które już miała, jeśli okładka nowego była ciekawsza, ładniejsza. Najulubieńszych książek miała po dwa egzemplarze -jeden do czytania, a drugi do przechowywania w nienaruszonym stanie. Książki były dla niej fizyczną postacią wspomnień, przenośną magią. Zwykły kawałek plastiku nie miał szans nawet spróbować konkurować z nimi i chociaż niektóre z nowych wynalazków służących do czytania mogły wydawać się wygodne, ona sama nigdy się do nich nie przekonała.

Sprawdziła raz jeszcze, czy na pewno ma przy sobie komórkę Aidana, a potem weszła do szklanego pudła i skierowała się schodami w dół, do podziemnego pomieszczenia, gdzie mieścił się salon Apple'a. Natychmiast uderzył ją nadmiar bodźców. Było tam jasno, klinicznie białe, a wszyscy ludzie spacerujący wokół, jakby nieco oderwani od rzeczywistości, wpatrywali się w swoje urządzenia z widocznym podziwem i respektem. Darcy przedarła się przez tłum i stanęła w kolejce do konsultanta. Słyszała gdzieś, że w tym sklepie nie ma kas, a sprzedawcy po prostu dzwonią do klientów z dowolnego miejsca za pośrednictwem małych ręcznych komputerów.

- W czym mogę pani pomóc? - zwrócił się do niej przyjaźnie asystent, kiedy Darcy podeszła do niego po kilku minutach czekania.

Darcy wyjęła z torby iPhone'a Aidana.

- Ten aparat jest zepsuty i chciałabym...

- Jest pani umówiona? - zapytał uprzejmie, a Darcy pomyślała, że chyba się przesłyszała. Do czego to podobne, żeby umawiać się tylko po to, by zadać proste pytanie?

- O? Nie, właściwie nie jestem, ale chciałam tylko zapytać...

- W takim razie mogę panią wpisać na listę oczekujących - przerwał. Ton jego głosu był tak uprzejmie obojętny, że Darcy miała ochotę wrzasnąć.

- Na listę oczekujących?

- Tak. To potrwa tylko piętnaście, najwyżej dwadzieścia minut.

Darcy zrobiła wielkie oczy. W jaki sposób takie sklepy mogą utrzymać się na rynku? Gdyby przyjęli podobną taktykę w księgarni i kazali klientom czekać piętnaście minut, aż będą mogli zadać pytanie, Chaucer's zbankrutowałoby w mgnieniu oka. A może była to po prostu część strategii Apple'a? Coś w rodzaju faceta, który udaje trudnego do zdobycia, a kobiety tym bardziej go pragną. W tym jednak momencie Darcy nie była w nastroju na technologiczne pseudozaloty.

- Czy mógłby pan po prostu odpowiedzieć mi na szybkie pytanie? - poprosiła. - Czy można odzyskać dane z zepsutego telefonu?

- Naprawdę bardzo chciałbym pani pomóc, ale obawiam się, że musi pani porozmawiać z kimś z naszego zespołu

pomocy technicznej - odpowiedział asystent tym samym irytująco uprzejmym tonem.

Chłopak wydawał się miły, ale Darcy nie mogła się zdecydować, czy wybiec z krzykiem ze sklepu, czy poczekać na kogoś, kto potrafi jej pomóc. W końcu przypomniała sobie, że nie jest tu dla własnej korzyści, tylko ze względu na Aidana, postanowiła więc zacisnąć zęby i poczekać.

Sprawdziła godzinę. Było już dobrze po osiemnastej i zaczynała odczuwać wyrzuty sumienia, że już drugi wieczór z rzędu zostawia Grace z Baileyem do późna. Ale przynajmniej następnego dnia nie będzie już musiała zawracać głowy sąsiadce, bo jeśli przy odrobinie szczęścia uda się załatwić tę sprawę, Bailey wkrótce wróci do właściciela.

Oparła się o najbliższą ścianę i pogrążyła w oczekiwaniu, z rozmysłem nie interesując się najrozmaitszymi gadżetami, które wszyscy dookoła zdawali się traktować jak mannę z nieba. Kwadrans później szczęśliwie znalazła się na początku listy oczekujących. Podeszła do niej młoda pracownica, wyglądająca na czternaście lat.

- Czy pani ma na imię Darcy? - zapytała.

- Tak, to ja. Czy to już moja kolej? - odparła zaskoczona Darcy.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Tak. Ma pani sporo szczęścia, że udało jej się załatwić spotkanie tak szybko, bez wcześniejszego umówienia - powiedziała, a Darcy uśmiechnęła się ponuro. Rzeczywiście ma szczęście! Ale ta dziewczyna też wydawała się miła. - Mam na imię Jenna i będę pani dziś pomagać. Rozumiem, że pani telefon jest rozbity? Ciężka sprawa.

Darcy kiwnęła głową i pokazała jej telefon Aidana.

- Tak. Zastanawiam się, czy da się to naprawić? Jenna wzięła od niej aparat i pobieżnie go zbadała.

- Hm, jest nieźle poobijany. - Zaczęła wymieniać zniszczenia różnych portów i punktów, używając słów, które natychmiast ulatywały z pamięci Darcy. - Cóż, niestety takie rzeczy rzadko daje się naprawić i zazwyczaj bardziej opłaca się kupić nowy telefon - powiedziała w końcu.

Darcy się skrzywiła.

- Domyślam się. Ale co z informacjami... numerami kontaktowymi i tak dalej. Czy to też zostało zniszczone?

- Nie, nie, z pamięcią telefonu jest wszystko w porządku. Ekran jest czarny tylko dlatego, że bateria się wyładowała - poinformowała ją Jenna ze znawstwem.

- Możemy więc bez problemu przetransferować wszystkie pani dane. - Przeniosła uwagę na małe ręczne urządzenie, które pokazywało informacje o kontaktach klientów. - Proszę mi podać swoje pełne nazwisko i adres, Darcy. Mogę też od razu zamówić dla pani nowy telefon i przesłać go do domu.

- Och, nie, widzi pani, chodzi o to, że to nie mój telefon

- powiedziała Darcy pośpiesznie. - Ja tylko sprawdzam... Kolega pilnie potrzebuje dostępu do informacji... kontaktów, kalendarza i tak dalej.

-Aha.

Twarz Jenny nie zdradzała żadnych uczuć, ale Darcy była pewna, że pracownicy sklepu słyszeli już niezliczone wersje takich łązawych historii od klientów przychodzących z nie swoimi telefonami i pragnących dostępu do danych. Zapewne najczęściej prosiły o to zdradzane żony i lekceważeni bliscy. Zanim jednak Jenna zdążyła zakończyć

spotkanie i powiedzieć, że nie może uzyskać dostępu do danych bez zgody właściciela aparatu, Darcy zaczęła jej opowiadać o wypadku i o tym, jak próbuje pomóc Aidanowi odzyskać pamięć. Naprawdę potrzebuje wsparcia Jenny, nawet jeśli, relacjonując tę historię, sprawia wrażenie trochę niezrównoważonej.

Nie była pewna efektu swojego wystąpienia, biorąc pod uwagę fakt, iż dziewczyna patrzyła na nią teraz z otwartymi ustami. Przerwała więc w celu nabrania oddechu i postanowiła wzmóc wysiłki:

- Bardzo panią proszę, Jenno. Wiem, że to niecodzienna sprawa i że to pewnie niezgodne z zasadami firmy, ale naprawdę potrzebuję pomocy. To wszystko zdarzyło się z mojej winy i muszę spróbować to naprawić.

Jenna zamknęła w końcu usta i przyjrzała się Darcy sceptycznie.

- Ma pani rację, to rzeczywiście niezgodne z naszymi zasadami.

- Proszę... Do świąt zostało tylko pięć dni i jestem pewna, że ktoś za nim tęskni, ale nikt nie może skontaktować się z jego rodziną, żeby powiedzieć im, gdzie on jest. Krewni z pewnością szaleją z niepokoju - dodała, myśląc o kobiecie z nagrania na sekretarce, która teraz jest zapewne pogrążona w rozpacz. Domyślała się, że w pamięci iPhone'a muszą się znajdować niezliczone i coraz bardziej rozpaczliwe wiadomości od tej kobiety, a jeszcze więcej od najbliższych Aidana. - Obie wiemy, że ośrodkiem życia większości ludzi jest telefon. Proszę. Czy prześladowczy ni zapłaciłaby za naprawę telefonu albo kupiłaby nowy dla faceta, którego prawie nie zna?

Jenna zachowywała obojętny wyraz twarzy, nawet jeśli sądziła, że prześladowczym zrobiłaby właśnie to, o czym mówiła Darcy. W końcu przemówiła:

- To jak się nazywa ten człowiek? Zakładam, że wie pani przynajmniej tyle...

Darcy przytaknęła, uradowana, że potrafi odpowiedzieć.

- Tak. Nazywa się Aidan Harris.

Jenna zabrała się do wstukiwania informacji do swojego urządzenia. Potem zmarszczyła brwi.

- Szczerze mówiąc, w systemie jest kilku Aidanów Harrisów. Ma pani może jakiś adres?

Darcy podała jej adres Aidana przy Central Park West. Jenna wprowadziła nową informację i kiwnęła głową.

- Teraz go mam, ale jest zarejestrowany jako telefon firmowy.

- W oczach dziewczyny pojawił się nagle błysk zrozumienia. - Ja chyba pamiętam tego faceta. Był u nas... Nie wiem, może jakiś tydzień temu? Pamiętam, że spodobała mi się nazwa firmy, brzmiała dość odjazdowo. - Podniosła wzrok na Darcy. - Wysoki, ciemne oczy i włosy? Całkiem przystojny, chociaż starszawy.

Aidan zaledwie dobiegał czterdziestki, był niewiele starszy od Darcy, ale przypuszczała, że młodziutkiej Jennie musiał wydać się sędziwy.

- Tak, to z pewnością był on. Zielone oczy dziewczyny rozbłysły.

- Pamiętam go doskonale. Miał problemy z listą kontaktów. Ustawiłam mu Siri. - Spojrzała z powrotem na ekranik swojego komputera. - Więc jest teraz w szpitalu? Naprawdę go pani potrąciła?

Darcy zagryzła wargi.

- No, coś w tym rodzaju. Ale to był wypadek. I brat w nim udział mój rower. Nie przejechałam go samochodem ani nic takiego. Ale czy w świetle tego wszystkiego możemy załatwić mu nowy telefon? I ile będzie kosztował? - Poczowała ściskanie w żołądku, nie mając pojęcia, czy wystarczy jej pieniędzy na karcie, żeby za niego zapłacić.

Jenna się uśmiechnęła.

- Proszę się nie martwić. Telefon jest ubezpieczony i mamy też instrukcje, aby wszystkie naprawy, problemy, faktury i tak dalej szły na rachunek firmy. Załatwię aparat zastępczy, a potem możemy zająć się transferem danych.

- Więc Aidan nie straci żadnych danych i będzie miał dostęp do numerów, zdjęć i tak dalej? - Darcy była uradowana. Układ gwiazd zaczynał wreszcie zmieniać się na jej korzyść.

- Tak, ale najpierw będziemy potrzebowali pisemnej zgody firmy na zamówienie nowego aparatu.

Darcy zmarszczyła brwi, zastanawiając się, jak urobić Jennę w tej sprawie. Przyszło jej do głowy, że skoro Aidan pracuje w tej firmie albo nawet jest jej właścicielem, to sam może podpisać zgodę. Potem coś jej się przypomniało.

- Oczywiście - powiedziała jakby od niechcienia. - Jestem pewna, że nie będzie z tym problemu. Bardzo dziękuję za pomoc. Czy może mi pani podać nazwę firmy, żebym mogła to załatwić?

- Jasne. - Jenna spojrzała na swój komputer i przekazała Darcy jeszcze jeden element układanki, którą stanowił Aidan Harris. - Jak już mówiłam, brzmi dość interesująco. Konto jest zarejestrowane na firmę Thrill Seeker Holdings.

Rozdział dziewiętnasty

Życie nie ma obowiązku dać nam tego, czego oczekujemy.

Margaret Mitchell*

Tego wieczoru Darcy ułożyła się na sofie razem z Baileyem, włączyła swojego starożytnego laptopa Vaio i rozpoczęła internetowe poszukiwania firmy Thrill Seeker Holdings. Od początku była ciekawa, czym zajmuje się Aidan. Zdobycie tej informacji mogło dać jej odpowiedź.

Podobnie jak Jenna uważała, że nazwa brzmi intrygująco, i zastanawiała się, czy Aidan jest jednym z facetów, którzy angażują się w adrenalinowe sporty ekstremalne, takie jak snowboarding albo skoki ze spadochronem. Przemawiałyby za tym zdjęcia w jego domu. Kiedy przeglądarka wyświetliła rezultaty wyszukiwania, Darcy spodziewała się wielu stron wypełnionych szczegółami najróżniejszych ekscytujących propozycji firmy Thrill Seeker Holdings. Nie wierzyła jednak, że tego rodzaju biznes przynosi

** Przemięło z wiatrem.*

aż tak ogromne dochody. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że być może Aidan odziedziczył swoją fortunę. Może urodził się w amerykańskiej rodzinie, a akcentu nabrał podczas studiów w Irlandii? Wiedziała, że Trinity College to stara, prestiżowa uczelnia w Dublinie, często wybierana przed drugie i trzecie pokolenie irlandzko--amerykańskich rodzin jako sposób na utrzymanie kontaktu z dziedzictwem przodków. Postanowiła zapytać Aidana, czy mówi mu coś nazwa tego uniwersytetu, po czym ponownie spojrzała na ekran.

Niestety, Google pokazał niewiele wyników - tylko link do ogólnej strony informacyjnej i krótki artykuł potwierdzający, że firma zarejestrowana jest pod adresem w Upper West Side. Nie było żadnych informacji na temat zakresu działalności, dyrektorów, udziałowców ani pracowników. Dziwne.

Z krótkiego szkolenia na temat zasad działania biznesu w czasach swojej pracy w magazynie „Celebrate” Darcy zapamiętała, że holdingi zakłada się często ze względów prawnych lub podatkowych, i domyślała się, że chodzi tu o coś podobnego. Pozostawało pytanie: czy Aidan jest pracownikiem, czy założycielem firmy?

Postanowiła zapytać go o to nazajutrz i sprawdzić, czy nazwa firmy budzi w nim jakieś skojarzenia. Pomimo szczerzej chęci spędzenia wolnego dnia na lekturze i odpoczynku Darcy uznała, że musi jak najszybciej otrzymać zgodę na zamówienie nowego iPhone'a, co oznaczało złożenie kolejnej wizyty w Szpitalu Roosevelta. Obiecała też przynieść Aidanowi zastępczy telefon, żeby ułatwić im kontakt. A co najważniejsze, muszę zawieźć mu tę

paczkę - przypomniała sobie. Odstawiła komputer, wstała i podeszła do szuflady, gdzie włożyła ją tamtego wieczoru.

Usiadła z powrotem na kanapie, wyciągnęła pudełko z papierowej torby i po raz kolejny obejrzała je uważnie.

Miało wymiary mniej więcej trzynastu na dwadzieścia centymetrów. Luksusowy papier i wstążka z grogra-mu zdecydowanie wskazywały na górną półkę cenową. Z niewytłumaczalnych przyczyn paczuszka roztaczała atmosferę oczekiwania, jakby powietrze wokół niej było naładowane elektrycznością.

Czy to tylko jej wyobraźnia, czy rzeczywiście waga i wymiary pudełka przypominały książkę w twardej oprawie? Czy to może być klucz do pamięci Aidana? Darcy przycisnęła do siebie paczkę, porwana romantyczną ideą, że odpowiedzią na wszystkie pytania może być zwykła książka. Musiała przywołać całą siłę woli, aby jej nie otworzyć.

W tej samej chwili Bailey wstał i trącił ją w łokieć, jakby zainteresowany jej rozważaniami. Darcy spojrzała na niego, po raz kolejny żałując, że husky nie potrafi mówić. Mógłby jej powiedzieć wszystko, co chciała wiedzieć o jego panu.

Popatrzyła na pudełko i delikatnie wsunęła paznokiec pod przykrywkę, zastanawiając się, czy mogłaby zidentyfikować zawartość, gdyby tylko rzuciła na nią okiem. Kiedy to zrobiła, Bailey cicho pisnął i przechylił głowę. Darcy zagryzła wargi, próbując zrozumieć, czy pies mówi: „No dalej, otwórz”, czy też: „Czekaj, może nie powinnaś tego robić”. Potem znowu spojrzała na pudełko, walcząc z pokusą.

- Co o tym sądzisz, piesku?

Bailey położył jej pysk na kolanach i utkwiał w jej twarzy swoje niepokojąco inteligentne błękitne oczy. Darcy westchnęła i poklepała go po głowie.

- Wiem, wiem, masz rację. Kiedy to wszystko się skończy, twój pan nie będzie zadowolony, że się wtrącam. Szczególnie jeśli to coś bardzo osobistego.

Jutro zanieś paczkę Aidanowi i niech on sam podejmie decyzję co do jej losów. Chociaż miała nikłą nadzieję, że wybawi ją z kłopotu i otworzy prezent w jej obecności, bo czuła, że ciekawość, czy to naprawdę książka (a jeśli tak, to jaka?), doprowadzi ją do szaleństwa. Tak samo jak zaciekawienie osobą Aidana Harrisa.

Dla kogo to kupił? Dla matki? Siostry? Dziewczyny? Poczowała lekkie ukłucie w sercu i zwalczyła rozczarowanie, że pierwszy mężczyzna, który jej się podoba po tak długim czasie, może być związany z kimś innym. To pewnie jego szczęśliwa ukochana była warta tak pięknie zapakowanego prezentu.

Pomyślawszy o ukochanych, Darcy postanowiła zadzwonić do Katherine i serdecznie podziękować ciotce za umożliwienie jej spotkania z Tabithą.

-1 jak poszło? - zapytała Katherine, kiedy Darcy zapewniła ją, że nie przyniosła wstydu rodzinie.

- Nieszczególnie dobrze. Okazało się, że ona w ogóle nie zna Aidana.

- Wiesz, ta kobieta jest tylko o kilka lat starsza od ciebie - odparła ciotka ni z gruszki, ni z pietruszki.

- Dziewięć-poprawiła ją Darcy, przypominając sobie szczegóły jej internetowej biografii. - Myślę, że jest starsza ode mnie o dziewięć lat.

- Ale kiedy była w twoim wieku, znała już swojego męża. Chciałam tylko, żebyś to wiedziała - dodała Katherine.

Darcy przewróciła oczami. Znow ta sama śpiewka.

- Katherine, błagam...

- Tak, tak, jesteś szczęśliwą singielką, niezależną i odpowiedzialną za własny los, bla, bla, bla... Już to słyszałam. Mówię takie rzeczy tylko dlatego, że się o ciebie martwię, kochanie. Nie będę przy tobie wiecznie, to oczywiste, i - zanim to powiesz - tak, wiem, że nie wszystkie kobiety potrzebują mężów. Mimo wszystko...

Darcy zmarszczyła czoło, dziwiąc się, skąd wziął się u ciotki taki niespotykany emocjonalny ton.

- Wszystko w porządku? - zapytała cicho ze ściśniętym gardłem. Nie wiedziała, co pocnie, jeśli jej jedynej żyjącej krewnej stanie się coś złego.

- Oczywiście! Nigdy nie czułam się lepiej - odparła dziarsko ciotka, co natychmiast uspokoiło Darcy. - No to opowiedz mi coś więcej o jej wysokości pani Kensington. Dużo się o niej mówi...

Darcy powzięła silne postanowienie, że dotrzyma obietnicy złożonej Tabicie. Wiedząc, jak szybko rozchodzą się plotki w branży Katherine, nie miała ochoty burzyć starannie wypracowanego publicznego wizerunku pani Kensington i zdradzać ciotce, że w rzeczywistości okazała się całkiem miłą.

- Tak, no cóż, to spotkanie było dość... ciężkie - odpowiedziała mgliście, wpatrując się w swoje dłonie. - Ale skoro znasz Tabithę, to może słyszałaś również o Aidanie? Jeśli ktoś ma w domu obraz Rothki, zabytkowe dywany

i tak dalej, to chyba musi należeć do ścisłej elity towarzyskiej Nowego Jorku, nie sądzisz? - Rzuciła tę myśl tylko po to, żeby zmienić temat, ale teraz przyszło jej do głowy, że może otrzymać od ciotki jakąś cenną wiadomość. Katherine milczała przez chwilę.

- To możliwe. Popytam. To prawda, ktoś z takim wyczuciem estetyki może być znany w kręgach establishmentu. A jeśli Aidan jest zamożny, to niemal na pewno jest donatorem takiej czy innej instytucji. Mówisz, że ma obraz Rothki?

-Tak.

- Boże. I wisi sobie ot tak, w holu? Kochanie, to właśnie nazywam głupimi pieniędzmi. - Katherine znowu przerwała, ale trybiki w jej mózgu najwyraźniej nadal się obracały. - Jesteś absolutnie pewna, że ten facet nie jest do wzięcia?

Darcy westchnęła z rozdrażnieniem.

- Przecież mówiłam ci, że w domu ma świeże kwiaty i zdjęcia różnych kobiet. Jedna z nich nagrała mu się na sekretarkę, bo zapomniał o jakiejś ważnej randce.

Ciotka nie zamierzała poddać się bez walki.

- A czego to właściwie dowodzi? Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Darcy zaczerwieniła się wbrew samej sobie.

- Tak, wydaje się miły, ale w tym momencie po prostu pomagam mu poskładać z powrotem jego życie, to wszystko. A kiedy to się uda i Aidan wróci do tego życia, które, nawiasem mówiąc, jest odległe od mojego o lata świetlne, i do swoich bliskich, to jestem pewna, że nie będziemy już mieli z sobą do czynienia.

- Hm... - odparta Katherine głosem, w którym słychać było uśmiech. Bez wątpienia w jej głowie wylęgał się już jakiś plan.

- Dobrze, spróbuję dowiedzieć się czegoś o donatorach i kolekcjonerach nazwiskiem Aidan Harris. Kawaler czy nie kawaler, ktoś musiał o nim słyszeć.

- Och, zapomniałam ci powiedzieć. Znam też nazwę jego firmy. Thrill Seeker Holdings.

Ciotka milczała przez chwilę.

- Thrill Seeker?

- Tak, czemu pytasz? Słyszałaś o nich? Próbowałam ich wyszukać w Google'u, ale nic nie znalazłam.

- Brzmi jakoś znajomo. Na pewno dam ci znać, jeśli dowiem się czegoś o twoim tajemniczym przyjacielu.

- Dziękuję, Katherine, bardzo cenię sobie twoją pomoc.

Darcy wiedziała, że jeżeli ktoś może dowiedzieć się czegoś więcej o Aidanie, to na pewno będzie to Katherine Armstrong. Ciotka nigdy nie bała się wyzwań ani nie poddawała się bez walki. Odnalezienie przez nią użytecznych informacji było tylko kwestią czasu.

- A tymczasem, kochanie, nie stanie się nic złego, jeśli nadal będziesz się nim opiekowała. Może do czasu, kiedy ta sprawa się wyjaśni, Aidan zapomni o tamtych kobietach i po uszy zakocha się w tobie - dodała Katherine żartobliwie, ale Darcy znała ją wystarczająco dobrze, by rozpoznać w jej głosie poważną nutę.

Nie mogła się nie roześmiać. Jak tu uwierzyć ciotce, że zastawianie sideł na leżącego w szpitalu milionera z amnezją to dobry pomysł?

Rozdział dwudziesty

Można chyba powiedzieć, że na razie moja misja pozostaje w fazie wykreślenia. Zadzwoiłem pod dwa pierwsze numery z listy George'a. Niedopowiedzeniem byłoby stwierdzenie, że podczas obu rozmów zostałem bezlitośnie prześwietlony.

Pierwsza była rodzina Monroe, która ostatnio dorobiła się fortuny dzięki dalekim rodzinnym powiązaniom z brytyjską rodziną królewską i korzystała z każdej okazji, aby rozpowszechnić tę wiadomość w Stanach. Zazwyczaj robiło to wrażenie. Odmówili mi od razu. Później Benningtonowie, których nazwiska nie znałem, dopóki nie przeczytałem dziś rano plotkarskiego dodatku „Page Six” w dzienniku „New York Post”. Dowiedziałem się z niego o rodzinnych powiązaniach pomiędzy Arthurem i Miriam Benningtonami, z którymi próbowałem się skontaktować, a celebrytką z Los Angeles, Tiffany Bennington, którą ostatnio sfotografowano, jak wypada z bentleya, nie mając na sobie majtek. Osoba odbierająca telefony najwyraźniej nie doceniała potęgi współczesnych mediów. Arthur i Miriam nie byli w Cannes, jak mnie zapewniła,

lecz - to informacja z „New York Post” - w Los Angeles, gdzie starali się o zwolnienie córki z aresztu. Zasadniczo wypadnięcie z bentleya bez bielizny nie jest niczym szczególnym, ale pannie Bennington zdarzyło się to o trzeciej nad ranem na Sunset Boulevard, kiedy miała przy sobie gram kokainy...

No cóż, to zupełnie inna sprawa. Ach, problemy bogatych...

Na szczęście nie musiałem poświęcać temu zbyt wiele uwagi. Może dlatego, że mam solidne irlandzkie korzenie, a dorastanie w tradycyjnej rodzinie bardzo się przydaje, jeśli trzeba poruszać się w kręgach biznesowych na Manhattanie. To chyba dzięki tradycyjnemu wychowaniu mam dystans do wielu spraw, jakie napotykam. Chociaż rozumiem, że łatwo jest zapomnieć o tym, co naprawdę liczy się w życiu, jeśli ktoś rodzi się i wychowuje w bardzo zamożnej rodzinie. Pociesza mnie fakt, że pomimo tego wszystkiego, co mi się przytrafiło, nadal mogę wieczorem zamknąć oczy i spokojnie zasnąć.

Właśnie wtedy Bailey postanowił zaszczycić mnie swoją obecnością. Wielki pies wkroczył do pokoju, skonstatował, że siedzę przy biurku, i rozłożył się na swoim zwykłym miejscu - pod biurkiem i na moich stopach.

Upiłem łyk kawy i przyciągnąłem laptopa bliżej razem z listą, którą tak uprzejmie obdarował mnie George. Kto następny?

- Cleaver-Parks - wymamrotałem do siebie.

Zawsze chciało mi się śmiać z tego, że wielcy bogacze nigdy nie noszą zwykłych nazwisk, takich jak Smith, Jones albo O'Brien.

Otworzyłem Google'a i wpisałem: Nathaniel Cleaver-Parks senior. Chwilę później otrzymałem zestaw najważniejszych informacji na temat owego dżentelmena i równie szybko postanowiłem dać sobie spokój i pominąć litanie artykułów gazetowych i internetowych, a zamiast tego przeczytać stronę pana Cleavera-Parksa w Wikipedii. Możecie nazwać mnie leniem, ale ostatecznie nie piszę biografii tego faceta. Po prostu potrzebuję uzbroić się w kilka podstawowych informacji, zanim do niego zadzwonię.

Przejrzawszy pobieżnie artykuł w Wikipedii, dowiedziałem się, że pan Cleaver-Parks dobiega sześćdziesiątki, większą część swojej fortuny odziedziczył po krewnych ze strony matki i pomnożył majątek dzięki błyskotliwej karierze na Wall Street. Regularnie przekazywał dotacje na cele dobroczynne i był zadeklarowanym zwolennikiem republikanów, dopóki jego dwudziestoletni syn nie dokonał coming outu trzy lata temu. Po tym incydencie Nathan, jako dobry ojciec, postanowił związać się z partią, która nie będzie oceniać jego syna przez pryzmat jego orientacji seksualnej ani odmawiać mu praw.

Uśmiechnąłem się. Trzeba oddać szacunek facetowi, który przedkłada miłość do rodziny nad politykę i własny portfel. Jego syn powinien być akceptowany taki, jaki jest; wiedziałem, że zrobiłbym to samo, gdybym znalazł się w takiej sytuacji.

Poczułem się pewniej. Podniosłem słuchawkę i zacząłem wybierać numer, modląc się, aby pan Cleaver-Parks rzeczywiście okazał się człowiekiem tak solidnym i godnym zaufania, jak to wynikało z doniesień internetowych. Na liście

podany by! numer domowy i komórkowy. Z grzeczności zdecydowałem się na ten pierwszy.

Chwilę później odebrał mężczyzna o wyraźnym nowojorskim akcencie.

- Rezydencja Cleaverów-Parksów - powiedział.

- Dzień dobry - zacząłem przyjaznym tonem. - Szukam pana Nathaniela Cleavera-Parksa.

- Przy telefonie - odparł mężczyzna. Zmarszczyłem brwi. Wydawał się zbyt młody. Natychmiast zrozumiałem swój błąd.

- Yyy... Chodzi mi o pana Nathaniela seniora.

- A, oczywiście - odpowiedział.

Domyślałem się, że to syn, dla którego Nate senior zmienił przynależność partyjną. Pewnie przyjechał do domu na Boże Narodzenie. Według Wikipedii Nate junior był studentem czwartego roku na Harvardzie.

- Przepraszam, ale tata jest w tej chwili w podróży. Serce uwięzło mi w gardle, ale zapytałem:

- Sądzi pan, że będzie mógł odebrać komórkę? Syn milczał przez chwilę.

- Czy mógłby pan powiedzieć mi, kim jest i o co chodzi?

- Oczywiście. Nazywam się Aidan Harris - przedstawiłem się, zanim przeszedłem do sedna. - Wydaje mi się, że pański ojciec posiada w swojej kolekcji pewną rzecz, którą jestem zainteresowany, i zastanawiam się, czy nie zechciałby jej sprzedać.

- A czego pan szuka?

Poczułem, że moje akcje nieco zwyżkują. Może jest jeszcze jakaś nadzieja? Kiedy wyłożyłem mu szczegóły

swojej misji, łącznie z terminem jej zakończenia, usłyszałem, jak wciąga ustami powietrze.

- Od dziś za tydzień?

- Tak - powiedziałem, od razu czując się tak, jakby za to ze mnie uszło powietrze. - Osiemnasty to bardzo ważna data i jeśli nie dokonam zakupu do tego czasu, to... cóż, powiedzmy, że potem będziemy mieli inną sytuację.

Po drugiej stronie linii zapadła chwila milczenia.

- Więc rozumiem, że nie kupuje pan tego dla siebie w charakterze wczesnego prezentu gwiazdkowego? - stwierdził w końcu Nate.

- Dokładnie.

- Aidan. Wydaje się pan porządnym facetem. Sądząc z tego, co pan mówił, próbuje pan zrobić coś bardzo miłego dla kogoś, na kim panu zależy. Zrobimy tak.

Nastawiłem uszu, czując, że wraca mi humor.

- Gdyby to zależało od mojego ojca, który, nawiasem mówiąc, jest dobrym człowiekiem, i gdyby to on odebrał ten telefon, prawdopodobnie nie byłoby mowy o tym, żeby dobrał się pan do jego cennych zabawek w ciągu zaledwie kilku dni. Wiem również, że ojciec nie zamierza sprzedawać akurat tego egzemplarza, bo to jeden z jego ulubionych. Chyba mogę to panu powiedzieć wprost?

Serce znowu we mnie zamarło.

- Ale jest szansa, że będę mógł panu pomóc. Szczerze mówiąc, trochę się nudzę. Mam zaproszenie na Saint Barts, ale postanowiłem je odrzucić, bo nie chcę się nigdzie włóczyć z bandą fałszywych nudziarzy, których zresztą nie lubię. Więc jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, proszę pozwolić, że ten projekt stanie się również moim.

Potwierdziłem, że absolutnie nie mam nic przeciwko temu. Byłem w pewien sposób powiązany z tym szczególnym światem, ale miałem jedynie nieliczne, dość słabe kontakty. Natomiast Nate junior urodził się w tym środowisku i zapewne będzie mógł mi podać kilka innych nazwisk. Powiedziałem mu, że jakakolwiek pomoc z jego strony jest dla mnie bardzo cenna. W odpowiedzi zaproponował mi przejście na ty.

- Okej, powiedz mi w takim razie, kogo jeszcze masz na liście.

Odczytałem nazwiska, a Nate po każdym dodawał krótki komentarz. Było jasne, że zna pozostałych kolekcjonerów i domyśla się ich reakcji.

- Sądzę, że przede wszystkim powinieneś im powiedzieć, że to ja cię do nich skierowałem. Ktoś zechce dowiedzieć się dokładniej, skąd masz informacje, i nie będzie tak wyrozumiały jak ja. Coś czuję, że niedługo nasz kochany George dostanie własną głowę na tacy.

Odetchnąłem z ulgą.

- Jesteś pewien, że mogę powołać się na ciebie? - zapytałem.

- Oczywiście. Oni wszyscy mnie znają. Ale jest jeszcze paru innych, których nie ma na liście. Do nich też powinieneś zadzwonić. Daj mi dzień albo dwa, żebym mógł to przemyśleć.

- Dziękuję, nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny - powiedziałem uradowany, że otworzyły się przede mną nowe możliwości.

- Ostatnie pytanie, Aidan, tylko do mojej wiadomości. Jeśli znajdę kogoś, kto ma to, czego szukasz, będę musiał wiedzieć, kim jesteś.

Poczułem zakłopotanie.

- Hm, co dokładnie chcesz wiedzieć?

- Chodzi o to, żeby zaaranżować transakcję. Mój ojciec nie robi interesów z ludźmi, których nie zna, więc potrzebuję jakichś informacji.

- Och tak, oczywiście. Będę przeprowadzał transakcję w imieniu mojej firmy, Thrill Seeker Holdings.

- Okej. - Milczał przez chwilę, a ja czekałem na jakiś sygnał rozpoznania z jego strony, ale nic takiego się nie zdarzyło. - Czyli nie jesteś jakimś niepoprawnym entuzjastą, napinającym się na coś, na co prawdopodobnie nie możesz sobie pozwolić?

- Absolutnie nie - potwierdziłem energicznie. - Pieniądze nie są tu problemem. Z radością zrekompensuję również wszelkie...

- Jasne, jasne. Nowe pieniądze, co? Uwielbiam was, chłopaki. - Nate roześmiał się, ale nie było w tym pogardy ani lekceważenia. - W porządku, Aidan. Fajnie się z tobą rozmawiało. Ty pracujesz nad listą, a ja cię złapię, jeśli uda mi się coś znaleźć. Twój numer wyświetlił mi się na telefonie - dokończył.

- Świetnie.

Podaliśmy mu też numer komórki, wiedząc, że przez kilka następnych dni będę stale w ruchu.

- Właściwie przypomniał mi się jeszcze ktoś, z kim powinieneś koniecznie pogadać. Dziewczyna jest nieźle obeznana z tematem.

- Dziewczyna? - powtórzyłem zaskoczony.

- Tak. Może sama nie jest miłośniczką, ale ma masę kontaktów, lepszą sieć niż AT&T. Ale muszę się upewnić,

czy jest w mieście. Jest kimś w rodzaju menedżera, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Rób, jak uważasz, Nate. Jestem zdany na twoją łaskę, przecież wiesz.

- Wiem, Aidan. To fajne. Dokładnie takiej rozrywki potrzebowałem. Jeśli się do tego przyłożę, znajdziemy twój wymarzony prezent przed osiemnastym.

Po zakończeniu rozmowy z Nate'em juniorem poszedłem za jego radą i obdzwoniłem kolejno pozostałe osoby z listy, zapewniając je, iż posiadam rekomendację Nate'a Cleavera-Parksa. Przez cały czas notowałem sobie, czy zostawiłem wiadomość w poczcie głosowej, czy rozmawiałem z konkretną osobą, czy też zostałem skierowany pod inny numer telefonu. Dotarłem do końca listy, nie uczyniwszy postępu.

Nie miałem pomysłu, co robić dalej, ale nie byłbym w stanie siedzieć spokojnie i czekać na telefon od Nate'a, więc otworzyłem Internet, mojego najlepszego przyjaciela w tylu innych, mniej skomplikowanych sytuacjach... chociaż akurat nie w tej. Po pół godzinie przeglądania różnych informacji plecy miałem sztywne od zbyt długiego siedzenia w tej samej pozycji. Nie miałem pojęcia, jak sobie z tym radzą telemarketerzy, ale dla własnego dobra musiałem zrobić sobie przerwę. Otworzyłem Facebooka i zalogowałem się na swoim koncie, do którego założenia jakiś rok temu przekonała mnie Mel. Nadal trochę się obawiałem tej nieprawdopodobnej ilości informacji, jakie ludzie umieszczają w sieci na swój temat: co robią, gdzie przebywają, o czym myślą, czego pragną.

Przez chwilę rozważałem zamieszczenie postu na temat moich poszukiwań, ale szybko zrezygnowałem z tego pomysłu. Po pierwsze, pewnych rzeczy nie trzeba ogłaszać jak świat długi i szeroki, a po drugie, raczej nie otrzymałbym żadnej odpowiedzi oprócz bezużytecznych lajków. Poza tym nikt z niewielkiego grona moich facebookowych „przyjaciół” nie należał do specjalistów w tej dziedzinie.

W roztargnieniu przeglądałem ostatnie wpisy znajomych i krewnych. Natychmiast zauważyłem niedawne zameldowanie na lotnisku Hong Kong International, po czym uśmiechnąłem się na widok wpisu Mel z domu towarowego Macy's o treści: „Będę kupować, aż padnę”. Czując się jak idiota, zaznaczyłem uniesione kciuki pod obydwoma wpisami i się wylogowałem.

Zapewne dobrze zrobiłoby mi zostawienie na trochę tego biurka i tego domu. Może mógłbym się spotkać z Mel na kawę albo późny lunch? Wyciągnąłem z kieszeni telefon i wysłałem jej SMS-a. Odpowiedziała od razu, że jest z koleżanką, ale lunch jak najbardziej może być. Doskonale. Westchnąłem i sięgnąłem pod biurko.

- Chodź, piesku - powiedziałem do Bailey'a. - Czas na spacer. Muszę rozprostować nogi, ty na pewno też. Co powiesz na mały wypad do centrum?

Bailey'a nie trzeba było prosić dwa razy. Wyskoczył spod biurka i pędem wybiegł z pokoju. Jak każdy wykształcony pies znał słowo „spacer” i pewnie wiedział, jak się je pisze.

Zamknąłem laptopa i włożyłem do szuflady skoroszyt z listą od George'a. Później wyciągnąłem klucz spod suszki na biurku i zamknąłem szufladę. Może to zbyt ostrożność, ale miałem w pamięci prośbę Nate'a juniora,

aby traktować jego informacje jako poufne. Umieściłem klucz z powrotem pod suszką z myślą, że jeśli naprawdę miałbym się o coś martwić, to powinienem zabrać go z sobą. Ale ktoś musiałby naprawdę dobrze szukać, żeby zajrzeć pod suszkę, a poza tym miałem wrażenie, że złodziej zająłby się raczej obrazem Rothki w holu niż buszowaniem po nudnym biurze w poszukiwaniu klucza od szuflady w biurku.

Tak więc razem z Baileyem skierowaliśmy się w stronę Trzydziestej Czwartej Ulicy. Trafny wybór, bo z pewnością potrzebowiałem cudu*.

*** Aluzja do filmu George'a Seaton'a *Cud na 34 Ulicy* z 1947 roku.**

Rozdział dwudziesty pierwszy

Jedyna prawdziwa mądrość to świadomość, że nic nie wiemy.

Sokrates

Darcy zamknęła oczy; wiatr igrał z jej spódnicami, a nad głową śpiewały ptaki. Było tak, jakby cała przyroda wiedziała, że ma zapewnić odpowiednie tło dla magicznej chwili. Powietrze wypełniał aromat lawendy.

Tak, pomyślała. Tym razem to stanie się naprawdę.

Głęboko odetchnęła, mając cichą nadzieję, że jej policzki są elegancko zaróżowione jak przystoi damie, nie zaś czerwone, jakby cierpiała z powodu silnego oparzenia słonecznego. Pomimo lekko oliwkowej karnacji jej twarz czasami wydawała się po prostu rumiana, szczególnie w takich momentach jak ten.

Nie myśl o tym teraz, upomniała ją podświadomość. Myśl o mężczyźnie, który stoi przed tobą.

Darcy na krótko uchyliła powieki i zobaczyła, że mężczyzna się pochyla. Dzisiaj wyglądał nieco inaczej,

ale z jakiegoś powodu nie potrafiła sobie uzmysłwić różnicy. Zanim zdążyła głębiej się nad tym zastanowić, przysunął się. Znajdowali się teraz tak blisko siebie, że pocałunek był nieunikniony. Po prostu to wiedziała. Jej usta wysunęły się na spotkanie i w tym momencie usłyszała dźwięk dobiegający spomiędzy jego warg. Coś w rodzaju miłosnego mruczenia, namiętnego westchnienia czy też może... chwileczkę... czyżby to było warknięcie?

Darcy obudziła się gwałtownie, usiadła i nastawiła uszu, nasłuchując. Po chwili znowu usłyszała warknięcie. Nie było w nim groźby ani wrogości. Wstała i rozejrzała się za Baileyem, zastanawiając się, dlaczego nie leży na swoim zwykłym miejscu w nogach jej łóżka. Co on wyczynia?

Weszła do pokoju dziennego i ujrzała psisko rozłożone na podłodze przed telewizorem, skupione na czymś, co trzymało przednimi łapami. W dodatku Bailey najwyraźniej to coś obgryzał!

Pomimo iż pies Aidana był pod wieloma względami dystyngowany i dobrze ułożony, przez ostatnich kilka dni Darcy miała okazję się przekonać, że przedstawiciele jego rasy lubią zabawiać się gryzieniem przypadkowych przedmiotów, kiedy są znudzeni. Bailey wielokrotnie próbował porwać z choinki zrobione przez Darcy książeczki, nie mówiąc już o ich prawdziwych odpowiednikach na półkach, musiała więc przenieść sterty książek wyżej, na przykład na komodę, albo gdzieś je schować, aby uchronić je przed wszędobylskimi łapami. Odkładanie książek na nocny stolik też nie było już bezpieczne, dlatego zaczęła na wszelki wypadek wsuwać je pod poduszkę.

Co udało mu się upolować tym razem?

Darcy podkradła się do niego na bosaka i zauważyła coś długiego, jakby metalicznego pomiędzy psimi łapami. Trochę jej ulżyło, bo przynajmniej nie była to jedna z jej ukochanych książek. Ale co to takiego? Bailey kolejny raz wydał z siebie pełen zadowolenia warkot. Darcy pochyliła się, żeby móc lepiej dojrzeć, co go tak uszczęśliwiło.

Zrozumiała to, kiedy dostrzegła złocistego bliźniaka tego przedmiotu, rzuconego beztrosko na dywanik obok.

- Bailey!

Nabrała powietrza, a serce podskoczyło jej do gardła, kiedy wydierała mu but z pyska. Nie był to niestety żaden stary kapeć... Ze też musiała to być najcenniejsza para z jej szafy, a pewnie nawet najcenniejsza rzecz w całym mieszkaniu - szpilki od Jimmy'ego Choo!

Husky musiał podwędzić je wcześniej z szafy. Darcy przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru zupełnie idiotycznie zostawiła ją otwartą. Na podeszwie buta, a raczej na tym, co z niej zostało, wśród śladów psich zębów nadal widniała nalepka sklepu Neiman Marcus. Dziesięciocentymetrowy obcas był niemal całkowicie przegryziony, a paseczek wokół kostki pocięty w strzępy. Jeśli zaś chodzi o ochronną torbę...

Darcy gapiała się na zniszczony designerski but, ale nie mogła powstrzymać się od śmiechu, kiedy spojrzała na machającego ogonem Bailey'a, jego błyszczące niewinnie błękitne oczy i radośnie wywieszony język.

- Chyba powinnam się cieszyć, że ktoś wreszcie ma z nich przyjemność - zachichotała, wiedząc, że i tak raczej nie miałyby okazji nosić tych butów. - Ale chyba najlepiej będzie, jeżeli to zostanie między nami, okej? - szepnęła

konfidencyjnie. - Coś mi mówi, że Katherine nie byłaby zadowolona, widząc swój hojny podarunek w charakterze psiej zabawki.

Bailey znowu z zadowoleniem zamerdał ogonem. Podczas sprząwania Darcy naszała refleksja, że można zabrać psa z Upper West Side, ale nie da się wyprowadzić Upper West Side z psa. Ma zwierzak gust.

Po tym wszystkim, upewniwszy się, że w zasięgu Bailey'a nie znajduje się nic, co mogłoby przyciągnąć jego uwagę, weszła pod prysznic, przygotowując się do rozpoczęcia dnia i rozważając swoje dzisiejsze plany. Najpierw muszę odwiedzić Aidana w szpitalu, stwierdziła. Włożyła głowę pod strumień wody i przesunęła palcami po włosach, powracając myślami do przerwane go snu. Przypomniała sobie moment, kiedy przesunęła palcami po włosach pochylonego nad nią pana Rochester'a, i zdała sobie sprawę, że coś tu nie pasuje.

Przez lata Darcy miała nieskończenie wiele snów o panu Edwardzie Fairfaksie Rochesterze i zawsze wyglądał w nich tak, jak go sobie wyobrażała: mówił z brytyjskim akcentem, był wysoki, ciemnowłosy, przystojny i miał nienaganne maniery... Stanowił wzór dżentelmena z czasów regencji. Wytworny fular, kamizelka i bryczesy. Ale w tym śnie było inaczej. On był inny.

- Och - powiedziała, czerwieniąc się lekko, kiedy zrozumiała dlaczego.

Zagryzła usta i stała nieruchomo pod prysznicem, starając się pogodzić ze zmianami, które podświadomość wprowadziła do jej snu. Podświadomość zdecydowała mianowicie, że byłoby ciekawie nadać panu Rochesterowi nieznaczący irlandzki akcent oraz dość wyraźne podobieństwo

do mężczyzny, którego Darcy miała właśnie odwiedzić w szpitalu.

- Zupełnie nic ci nie mówi nazwa Thrill Seeker Holdings? Jesteś pewien?

Darcy siedziała przy łóżku Aidana. Nie mogła zapomnieć, że poprzedniego wieczoru Katherine nazwała ją pielęgniarką, i czuła się tym trochę zawstydzona. Nie mówiąc już o porannym śnie. Miała tylko nadzieję, że Aidan Harris nie podejrzewa jej o jakieś plany wobec jego osoby ani o to, że pomaga mu z powodów innych niż dobroć serca... a także poczucie winy i niemała doza ciekawości. Szczególnie w sprawie prezentu.

Kiedy weszła do szpitalnej sali, Aidan siedział na łóżku, skacząc pilotem po telewizyjnych kanałach, na których o tej porze roku wyświetlano same świąteczne filmy, takie jak *To wspaniałe życie*, *Gospoda świąteczna* i *Prezent pod choinkę*. Na jej widok wyłączył telewizor.

- Hej. - Głos miał nadal zachrypnięty, ale nie tak bardzo jak poprzednim razem.

- To znowu ja - pozdrowiła go nieśmiało. - Mam nadzieję, że nadal mnie pamiętasz...

Zachichotał, kładąc dłonie na kocu.

- Oczywiście, że tak.

Małe motyle zatrzepotały jej w żołądku.

- To jak się dzisiaj czujesz? - zapytała. - Jest jakaś poprawa?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie, cały czas pustka. Ale lekarz mówi, że z czasem powinno być lepiej.

- To dobrze...

- Niekoniecznie - odparł, ze złością ciskając pilotem przez łóżko. - Jestem tu już od trzech dni. Jak długo mam czekać? Mogą minąć całe tygodnie, nawet miesiące, zanim sprawy się wyjaśnią. A tymczasem jestem uwięziony w tej klatce.

Darcy spuściła wzrok.

- Tak mi przykro. Naprawdę chciałabym móc zrobić coś więcej.

Wyczuła, że Aidan był przyzwyczajony do aktywnego trybu życia. To przypomniało jej o firmie i skąpych informacjach na jej temat.

- Przepraszam. Nie chciałem zabrzmieć jak niewdzięcznik - powiedział Aidan z goryczą w głosie. - Mój Boże, zrobiłaś już więcej, niż trzeba, zrezygnowałaś ze swoich planów, żeby mi pomóc. - Obdarzył ją szerokim uśmiechem, a oczy mu zabłyśły. - Szczerze mówiąc, starałem się wymyślić, jak mógłbym ci podziękować. Nie wiem, czy lubisz balet, ale... - Wyjął z szafki przy łóżku swój portfel i otworzył go. - Pamiętasz, mówiłem ci, że je mam. - Uniósł dwa bilety, a Darcy przypomniała sobie, że wspominał coś o biletach do teatru. - Przyjrzałem im się dokładnie, są na przedstawienie New York City Ballet. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście nie wiem, skąd się wzięły, ale skoro jest, jak jest, a przedstawienie już jutro... - Spojrzał na nią.

Jej serce zamarło na ułamek sekundy, bo pomyślała, że Aidan zamierza się z nią umówić. Potem przypomniała sobie, gdzie się znajdują, a raczej gdzie Aidan musi zostać.

- Tak jak powiedziałem - kontynuował - nie wiem, czy lubisz balet, ale może miałabyś ochotę podarować komuś te bilety?

Zupełnie niespodziewanie Darcy przypomniała się biało-różowa choinka pani Henley. Nie miała pojęcia o balecie, więc nie była w stanie docenić gestu Aidana, ale była przekonana, że Grace się ucieszy. To będzie idealny sposób, żeby odwdzińczyć się jej za opiekę nad Baileyem przez kilka dni.

- Dziękuję, to bardzo miło z twojej strony. - Wzięła od niego bilety i przeczytała: - Koch Theater. Nigdy tam nie byłam, ale słyszałam, że to bardzo piękny budynek.

- Pewnie tak, nie umiem ci odpowiedzieć. - Aidan znowu wzruszył ramionami, jakby brak wiedzy o czymkolwiek stawał się dla niego normą. Tak zresztą było. - Weźmiesz je? - ponaglił, a Darcy kiwnęła głową. - Dobrze. Jak już mówiłem, naprawdę doceniam to, co dla mnie robisz. Ratujesz mi życie, Darcy.

Darcy pomyślała, że Aidan wydaje się przynajmniej odrobinę spokojniejszy, mniej przygnębiony niż poprzednio. Oczywiście na razie nie udało jej się znaleźć nic ani nikogo, kto mógłby mu pomóc, ale była pewna, że to tylko kwestia czasu. Musiała jednak przyznać, że podoba jej się ta misja. Już dawno nie przydarzyła jej się żadna przygoda - prawdziwa, nie książkowa - i chciała wykorzystać tę okazję, aby chociaż przez krótką chwilę przyjrzeć się czyjemuś życiu, o wiele bardziej interesującemu niż jej własne.

- Znalazłem w portfelu jeszcze to... Zapomniałem ci pokazać poprzednim razem.

Aidan wyjął małe pozaginane zdjęcie. Darcy zastanawiała się, czy przedstawia którąś z osób widocznych na fotografiach w domu. Wkrótce jednak wyjaśniło się, że to ktoś zupełnie inny.

Było to czarno-białe zdjęcie młodej kobiety, najwyraźniej zrobione dawno temu, prawdopodobnie w latach sześćdziesiątych, sądząc po ubraniu. Darcy uśmiechnęła się na widok klasycznej urody i eleganckiej pozy kobiety w rozkloszowanej sukience, najpewniej w pastelowym kolorze. Wygięte usta uśmiechały się tajemniczo do aparatu.

- To moja matka - powiedział Aidan. Darcy spojrzała na niego uradowana.

- To wspaniale! - wykrzyknęła radośnie. - Jeśli ją pamiętasz, to znaczy, że zaczynasz sobie coś przypominać.

- Niekoniecznie. Wiem, że to moja matka, i wiem również, że nie żyje, ale to wszystko. - Znów sposepniał.

To straszne, że jego jedyne zachowane wspomnienie jest takie smutne, pomyślała Darcy. Zastanawiała się, czy stracił również ojca, a jeśli tak, to mają z sobą przynajmniej tyle wspólnego: oboje są sami na świecie. Jeszcze bardziej polubiła Aidana, kiedy dowiedziała się, że nosi przy sobie zdjęcie matki. Przyglądała mu się uważnie, jak wkłada fotografię z powrotem do portfela z dziwnym wyrazem twarzy.

Chcąc zmienić temat na weselszy, otworzyła torbę i ostrożnie wyjęła prezent i torebkę z logo firmy Verizon.

- Po drodze kupiłam ci telefon na kartę, a to jest ta paczka, o której już ci mówiłam. Ta, którą miałeś przy sobie, kiedy na ciebie wpadłam.

Aidan obejrzał paczkę, ale podobnie jak nazwa jego firmy zdawała się nie budzić w nim żadnych skojarzeń.

O wiele bardziej zainteresował się telefonem.

- Może powinieneś to otworzyć - zasugerowała Darcy, starając się nie okazywać zaciekawienia. A może Aidan woli zrobić to bez świadków? Miała nadzieję, że nie, ponieważ naprawdę chciała wiedzieć, co jest w środku. Co zamierzał podarować osobie, z którą miał się spotkać tamtego dnia?

Aidan miał wątpliwości.

- Nie wiem. Nie jestem pewien, czy to pomoże, skoro miałem to komuś dać. Czy mogę zapisać sobie twój numer?

Ku rozczarowaniu Darcy natychmiast stracił zainteresowanie prezentem i bawił się swoim nowym telefonem. Nie mogła go za to winić - to będzie jego pierwszy kontakt ze światem od kilku dni, ale mimo wszystko...

- Jasne.

Szybko wstukała do telefonu swój numer komórkowy i numer do księgarni.

- Jeśli cokolwiek się będzie działo, koniecznie zadzwoń na któryś z nich.

- Tak sobie właśnie myślałem... - powiedział Aidan. - Pracujesz w księgarni. Dziwne, ale to jedyna rzecz, która coś mi mówi. Mgliście - dodał, kiedy Darcy podniosła na niego wzrok.

- Naprawdę? Jak to? Czy to możliwe, że kiedyś byłeś w naszej księgarni albo może...

- Nie, nie mam na myśli księgarni, tylko... dziwna sprawa, ale wczoraj oglądałem taki teleturniej... Tutaj

nie ma nic innego do roboty poza oglądaniem telewizji. Normalnie tego nie znoszę.

- Och! - wykrzyknęła Darcy, a w brązowych oczach Aidana pojawił się wyraz zrozumienia. - Przypomniałeś sobie, że nie lubisz telewizji.

- Tak, rzeczywiście! - Aidan promieniał. Wyglądał na tak zadowolonego z siebie, że Darcy

niemal zapragnęła go uściskać. Zamiast tego jak idiotka przybiła z nim piątkę i poczuła ciepło jego dużej dłoni w chwili zetknięcia z jej własną.

- To naprawdę coś. - Aidan podrapał się w podbródek, na którym zaczynała pojawiać się ciemna szczecina.

Wygląda przez to jeszcze bardziej atrakcyjnie i... po prostu bardzo męsko, pomyślała Darcy, próbując skoncentrować się na jego słowach.

- Może wydostanę się stąd szybciej, niż myślałem.

- Bardzo się cieszę - powiedziała szczerze. - Jeżeli sobie to przypomniałeś, to jestem pewna, że stopniowo zaczną wracać do ciebie inne wspomnienia.

- Tak, ale mówiliśmy o tym teleturnieju. To bardzo dziwne, ale potrafiłem odpowiedzieć na wszystkie pytania związane z literaturą. Nie miałem pojęcia, że w ogóle wiem takie rzeczy.

- Na przykład? - zapytała Darcy zaintrygowana. Mimo że znała cytat z *Narzeczonej księcia*, nie uważała

go za miłośnika literatury. Wręcz odwrotnie. Przecież w jego mieszkaniu nie widziała żadnych książek, a poza tym najwyraźniej spędzał dużo czasu poza domem.

- Jedno z pytań dotyczyło Joyce'a. Coś o jakimś dniu... - zacisnęła powieki, próbując sobie przypomnieć. - Tak, chodziło o to, kiedy obchodzi się Bloomsday.

Darcy natychmiast znalazła odpowiedź, ale Aidan był szybszy:

- Szesnastego czerwca. Mało tego, znałem również rok -1904.
- Może to ma związek z twoim pochodzeniem? - zasugerowała Darcy. - James Joyce był Irlandczykiem, a ty masz irlandzkie imię i lekki irlandzki akcent.

- Tak, ale to jeszcze nie wszystko - ciągnął Aidan, najwyraźniej bardzo zadowolony z siebie. - Odgadłem również prawidłowo, że Agatha Christie jest najlepiej sprzedającą się autorką na świecie, że *Freeman's Oath* Stephena Daye'a była pierwszą książką wydaną w amerykańskich koloniach i... - wyprostował się, jakby przygotowując się do podjęcia wyzwania. Albo raczej, jak się okazało, do rzucenia go. - Skoro jesteś ekspertem od książek, zobaczymy, czy odpowiesz na to - powiedział, żartobliwie unosząc brwi.

Darcy uśmiechnęła się szeroko i pochyliła do przodu.

- Strzelaj - powiedziała. Była szczęśliwa, że może przyłączyć się do gry.

- To cytat. Ale z jakiej książki pochodzi? „Gdzie skarb wasz, tam i serce wasze”.

Darcy uśmiechnęła się z wyższością. Małe piwo.

- *Harry Potter i insygnia śmierci* - odparła pewnie, lecz Aidan pokręcił głową. - Co? Oczywiście, że tak, to inskrypcja na grobie matki i siostry Dumbledore'a - upierała się, doskonale wiedząc, że ma rację.

- Nie. Może pojawia się w tej książce, ale skąd pochodzi?

- Z umysłu autorki - odpowiedziała trochę wojowniczo. Nie lubiła, kiedy ktoś jej zaprzeczał.

Aidan promieniał.

- To z Biblii. Mateusz, rozdział szósty, wersy od dwiętnastego do dwudziestego czwartego, jest też u Łukasza. Uczestnicy teleturnieju też nie wiedzieli - dodał.

- Jesteś pewien? - Darcy była szczerze zaskoczona. Nie miała pojęcia, że to zdanie pochodzi z Biblii.

- Jak najbardziej. Tak jak mówiłem, nikt tego nie odgadł. Ale kiedy usłyszałem pytanie, wiedziałem od razu, że to było w *Harrym Potterze* i że nie pochodzi z tej książki. Nie wiem jak, ale ta informacja musiała być zakodowana gdzieś w zakamarkach mojego mózgu.

- Interesujące - powiedziała Darcy w zamyśleniu. - Więc sądzisz, że książki i literatura mogą być częścią twojego życia? - zapytała, czując jeszcze większe pokrewieństwo dusz z Aidanem.

- Trudno powiedzieć, niestety nie przybliżyła mi to również do przypomnienia sobie pozostałej części - odparł, znowu przygaszony. - Przepraszam, znowu użalam się nad sobą, chociaż wiem, że sprawiłem ci przez to wszystko tyle kłopotu... - dodał z uśmiechem, mrużąc przy tym uroczo oczy.

- Nie ma sprawy - odrzekła Darcy. - Naprawdę cieszę się, że mogę to robić. - Znowu starała się skupić jego uwagę na samych pozytywach. - To co zrobimy z tą pisemną zgodą dla Apple'a na wymianę twojego iPhone'a? Próbowałam wytropić więcej szczegółów na temat twojej firmy, chociaż jakiś adres biurowy, żeby wykombinować jakieś oficjalne pismo, które byś podpisał.

Aidan podrapał się w podbródek.

- Mówisz, że nie ma nic poza adresem domowym?

-Tak.

- W takim razie chyba tam musimy szukać odpowiedzi. -
Sięgnął po klucze i posłał jej zakłopotany uśmiech.

Czyżby z nią flirtował? Darcy poczuła, że rumieniec znowu
wpełza jej na szyję. Spokojnie, skarciła się w duchu.

- To znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko kolejnej wizycie w
mojej chatce - dodał Aidan.

Darcy wyrozumiale pokręciła głową, nie mogąc oprzeć się
jego uśmiechowi.

Tyle zostało z jej wolnego dnia...

Rozdział dwudziesty drugi

Zawsze wyobrażałem sobie, że raj będzie czymś' w rodzaju biblioteki.

Jorge Luis Borges

Darcy niespiesznie jechała do domu Aidana. Miasto pełne było świateł i muzyki. Wprawdzie przez cały ranek wydawało się, że znowu zacznie padać śnieg, ale nie miała nic przeciwko wykonaniu kolejnego zadania. Aidan był cudownym człowiekiem i sądziła, że udało im się już nawiązać swego rodzaju przyjaźń. Było to miłe, ponieważ nawiązywanie bliższych kontaktów z innymi nie było jej mocną stroną; nawet jako dziecko wybierała raczej książki na pocieszycieli i towarzyszy.

Była wzruszona jego naleganiem, aby przyjęła bilety na balet. Już dawno nie czuła się tak doceniona, chociaż nigdy nie oczekiwała ani nie pragnęła pochwał za nadgodziny, które automatycznie zlecał jej szef, czy za uprzejmości wyświadczone kolegom w związku z urlopami i tak dalej.

Chodziło o to, że im więcej czasu spędzała z Aidanem Harrisem, tym bardziej wzrastała jej ciekawość.

Gdy tak jechała ulicami, przyszło jej do głowy, że nie zrobiła jeszcze żadnych świątecznych zakupów, a co gorsza, nie znalazła odpowiedniego prezentu dla Katherine. Cztery dni do gwiazdki, a ona tkwiła po uszy w nie swoich sprawach.

Pedałowała dalej, a miejski pejzaż rozmazywał się w jedną smugę kolorowych choinkowych światełek i zaparowanych okien. Burczało jej w brzuchu od zapachu świeżego chleba, kiedy mijała ekskluzywne piekarenki, kafejki i luksusowe bistra na Upper West Side, pełne ludzi w idealnie skrojonych zimowych paltach i kapeluszach, z wymanikiurowanymi paznokciami, wybielonymi uśmiechami i fryzurami prosto z salonu, uosabiających charakterystyczny nowojorski zimowy *glamour*. Zastanawiała się, czy Aidan jadał we wszystkich tych lokalach i czy był stałym klientem, którego wszyscy pozdrawiali serdecznym „dzień dobry” oraz „witamy ponownie”. Czy dawał duże napiwki? I czy przyprowadzał z sobą kobiety z fotografii?

Wkrótce z pięciu przecznic zrobiły się cztery, z czterech trzy, z trzech dwie, a potem jedna i w końcu Darcy skręciła w ulicę Aidana. Gdy zsiadała z roweru, padał śnieg. Czowała, że jest jeszcze trochę obolała po wypadku.

Dotarwszy do domu Aidana, zapukała dwukrotnie przed włożeniem klucza do zamka na wypadek, gdyby ktoś był w domu, ale i tym razem nie było żadnej odpowiedzi.

- Halo?! - zawołała, nadal spodziewając się, że natknie się na kogoś, na przykład na sprzątaczkę.

Wokół jednak panowała cisza.

Weszła do holu, obrzuciła pobieżnym spojrzeniem obraz Rothki, aby upewnić się, że w międzyczasie nikt się nie włamał i go nie ukradł. Po pierwszej wizycie długo nie mogła zasnąć, bo martwiła się, że niedokładnie zamknęła drzwi i zostawiła wszystkie skarby na pastwę złodziei. Przeszła dalej, przypominając sobie rozkład domu.

Zamknęła oczy i głęboko odetchnęła w nadziei, że kiedy znowu je otworzy, zyska świeże spojrzenie na otaczające ją wnętrze.

Niezależnie od poszukiwań związanych z Thrill Seeker Holdings zamierzała również - opierając się na zdobytej już wiedzy na temat Aidana - znaleźć coś ważnego, co mogłoby mu pomóc, a co znajdowało się poza jej zasięgiem podczas pierwszej wizyty, kiedy była nazbyt zdenerwowana swoim zadaniem.

Opuściła wzrok na kałużę tworzącą się błyskawicznie wokół jej stóp na wypolerowanej dębowej podłodze. Pospiesznie ściągnęła ubłocone buty i postawiła obok stolika w holu. W samych skarpetkach przemknęła chyłkiem do kuchni, chcąc wziąć jeszcze trochę karmy dla Baileya, który miał apetyt jak Tolkienowski troll i zdążył już pochłonąć pierwszą partię jedzenia.

Otworzyła spizarnię i zdjęła z półki paczkę suchej karmy oraz kilka puszek. Odłożyła je na blat, żeby zabrać je z sobą przed wyjściem. Potem zaczęła otwierać pozostałe szafki kuchenne i sprawdzać, czy nie ma w nich śladów obecności innej osoby - znajomych, sprzątaczkę albo dziewczyny Aidana. Ale zgodnie z przewidywaniami zawartość szafek nie odbiegała od normy: talerze, kubki

i miski, aczkolwiek raczej niestandardowe, opatrzone logo sklepu Williams Sonoma. Nic nie wskazywało na to, że w ostatnim czasie ktoś korzystał z kuchni. Darcy nie dostrzegła również niczego tajemniczego.

Otworzyła lodówkę, zastanawiając się, czy powinna wyrzucić rzeczy, które mogły się zepsuć. Nie zamierzała przekraczać kolejnych granic, ale nie chciała również, by Aidan po powrocie ze szpitala zastał w domu cuchnący bałagan.

Wyjęła kilka pojemników, otworzyła je, powąchała i uznała, że przez dzień, dwa jeszcze nic im się nie stanie. Już miała zamknąć lodówkę i iść dalej, kiedy zdała sobie sprawę, jak bardzo chce jej się pić po długiej jeździe na rowerze. Aidanowi nie będzie chyba przeszkadzało, jeśli poczęstuje się wodą mineralną.

Wzięła butelkę wody Fiji, zamknęła lodówkę i przeszła do wspaniałej jadalni, którą zwiedziła podczas pierwszej wizyty. Jeszcze raz ogarnęła wzrokiem wyposażenie - lśniący orzechowy stół, wytworny żyrandol i kredens zastawiony eleganckimi kryształowymi szklankami oraz karafkami wypełnionymi złotawym płynem, który-jak przypuszczała Darcy - był jakąś niebotycznie drogą szkocką.

Zastanawiała się, czy Aidan często urządza prośzone kolacje. Z pewną zazdrością próbowała zgadnąć, kto pomaga mu je planować. Wyobraziła sobie, jak czułaby się w tym pokoju jako gospodyni. Albo jak romantycznie byłoby jeść we dwoje kolację przy wspaniałym panoramicznym oknie, popijać wino z jakiegoś fantastycznego rocznika i wznosić kieliszki w toaście za ich wspólne szczęście.

Poczuła się jak idiotka i zmusiła do opanowania, choć niemal słyszała, jak wyimaginowana para trąca się kieliszkami dla uczczenia jakiejś szczególnej okazji.

Zatrzymała się i wpatrzyła w stół, a w jej głowie zaczęło kiełkować pytanie.

Wyszła z jadalni i skierowała się po schodach na piętro, w stronę drzwi do pomieszczenia, którego nie obejrzała poprzednim razem. Kiedy tam weszła, musiała się zatrzymać i nabrać tchu.

Światło wpadające przez okna wypełniało całą przestrzeń jasnym blaskiem. Oniemiała Darcy nie była w stanie uwierzyć w to, co widzi, i zachodziła w głowę, jak mogła przeoczyć ten pokój.

Niekończące się rzędy książek wypełniały gigantyczną drewnianą szafę biblioteczną, ciągnącą się przez całą długość pokoju. Szafa była tak wysoka, że stała przy niej drabina podobna do tej, którą mieli w księgarni, jeżdżąca po szynach ułożonych wzdłuż półek, aby można ją było przesuwac. Na półkach zaś stały klasyczne wydania Austen, Becketta, Hemingwaya, Moliera, Wilde'a i Woolf, a także komplet *Sherlocka Holmesa*, wszystko w bogatych oprawach z lakierowanej skóry. Skórą pachniał właściwie cały pokój, począwszy od ustawionych naprzeciw siebie miękkich beżowych kanap, a skończywszy na czerwonych fotelach w stylu Ludwika XV stojących przed kominkiem.

Jak cudownie byłoby zaszyć się w takim miejscu - swojej własnej prywatnej bibliotece. Darcy nie zwracała uwagi na bogate umeblowanie, koncentrując się wyłącznie na książkach. Głodnym wzrokiem przebiegała po półkach. Jeżeli Aidan Harris nie pamięta, że to ma, to naprawdę

musi z nim być źle, pomyślała. Jej uwagę przykuł egzemplarz *Wichrowych wzgórz*, który mógł pochodzić z pierwszego wydania. Ostrożnie wyciągnęła książkę z półki, potwierdzając swoje domysły. Pogładziła pieśczośliwie czerwoną skórzaną okładkę i odłożyła książkę na miejsce, a potem przesunęła palcami po grzbietach następnym pozycji, znajdując wiele swoich ulubionych tytułów. Był tam wyglądający na bardzo stary egzemplarz *Księcia Machiavellego*, którego bała się dotknąć, podobnie jak *Dido* Christophera Marlowe'a. *Dido* uważano za jego pierwszą książkę.

Darcy wyjęła tom z półki i delikatnie uchyliła okładkę. Zbyt późno pomyślała, że powinna chyba włożyć rękawiczki albo inaczej zapobiec przedostawaniu się wilgoci z jej dłoni na papierowy skarb. Uniosła okładkę bardziej i oddech zamarł jej w gardle. Na wyklejce były słowa wypisane atramentem. Zdanie kończyło się imieniem Kit. Zszokowana przesunęła palcem wskazującym po słowach, jakby dzięki temu mogła cofnąć się o stulecia i nawiązać kontakt z mężczyzną, który je napisał. Bo Darcy nie miała niemal żadnych wątpliwości, że trzyma w rękach książkę, której czterysta lat wcześniej dotykał elżbietański dramaturg.

W kącikach oczu zapiekły ją łzy wywołane wzruszeniem i radością. Po chwili, chociaż trudno jej było się na to zdobyć, odłożyła książkę na półkę, przysięgając sobie, że kiedyś przyjrzy jej się dokładniej, najlepiej z pełnym przyzwoleniem Aidana.

Przypomniała sobie, co Aidan powiedział jej wcześniej na temat swojej zagadkowej wiedzy o książkach

i literaturze. Cóż, wytłumaczenie było teraz zupełnie jasne i nie mogła się doczekać, kiedy opowie mu o tym, co znalazła, chociaż jednocześnie nie mogła sobie darować, że nie zajrzała do tego pokoju za pierwszym razem. Wtedy jednak działała w pośpiechu, poszukując osobistych przedmiotów i fotografii, które mogłyby wspomóc jego pamięć, nie nastawiła się na zwiedzanie domu. Wydawało się jej, że jeśli posiadałaby taką kolekcję książek, natychmiast by ją sobie przypomniała. Na miejscu Aidana na pewno byłoby to jej jedyne wspomnienie. Ale kto wie, jak to wszystko działa? Poza tym fakt, że jest niewątpliwym miłośnikiem psów, też dobrze o nim świadczy.

Kontynuowała przeglądanie tytułów. W dziale A natrafiła wkrótce na swoją ukochaną *Dumę i uprzedzenie*. Powieść została opublikowana po raz pierwszy w 1813 roku w trzech tomach. Jęknęła z zachwytem, kiedy zobaczyła na półce trzy grzbiety. Prawie nie wając się oddychać, wyjęła pierwszy i położyła na pobliskim stoliku. Pochyliła się nad zniszczoną brązową skórzaną okładką i przyjrzała jej się dokładnie.

Badając podwójny grzbiet z czarnego safianu, nie mogła przestać się zastanawiać, jak Aidan zdobył tę książkę.

- Musi być naprawdę bardzo bogaty - mruknęła, przypominając sobie, jakie ceny osiągały takie wydania na aukcjach. Osiemdziesiąt pięć tysięcy albo coś koło tego. Nieźle. Co tam salon Elizabeth Arden! To dopiero było coś spoza zasięgu jej możliwości finansowych.

Ten komplet wygląda! na wyjątkowo dobrze zachowany. Znowu zdziwiła się, gdzie Aidan go znalazł. Dotknęła palcami strony tytułowej.

- „Dzieło pewnej damy” - przeczytała, zastanawiając się, co Jane Austen pomyślałaby o jej przygodzie*. - Pewnie uznałaby to za zbyt naciągane - powiedziała z uśmiechem.

Potem otworzyła książkę na pierwszej stronie i odczytała na głos pierwsze zdanie:

- „Jest prawdą powszechnie znaną, że samotnemu a bogatemu mężczyźnie brak do szczęścia tylko żony”. Na moje oko zaczyna się jak bestseller - dodała.

Przebiegając wzrokiem po tekście, przypomniała sobie maksymę, którą wyznawała przez całe życie: półki z książkami wiele mówią o człowieku. Jeśli zaś Aidan Harris rzeczywiście przypomina swój księgozbiór, to musi być naprawdę kimś niezwykłym.

*** Jako „dzieło pewnej damy” (*By a Lady*) ukazała się *Rozważna i romantyczna Jane Austen, nie Duma i uprzedzenie*.**

Rozdział dwudziesty trzeci

Do diabła, co się stało z czasem, którego, jak mi się wydawało, miałem pod dostatkiem?

Wczorajszy i dzisiejszy dzień przemknęły jak sen. Nie mam pojęcia, jak to się stało. Oczywiście odfajkowałem kilka spraw na liście. Ale nie tych najważniejszych. Wielki dzień zbliża się nieuchronnie, a mój czas naprawdę się kończy.

Dlaczego życie zrobiło się takie skomplikowane? Siedzę teraz przy blacie w kuchni z laptopem, a Bailey zebrze przy moich nogach i po prostu chce, żebym upuścił te kluski na podłogę, aby mógł je pożreć. Ze wszystkich sił staram się nie myśleć, że 17 grudnia przypada za niecałe trzy dni. Tak naprawdę pozostały więc tylko dwa, jeśli chcę mieć wszystko załatwione i gotowe do dostarczenia. Chryste. A co gorsza, mój nowy kumpel Nate nie dzwoni, chociaż obiecywał.

Przez cały dzień nie zrobiłem nic poza napisaniem odpowiedzi na oferty z Los Angeles i wykonaniem kolejnych telefonów do ludzi z listy George'a. Musiałem odwołać zaplanowane wyjście z Mel. Wiedziałem, że

będzie bardzo rozczarowana, pozostaje mi mieć nadzieję, że zrozumie. Mel wie, że coś się czasem może zdarzyć i jak bardzo bywam zajęty, ale jestem świadomy, że nie do końca pojmuje, dlaczego musi cierpieć z tego powodu. Kiedy muszę ją zawieść, mam ogromne poczucie winy, ale naprawdę nic nie mogę na to poradzić. Wynagrodzę jej to - i mam już nawet pomysł jak - ale na razie muszę skupić całą energię na załatwieniu tej sprawy.

Rano udało mi się przynajmniej wyjść z Baileyem na porządną przechadzkę do Central Parku, gdzie mógł sobie do woli węszyć i spotkał się z innymi bywalcami Wielkiego Trawnika.

Gdy zdałem sobie sprawę, że oprócz porannych hot dogów (nie jestem ich wielbicielem, ale Bailey ma słabość do Gray's Papaya) jeszcze nic nie jadłem, wybrałem łatwe rozwiązanie i na lunch odgrzałem sobie w mikrofalówce kluski. Muszę przyznać, że te gotowe potrawy z Whole Foods są całkiem niezłe. Wziąłem z półki butelkę kalifornijskiego petite syrah, też był dobry. Szczerze mówiąc, na tyle dobry, że mógłbym właściwie wypić całą butelkę... Jestem bardzo zdesperowany.

- Co o tym myślisz, Bailey? Może znajdę odpowiedź, kiedy się upiję. Hemingwayowi to pomagało.

Bailey wpatrywał się we mnie przenikliwymi błękitnymi oczami; może wykombinował, że jeśli się upiję, to prawdopodobnie będę zrzucił jedzenie na podłogę.

Potarłem czoło i dolałem sobie wina, a Baileyowi dałem kawałeczek kurczaka z talerza. Pochłonął go jak najlepszą wołowinę z Kobe.

- Dobrze, co? - zapytałem.

Oblizwał się i wpatrywał się we mnie z nadzieją, czekając na więcej i tym samym udzielając mi odpowiedzi. Dałem mu jeszcze kawałek, skończyłem jeść i odstawiłem talerz. Potem przysunąłem bliżej laptopa i zacząłem niechętnie wpisywać kryteria wyszukiwania na wypadek, gdyby Google ulitował się dziś nade mną i odpowiedział: „Proszę, Aidan. Tutaj, w tym miejscu znajduje się dokładnie to, czego pragniesz. Jest gotowe i czeka, żebyś je kupił”. Wyszukiwarka pokaże mi wielką mapę ze znakiem X, a ja włożę płaszcz, złapię książeczkę czekową i pobiegnę tam.

Ale Google tak nie działa. W ten sposób straciłem jeszcze jedną godzinę w nadziei, że dopisze mi szczęście. Przypomnijcie mi, żebym w najbliższym czasie nie wybrał się do Atlantic City, jaskini hazardu. Prawdopodobnie straciłbym wszystko, nawet bieliznę.

Wstałem, wziąłem ze stalowego blatu kieliszek i pozełgowałem do biblioteki. Nacisnąłem przełącznik i włączyłem lampki na choince. Gapiąc się na migające światełka i błyszczące bombki, uświadomiłem sobie, że zbliżają się święta, a ja już prawie nie mam czasu.

Odwróciłem wzrok i przeszedłem powoli wzdłuż półek z książkami, gładząc dłonią grzbiety. Książki zawsze przynosiły mi pociechę. Wiedziałem, że wielu ludzi byłoby gotowych zabić za taką kolekcję, a co dopiero za taki dom. Wydawało się, że w miejscu tak doskonałym wiedzie się idealne życie, a wszystko jest proste.

Ale tak nie jest. Można wydać fortunę na rzadkie książki, podróżować po całym świecie i robić zdjęcia egzotycznych miejsc, o czym inni mogliby tylko pomarzyć, ale jeśli nie czyta się tych książek, a podróżuje najczęściej

samotnie, to czegoś jednak brakuje. Naprawdę uważam, że to najsmutniejsza rzecz na świecie. Wolałbym pojechać z kimś w jakieś tanie miejsce z dala od utartych szlaków, niż lecieć samemu do Paryża, zatrzymać się w najlepszym hotelu i zrobić zdjęcie wieży Eiffla, które równie dobrze mógłbym znaleźć na pierwszej lepszej stronie internetowej.

Usiadłem w wielkim fotelu przy kominku i pociągnąłem łyk wina. Chwilę później przyszedł Bailey, usiadł obok i położył mi swój wielki ciepły łeb na kolanach. Pogłaskałem go.

- Dobry pies. Jesteś dobrym pieskiem. Drapałem go za uszami, a on wtulił głowę w moją dłoń, jakby chciał mnie pocieszyć.

- Nie martw się, stary, damy sobie radę - powiedziałem, uspokajając raczej siebie niż jego. - Coś znajdziemy, jestem tego pewien.

Rozdział dwudziesty czwarty

Powiem ci coś o bogaczach. Różnią się od ciebie i ode mnie.
F. Scott Fitzgerald*

Darcy niechętnie odłożyła *Dumę i uprzedzenie* na półkę obok siostrzanych tomów, z trudem oderwała się od biblioteki Aidana i poszła dalej, sprawdzając kolejne pokoje, których poprzednio nie odwiedziła.

Następna była druga sypialnia, mniejsza od tej, którą widziała podczas ostatniej wizyty, ale urządzona tak samo elegancko jak pozostałe pomieszczenia. W odróżnieniu od nich wyglądała na zamieszkaną albo przynajmniej ostatnio używaną.

Pilot od plazmowego telewizora wiszącego na ścianie został niedbale rzucony na łóżko, które - choć posłane - wyglądało trochę nieporządnie, jakby ktoś oglądał telewizję, leżąc na narzucie.

* *TheRichBoy.*

Zaciekawiona Darcy podeszła do zabytkowej szafy z palisandru i ją otworzyła. W środku zobaczyła męskie ubrania: koszule, spodnie i kilka poskładanych swetrów. Spodziewała się, że Aidan ma ich dużo, ale zastanowiło ją, dlaczego trzyma je tutaj, a nie w swojej sypialni. Potem przypomniała sobie słowa F. Scotta Fitzgeralda o tym, że bogacze są inni, i domyśliła się, że ta szafa służy jako zapasowa albo też jako miejsce, gdzie odkłada się nienoszone ubrania w zależności od pory roku.

Ona sama oddałaby wszystko za szafę dostatecznie dużą, by pomieściła jej nieliczne ubrania, nie mówiąc już o luksusie posiadania osobnego pokoju na ten cel. Czasami musiała odkładać zimowe czy letnie rzeczy na szafki kuchenne. Jeśli nie będzie kontrolowała zakupów i zaniedba porządku, wkrótce jej T-shirty znajdą się w zamrażalniku, a skarpetki - w szufladzie na sztućce.

Wyszła z pokoju i skierowała się znowu w stronę większej sypialni - tej, w której próbowała ostatnio znaleźć jakieś pamiątki dla Aidana. Otworzyła z impetem drzwi do garderoby i zapaliła światło, by przekonać się, czy jej podejrzenia co do zapasowej szafy były słuszne. Zobaczyła następną sporą kolekcję męskiej odzieży. Zdjęła z wieszaka jedną z koszul i uważnie obejrzała metkę. Valentino. Nieźle. Odwiesiła koszulę na miejsce, jeszcze raz rzuciła okiem na garderobę i wyszła, gasząc za sobą światło. Skierowała się w lewo i znalazła się w łazience przy głównej sypialni. Natychmiast zauważyła, że tutaj również wszystko wygląda idealnie, jakby nikt nie odwiedził tego pomieszczenia od wielu dni.

Darcy nie miała zbyt wielkiego doświadczenia, jeśli chodzi o związki, ale wszyscy mężczyźni, z którymi się spotykała, proponowali jej - na wypadek gdyby została na noc-przynajmniej szufladę albo jakieś miejsce, gdzie mogłaby schować zapasową bieliznę, skarpetki lub szczoteczkę do zębów. Teraz zorientowała się, że pomimo początkowego wrażenia, iż Aidan mieszka z kobietą, nigdzie nie zauważyła damskiej odzieży ani rzuconych niedbale butów, w łazience zaś nie było żadnych przyborów do makijażu czy kremów do twarzy. Oprócz kwiatów w holu w całym domu nie było prawie żadnych kobiecych akcentów. Wbrew sobie samej poczuła otuchę.

Może w takim razie Aidan woli żyć sam? Z pewnością nie cierpiał na brak zainteresowania ze strony kobiet, ale, jak się domyślała, lubił mieć zorganizowaną po swojemu prywatną przestrzeń - szczególnie książki, ekologiczną żywność i wymyślne urządzenia kuchenne...

Cóż, nie potrafiła mieć mu tego za złe. Gdyby mogła mieć taki dom, nie mówiąc już o tym, co się w nim znajduje, też byłaby o niego zazdrosna.

Otworzyła szafki w łazience i bezmyślnie przyjrzała się ich zawartości, na którą składały się pasta do zębów i luksusowe męskie kosmetyki, takie jak żel Toma Forda na rozszerzone pory i woda po goleniu Bulgari... gdy wtem jedna z butelek przykuła jej uwagę.

Rogaina? Darcy zmarszczyła czoło i przyjrzała się preparatowi na porost włosów. Przecież Aidan ma gęste, zdrowe włosy. Dlaczego niby miałby tego używać? A może jego lśniąca czupryna jest wynikiem stosowania tego produktu? Jeśli tak, to firma z całą pewnością powinna

zatrudnić go do kampanii marketingowej - pomyślała z uśmiechem. Ale preparat był dziwnym znaleziskiem.

Przeniosła uwagę na małe pudełko tabletek przepisywanych na receptę.

- Diamox - odczytała nazwę na etykiecie, zastanawiając się, co to za lekarstwo i czy przypadkiem jego brak nie ma wpływu na powrót Aidana do zdrowia, ale potem zauważyła informację, iż jest to lek na chorobę wysokościową.

Choroba wysokościowa... No tak, te wszystkie adrenalinowe wyprawy w Alpy Szwajcarskie i wspinaczki na Mont Blanc...

Zorientowała się, że pragnie, aby Aidan opowiedział jej tym swoim cudownym śpiewnym głosem o zdobywaniu K2 albo nawet Everestu, aby przywołał dla niej te wszystkie przygody. Zmarszczyła brwi. Co ona właściwie tu robi? Szpera w czyimś życiu? Powinna być gdzie indziej i skoncentrować się na własnym. Czy pomoc Aidanowi nie jest czasem wymówką, aby uciec na chwilę od swojej nudnej egzystencji?

Nie chcąc rozczulać się nad sobą, zamknęła szafkę, przeszła z powrotem do sypialni i stanęła przed wielkim panoramicznym oknem, z którego widać było część balkonów w luksusowym apartamentowcu naprzeciwko. Szybko odkryła, że jeśli stanie na prawo od okna, wciśnie ramię w róg i lekko przechyli głowę w lewo, będzie mogła zajrzeć do wnętrza niektórych mieszkań.

Przez okna dostrzegła choinki albo światełka umocowane wokół ram okiennych. Na niektórych szerokich parapetach wewnętrznych piętrzyły się sterty paczek.

Były tam wielkie otwarte lofty i ciasne, czyściutkie rodzinne kuchnie, wszędzie paliło się mnóstwo świec, a na choinkach błyskały lampki. W jednym z mieszkań dzieci grały na podłodze w jakąś grę, w innym zaś para starszych ludzi siedziała na sofie zatopiona w lekturze, tak jak kiedyś robili to rodzice Darcy. Inni mieszkańcy pakowali prezenty, piekli ciasteczka albo popijali kawę, patrząc przez okno na ośnieżone dęby w Central Parku.

Darcy mogłaby spędzić tu cały dzień, podglądając tych zajętych swoimi sprawami ludzi. Po prostu uwielbiała patrzeć na rodziny i kropka. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała własną i odtworzy atmosferę cudownych chwil, które spędziła z rodzicami, zanim zginęli.

Nagle zrobiło jej się nieswojo. Zbyttno się tu zadomowiła, nie wspominając już o niepotrzebnym wtykaniu nosa w cudze sprawy.

W drodze do sypialni jej wzrok spoczął na małej szafce w kącie. Była schowana we wnęce, dlatego trudno ją było dostrzec, gdy po raz pierwszy przekraczało się próg pokoju. Gdy podeszła, przekonała się, że jest to mosiężno-szklana serwantka ustawiona na starym stoliku z palisandru. Tylna ścianka serwantki zrobiona była z grawerowanego lustra. Darcy przyszło do głowy, że szafka stała pewnie kiedyś dumnie na wystawie jednego z najlepszych sklepów meblowych na Piątej Alei. W środku znajdowała się kolekcja pieczołowicie ułożonych medali.

Już miała sprawdzić, co to za medale, kiedy dostrzegła tuż obok nich oprawioną fotografię. Przedstawiała grupę ludzi, przeważnie w strojach sportowych. Sądząc po opalonej skórze, ciemnych okularach i kapeluszach

chroniących przed słońcem, została zrobiona gdzieś, gdzie jest bardzo gorąco. Darcy uważnie studiowała twarze, próbując znaleźć wśród nich Aidana. Grupa liczyła około stu pięćdziesięciu osób. Niektóre z nich, bosonogie, o ciemnej karnacji, miały na sobie kolorowe stroje plemienne. Co to za egzotyczne miejsce, zastanawiała się, przyglądając się czerwonej pylistej ziemi u ich stóp. Aidan mógł być którymś z kilkunastu białych członków grupy, sądząc po ubraniu, ale zdjęcie zrobiono z dużej odległości, by zmieścić na nim wszystkich, dlatego trudno było kogokolwiek rozpoznać. Co ciekawe, obok fotografii, na osobnej podstawce, leżała książka zatytułowana *Urodzeni biegacze*. Darcy podrapała się w głowę, myśląc o wszystkich kosztownych pierwszych wydaniach klasyki literatury i kolekcjonerskich przedmiotach na dole, podczas gdy tutaj, w jedynej zamykanej szafce, umieszczono bardzo zwyczajnie wyglądającą książkę w miękkiej okładce. Dziwne...

Kiedy jednak wzięła pod uwagę zawartość szafki, zaczął wyłaniać się wyraźny motyw. Duże medaliony i klamry do pasków z różnymi symbolami i datami upamiętniały jakieś zawody i biegi. „Western States Endurance Run, 100 mil w jeden dzień” - głosił napis na jednej z wielkich srebrnych klamer. Sto mil w jeden dzień? Kto przy zdrowych zmysłach podjąłby się czegoś takiego? - myślała Darcy z niedowierzaniem, przypominając sobie, że sama traci oddech po przejściu dziesięciu przecznic. Tak, dzięki jeździe na rowerze ma jako taką kondycję, ale w porównaniu z Aidanem jest kompletnym mięczakiem.

To wszystko tworzyło jednak całość z fotografiami w salonie, tabletkami na receptę i przypuszczalnie działalnością firmy Thrill Seeker Holdings. Aidan zapewne jest jednym z tych niespokojnych duchów uwielbiających przygody, poszukujących adrenaliny.

Chwyciła za rączkę i lekko pociągnęła - szafka nie była zamknięta na klucz. Otwierając drzwiczki, pomyślała o biednym Aidanie w szpitalnej sali i tylu ciężko zapracowanych cennych wspomnieniach, do których nie miał teraz dostępu. Jedyna rzecz gorsza od konieczności przebiegnięcia stu mil to przebiec sto mil i o tym nie pamiętać.

Postanowiła przynieść mu jeden z medali. Przejrzała je, próbując wybrać najlepszy. A było z czego wybierać: pierwszy, z nowojorskiego maratonu ING, który Darcy dobrze pamiętała ze względu na ulice i parki zamknięte co roku przez jeden weekend listopada. Kilka innych, na grubych wstążkach, upamiętniało podobne osiągnięcia z różnych lat. Wszystkie były umieszczone na drewnianym wieszaku, który prawdopodobnie został wykonany na zamówienie.

Skąd on bierze czas na błyskotliwą karierę zawodową, siedzenie i rozkoszowanie się zawartością prywatnej biblioteki i jednocześnie na treningi do stumilowych maratonów? Osoba Aidana Harrisa kryła coraz więcej zagadek.

Okładka książki nie była szczególnie atrakcyjna: na kremowym tle widniał czarny odcisk bosej stopy, na którym wydrukowano tytuł i zarys sylwetki mężczyzny biegnącego ku słońcu. Sięgnęła po nią; jedyny przedmiot z szafki, który był jej bliski. Domyślała się, że to najmniej wartościowa

książka w całym domu. Otworzywszy ją, zobaczyła dwa autografy - jeden autora, Christophera McDougalla, pod nim zaś nazwisko Caballa Blanco.

Jej samej mogło się to wydawać nieistotne, ale dla Aidana musiało znaczyć bardzo wiele, skoro umieścił tę książkę w serwantce. Ostrożnie włożyła ją do torby, by zanieść ją do szpitala. Już miała zamknąć szafkę, kiedy dostrzegła napis na jednym z medali: „NYRR”.

Wiedziała, że to skrót od New York Road Runners. Joshua często opowiadał o tym klubie biegaczy. Należeli do niego wszyscy członkowie jego prowadzącej zdrowy tryb życia lekarskiej rodziny. Jego ojciec zasiadał chyba nawet w zarządzie, a Joshua żartował, że ilekroć odwiedzi się Central Park, zawsze biega tam któryś z Bishopów.

Darcy jeszcze raz objęła wzrokiem zawartość szafki - pamiątki z biegów, w których Aidan brał udział - i znowu pomyślała, że w tym człowieku jest wiele sprzeczności. Za każdym razem, kiedy zbliżała się do rozwikłania zagadki Aidana Harrisa, pojawiała się coś nowego i wywracało jej teorię do góry nogami.

Rozdział dwudziesty piąty

Ci, którzy wędrują, nie są zgubieni.

J.R.R. Tolkien*

Darcy próbowała rozumować jak panna Marple, ale w rzeczywistości czuła się jak Złotowłosa. Z głównej sypialni przeszła korytarzem do pomieszczenia, które uznała za sypialnię dla gości. Stwierdziła, że ktoś na pewno spał ostatnio w tym pokoju. Dziwne... Mało kto wybrałby mniejszą sypialnię, mając do wyboru tę drugą.

Gościenna łazienka także nosiła ślady użytkowania. Darcy znalazła wodę po goleniu, dezodorant i nożyczki do wycinania włosów w nosie, uznała więc, że musiał to być mężczyzna.

*** *Władca Pierścieni* (przekład własny). W oryginale jest to wers z wiersza, który w całości brzmi: *Notall those who wanderare lost*. W przekładzie Włodzimierza Lewika brzmi: „Nie każdy błądzi, kto wędruje” (*Wyprawa*, rozdz. 10, *Obieżyświat*, wydanie Czytelnik/Ci A Books/SVARO, Warszawa 1990, tłum. Marii Skibniewskiej).**

- Miałeś ostatnio jakiegoś gościa, Aidan? - wymamrotała w przestrzeń.

Może ktoś zatrzymał się u niego i nie może dostać się do swoich rzeczy, bo gospodarz od kilku dni nie wraca do domu?

Zastanawiając się, gdzie teraz może podziewać się ów gość, poczuła niepokój. Wróciła myślami do nieczynnego telefonu Aidana. To musi być straszne, jeśli ten człowiek próbuje się z nim skontaktować i myśli, że Aidan zniknął albo stało mu się coś złego. Postanowiła posiedzieć tu trochę dłużej na wypadek, gdyby ta osoba wróciła. Ale jak rozpozna, że to rzeczywiście ta osoba?

Kręciło jej się w głowie od natłoku myśli.

Po raz ostatni omiotła pokój spojrzeniem i skierowała się do gabinetu, do którego ostatnim razem również zaglądała. Wtedy nie zwróciła na niego większej uwagi, ponieważ znajdowały się w nim jedynie szafki, ciężkie drewniane biurko i laptop. Tym razem jednak zauważyła jeszcze jedno zdjęcie, wciśnięte na półkę.

Uderzająco piękna kobieta - znowu niezwykle urodziwa, promienna - została sfotografowana w skąnym złotym bikini w jakiejś tropikalnej miejscowości. Była mocno opalona, a na jej blond włosach połyskiwało słońce. Darcy skrzywiła się, przyglądając się jej sylwetce modelki. Nie miała pewności, ponieważ zdjęcie było kolorowe, ale mogła to być ta sama blondynka, którą widziała na fotografii schowanej w szufladzie nocnego stolika Aidana.

- To już oficjalna wiadomość - westchnęła. - Ta dziewczyna jest piękna.

Spojrzała nienawistnie na własne ciało, próbując sobie wyobrazić, jak wyglądałaby w podobnym bikini. Wiedziała, że nigdy nie będzie tak gibka jak piękność na zdjęciu. Usiłowała przypomnieć sobie statystyki, według których supermodelki stanowiły genetyczną anomalię. Ona sama natomiast jest normalna i powinna być z tego dumna. Mimo wszystko nie mogła powstrzymać zazdrości. Dlaczego mężczyźni tacy jak Aidan muszą zawsze gustować w ponadprzeciętnie pięknych kobietach?

Odstawiła zdjęcie na półkę z postanowieniem, że nie będzie wracać do tego tematu. Poza tym wszystkie kobiety mają cellulit, nawet Miss Universe, tylko że obiektywy tego nie wyłapały. I wiadomo też, że Photoshop może zdziałać cuda.

Stanowczo odsunęła od siebie myśl o miłosnych podbojach Aidana i podeszła do biurka, na którym stał laptop Vaio - wersja o wiele droższa od jej starożytnego rupiecia. Jeśli jakimś cudem udałoby jej się dostać do tego komputera, cały nowy świat dodatkowych informacji stanąłby otworem przed nią i Aidanem. Zastanawiała się, czy jest sens pakować laptopa i zabierać go do szpitala, skoro był zabezpieczony hasłem. Wiedziała, że umysł działa w ten sposób, że palce potrafią czasami automatycznie sięgnąć do konkretnych klawiszy bez konieczności myślenia o tym, co piszą.

Darcy postawiła swoją butelkę z wodą na podkładce na biurko i usiadła w fotelu, rozmyślając, gdzie ma zacząć szukać informacji o firmie i firmowej papeterii, potrzebnych centrali Apple'a do wyrażenia zgody na wymianę aparatu.

Po prawej stronie znajdowała się szuflada. Pociągnęła rączkę delikatnie, potem trochę mocniej. Szuflada ani drgnęła.

Znowu wszystko na nic. Wyprostowała się i przeniosła uwagę na stojący na biurku telefon. Zastanawiała się, czy biuro ma oddzielną linię telefoniczną, czy też jest to dodatkowy aparat do numeru domowego. Zauważyła, że miga światelko automatycznej sekretarki. Przeglądając listę połączeń, natychmiast rozpoznała numer Kensingtonów i zrozumiała, że aparat jest podłączony do głównej linii, ale wiele się wydarzyło od czasu, kiedy ostatni raz sprawdzała sekretarkę.

Z przerażeniem stwierdziła, że po numerze Kensingtonów było jeszcze kilka innych. Najwyraźniej ktoś rozpaczliwie usiłował skontaktować się z Aidanem.

Obok aparatu leżał notatnik i pióro Mont Blanc. Darcy szybko zapisała wszystkie numery, nie mogąc nadziwić się gładkości stalówki. Pomiędzy prywatnymi numerami pojawił się Bennington, rozpoczynający się od cyfr 212, oraz Cleaver-Parks, również z Manhattanu. Darcy zapisała szczegóły, zastanawiając się, czy któryś z numerów należy do kobiety, która wcześniej dzwoniła z zastrzeżonego numeru. Potem, tym razem już bez poczucia winy, nacisnęła klawisz play.

- Cześć, Aidan, tu Nate. Chciałem tylko się dowiedzieć, co z naszą sprawą. Słyszałem, że skontaktowałeś się z moją znajomą, i mam nadzieję, że wszystko poszło dobrze. Spróbuję złapać cię na komórkę, ale gdyby mi się nie udało, to naprawdę cieszę się, że zdobyłeś to, czego potrzebowałeś, przed wielkim dniem. Ciao.

Darcy zrobiła wielkie oczy. „Cieszę się, że zdobyłeś to, czego potrzebowałeś, przed wielkim dniem”? Teraz była już zupełnie pewna, że w dniu wypadku Aidan zmierzał na spotkanie z kimś, komu miał doręczyć prezent.

Zagryzła wargi. To przez nią na nie nie dotarł.

Usłyszała sygnał i jakieś odgłosy w tle. Nasłuchiwała uważnie, przeczuwając ze strachem, że to znowu ta kobieta.

- *Odbierz, do cholery!* - powiedział damski głos, z którego tym razem przebijała wściekłość. - *Po prostu nie mogę uwierzyć, że tak mnie ignorujesz! Jeśli chcesz to zakończyć, to w porządku, ale mógłbyś chociaż powiedzieć mi to w twarz zamiast tego żalowanego, idiotycznego... niedojrzałego zachowania. Dobra, zapomnij o tym, już rozumiem. Chciałabym powiedzieć, że było fajnie, ale musiałabym skłamać. Miłego życia, dupku. Aha, przy okazji, mówi Melanie, gdybyś akurat nie mógł sobie przypomnieć.*

Darcy siedziała oniemiała. Spotkanie, na którym nie zjawił się Aidan, musiało naprawdę być bardzo ważne. Przesłuchując jednak taśmę po raz drugi, zdała sobie sprawę, że jeszcze ważniejsze jest imię kobiety: Melanie. Melanie. Aidan i Melanie. Długo zestawiała w myślach te dwa imiona. Melanie to zapewne ta wspaniała blondynka w bikini, głos jakoś do niej pasował. Sądząc po pożegnaniu, z pewnością nie jest trusią.

Domyślała się, że tak piękne kobiety nie pozwalają sobą pomiatać, szczególnie że z pewnością kręci się wokół nich masa innych wielbicieli, pragnących traktować je tak, jak tego oczekują.

Na jakie spotkanie nie dotarł Aidan? Jaką okazję przegapił? Przynajmniej dla Melanie było to coś znaczącego. Darcy

żałowała, że kobieta ma zastrzeżony numer, inaczej mogłaby do niej zadzwonić i wyjaśnić, że Aidan nie zrobił nic złego, że to wszystko jej wina i że gdyby nie ona, Aidan na pewno dotarłby tam, gdzie miał dotrzeć, i wręczyłby jej prezent.

Teraz znowu zastanowiła się, co to mógł być za prezent. Rozumiała, że ktoś taki jak Melanie ma wyrafinowany gust. Oznaczało to, że Aidan musiał wybrać dla niej coś bardzo szczególnego. Umysł Darcy pracował na najwyższych obrotach. Przypomniała sobie drugie nagranie, w którym męski głos mówił o zdobywaniu tego, czego Aidan potrzebował. Czy ten facet, Cleaver-Parks, miał z tym coś wspólnego?

Szybko zapisała jego numer telefonu, odłożyła pióro i oddarła kawałek papieru z bloczka, uderzając jednocześnie łokciem w otwartą butelkę wody Fiji i zalewając nią suszkę oraz część blatu. Zerwała się na równe nogi.

- O, cholera! Przepraszam, Aidan, przepraszam! - wykrzyknęła w przestrzeń. - Cały czas coś ci niszczę.

Rozglądała się rozpaczliwie wokół siebie w poszukiwaniu czegoś do wytarcia wody. Wybiegła z pokoju i chwilę później wróciła z ręcznikiem, który znalazła w niewielkiej toalecie. Zamierzała zacząć od suszki, ale zorientowała się, że powinna raczej martwić się o orzechowy blat biurka, który wyglądał na kosztowny.

Uniosła mokrą suszkę z biurka. Coś upadło z brzękiem na podłogę. Coś metalowego. Znieruchomiała i spojrzała na podłogę, zastanawiając się, co jeszcze rozbiła.

Zobaczyła kluczyk. Pochyliła się i podniosła go drżącymi dłońmi. Maleńki srebrny kluczyk, z rodzaju tych, które pasują do kłódki albo walizki.

- Albo do szuflady biurka - wyszeptała.

Wstała i położyła kluczyk na biurku. Jeszcze raz przetarła do sucha blat ręcznikiem, po czym przeniosła uwagę na mokrą suszkę do atramentu. Z przerażeniem spojrzała na srebrny uchwyt i podstawę ze skóry. Wiedziała, że ma przed sobą przedmiot wart co najmniej kilkaset dolarów! Wzruszyła ramionami. Następnym razem lepiej będzie, jeśli przejedzie jakiegoś biedaka.

Usiadła na krześle i wzięła do ręki kluczyk. Zaczęła od lewej strony biurka, próbując po kolei otworzyć wszystkie szuflady. Za każdym razem jednak jej wysiłki okazywały się daremne - kluczyk nie pasował.

Z narastającym zniechęceniem przeniosła się na prawą stronę biurka. Ku jej radości kluczyk wszedł gładko do zamka górnej szuflady. Darcy zaczerpnęła głęboko powietrza, przekręciła go i usłyszała kliknięcie zamka.

Po otwarciu szuflady uderzył ją panujący w jej wnętrzu porządek. Po raz kolejny Aidan okazał się miłośnikiem ładu - świadczył o tym cały jego dom. Darcy pomyślała

O własnym mieszkaniu i skrzywiła się, zastanawiając, co Aidan powiedziałby na widok stosu brudnych naczyń w zlewie, ubrań rzuconych na oparcie krzesła, góry rzeczy do prasowania w kącie wołającej: „Zajmij się mną!”, oraz, rzecz jasna, jej kolekcji książek, zajmującej każdą wolną powierzchnię.

Zawartość szuflady była właściwie zupełnie zwyczajna i mało interesująca. Gumki recepturki, spinacze, kilka piór Mont Blanc, mały notatnik i... oho! Pod szarą teczką leżał stosik papeterii formatu A4 z wydrukowanym

na każdym arkusiku nagłówkiem firmy Thrill Seeker Holdings. Eureka!

Darcy była niezmiernie rada, że wreszcie znalazła coś, czego szukała. Odłożyła teczkę, wzięła kilka arkuszy papeterii i złożony je ostrożnie na pół, schowała do torby. Poprosi Aidana, żeby szybko napisał dla Apple'a zgodę na zamówienie nowego iPhone'a, a potem od razu zawiezie pismo do sklepu. Jedna sprawa z głowy. Przy odrobinie szczęścia Aidan wkrótce będzie miał sprawny telefon i swoją listę kontaktów. Darcy poukładała rzeczy w szufladzie tak, jak je zastała, po czym położyła na nich skoroszyt. Był tak cienki, że chyba musiał być pusty. Na wszelki wypadek rozchyliła go pospiesznie. Znajdował się w nim pojedynczy arkusz papieru z listą różnych nazwisk i adresów, wypisanych ręcznie precyzyjnym, pochyłym pismem. Były tam również dopiski innym, mniej eleganckim. Darcy była ciekawa, który charakter pisma należy do Aidana. Pod listą widniało kilka innych nazwisk i numerów telefonów oraz parę cyfr wyglądających jak daty.

Darcy przyjrzała się bliżej nazwiskom i adresom. Jedno z nich natychmiast przykuło jej uwagę: Nate Cleaver-Parks. Cleaver-Parks? To ten facet, który zostawił wiadomość na sekretarce. Przewróciła kartkę na drugą stronę i odczytała następne nazwiska, umieszczone obok nowojorskich numerów telefonów zaczynających się od cyfr 212 oraz 917.

Podrapała się w głowę, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi. Ostatecznie może oddzwonić do pana Cleavera-Parksa. W przeciwieństwie do Kensingtonów wiedział przynajmniej, kim jest Aidan, a z tego, co zapamiętała

z nagrania na sekretarce, zwracał się do niego po imieniu. Uznała więc, że warto spróbować.

Jeszcze raz odsłuchiwała wiadomość, aby zyskać pewność, że Cleaver-Parks jest z Aidanem po imieniu. Porównała także numery na liście i na wyświetlaczu telefonu; były takie same.

Nagle opadły ją wątpliwości. Podniosła słuchawkę, czując rosnący niepokój, być może dlatego, że ta rozmowa mogła oznaczać koniec jej kontaktów z Aidanem Harrisem i jego tajemniczym życiem. Przygnębiała ją już sama myśl o tym.

Czyżby odkrycie, iż Aidan podobnie jak ona jest miłośnikiem książek, utrudniało jej dokonanie obiektywnej oceny? Miłość do książek nie czyni nikogo automatycznie porządnym człowiekiem (choć w oczach Darcy był to wielki atut), tak samo jak miłość do zwierząt albo nawet słabość do hot dogów czy poruszania się metrem pomimo wypchanego portfela... Właściwie to było wszystko, co o nim wiedziała. Wszystkie wyobrażenia, którymi obudowała sobie Aidana i jego świat - miłości, sympatie, antypatie, nadzieje i marzenia - były w większości produktem jej czasami zbyt bujnej fantazji. Domyślała się, że ktoś, kto naprawdę go zna, mógłby je zniszczyć i szybko pozbawić ją złudzeń. Zastanawiała się również, co się stanie, kiedy Aidan odzyska już swoje życie i nie będzie potrzebował jej pomocy. Czy będzie chciał kontynuować znajomość, kiedy ona odegra już swoją rolę?

Wiedziała, że prędzej czy później i tak będzie musiała się z tym zmierzyć, ale w obecnej chwili priorytetem była pomoc Aidanowi w stanięciu na nogi i ułożeniu jego spraw.

Jeszcze raz spojrzała na arkusz z nazwiskami i wstukała cyfry. Czekala, wiedząc, że gdzieś na Manhattanie dzwoni teraz telefon. Po chwili usłyszała głos, niepokojąco szorstki:

- Rezydencja Cleaverów-Parksów. Żołądek Darcy zwinął się w kulkę.

- Och, halo, chciałabym rozmawiać z panem Nate'em Cleaverem-Parksem.

- Przy telefonie - warknął natychmiast głos. Darcy zmarszczyła brwi. To dziwne, męski głos na automatycznej sekretarce nie brzmiał tak wojowniczo jak ten.

- Ach... Dzwonię w związku z wiadomością, którą zostawił pan na sekretarce mojego przyjaciela...

- Kto mówi? - rzucił mężczyzna, przerywając Darcy.

- Bardzo przepraszam, powinnam była się przedstawić. Nazywam się Darcy Archer, dzwonię w imieniu osoby, którą pan z pewnością zna, Aidana Harrisa...

Zanim zdążyła dokończyć, mężczyzna znowu jej przerwał:

- Nie mam pojęcia, o kim pani mówi.

- Wydaje mi się, że to pan do niego dzwonił. Na sekretarce była wiadomość i...

Nate Cleaver-Parks był jednak najwyraźniej zdecydowany nie dopuścić Darcy do głosu.

- Przykro mi, nie wiem, o kim ani o czym pani mówi. Wróciłem do miasta dziś rano i absolutnie do nikogo nie dzwoniłem. A skoro o tym mowa, poważnie doskwiera mi różnica czasu i mam mnóstwo spraw do załatwienia przed świętami. Przypuszczam, że wybrała pani zły numer. Do widzenia.

Zapadła cisza, co oznaczało, że mężczyzna się rozłączył. Darcy odsunęła słuchawkę od ucha i wpatrzyła

się w nią bezsilnie. Rzuci! słuchawką! Ten facet może sobie mieć podwójne nazwisko, ale z pewnością nie jest dżentelmenem. Co za człowiek nie pozwala drugiemu skończyć zdania? I rozłącza się, nie wysłuchawszy, co ktoś ma do powiedzenia?

Ten człowiek to Nate Cleaver-Parks.

Darcy pokręciła głową. Coś tu znów nie pasowało do układanki. Wiedziała, że ten mężczyzna dzwonił do Aidana, czego dowodem było nagranie na sekretarce, mimo to, podobnie jak Tabitha Kensington, upierał się, że go nie zna i nie ma z nim nic wspólnego.

Kolejna ślepa uliczka. Darcy miała ochotę uderzyć głową w stół. Żadna fantazja, jaką jej wyobraźnia mogła wyprodukować na temat Aidana Harrisa, jego tajemniczego życia i nieuchwytnych przyjaciół, nie mogła być dziwniejsza od rzeczywistości.

Rozdział dwudziesty szósty

To, co widzisz, co się zda - jak sen we śnie jeno trwa.

Edgar Allan Poe*

A więc któryż to uroczy bohater stanął ci dziś na drodze? - zażartował Joshua następnego poranka, kiedy Darcy pojawiła się spóźniona o kilka minut, aby otworzyć księgarnię. - Heathcliff czy Rochester? Czy te regencyjne dranie nie wiedzą, że pracujesz?

- Tym razem pan Darcy.

Weszła do środka, włączyła światła i zaczęła przygotowywać sklep do pracowitego dnia. Do świąt pozostało już tylko kilka dni.

- Nie sądzę, żeby w ogóle był zadowolony z tego, że pracuję - dodała, zdejmując z lady stos książek i odkładając je na bok.

* *Sen we śnie*, przeł. Włodzimierz Lewik.

- I warto się dla niego spóźnić? - dopytywał kolega.

- Może, zresztą nie wiem. Właściwie jestem lekko załamana. Podświadomość ciągle wciska do mojego snu jezioro, a to mnie denerwuje, bo wszyscy wiedzą, że cała ta filmowa scena z Colinem Firthem i jeziorem w ogóle nie pojawia się w książce. Oczywiście w moich snach pan Darcy nigdy nie występuje w mokrej koszuli, ale z jakiegoś powodu jest tam jezioro. - Moja podświadomość stosuje też inne sztuczki, pomyślała Darcy ze skrepowaniem, nie mając ochoty zdradzać Joshui, że obiekt jej uczuć znowu okazał się uderzająco podobny do Aidana Harrisa.

Joshua się roześmiał.

- Jesteś chyba jedyną dziewczyną na świecie, która ma problem ze snem o facecie w mokrej koszuli. Myślę, że powinnaś wynagrodzić swoją podświadomość za to twórcze upiększenie. Ale może nie miałabyś zbyt wielu takich snów, gdybyś znalazła sobie prawdziwego mężczyznę. Dziś wieczorem jestem zaproszony na otwarcie galerii w Soho. Powinnaś pójść ze mną, będzie masa fajnych ludzi i niezła zabawa. - Przewrócił oczami na widok jej wahania. - Niech zgadnę, zostały ci tylko trzy rozdziały do przeczytania - powiedział kpiąco, powtarzając jedną z wymówek, do których Darcy często się uciekała, gdy w grę wchodziło wieczorne wyjście.

Zasadniczo miałby rację, ale tego dnia Darcy miała prawdziwe wytłumaczenie. Nie mogła przyjąć jego zaproszenia, ponieważ naprawdę była już umówiona na przedstawienie baletowe.

- Och, to bardzo eleganckie - zauważył Joshua, kiedy Darcy powiedziała mu o biletach do Koch Theater, które Aidan tak uprzejmie jej podarował.

Myśl o Aidanie przypomniała jej o pytaniu, jakie chciała zadać Joshui.

- Hej, uczestniczysz co roku w nowojorskim maratonie? - zapytała.

- Jasne, że tak... Ja i czterdzieści pięć tysięcy innych - odpowiedział, ale po tym, jak opowiedziała mu pokrótce, co znalazła wczoraj u Aidana, zwłaszcza o medalach, dodał: - Nie wszyscy się znamy, złotko.

- Wiem, ale zastanawiam się, czy Aidan może mieć coś wspólnego z twoim klubem biegaczy. Są tam także medale z mniejszych zawodów w Central Parku. Wy, biegacze, zazwyczaj trzymacie się razem.

- Cóż, jeżeli jest tak bogaty i atrakcyjny, jak mówisz, to jestem pewien, że kilka dziewczyn z klubu za nim biega, że tak powiem. - Joshua puścił do niej oko. - Powinnaś przeszukać zakładkę z wynikami na stronie klubu. To da ci odpowiedź, czy kiedykolwiek brał udział w naszych imprezach.

Darcy przygryzła wargę.

- To mi właściwie nie pomoże. Miałam nadzieję, że przez klub uda mi się skontaktować z jego rodziną. Może w jego deklaracji członkowskiej jest jakiś alarmowy numer kontaktowy albo coś takiego?

Joshua zastanawiał się przez chwilę.

- Jutro mamy spotkanie grupy, mogę o niego zapytać, jeśli chcesz. Ale sam nie wiem... skoro startuje w ultra i tak dalej, to może być z niego niezły drań.

- W ultra? - Darcy podniosła wzrok na kolegę.
- W biegach ultra - wyjaśnił. - Ultramaratony są rozgrywane na dystansach dłuższych niż zwykłe maratony.

Darcy się uśmiechnęła. Tylko taki maniak biegania jak Joshua może uznawać maraton za coś zwykłego.

- Western States 100 to naprawdę mocna rzecz, Darcy. Sto mil w Sierra Nevada przez góry i kaniony - powiedział.

Potrząsnęła głową, nie mogąc wyobrazić sobie Aidana (ani w ogóle nikogo) porywającego się na coś takiego.

- A ta książka podpisana przez samego Białego Konia? Założę się, że jest warta parę stówek, szczególnie teraz.

- Przez Białego Konia? - Darcy sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

- Mówiłaś, że jest podpisana przez Caballa Blanco. - Joshua wymówił to nazwisko z szacunkiem. - Biały Koń, tak nazywali go Meksykanie. Facet już nie żyje, ale jest legendą wśród biegaczy.

I opowiedział pokrótce historię Amerykanina, który odsunął się od społeczeństwa i zamieszkał w kanionach Meksyku z Indianami Tarahumara, gdyż uważał ich za plemię sportowych geniuszy.

- Naprawdę nigdy nie czytałaś *Urodzonych biegaczy*? To dla nas biblia.

- Wiesz, że sport nigdy mnie nie pociągał - odpowiedziała Darcy, wzruszając ramionami.

Jak można się było spodziewać, wolała ciepły i przytulny dom z wyborem lektur zamiast gonitwy po ulicach i parkach.

- Uwierz mi, jeśli ten twój gość jest na zdjęciu, to musi być albo bardzo znany, albo wpływowy. Udział w pierwszych

edycjach ultramaratonu w Miedzianym Kanionie był tylko za zaproszeniami. Coś ci powiem, jeden starszy facet z naszego klubu brał udział w Western 100 i myślę, że mógł też biec raz w Meksyku. Zapytam go, czy nazwisko Harris coś mu mówi.

- Dzięki, Joshua, to by mi bardzo pomogło - powiedziała Darcy w zamyśleniu. - Chyba masz rację, że Aidan ma duże wpływy.

Opowiedziała mu o firmie Thrill Seeker i swoich domysłach co do jej działalności.

- Sądząc po zdjęciach, wygląda na to, że sporty ekstremalne to jego bajka.

- Hej, czyli byłem blisko... Ten facet to prawdziwy Jason Bourne - odparł Joshua, uzupełniając zapas cukrowych laseczek w słoju na ladzie. - Już rozumiem, dlaczego tak cię wzięło - dodał, szelmowsko mrużąc oko, a Darcy zarumieniła się wbrew sobie.

Naprawdę mnie wzięło? - zastanawiała się, układając książki na półkach i usiłując uporządkować myśli. Czy Aidan mi się podoba? Oczywiście wydał jej się przystojny, kiedy tylko zobaczyła go po raz pierwszy w szpitalu. I nie mogła też, co jasne, nie czuć pokrewieństwa dusz z kimś, kto tak jak ona uwielbiał książki. Nie mówiąc już o jego miłych oczach, cudownym uśmiechu, śpiewnym akcencie i niewątpliwej miłości do Bailey'a. I ta jego hojność: upierał się, żeby przyjął bilety do teatru jako formę podziękowania za jej pomoc. Była jeszcze sprawa jego obecności w jej snach w ostatnim czasie... Tylko że jej myśli, a właściwie uczucia, nie mają znaczenia. Aidan jest przecież związany z piękną kobietą o imieniu

Melanie, a przynajmniej był, dopóki Darcy nie pojawiła się na scenie. Poza tym Darcy była tylko dziewczyną, która wjechała w niego rowerem na ulicy i która próbowała to naprawić, zajmując się jego psem i pomagając mu w kilku kwestiach administracyjnych. To wszystko.

Rozdział dwudziesty siódmy

Możesz w to uwierzyć? Lecę tu przez pół świata tylko po to, żeby spędzić z tymi dupkami mniej niż czterdzieści osiem godzin, a oni mówią mi wtedy, że nie będą mnie potrzebowali aż tak długo, jak sądzili. Ledwie zaczęłam odczuwać różnicę czasu, a za chwilę mam znowu wsiadać do samolotu!

Podniosłem słuchawkę i ledwie zdążyłem wydobyć z siebie „halo”, a ona już była w połowie kolejnej porcji narzekań. Jeśli chodzi o gadkę, na mojej cudownej siostrzyczce zawsze można polegać. Spojrzałem z uśmiechem na zegarek i obliczyłem czas.

- U ciebie jest teraz po pierwszej w nocy - powiedziałem, jakby Ciara nie wiedziała, która godzina jest w Hongkongu.

- Zgadza się. Do czego zmierzasz? - rzuciła oschle.

- Kiedy będziesz w domu?

Wiedziałem, że termin „za chwilę” w przypadku Ciary może oznaczać bardzo różne daty.

- Hm, nie jestem pewna. Wiem tylko, że nie będzie to przyszły tydzień, jak początkowo planowałam. Pewnie to ci trochę pokrzyżuje plany, ale czy mogłabym przyjechać do ciebie trochę wcześniej? Pewnie masz napięty grafik.

- Jasne, że możesz. Świetnie się składa. Wiesz już, że w pracy mam w tym tygodniu urwanie głowy, dużo się dzieje, ale jak tylko zakończę kilka spraw, jestem cały twój. - Naprawdę ucieszyłem się z jej planów. Będzie miło trochę pobyć razem. Za rzadko się widzimy. - Mel też będzie zachwycona. Nie może się doczekać spotkania z tobą.

- Ja też, i cieszę się, że wszystko u was wraca do normalności.
- Krótka pauza. - Ale nie spoczywaj na laurach.

Zmarszczyłem brwi.

- Co masz na myśli?

- Ciebie i twój pracoholizm. Mam nadzieję, że nauczyłeś się czegoś na dawnych błędach. Problem polegał częściowo na tym, że brałeś na siebie tak wiele... często więcej, niż mogłeś udźwignąć. Nie jesteś Supermanem, chociaż trudno ci w to uwierzyć.

Uśmiechnąłem się cierpliwie. Moja ukochana siostra nie rozumiała do końca, jak działa mój świat. Nie rozumiał tego właściwie nikt, kogo znam. Wydawało im się, że to tylko zabawa, wyścigi, imprezy, promocje i klepanie się po plecach z celebrytami... Oczywiście czasem tak bywa, przez większość czasu jest wspaniale. Z wyjątkiem sytuacji, kiedy trzeba działać pod presją, tak jak teraz.

- Nie martw się, siostrzyczko, dzisiaj mam wolne. Moje błękitne rajstopy i peleryna są w pralni.

- Aidan, czy ty mnie słuchasz? Mówię poważnie. Jeśli nadal będziesz pracował w tym tempie, to możesz być

pewien, że w końcu padniesz. Oczywiście nie dosłownie, ale taki permanentny stres nie jest dobry. Ani dla ciebie, ani dla Mel.

- Co w takim razie mam zrobić według ciebie? - najeżyłem się z powodu insynuacji, że zaniedbuję Mel. - Mam rzucić ręcznik i po prostu odejść? To by nikomu nie przyniosło pożytku. Tak czy inaczej, nie o to chodzi. Uwielbiam swoją pracę, ale w niej też zdarzają się lepsze i gorsze dni, jak wszędzie. Powinnaś to wiedzieć lepiej ode mnie.

- Jasne, że wiem - głos Ciary złagodniał. - Po prostu chciałabym, żebyś od czasu do czasu robił sobie przerwę. Może mogłabym ci jakoś pomóc, kiedy tam będę? Oczywiście, jeśli mi pozwolisz. Wiem, że masz świra na punkcie kontroli.

Uśmiechnąłem się na tę myśl. Moja siostra, jeśli zechce, potrafi działać jak tornado, ale nie jestem pewien, czy nawet ona dałaby radę wytrzasnąć na czas to, czego potrzebuję.

- Będzie dobrze. W końcu dam sobie radę, jak zawsze.

- Dobrze, ale tak jak mówiłam, staraj się nie przepracowywać. Zaslugujesz na odrobinę własnego życia, chociaż mam wrażenie, że nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Jeszcze raz zapewniła mnie, że da mi znać, kiedy przyjedzie, po czym się pożegnaliśmy. Kiedy odłożyłem słuchawkę, musiałem przyznać, że ucieszył mnie jej telefon, chociaż nadal byłem lekko poirytowany sugestią, iż narażam na szwank mój związek z Mel. Ciara musiała przecież wiedzieć, jak bardzo mi zależy na Mel.

Położyłem telefon na stoliku i zacząłem rozmyślać o słowach Ciary. Może moja siostra ma rację, może

ostatnio biorę na siebie zbyt wiele i właśnie z tego powodu jestem w tej chwili trochę przybity. Podjąłem niezłomne postanowienie, że miło spędzę z nią czas, kiedy przyjedzie do Nowego Jorku. Może spróbuję zorganizować jakieś wieczorne wyjście tylko dla nas dwojga. Nie tak jak poprzednim razem, kiedy wypadło mi coś w ostatnim momencie i znalazłem tylko chwilkę, żeby wypić z nią kawę.

Aby otrząsnąć się z przygnębienia, sięgnąłem po zaczytany egzemplarz książki autora o nazwisku Oliver Martin, którą kilka dni temu dostałem od kolegi z wydawnictwa. Nie byłem pewien, czy ta historia mi się spodoba, ale wszyscy mówili, że to popularny pisarz, a ja potrzebowałem trochę rozrywki. Właśnie miałem zacząć czytać, kiedy znowu odezwał się telefon. To pewnie Ciara o czymś zapomniała albo znowu chce mnie zrugać, pomyślałem.

Tym razem jednak w słuchawce rozległ się męski głos:

- Aidan? To ty?

Był to Nate Cleaver-Parks.

Wyprostowałem się, czując nagły przypływ energii. Proszę, niech powie, że ma dla mnie dobrą wiadomość.

- Co słychać, Nate? Już myślałem, że o mnie zapomniałeś.

- Przepraszam. Utknąłem w tym całym bałaganie z Tiffany Bennington w Los Angeles. Wiesz, rodzice wykupili ją z aresztu, ale przytaszczyli z powrotem do Nowego Jorku. Nudzi się, więc zadzwoniła do mnie.

Chciałem zapytać, czy rozmawiał z Benningtonami o moich poszukiwaniach, ale zanim zdążyłem to zrobić, powiedział:

- Ale to nie w ich sprawie dzwonię. Mam dla ciebie kogoś innego. Będiesz rozmawiał z jego asystentką, ale ona jest upoważniona do wypowiedzania się w imieniu szefa.

- Fantastycznie. No dobrze, to do kogo mam zadzwonić?

Chwila ciszy.

- Masz długopis?

- Nie przy sobie. Zaczekaj chwilę.

Pobiegłem po schodach do biura, gdzie zostawiłem listę, chwyciłem klucz, otworzyłem szufladę i wyciągnąłem skoroszyt oraz długopis. Potem podniosłem słuchawkę telefonu na biurku, gotów do działania.

- Dobra, dawaj.

- Nazywa się Stephanie Everly.

Zapisałem jej nazwisko, a Nate opowiedział mi o niej i jej chlebodawcy. Miałem nadzieję, że ta nowa ścieżka w końcu dokądś mnie zaprowadzi i nie okaże się wyczerpującą ślepa uliczka, na które dotychczas natrafiłem.

- Dzięki, Nate. Jestem twoim dłużnikiem - powiedziałem, oddychając z ulgą.

Może ta Stephanie Everly, kimkolwiek jest, będzie mogła mi pomóc.

- Nie ma problemu. Daj mi znać, jak ci idzie, okej? - odparł, kończąc rozmowę. - Ciekaw jestem, czy to będzie strzał w dziesiątkę... Mam nadzieję, że wszystko wypali.

Rozdział dwudziesty ósmy

Czytajmy i tańczmy - żadna z tych dwóch rozrywek nie wyrządzi krzywdy światu.

Wolter

Kto zajmie się Baileyem? - niepokoila się Grace, chodząc tam i z powrotem przed swoją połyskującą białożółową choinką, podczas gdy Darcy czekała, aż sąsiadka będzie gotowa do wyjścia.

- Ricardo wpadnie do niego podczas przerwy - odparła Darcy niezbyt dumna ze sposobu, w jaki zwabiła zainteresowanego nią kelnera od Luigiego. Obiecała mu, że kiedyś zaprosi go na domowy obiad. Była wdzięczna, że Luigi nie czynił jej wymówek z powodu czworonożnego sublokatora. W rzeczywistości zarówno właściciel jej domu, jak i Ricardo polubili psa. Darcy nie miała innego wyjścia, jak tylko uśmiechnąć się słodko do Ricarda, jeśli chciała skorzystać z biletów Aidana wraz ze swą awaryjną psią opiekunką. - Poza tym nie ma się czym martwić, Grace. Myślałam, że będziesz zadowolona, przecież to balet!

Twarz starszej pani się wypogodziła.

- Wiem, skarbie, to bardzo miło ze strony twojego przyjaciela, ale muszę ci wyznać, że od lat nigdzie nie wychodziłam. Nie jestem... Nie wiem, czy jestem na to gotowa.

- Nonsens - odparła Darcy, prowadząc Grace do jej sypialni, aby wybrać dla niej strój na przedstawienie *Dziadka do orzechów* o 19.30 w Koch Theater. - Przecież prawie co wieczór jadasz kolację u Luigiego, prawda?

- To coś innego, kochanie. Przecież to nora. A Koch jest legendą w kręgach baletowych. To poważna sprawa.

- Naprawdę? - spytała Darcy, spoglądając krytycznie na siebie, swoje klasyczne czarne spodnie i fioletowy sweter. Teraz ona zaczęła się zastanawiać, czy jest gotowa.

- Oczywiście. Mówiłam ci, sama tam kiedyś tańczyłam.. . Wiele, wiele lat temu.

Darcy umocniła się w swym postanowieniu.

- Tym bardziej masz powód, żeby pójść tam dzisiaj i dobrze się bawić. Wiesz, ja chyba też pójdę szybko się przebrać, ale wrócę tu za dziesięć minut, dobrze? Jeśli mamy zdążyć na przedstawienie, musimy niedługo wyjść.

Darcy przemknęła przez korytarz i wykopała z czeluści szafy swoją portfelową sukienkę vintage, jedyny w miarę wieczorowy ciuch, jaki posiadała. Oddałaby teraz wiele za parę szpilek od Jimmy'ego Choo! Mruknęła groźnie, posyłając Baileyowi mordercze spojrzenie. Husky leżał wyciągnięty leniwie na jej łóżku, jakby nie obchodziły go żadne problemy tego świata.

Miałam gdzieś parę ładnych czółenek na wysokich obcasach, może będą pasowały, pomyślała Darcy,

grzebiąc w szafie. Ubrała się, stanęła przed dużym lustrem w drzwiach szafy i spojrzała z uznaniem na swoje odbicie, lecz zaraz zmarszczyła czoło na widok końskiego ogona i twarzy bez śladu makijażu.

Na szczęście jej cera była w dobrym stanie i bez wyprysków, ale Joshua miał rację: naprawdę powinna bardziej się starać. Może wtedy facet pokroju Aidana Harrisa mógłby zainteresować się nią na tyle, żeby zaprosić ją na randkę.

Drzemiąca w niej feministka natychmiast zbesztła ją za takie myśli, tłumacząc, że żaden mężczyzna skoncentrowany na wyglądzie kobiety nie jest wart jej czasu, ale Darcy musiała przyznać, że faktycznie nie eksponowała swej kobiecości. Na początek powinna poskromić włosy. Były dość miękkie i błyszczące, ale rzadko nosiła je rozpuszczone. Wszyscy zawsze komplementowali jej oczy w ciekawym odcieniu zieleni; szczególnie ładnie wyglądały podkreślone kredką i tuszem do rzęs.

Odnalazła w szufladzie starą kosmetyczkę i zajęła się nakładaniem podkładu, cieni do powiek i odrobiny różu. Potem rozpuściła włosy i potrząsnęła głową, aby opadły swobodnie wokół twarzy. Zdziwiła się, że są już takie długie. Ich końcówki sięgały teraz prawie do łopatek. W takiej fryzurze wyglądam o wiele powabniej, wręcz seksownie - stwierdziła z aprobatą.

Aby dopełnić dzieła, pociągnęła usta jasnoczerwoną szminką i jeszcze raz oceniła efekt. Była zaskoczona przemianą, a jeszcze bardziej wynikającym z niej dobrym samopoczuciem. Może naprawdę powinna poświęcać trochę więcej czasu swemu wyglądowi?

Zastukała do drzwi sąsiadki, naciągając na siebie nieco staroświecką szarą pelerynę, którą - jak pamiętała - Katherine kupiła jej w ubiegłym roku w Macy's. Grace stanęła w drzwiach w eleganckiej srebrzystej sukni do połowy łydek, która podkreślała jej smukłą szyję i nadal piękne ramiona. Czarny szal spływał do połowy pleców, stanowiąc tło dla długich diamentowych kolczyków, pobłyskujących po obu stronach twarzy. Tak, ta dama naprawdę wiedziała, jak się stroić.

- Och, Grace, wyglądasz cudownie! - Darcy na chwilę odjęło mowę.

Poznała już Grace nieco lepiej, ale teraz była zaskoczona, jak bardzo odmłodził sąsiadkę ten strój. Zawsze postrzegала panią Henley jako zrzędlivą staruszkę, lecz od kiedy w ich życiu pojawił się Bailey, zaczęła rozumieć, że Grace jest po prostu samotną kobietą w średnim wieku. Właściwie podobną do mnie, przyznała Darcy.

Rozmyślała o tym od czasu rozmowy z Joshua i zastanawiała się, czy to jest prawdziwy powód, dla którego z takim entuzjazmem rzuciła się w wir pomocy Aidanowi Harrisowi. Czyżby po prostu była bardzo samotna? Oczywiście otaczali ją cudowni ludzie, którym na niej zależało: Katherine, Joshua i Ashley z księgarni, a poza tym utrzymywała kontakt z byłymi pracownikami Chaucer's. Ostatecznie jednak - choć dla niektórych może to brzmieć żałośnie - to ukochane książki były jej najbliższymi przyjaciółmi i powiernikami. Tak się działo od czasów jej dzieciństwa. Gdy opowiadała o różnych rzeczach, podróżach i przygodach w odległych miejscach, to te historie dotyczyły głównie bohaterów książek.

Podobnie jak większość nowojorczyków Darcy uwielbiała swoje miasto. Miało tyle do zaoferowania, że naprawdę nie trzeba było nigdzie wyjeżdżać. Teraz jednak przyszło jej do głowy, iż być może trzymała się go zbyt kurczowo, jak tratwy ratunkowej, czując się pewnie ze świadomością, że Nowy Jork jest jej stałym punktem odniesienia i dopóty nie może stać się nic złego, dopóki pozostaje w jego bezpiecznym uścisku. Spotkanie z Aidanem i szansa przyjrzenia się ekscytującemu życiu, jakie zdawał się wieść, w jakiś sposób wydobyły na światło dzienne to, czego jej samej brakowało. Nie chodziło o pieniądze czy ten niezwykły dom - choć nie ulegało wątpliwości, że mogła tylko pomarzyć o takim luksusie - ale o to, że pomoc Aidanowi przy rekonstrukcji historii jego życia miała również ułatwić jej znalezienie brakujących elementów. Zastanawiała się także, czy nie nadużywa eskapizmu, unikając konfrontacji z rzeczywistością i tym, czego brakuje w jej życiu.

- Spójrz tylko na nas - szepnęła Grace, gdy schodziły po stopniach, stukając obcasami, przerywając tym samym rozważania Darcy. - Wyglądamy jak prawdziwe laski.

Zamówiona taksówka już na nie czekała, a Ricardo ze ściereczką przewieszoną przez ramię pomachał im zza zaparowanych szyb restauracji Luigiego.

- Nie patrz teraz, kochanie - zażartowała Grace, wsiadając do samochodu - ale wydaje mi się, że masz adoratora.

Darcy zachichotała, usiadła obok i podała taksówkarzowi adres.

- Kto powiedział, że Ricardo adoruje mnie?

Taksówka skierowała się w stronę miasta. Darcy czuła przyjemne podekscytowanie. Spektakl baletowy w jednym z najlepszych teatrów w Nowym Jorku był dla niej kolejnym nowym doświadczeniem oraz szansą na poznanie małego fragmentu życia Aidana. Znowu zaczęła rozmyślać, czy to Aidan kupił te bilety, a jeśli tak, to kto miał mu towarzyszyć dziś wieczorem. Kobieta o imieniu Melanie, której oburzony głos słyszała wczoraj na telefonicznej sekretarce, dała jej do zrozumienia, że Aidan spotyka się ostatnio z więcej niż jedną dziewczyną, ale on sam poświęcił też dużo czasu na zdobycie pięknego prezentu dla kogoś ważnego. Nie mówiąc już o tym, że w ciągu krótkiego okresu ich znajomości okazał się człowiekiem mocno stąpającym po ziemi i absolutnie nie próbował z nią flirtować. Chociaż to akurat - pomyślała ze smutkiem Darcy - wynikało z tego, że nie jestem warta jego zainteresowania.

Kierowca wysadził je tuż przed schodami wiodącymi do Lincoln Center, gdzie mieścił się Koch Theater. Obie panie weszły po nich na główny plac. Kiedy były już prawie na górze, a ich oczom ukazała się podświetlona fontanna i woda błyszcząca jak diamenty na ciemnym tle, Darcy natychmiast coś sobie przypomniała: czarno-białe zdjęcie blondynki w mieszkaniu Aidana... Zrobiono je na tym placu, dokładnie przed fontanną Revsona. Nie mogła zrozumieć, dlaczego dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę - przecież podświetlone dysze i okrągły kształt fontanny były bardzo charakterystyczne. Musiała być tak bardzo skupiona na postaci kobiety, że nie zwróciła większej uwagi na tło.

Teraz znowu myślała o tej pewnej sobie kobiecie z rękami uniesionymi nad głową... Wyjęła z torebki bilety. Przez jej głowę przelatywały tysiące myśli. Czy kobieta ze zdjęcia jest baletnicą? To mogłoby wyjaśniać, skąd Aidan wziął bilety. I czy to możliwe - zastanawiała się, podchodząc z Grace do wejścia - że będzie występowała w dzisiejszym przedstawieniu?

W środku Darcy pospiesznie otworzyła wręczony im program i przebiegła wzrokiem nazwiska tancerzy, szukając jedynej znanej jej dotychczas z imienia osoby, która tęskniła za Aidanem i niepokoiła się z powodu jego nieobecności. Oczywiście była to daleko idąca hipoteza, ale warto spróbować. Jeżeli Darcy uda się ją znaleźć, będzie mogła przynajmniej wyjaśnić, dlaczego Aidan ją zawiódł. Jeśli zaś Melanie okaże się dziewczyną Aidana - miłością jego życia, która miała otrzymać od niego prezent - Darcy może nawet uratować całą sytuację.

Ale w programie wieczoru nie figurowało imię Melanie.

- Co się stało, skarbie? - zapytała Grace, kiedy usiadły na wskazanych im miejscach. - Jesteś taka zamyślona...

Darcy wahała się, czy ma powiedzieć Grace, nad czym się zastanawia. Doszła jednak do wniosku, że nie zaszkodzi wysłuchać opinii drugiej osoby w tej sprawie. Aidana otaczało tyle tajemnic, że trudno jej było zebrać myśli.

- Mój Boże, co za zamieszanie - podsumowała Grace, kiedy kilka minut później Darcy skończyła swą opowieść. - Ale myślę, że możesz mieć rację przynajmniej co do tego, że ta kobieta jest baletnicą. Dla każdej tancerki obdarzonej talentem, który pozwala na występowanie w New York City Ballet, zdjęcie przed fontanną to niemal obowiązek.

Coś w rodzaju obrzędu przejścia. Ja też mam gdzieś schowaną swoją fotografię, chociaż fontanna wyglądała wtedy trochę inaczej.

Serce Darcy przyspieszyło; czuła, że do czegoś się zbliża. Pytanie tylko, czy Aidan miał te bilety, ponieważ jego blond przyjaciółka występuje dziś w *Dziadku do orzechów*? A jeśli tak, to czy Darcy będzie w stanie ją rozpoznać?

W teatrze w pięknym stylu spotykały się nowoczesność i tradycja. Na Darcy największe wrażenie wywarło pięć balkonów ozdobionych kryształowymi kinkietami. Ze złotego sufitu zwieszał się olbrzymi kulisty żyrandol.

- Jest tak, jak zapamiętałaś? - spytała Darcy.

- Nie uwierzysz, ale dokładnie tak samo - odparła starsza kobieta, ukradkiem ocierając łzy. - Czuję się tak, jakbym cofnęła się w czasie. A to jest czwarty balkon, najlepsze miejsce w całym teatrze do podziwiania baletu.

Darcy nie zrozumiała. Była wręcz nieco rozczarowana, że siedzą na balkonie w trzecim rzędzie od tyłu, tak daleko od sceny, ale Grace wyjaśniła jej, że im dalej od tancerzy, tym lepiej widać szczegóły choreografii.

W teatrze panowała podniosła atmosfera. Mężczyźni ubrani w eleganckie garnitury i kobiety w odświeżonych błyszczących sukniach i kosztownej biżuterii zajmowali swe miejsca w fotelach. Kiedy światła przygasły i zaczęło się przedstawienie, Darcy przestała myśleć o czymkolwiek innym. Poczowała, że dreszcz przebiega jej po karku. Pierwszy tancerz wbiegł na scenę w czerwonym hełmie, błękitnej satynowej kurtce ze złotymi guzikami i błyszczącymi czerwonymi rajstopach. Wtedy zorientowała się, jakie ma szczęście, że może spędzić wieczór w tym wspaniałym,

magicznym świecie. Nigdy przedtem nie była na spektaklu nowojorskiego baletu. Teraz zapomniała o wszystkim i zakochała się w tańcu. Z zapartym tchem podziwiała piękne sylwetki solistów, poruszających się tak płynnie, jakby urodzili się po to, aby tańczyć.

Po zakończeniu przedstawienia ścisnęła rękę Grace.

- Cudowne, niewiarygodnie piękne! - szepnęła, gdy opadła kurtyna.

Tłum głośno wyrażał swój aplauz, ale chyba nikt nie czynił tego bardziej entuzjastycznie niż Grace i Darcy wysoko na balkonie, gdzie powinien znajdować się Aidan Harris i jego nieznana towarzyszka. Mimo iż Darcy starała się ze wszystkich sił odszukać wzrokiem kobietę z fotografii, z tej odległości nie można było zobaczyć wyraźnie twarzy tancerzy. Ale nawet gdyby udało jej się podejść bliżej, prawdopodobnie nie rozpoznałaby dziewczyny Aidana pod warstwą makijażu i w kostiumie.

Widzowie przechodzili obok nich w stronę wyjścia. Darcy również wstała, ale Grace przytrzymała ją za łokieć.

- Zostańmy jeszcze chwilę - zaproponowała.

Darcy zauważyła, że oczy sąsiadki wciąż dziwnie błyszczą, i jeszcze raz poczuła wdzięczność wobec Aidana za jego hojność.

- Grace Ciarke?! - zawołał jakiś głos w pobliżu. Odwróciwszy się, ujrzały zmierzającego w ich stronę

po schodach skromnie ubranego starszego pana w sfatygowanym kaszkiecie na bujnych siwych włosach.

- Chalmers? - Grace raptownie wciągnęła powietrze, dotykając dłonią szyi. - Nie mogę uwierzyć, że mnie rozpoznałeś.

- A ty mnie! - Zachichotał.

Objęli się, a Grace przedstawiła mężczyznę jako jednego ze swoich dawnych scenicznych partnerów i wyjaśniła, że Ciarke to jej panięskie nazwisko.

- Nie widziałem cię, od kiedy wyszłaś za mąż i przeszłaś na ciemną stronę - powiedział Chalmers, uśmiechając się ciepło do Grace.

Darcy pojęła, że dzisiejszy wieczór wiele znaczy dla jej sąsiadki i przywraca jej bardzo wiele pięknych wspomnień.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rzeczywistość można pokonać odpowiednią ilością wyobraźni.

Mark Twain

Następnego ranka Darcy wędrowała ścieżką przez Central Park z Baileyem u boku. O tej porze roku było tu wyjątkowo pięknie. Niskie zimowe słońce oświetlało okoliczne budynki, a ziemia i nagie gałęzie drzew, wznoszące się na tle jaskrawoniebieskiego nieba, pokryte były cienką warstwą śniegu.

Darcy nie miała innego wyjścia, jak tylko zabrać z sobą Bailey'a do pracy, ponieważ po wczorajszym radosnym spotkaniu z Chalmersem w teatrze Grace najwyraźniej umówiła się ze swoim starym przyjacielem na lunch. Darcy nie miała jej tego za złe, i tak zrobiła już dla niej bardzo wiele. Poza tym czuła, że łagodny husky będzie się zachowywał idealnie. Może nawet spodoba się klientom, choć zapewne nie współpracownikom, a zwłaszcza jednemu - pomyślała z uśmiechem.

Park był pełen biegaczy, spacerowiczów, rowerzystów i właścicieli psów ze swymi pupilami, korzystających ze słonecznego poranka. Bailey ciągnął mocno za smycz, wyczuwając wolność otwartej przestrzeni oddzielonej od nich jedynie rzędem drzew.

- Przykro mi, piesku. Bardzo bym chciała pozwolić ci poszaleć, ale nie mam ochoty mówić Aidanowi, że cię zgubiłam, kiedy poleciałeś gonić wiewiórki.

Czuła się jednak okropnie. Przecież to husky, a przed nim rozpościera się pole świeżego śniegu. Urodził się, aby po nim biegać. Lecz w parku nie wolno było spuszczać psów ze smyczy. Domyślała się, że Bailey pewnie o tym wie, jeśli Aidan chodzi z nim tu na spacer.

Kiedy weszli razem do księgarni, Joshua i Ashley stali za ladą i wprowadzali nowy towar do komputera. Joshua podniósł wzrok, zaskoczony widokiem czworonożnego gościa.

- Co - to - ma - znaczyć? - spytał, dobitnie akcentując słowa. Wybałuszył oczy na Bailey'a. - Jeśli ten... wilk urządzi sobie tutaj toaletę, gorzko pożałujesz.

Bailey odpowiedział mu spojrzeniem. Darcy się wydawało, że jego oczy zwęziły się lekko na tę nieelegancką uwagę.

- Och, Joshua, przestań. To jest Bailey i mogę cię zapewnić, że nic się nie stanie. Wydaje mi się, że jest lepiej wychowany niż ty albo ja. Może nawet bardziej czytany.

Darcy rzuciła torbę na podłogę za ladą i odpięła Baileyowi smycz. Pies natychmiast zaczął węszyć, zapoznając się z nowym otoczeniem. Joshua obserwował go nieufnie.

- A co będzie, jeśli nasika na towar? Wiesz, tabliczka „Psom wstęp wzbroniony” nie wisi na drzwiach bez powodu.

- Tabliczka nie dotyczy psów towarzyszących - odparowała Darcy - a on dzisiaj nam towarzyszy.

Kolega pokręcił głową. Pompon mikołajowej czapki zakołysał się buńczucznie.

- Zupełnie ci odbiło.

Ashley wyszła zza lady i kucnęła, przywołując do siebie Bailey. Darcy obserwowała, jak pies zaznajamia się z dziewczyną: najpierw obwąchał ją ostrożnie, a potem złożył na jej policzku niedbały pocałunek. Przycisnął się do niej tak mocno, że Ashley prawie upadła do tyłu. Radośnie machał ogonem, gdy - chichocząc

- próbowała odzyskać przewagę w ich spontanicznych zapasach.

- Jest bajeczny. - Ashley popatrzyła na Darcy. - Tak mi przykro z powodu tamtego dnia. Gdybym nie poprosiła cię o zamianę, nie musiałabyś się wtedy rano spieszyć i to wszystko by się nie wydarzyło.

- Nie musisz mnie przeproszać, to była moja wina, że nie nastawiłam budzika.

- Joshua opowiedział mi wszystko o Jasonie Bournie

- dodała Ashley z uśmiechem.

Darcy spojrzała groźnie na kolegę, który wzruszył ramionami.

- Myślę, że to wspaniałe, że próbujesz mi pomóc. Darcy sięgnęła po swój firmowy fartuch.

- Tak między nami, nazywa się Aidan Harris i w sumie to nie mam pewności, czy rzeczywiście mu pomagam.

- Właśnie, skoro mowa o panu Bournie - powiedział Joshua, rozpakowując jedno ze świeżo dostarczonych pudeł. - Na ekrany wchodzi ten nowy film, powinniśmy chyba położyć na wystawie kilka thrillerów Willa Andersona.

Darcy uśmiechnęła się na widok stosu książek autora, z którym Katherine próbowała ją wyswatać. Ciotka miała rację, nazywając go grubą rybą. Zaczęła się zastanawiać, czy Katherine udało się znaleźć przez swoje sławne koneksje kogoś, kto mógłby znać Aidana. Chociaż gdyby tak się stało, to pewnie już by o tym wiedziała, mimo iż ciotka miała rozliczne zobowiązania w związku z imprezami organizowanymi przez Ignite o tej porze roku.

Upewniła się, że Bailey leży wygodnie na dywaniku za ladą, obok grzejnika, i starała się skupić uwagę na nadchodzącym dniu pracy, ale jej myśli cały czas dryfowały w kierunku Aidana. Podczas ostatniej wizyty w jego domu uzyskała wiele interesujących materiałów, ale nie zbliżyła się ani o włos do rozwiązania zagadki. Kiedy poprzedniego dnia pokazała mu medale i książkę *Urodzeni biegacze*, sugestia, że jest miłośnikiem sportów ekstremalnych, wzbudziła w nim takie samo zdziwienie jak pozostałe domysły. Ku jej wielkiemu rozczarowaniu wydawał się jeszcze bardziej zdziwiony faktem istnienia biblioteki. Darcy spodziewała się, że książki okażą się bodźcem, który poruszy jego pamięć. Szczególnie że dowiódł już swej wiedzy na temat literatury. Posunęła się nawet do zapytania o Aidana w barze z hot dogami, ale facet za ladą spojrzał na nią jak na wariatkę. „Czy ma pani pojęcie, ile osób codziennie tu przychodzi?” - zapytał, unosząc

brwi. To oznaczało, że pozostała jej do zbadania już tylko sprawa baletnicy, a jeśli i w tej kwestii się myliła - jeżeli przyjaciółka Aidana, Melanie, nie jest już tancerką albo nigdy nią nie była - to wszystkie jej wysiłki pójdą na marne.

Zastanawiała się, co jeszcze mogłaby zrobić. Przede wszystkim nie chciała, żeby Aidan musiał spędzić kolejną samotną noc w sterylnym szpitalnym pokoju bez kwiatów. Do gwiazdki jednak zostały tylko trzy dni i niepokoiło ją, dlaczego jeszcze nikt nie odszukał go w szpitalu. Od wypadku minęły cztery doby. Wiedziała, że zaczyna to do niego docierać. Czuł się zraniony i z każdym dniem popadał w coraz większe przygnębienie.

Nikt nie powinien być sam o tej porze roku. Zwłaszcza ktoś, kto ma piękną, utalentowaną dziewczynę, która go kocha, a która z powodu Darcy być może myśli teraz, że chłopakowi już na niej nie zależy.

Darcy miała świadomość, że skoro już zaszła tak daleko, musi dać z siebie wszystko, aby naprawić szkody. Była gotowa własnoręcznie dostarczyć prezent Melanie. W tej chwili to ona, Darcy, jest jedyną nadzieją Aidana na rozwiązanie zagadki. Czy nie jest mu winna przynajmniej tego?

Rozdział trzydziesty

Na litość boską, czy w tym mieście ktoś w ogóle odbiera telefony? Już dwa razy próbowałem się dodzwonić do Stephanie Everly - pierwszy raz tuż po tym, jak Nate dał mi jej numer, a następnie dzisiejszego ranka, mając nadzieję, że zdarzy się cud i odbierze.

Ostatnio jakoś nie mam szczęścia. Nie odebrała telefonu ani wieczorem, ani z rana. Czy ci wszyscy ludzie nie rozumieją, że bardzo mi zależy na czasie? Jestem zdesperowany i chyba lada chwila zacznę biegać po Manhattanie z przypiętą do piersi kartką z listą moich potrzeb. Nie wiem jednak, czy ktoś zwróci na mnie uwagę. Zapewne udałoby mi się ją przyciągnąć, gdybym się rozebrał. Może nawet pisano by o mnie w gazetach?

Och, nie, Aidan. Nie śmiej tego robić. Najprawdopodobniej zostałbyś aresztowany. Lepiej wróć myślami do Stephanie. Minęły cztery godziny, odkąd próbowałem się do niej dodzwonić na komórkę, i uważam, że powinienem spróbować kolejny raz. Nie chcę, by odniosła wrażenie, że ją prześladuję. Po prostu naprawdę muszę z nią porozmawiać.

Wybrałem numer i usłyszałem sygnał... jeden, drugi, trzeci, czwarty, a potem włączyła się poczta głosowa.

- Znowu - mruknąłem, słuchając opanowanego głosu Stephanie, instruującego mnie, żebym zostawił wiadomość, a ona oddzwoni. W tej chwili nie byłem w stanie w to uwierzyć.

Oczywiście jej tego nie powiedziałem. Starając się nadać swemu głosowi miły ton, zacząłem:

- Cześć, Stephanie. To znowu ja, Aidan Harris. Nie chcę się pani naprzykrzać, naprawdę, ale Nate Cleaver-Parks, to znaczy junior, powiedział, że powinienem z panią porozmawiać o czymś, czego pilnie poszukuję. Podobno pani szef jest zapalonym kolekcjonerem i być może będzie gotów mi coś sprzedać. Na wypadek gdyby Nate o tym nie wspomniał, chciałbym pilnie to coś wysłać i jestem gotów dobrze zapłacić.

- Żołądek skurczył mi się boleśnie, kiedy to mówiłem - trudno jest się pozbyć starych nawyków - ale to była prawda. - Na wszelki wypadek jeszcze raz zostawiam pani mój numer, 212—555^4343. Proszę do mnie zadzwonić, to porozmawiamy o szczegółach. Powtarzam...

Piip... Automatyczny sygnał oznajmił, że przekroczyłem czas przewidziany na nagranie. Poirytowany odsunąłem telefon od ucha. Określenie mojego stanu w ten sposób było oczywistym niedopowiedzeniem. Ledwie to pomyślałem, a rozległy się dźwięki oznaczające nadejście wiadomości tekstowych. Zważywszy na liczbę, domyślałem się, od kogo pochodzą, a w żołądku ścisnęło mnie coraz bardziej w miarę ich czytania.

Szybko napisałem odpowiedź i rzuciłem się na łóżko, po czym machinalnie włączyłem telewizor. Bailey, czując się zaproszony, wskoczył na puchową kołdrę i przyłożył głowę do poduszki, tuż obok mnie. Przez chwilę węszył, najwyraźniej wyczuwając pozostałości truskawkowego szamponu Mel z poprzedniej nocy, a potem przekręcił się na grzbiet jakby zadowolony z tego, że udało mu się zidentyfikować źródło zapachu.

Przez chwilę skakałem po kanałach, jak zwykle nie znajdując nic wartego obejrzenia. Świąteczne programy obejmowały liczne reality show, takie jak *Z kamerą u Kardashianów* czy *Jersey Shore*, informacje o tym, co dzieje się w Waszyngtonie i kto z kim się kłóci. Zostawiłem telewizor na kanale z wiadomościami, odłożyłem pilota i zamknąłem oczy. Wiedziałem, że powinienem coś zrobić, a nie leżeć beczynnym, ale byłem naprawdę zmęczony, wręcz wyczerpany.

- Trzydzieści sześć godzin, Bailey. Trzydzieści sześć godzin do godziny zero. Albo jakimś cudem mi się uda, albo będzie wielka klapa.

Bailey westchnął, jakby wyczuwał mój ból. Otworzyłem oczy i spojrzałem na niego. Ale on wcale nie zdawał sobie sprawy z mojej udręki. Po prostu zasypiał. Jak zwykle...

Rozdział trzydziesty pierwszy

*Dlatego że nie miał się dokąd udać, jak tylko przed siebie,
gwiazdy wciąż go gnaty naprzód.*

Jack Kerouac*

Wczesnym popołudniem następnego dnia Darcy siedziała przy jednoosobowym stoliku w restauracji na East Side. Mijali ją uśmiechnięci przechodnie w czerwonych szalikach i dopasowanych do nich nieskazitelnych beretach, cieszący się świeżym powietrzem i niebem tak błękitnym, że aż bolały oczy. Niewiele jest widoków piękniejszych niż zimowe niebo nad Manhattanem.

Rano w pracy zgodnie z sugestią starego przyjaciela Grace z teatru Abe'a Chalmersa, który nadal funkcjonował w środowisku, wydrukowała listę szkół baletowych na Manhattanie. Wprawdzie Abe powiedział też Darcy, że imię Melanie nie kojarzy mu się z żadną ze znanych mu tancerek z New York City Ballet, ale to jeszcze nic

*** W drodze, przet. Anna Kotyszko.**

nie znaczy. „Może po prostu należy do innego zespołu. Kiedy będziesz odwiedzać szkoły, weź z sobą to zdjęcie”, poradził. „Jeśli uczęszczała do którejś z nich, na pewno ktoś ją rozpozna”. Darcy postanowiła przejść się po szkołach po pracy, ale że jedna z nich mieściła się na Upper East Side, niedaleko Chaucer's, wybrała się tam więc podczas przerwy na lunch.

Szkoła mieściła się w nowoczesnym budynku ze szkła i stali. Wchodząc z ulicy prosto do oślepiająco białej recepcji, Darcy patrzyła na toczącą się lekcję baletu. Niemal doznała szoku, sądząc, że trafiła w dziesiątkę za pierwszym razem: recepcjonistka wyglądała prawie identycznie jak dziewczyna ze zdjęcia. Była sztywna, blada, cała w czerni, z ciasno związanymi rudawymi włosami okalającymi szczupłą twarz z wąskim podbródkiem. Obrzuciwszy spojrzeniem niebieskie dzinsy i znoszony płaszcz Darcy, ściągnęła wargi.

- Zajęcia już się zaczęły - powiedziała, spoglądając na lśniący cieniutki tablet na biurku.

- Nie szkodzi, nie przyszedłam na zajęcia.

Kobieta podniosła głowę, zmierzyła Darcy spojrzeniem i zaprezentowała uśmiezek mówiący „to przecież oczywiste”.

- Więc po co pani przyszła?

Lodowata mina i wyniosły ton recepcjonistki sprawiły, że Darcy poczuła się nieco zbita z tropu.

- Chciałam zapytać o kogoś, kto mógł kiedyś się tutaj uczyć - powiedziała.

Zaczęła szukać w torebce zdjęcia, czując, że powinna była wyjąć je wcześniej. Wyniosła kobieta, która

prawdopodobnie nie była wiele starsza od niej, odchyliła się nieznacznie na krześle.

- Chwileczkę - powiedziała. - Rozumie pani, że nie mogę udzielać żadnych informacji o uczennicach naszej szkoły. To wbrew polityce firmy, a poza tym może pani być jakąś... stalkerką.

- Naprawdę?

- Tak. Biorąc pod uwagę, że jest pani cięższa od większości tych dziewcząt o jakieś dziesięć kilo i...

Darcy podniosła ręce i odwróciła się.

- W porządku, w porządku, nie było pytania. Wyszła, okrążyła budynek i oparła się o ścianę tuż obok

szklanej tafli wychodzącej wprost na ulicę. Westchnęła i spojrzała na zdjęcie. Co trzeba zrobić, żeby przeniknąć do świata Melanie? Gdzie Melanie mogła poznać Aidana? Na przyjęciu po jakimś spektaklu? Na jednej z eleganckich imprez dobroczynnych, na których wielcy manhattańczycy spotykają się, by podziwiać się nawzajem? Melanie była taka nieskazitelna i szykowna, uśmiechała się promiennie na tle migoczącej fontanny Revsona. Kim jesteś? - wymruczała pod nosem Darcy, a po chwili szklane drzwi studia baletowego otworzyły się i co najmniej tuzin patykowatych nóg zbiegł po schodach.

- Przepraszam, czy możecie mi pomóc?! - zawołała Darcy za tancerkami.

Wyciągnęła fotografię w stronę trzech dziewcząt, które się zatrzymały. Sprawiały wrażenie zniecierpliwionych.

- Szukam tej baletnicy.

Jedna z dziewcząt, wyższa i jakby poważniejsza od koleżanek, zanim jeszcze spojrzała na zdjęcie, zapytała:

- A o co chodzi?

Odprawiona przez sekretarkę Darcy zdążyła naprędce wymyślić w miarę prawdopodobną historyjkę.

- Widziałam ją kilka tygodni temu na przedstawieniu dobroczynnym, była olśniewająca. Ale musiałam wyjść przed końcem i nie miałam okazji z nią porozmawiać. Chciałabym, żeby wystąpiła w prywatnym spektaklu - skłamała bez mrugnięcia okiem.

Dziewczyna się zastanowiła.

- A dla kogo ma być to prywatne przedstawienie? - spytała.

- No cóż, chyba naruszyłabym tę prywatność, gdybym ci o tym powiedziała - odrzekła Darcy. - To bardzo ważna sprawa dla mojego klienta. Mogę tylko zdradzić, że przymierza się do obsadzenia roli w swoim nowym filmie, a mam wrażenie, że ta dziewczyna byłaby idealna.

Sama była zaskoczona, z jaką łatwością przychodzą jej kolejne kłamstwa. Na dźwięk słowa „film” wszystkie dziewczęta wyprostowały się jak na przesłuchaniu. Darcy poczuła się trochę winna z powodu tych bzdur, ale skoro dzięki nim zbliży się o krok do swojej zdobyczy, nic jej przy tym nie obiecując, to chyba nikt na tym nie ucierpi...

- Niech no popatrzę - powiedziała wysoka dziewczyna, biorąc od Darcy fotografię. - Wygląda znajomo, ale nie tańczy u nas. Być może widziałam ją w *Jeziorze łabędzim* w zeszłym roku albo może w *Serenadzie*, ale nie jestem pewna.

Inna dziewczyna kiwnęła głową.

- Niech pani spróbuje u madame Song dwie ulice stąd. Wygląda, jakby była jedną z jej baletnic.

Tego samego dnia po pracy Darcy krążyła więc od jednego studia baletowego do drugiego. Od madame Song poszła do Studio Academy, z Academy Group do Slippers Studio, a potem dalej... Niektóre zajęcia odbywały się w niezbyt obszernych suterrenach solidnych mieszczańskich domów, inne szkoły zajmowały całe piętra nad chińskimi restauracjami i pralniami chemicznymi. Nigdy nie spodziewała się, że wyruszy w taką podróż po nieznanym jej dotychczas zakątkach Manhattanu - ekskluzywnych, szpanerskich, imponujących nowoczesnością, klasycznych i tych mniej eleganckich...

Szybko nauczyła się, że nie należy wchodzić do środka, tylko trzeba zacząć się za rogiem, u stóp schodów, na skrzyżowaniu albo najlepiej w barze sałatkowym kilka numerów dalej. Kiedy dziewczęta wychodziły, Darcy zazwyczaj udawało się wyłowić grupkę nastawionych przyjaźniej od reszty.

Wyrażano wiele przypuszczeń, ale pod koniec poszukiwań nie była ani trochę bliżej rozwiązania niż na początku. Wieczorem usiadła naprzeciwko Grace, popijając kolejną filiżankę mocnej, gorącej kawy rozpuszczalnej, która działała na nią tak samo odprężająco jak widok Baileya po powrocie do domu.

- Naprawdę ciężko jest wytropić tę dziewczynę. Grace skinęła głową.

- Oczywiście, że tak, skarbie. O tej porze roku w balecie jest najwięcej pracy.

- Naprawdę?

Grace przytaknęła, wygładzając różową podomkę.

- O, tak. Prywatne spektakle dobroczynne, przedstawienia gwiazdkowe, wielkie widowiska na koniec sezonu...

Profesjonalne tancerki mogą odpocząć dopiero po Nowym Roku.

Maślane herbatniki zniknęły z talerzyka Darcy, ale po wizycie Grace w kuchni pojawiły się znowu. Darcy nie miała siły się ruszyć.

- Nie mam pojęcia, co bym bez ciebie zrobiła, Grace. Bailey leżał obok sąsiadki na sofie, z pyskiem na kolanach. Grace głąaskała go i przemawiała do niego czule.

- Uwierz mi, zrobiłaś już bardzo dużo. Będzie mi naprawdę brakowało tego psiska, kiedy twój chłopak go zabierze.

- On nie jest moim chłopakiem - poprawiła Darcy sąsiadkę. - To po prostu ktoś, komu pomagam.

- Jesteś pewna? - zapytała Grace, przyglądając jej się przenikliwym wzrokiem.

Darcy się zaczerwieniła.

- Co masz na myśli?

- Cóż, wybacz, jeśli wychodzę przed orkiestrę, ale wydaje mi się, że przez ostatnich kilka dni zadałaś sobie wiele trudu, żeby pomóc człowiekowi, który na dobrą sprawę jest ci zupełnie obcy.

- Ale to z mojej winy znalazł się w tej sytuacji, Grace - przypomniała Darcy. - Do świąt pozostały trzy dni, a on jest zupełnie sam w szpitalu, podczas gdy ludzie, których kocha i którzy kochają jego, odchodzą od zmysłów z niepokoju.

- Niektórzy powiedzieliby, że spłaciłaś dług, zajmując się jego psem. Nikt nie mógłby oczekiwać więcej. Chyba że... - Spojrzała znacząco na Darcy. - Chyba że twoja motywacja wykracza poza zwykłe zobowiązania.

Darcy usiadła głębiej na sofie i westchnęła.

- Och, sama nie wiem. To rzeczywiście głupie, może faktycznie zaczęłam coś do niego czuć. Aidan robi karierę, jest bystry, przystojny, miły, czytany... Przypuszczam, że ma właściwie wszystkie cechy, których mogłaby sobie życzyć dziewczyna. Ale to, co o nim myślę, nie ma znaczenia, bo z tych strzępków informacji, jakie o nim zdobyłam, wynika, że zdecydowanie nie jest już do wzięcia. Ktoś taki jak on musi być już zajęty. I oczywiście ta kobieta jest z pewnością olśniewająco piękną modelką albo tancerką z idealną figurą, wspaniałymi ciuchami i oszałamiającymi sukcesami na koncie. Podczas gdy ja - uśmiechnęła się krzywo - powiedzmy, że nie jestem dobrą partią.

Grace pokręciła głową.

- Och, Darcy, przestań. Przecież wiesz, że to nieprawda. Nie jesteś ubrana w idiotyczne markowe ciuchy od stóp do głów. Ale która z nas jest? I kogo to obchodzi? Zdążyłam się już przekonać, że masz wiele cech, które czynią cię wyjątkową... Na przykład dobroć. Nigdy nie sprzedawaj się tanio! - dokończyła z przekonaniem.

Darcy była wzruszona słowami sąsiadki.

- Dziękuję, Grace, za te słowa. Bardzo sobie cenię twoją przyjaźń. Nie mogę uwierzyć, że mieszkałyśmy obok siebie prawie przez trzy lata i ledwie mówiłyśmy sobie dzień dobry, kiedy mijałyśmy się na korytarzu.

- To moja wina - powiedziała Grace łagodnie. - Długo opłakiwałam mojego Ralpa i nie chciałam nikogo znać, nie życzyłam sobie nikogo w swoim życiu. Pamiętam, jak uśmiechnęłaś się do mnie pierwszego dnia po przeprowadzce, ale ja wiedziałam, że nie jestem gotowa

na przyjaźń. Szczerze mówiąc, nie byłam do niej zdolna. Lecz to był błąd.

- A poza tym to było kiedyś - dokończyła Darcy, ściskając sąsiadkę za rękę. Przechyliła głowę w stronę Bailey'a i dodała z uśmiechem: - Podobno ten osobnik jest najlepszym przyjacielem człowieka?

Grace roześmiała się i poklepała dłoń Darcy.

- To, co powiedziałam przed chwilą, nie wynikało ze zwykłej uprzejmości. Naprawdę tak uważam. Owszem, każdy mężczyzna może marzyć o związku z supermodelką, niektórym nawet zdarza się umówić z nimi na randkę, ale w końcu wybierają kobiety takie jak my, zwyczajne i prawdziwe. Poza tym jest nas o całe niebo więcej na świecie i wiele z nas żyje długo i szczęśliwie.

Darcy pokiwała głową, zastanawiając się, kto znajdzie szczęście na końcu tej historii.

Rozdział trzydziesty drugi

Kiedy już będzie umiała czytać, możesz nauczyć ją wierzyć w tylko i wyłącznie jedną rzecz. Tylko w siebie samą.

Virginia Woolf*

Hej, masz jakieś pojęcie na temat baletu? - zapytała Darcy Joshuę następnego dnia w pracy, opowiadając mu o swoim najnowszym potencjalnym tropie wiodącym do jednej z enigmatycznych ukochanych Aidana.

- Niestety nie. To nie moja bajka. Ale za to musicale...

- Tak, wiemy - uśmiechnęła się przyjaźnie. Joshua był wiernym fanem Broadwayu i co jakiś czas

zdarzało mu się w dogodnym momencie zaśpiewać na całe gardło fragment z *Defying Gravity* albo *The Wizard and I*. Był to najskuteczniejszy sposób na pozbycie się klientów przed zamknięciem sklepu.

*** *Towarzystwo*, z tomu opowiadań *Nawiedzony dom*, przet. Magda Heydel, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012..**

Darcy wyjęła z torby zdjęcie baletnicy i pokazała koledze. Joshua wybałuszył oczy.

- Kto to jest?

- Myślę, że to może być dziewczyna Aidana, i dlatego próbuję ją odszukać.

- Ma klasę - powiedział, oddając jej fotografię. - Chociaż trochę za zimna jak na mój gust.

Darcy przyjrzała się fotografii po raz kolejny.

- Naprawdę wygląda jak baletnica, prawda? Opowiedziała mu o znaczeniu upozowanego zdjęcia

przed fontanną Revsona i o wieczorze z Grace w Koch Theater, kończąc relacją ze swojej wczorajszej wędrówki po licznych szkołach baletowych w nadziei, że ktoś rozpozna tę dziewczynę.

- Zostało mi jeszcze tylko jedno miejsce i jeśli nic nie wskóram, to już nie wiem, co robić. Nie mam pojęcia, jak jeszcze mogę dotrzeć do kogoś, kto zna Aidana.

- Poświęcasz tej sprawie wiele uwagi - stwierdził Joshua, a w jego słowach zabrzmiało echo delikatnych sugestii Grace.

- Tak. Aidan jutro wychodzi ze szpitala, ale nie zaznam spokoju, dopóki nie będę pewna, że wszystko z nim w porządku i że ktoś się nim zaopiekuje.

Aidan poinformował ją w niedawnej rozmowie telefonicznej, że pomimo protestów swojej lekarki wypisuje się na własne życzenie i wraca do domu. „Nie ma sensu siedzieć tutaj i drapać się po głowie, skoro mogę robić to samo w domu, otoczony rzeczami, które z pewnością rozpoznam” - powiedział, a z tonu jego głosu Darcy wywnioskowała, że jest u kresu wytrzymałości. „Nie mogę

pozwolić, żebyś z mojego powodu biegała tam i z powrotem, Darcy. To nie w porządku. Masz własne życie, a ja zająłem ci już wystarczająco dużo czasu".

Darcy nie chciała przyznać przed Aidanem, że podoba jej się ta przygoda - krótka ucieczka od szarej codzienności. Jego życie stało się jej życiem.

- Kiedy Apple naprawi telefon? Jestem pewien, że wtedy wszystko się wyjaśni raz na zawsze. Lepsze to, niż żebyś jeździła po Manhattanie w pogoni za dziką gęsią. Czy raczej łabędziem, skoro uważasz, że to baletnica

- przywrócił ją do rzeczywistości Joshua.

- Telefon ma być gotowy na dniach. Czekamy tylko na zgodę z centrali Apple'a na wydanie nowego aparatu, a wtedy w salonie będą mogli dokonać transferu danych.

- No cóż, na twoim miejscu skupiłbym się właśnie na tym - powiedział Joshua, wzruszając bez troski ramionami i przygotowując się do zakończenia zmiany.

- Niech magicy z Apple'a wyjaśnią to zamieszanie.

Dla Darcy jednak nic nie było już takie proste. Sprawy zaszły zbyt daleko, a jej romantyczne usposobienie sprawiało, że wolałaby, aby to nie dane z telefonu wypełniły luki, połączyły rozerwane nici i związały wszystko wielką czerwoną kokardą. Byłoby to o wiele mniej satysfakcjonujące niż samodzielne rozwiązanie zagadki. Pragnęła odnaleźć dziewczynę Aidana i powiedzieć jej, że prezent wciąż na nią czeka. Ze ukochany jej nie zawiódł i prawdopodobnie nadal kochają tak samo jak przedtem.

- Wiesz, myślę, że ci odbiło - stwierdził Joshua, kiedy próbowała mu to wyjaśnić. - Ale czy kogokolwiek tutaj obchodzi, co ja myślę? Do zobaczenia jutro! - Po tych

słowach wybiegł jak burza ze swoimi czterdziestoma pięcioma kilogramami i chwiejącym się reniferowym porożem.

Po jego wyjściu Darcy z zadowoleniem powitała ciszę. Lubiła zostawać sama ze swoimi myślami. Zajęła się przekładaniem książek na półkach w sekcji dziecięcej, eksponując sezonowe tytuły i dokładając nowe. Uwielbiała Joshuę, ale czasami jego niepospolita energia działała jak czarna dziura, zasysająca wszystko wokół siebie. Darcy odnosiła wrażenie, że nigdy nie spędziła tyle czasu wśród ludzi jak ostatnio. Była przyzwyczajona do samotności i czuła się dziwnie w samym środku akcji.

Wieczorem po zamknięciu księgarni udała się do Lamont, ostatniej szkoły baletowej na liście. Nieoceniony rower zawiózł ją przez miejski tłok na Upper East Side. Szkoła, umiejscowiona tuż obok Madison Avenue, wedle informacji zdobytych przez Darcy cieszyła się doskonałą opinią, a jej siedziba w pięknym renesansowym budynku była zdecydowanie najelegantsza z tych, które dotychczas odwiedziła.

Darcy nauczyła się wiele na swoich błędach i nie miała zamiaru zmarnować swojej ostatniej szansy. Kilka domów dalej znalazła bar ze zdrową żywnością i postanowiła tam poczekać, tak jak to czyniła w przypadku innych szkół w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Zostawiła rower w pobliżu, weszła do środka i zamówiła koktajl bananowo-jogurtowy o obniżonej zawartości tłuszczu, wzmacniający układ odpornościowy. Usiadła przy oknie w oczekiwaniu na zakończenie zajęć.

Po mniej więcej trzydziestu minutach drzwi otworzyły się i weszło sześć zmęczonych dziewcząt w podciągniętych

wysoko różowych getrach i z niemal identycznymi końskimi ogonami. Złożyły zamówienia zsynchronizowanymi wysokimi głosami, zapłaciły sześcioma kartami płatniczymi i przez całą wieczność odbierały swe napoje i plotkowały o koleżankach, zanim w końcu odpłynęły do stolików.

Darcy dopiła swój koktajl prawie dwadzieścia minut temu i siedziała, obracając w dłoniach zdjęcie w zniszczonej od ciągłego dotykania plastikowej koszulce. Kiedy dziewczyny zajęły się posiłkiem, odwróciła się do stolika za swoimi plecami i zakaszła. Spojrzały na nią podejrzliwie. Były takie młode i szczupłe.

- Cześć. Przepraszam, nie chcę wam przeszkadzać - zaczęła Darcy. Uśmiechnęła się, kiedy odsunęły się nieco do tyłu. - Nie zajmę wam dużo czasu, po prostu zastanawiałam się... ta kobieta jest tancerką i słyszałam, że chodziła do waszej szkoły.

Nauczyła się już, że nie wolno zdradzać wahania ani niepewności, ponieważ ludzie odruchowo odpowiadają na pewny siebie, autorytatywny ton. Mimo wszystko nie sądziła, żeby ta sztuczka udała jej się w nowojorskiej policji. Pokazała dziewczętom zdjęcie, one zaś mimo swej wyniosłości wyciągnęły szyje. Jedna z nich przemówiła:

- Tak, wygląda jakoś znajomo.

- Zdaje się, że jej zdjęcie wisi gdzieś na ścianie. Inna pokręciła głową.

- Nie, nigdy jej nie widziałam.

Potem bez słowa odwróciły się i zostawiły Darcy ze zdjęciem w dłoni. Zwróciła się w stronę drugiego stolika, ale siedzące przy nim dziewczyny ją zignorowały, wstały i wyszły ze swoimi koktajlami. Te przy pierwszym stoliku szybko

podążyły za nimi. Darcy usiadła, zniechęcona, z wilgotnymi dłońmi. Czowała pulsowanie w skroniach. To by było na tyle. Nie ma więcej akademii do odwiedzenia ani baletnic do przepytania. Przepraszam, Aidan. Naprawdę próbowałam.

Chowała zdjęcie z powrotem do torby, kiedy na jej stolik padł cień. Podniosła wzrok i ujrzała chudą jak patyk kobietę mniej więcej w swoim wieku, w okularach do czytania zsuwających jej się z nosa.

- Przepraszam - przemówiła dziewczyna. - Mogę rzucić okiem na to zdjęcie?

Darcy wyciągnęła do niej fotografię, a dziewczyna natychmiast się uśmiechnęła.

- To Melanie Rothschild - powiedziała, kiwając głową. Darcy zamarło serce. Melanie. Znalazła ją.

- Kiedy usłyszałam, jak Emily, jedna z tancerek, mówi, że widziała jej zdjęcie na ścianie, pomyślałam, że może to być jedna z naszych.

Serce Darcy waliło jak młotem.

- Jest pani instruktorką?

- Nie, skądże. Jeszcze kilka lat temu byłam tancerką, ale zerwałam ścięgno. Madame Scarsdale, właścicielka, była tak miła, że zatrudniła mnie w charakterze recepcjonistki i od tej pory tu pracuję. Codziennie widzę zdjęcie Melanie w korytarzu, obok trofeów i pamiątek szkoły Lamont.

Darcy westchnęła z ulgą.

- Więc Melanie jest profesjonalną tancerką?

- Tak, ostatnio występowała w Boston Ballet. Szkoła Lamont jest bardzo dumna z absolwentek. Wiele z nich odnosi naprawdę olbrzymie sukcesy.

Boston Ballet.

- To znaczy, że nie mieszka w Nowym Jorku? Wszystko składało się w całość, ponieważ większość

nieodebranych połączeń w telefonie Aidana pochodziła z zastrzeżonego numeru bez identyfikacji kierunkowej. Pasowało to również do faktu, że przez większość czasu mieszka sam. Darcy poczuła, jak w jej serce wstępuje otucha.

- Jak ta tancerka ma na nazwisko? - zapytała, wyjmując z torby papier i długopis. - Rothschild?

- Tak. To stara, szanowana nowojorska rodzina. Błękitna krew. Oczywiście. Cóż by innego? W pewnym sensie jednak była to dobra wiadomość, która mogła ułatwić odszukanie Melanie.

- Czy mogłabym zerknąć na to zdjęcie w szkole? - zapytała Darcy. - Tylko żeby się upewnić.

- W foyer? Przykro mi, ale to niemożliwe. - Dziewczyna się uśmiechnęła. - Dziś był ostatni dzień pracy przed gwiazdką. A dlaczego pani szuka Melanie?

Darcy zagryzła wargi.

- To długa historia - odpowiedziała.

Rozdział trzydziesty trzeci

Miałem w sobie tyle niespożytej energii, że od rana spacerowałem z Baileyem po Manhattanie.

Stefanie Everly nadal nie oddzwoniła. Do godziny zero pozostał tylko jeden dzień i zachodziłem w głowę, jak, u diabła, uda mi się załatwić wszystko na czas. Było naprawdę źle. Spacerowałem bez celu po Szóstej Alei. Przechodząc obok Radio City Music Hall, zauważyłem tłumy turystów czekających w kolejce na doroczne przedstawienie rewii Rockette's Christmas Spectacular. Przypomniałem sobie ubiegły rok, kiedy Mel namawiała mnie, żebyśmy tam poszli, chociaż to atrakcja dla przyjezdnych. Powiedziała, że to nie szkodzi i że uwielbia tancerki Rockette. Mimo początkowego sceptycyzmu musiałem przyznać, że dobrze się bawiłem. Większość rzeczy, które proponowała, sprawiało mi mnóstwo radości - była to jedna z cudownych stron spędzania z nią czasu. Uwielbiałem jej bezgraniczny entuzjazm wobec życia.

Tego roku wymyśliłem na święta coś innego i wiedziałem, że jej się to spodoba. Odebrałem już bilety z Koch

Theater. *Dziadek do orzechów* w wykonaniu zespołu New York City Ballet tradycyjnie trafiał na afisz o tej porze roku. Byłem pewien, że Mel doceni mój wybór.

Wstąpiłem do piekarni Magnolia. Zawsze cieszyła się popularnością, ale teraz święciła triumfy dzięki jakiemuś programowi telewizyjnemu. Nie oglądałem go, co nikogo nie powinno dziwić. Nie zważając na fakt, że lokal jest zatłoczony wystrojonymi dziewczętami aspirującymi do miana elegantek, wyglądającymi tak, jakby jadały co najwyżej liść sałaty dziennie, a co dopiero mówić o słodyczach, kupiłem kakaową babeczkę ze śmietankowym kremem dla Bailey'a i czekoladowo-waniliową dla siebie. Może to nie w stylu macho, ale obaj lubimy te babeczki.

Cukier poprawił mi na chwilę humor, ale nie mogłem pozbyć się wrażenia, że zmierzam do celi śmierci. Za dwadzieścia cztery godziny powinienem zająć się kwestią doręczenia, a tymczasem stałem z pustymi rękami.

- I co teraz, Bailey?

Spojrzał na mnie wielkimi niebieskimi oczami, które mówiły: „Nie mam pojęcia, po prostu pospacerujmy”.

Tak też zrobiliśmy. Prawie nie odczuwałem zimna. Właściwie chodziliśmy tak długo, że zaliczyliśmy większość tras wycieczkowych na Manhattanie. Żałowałem, że nie mam więcej czasu, by napawać się widokami i dźwiękami, dzięki którym Nowy Jork jest tak niezwykły o tej porze roku. Przypomniałem sobie, co powiedział Tom Wolfe: „Częścią Nowego Jorku stajesz się momentalnie, należysz do niego zarówno po pięciu minutach, jak i po pięciu latach”. Te słowa bardzo dobrze oddawały moje uczucia wobec miasta.

Miałem świadomość, że są ludzie, których to nie dotyczy - na przykład Ciara. Pomimo całej swojej światowości najlepiej czuła się w Kalifornii. Kiedyś próbowałem ją namówić na przeprowadzkę, ale nie chciała. „Nowy Jork? Tylko dla rozrywki i na zakupy”, powiedziała. „Nie mogłabym mieszkać tu na stałe”. Myślę też, że rozważa możliwość powrotu do Dublina za jakiś czas, chociaż ja sam nigdy nie brałem tego pod uwagę. Dorastaliśmy tam, był tam nasz dom, a niektórym ludziom bardzo trudno jest porzucić swoje korzenie. Poczulem małe ukłucie na myśl, że nie byłem w rodzinnych stronach od ponad siedmiu lat. Życie, a zwłaszcza praca, zawsze staje mi na przeszkodzie.

Nagle Bailey zatrzymał się, wyrywając mnie z kokonu zamyślenia. Wróciłem na ziemię i zorientowałem się, że zaszliśmy aż do Greenwich Village. Spojrzałem w kierunku, w którym zmierzaliśmy, i zobaczyłem przed nami park przy placu Waszyngtona.

- Masz ochotę na przerwę, piesku? Chcesz trochę wody? - zapytałem.

Bailey dyszał z wywieszonym językiem, co odebrałem jako potwierdzenie.

Weszliśmy do parku, gdzie znalazłem kran z wodą pitną i napełniłem plastikową miskę, którą zawsze nosiłem przy sobie. Usiadłem na ławce i postawiłem miskę na ziemi. Bailey z radością zabrał się do picia, a ja wyjąłem z kieszeni portfel. Wspominając rodzinę i Irlandię, poczułem przyływ lekkiej melancholii. Może dlatego, że było tak blisko do świąt.

Otworzyłem portfel i wyszukałem wśród innych zdjęć czarno-białe, o które mi chodziło. Mama. Nie mogła mieć

na nim więcej niż siedemnaście, osiemnaście lat. Wystrojona jak na mszę albo wielką uroczystość. Znaleźliśmy z Ciarą to zdjęcie dopiero po jej śmierci i żałowałem, że już nie dowiem się, gdzie się wtedy wybierała, co robiła i czy znała już wtedy tatę. Chciałbym chociaż wiedzieć, jaki kolor miała ta sukienka. Wiem, że to niemądre, ale patrząc na to zdjęcie, czułem, że istniała taka część jej życia, o której nie miałem zielonego pojęcia. Nie opowiadała o nim Ciarze i mnie, kiedy byliśmy dziećmi. Ja zaś zawsze powtarzałem, że kiedy - jeśli w ogóle - będę miał dzieci, zrobię wszystko, aby wiedziały o mnie, cokolwiek zechcą. W ostatecznym rozrachunku historia jest bardzo ważna.

Bailey skończył pić i spojrzał na mnie, dając do zrozumienia, że jest gotów do dalszego marszu. Przeszliśmy przez Szóstą Aleję i skierowaliśmy się z powrotem w stronę domu. Kilkanaście razy musiałem przyciągać do siebie Baileya, żeby uniknąć zderzenia z kurierem rowerowym, przedstawicielem zwariowanego gatunku bez wysiłku władającego ulicami Manhattanu i jednocześnie zagrażającego bezpieczeństwu każdego z nas. Popieram tężyznę fizyczną, dbałość o środowisko i wszystkie te sprawy, ale naprawdę trzeba uważać, gdzie się jedzie.

Rozdział trzydziesty czwarty

Jesteś odważniejszy, niż wierzysz, że jesteś, silniejszy, niż ci się wydaje, i mądrzejszy, niż myślisz.

A.A. Milne

Następnego ranka Darcy wydawało się, że ludzie patrzą na nią inaczej, kiedy szła po Upper West Side z psem u boku i smyczą w rękę, mijając te same wytworne bistra, pięciogwiazdkowe restauracje, agencje modelek i sklepy z awangardowymi meblami. Mimo iż miała na sobie swoje zwykłe, wygodne ubranie do pracy, a niedbale związany kucyk podskakiwał jej na ramionach, dostrzegała aprobatę w spojrzeniach przechodzących obok niej mieszkańców miasta. Starsze kobiety w jedwabnych szalikach i z torebkami za dwa tysiące dolarów ustępowały jej miejsca na chodniku. Hipsterzy w trampkach Converse, obcisłych džinsach po trzysta dolarów i z wystudiowanym niedbałym zarostem uśmiechali się szeroko do niej i Bailey'a. Ludzie niosący torby na zakupy ze sklepów takich jak Henri

Bendel, Bloomingdales albo Comptoir des Cottonniers promienieli na widok dystyngowanego psa, a ich oczy nabierały nagle ciepłego, sąsiedzkiego wyrazu.

Jeśli wystarczy mieć rasowego psa, żeby czuć się jak u siebie w tej części miasta - myślała Darcy, podczas gdy Bailey truchta! rażno obok - to powinnam była sobie go sprawić całe wieki temu. Nie mogłaby zaprzeczyć, że rozmowy, prowadzone w miejscach, które odwiedzała, wypełniając misję pomocy Aida-nowi, sprawiały, że czuła się teraz pewniejsza sobie. Tak jakby odkryła nowy związek z miastem i znalazła w nim swoje miejsce.

Cieszyła się, że Bailey wróci do swojego pana, ale jednocześnie było jej przykro, że już się nie zobaczą. Choć trudno było porównać to ze smutkiem Grace, która rano przez całą drogę w dół po schodach zasypywała wielkiego psa smakołykami i pocałunkami.

- Myślisz, że mógłby kiedyś nas odwiedzić? - zapytała z nadzieją, kiedy Darcy przypinała mu smycz do obroży. Głaskała Bailey'a po głowie, nie mając ochoty go puścić, a on lizał jej rękę.

- Jestem pewna, że Aidan będzie chciał ci podziękować za opiekę nad nim - zapewniła ją Darcy, chociaż sama nie miała pojęcia, co będzie dalej i czy kiedykolwiek jeszcze zobaczą Bailey'a albo jego pana.

Aidan chciał zamówić taksówkę, żeby po nich przyjechała, ale Darcy odmówiła, pragnąc nacieszyć się ostatnim spacerem z Bailey'em po Manhattanie. Co prawda droga do pracy potrwa dobrą godzinę dłużej niż zwykle, ale uznała, że towarzystwo Bailey'a jest tego warte.

Powietrze było cudownie rześkie. Darcy wybrała bardziej malowniczą trasę i po drodze zatrzymała się w Bryant Park na śniadanie - bajgiel i sok pomarańczowy dla niej, hot dog i woda dla Bailey'a.

Usiadła na krzeselku przy lodowisku, pustym jeszcze o tej wczesnej godzinie, obserwując sprzedawców przygotowujących do otwarcia swoje ładnie udekorowane stoiska z pamiątkami i rękodziełem. Bailey wychłęptał wodę z butelki, którą mu przytrzymała, a potem w kilka sekund pochłoniął hot doga razem z bułką, oblizał pysk i z nową energią zaczął okrążyć jej nogi.

Poszli dalej przez budzące się do życia miasto pod niebem niosącym coraz cięższe śniegowe chmury. Kiedy przeszli przez Columbus Circle i znaleźli się na znajomym terytorium, Bailey zaczął zdradzać podekscytowanie, stał się niespokojny. Ze sposobu, w jaki ciągnął za smycz, Darcy wywnioskowała, że cieszy się na spotkanie z panem po kilkudniowej rozłące. Chyba że chodziło mu o powrót do karmy Dean & DeLuca!

Szpital niechętnie wyraził zgodę na wyjście Aidana. Doktor Mandeville nalegała, by rano poddał się końcowym badaniom, co oznaczało, że Bailey będzie w domu wcześniej, ponieważ Darcy musiała zdążyć do pracy. Miała tylko nadzieję, że pamięć Aidana zacznie działać po powrocie do własnego środowiska, znajomych przedmiotów i przestrzeni, w której mężczyzna dobrze się czuje.

Aidan obiecał zadzwonić do niej, żeby potwierdzić bezpieczny odbiór klucza (miała nadzieję, że będzie pamiętał o ustalonym wspólnie miejscu w donicy z miniaturowym klonem) i wejście do domu. Nie wiedziała, co

będzie dalej. Ona zaś miała zamiar odnaleźć Melanie Rothschild i wyjaśnić jej, co zaszło. Biorąc pod uwagę to, że istniał poważny powód nieobecności Aidana, oraz fakt, iż był wówczas w drodze, aby wręczyć jej prezent, Darcy spodziewała się, że uda jej się udobruchać kobietę. Lecz nawet jeśli Aidan będzie nadal miał kłopoty z pamięcią, wkrótce pojawią się ci, którzy próbowali się z nim skontaktować i martwili się o jego bezpieczeństwo, a wtedy bez wątpienia wszystko wróci na swoje miejsce.

Darcy posmutniała - nie tylko z powodu tego, co pamiętnego wieczoru wyznała Grace. Chodziło raczej o to, że zakończy się jej przygoda z odkrywaniem historii Aidana. Tymczasem ona nie potrafiła porzucić opowieści, zanim nie poznała jej zakończenia.

Rozdział trzydziesty piąty

Nie ma bardziej lojalnego przyjaciela niż książka.

Ernest Hemingway

Później, w księgarni, Darcy opowiedziała Joshui i Ashley o swoich najnowszych przygodach.

- Możesz się cieszyć, już nie będziesz musiał się martwić, że pracujesz z wilkiem - droczyła się z Joshuą.

Kolega słuchał jej z uniesionymi brwiami, podczas gdy Ashley rozpakowywała obok nich pudła.

- Mówiłaś kiedyś, że rozmawiałeś z facetem, który nazywa się Cleaver-Parks - powiedział w zamyśleniu. - Skądś znam to nazwisko.

Darcy z uwagą popatrzyła na Joshuę. Skąd jej ekstrawagancki kolega, zakochany w mieście i książkach, miałby znać o wiele starszego od siebie zrzedliwego dżentelmena, z którym ostatnio rozmawiała? W tym momencie Ashley wykazała zainteresowanie tematem.

- Senior czy junior? - zapytała.

Joshua i Darcy jednocześnie odwrócili się w stronę młodszej koleżanki.

- Co masz na myśli?

- Nate'a Cleavera-Parksa. Z którym chciałaś się skontaktować? Jest senior i junior.

Wtedy Darcy zrozumiała: ojciec i syn!

- Więc o to chodzi! - wykrzyknęła. - Facet, z którym rozmawiałam, to pewnie senior, a ten, który dzwonił do Aidana, to junior!

Ashley kiwnęła głową.

- Tak, Nate junior jest mniej więcej w moim wieku. Darcy zamrugła.

- Czy to znaczy, że naprawdę go znasz? Nate'a juniora? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Oczywiście, że tak. Znam go od dziecka. Nasi rodzice są dobrymi przyjaciółmi.

- Ooo... - Darcy nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. - No cóż, Nate najwyraźniej zna też Aidana, więc jeśli mogłabym z nim porozmawiać, to powiedziałabym mu, co się stało, i może nawet dotarłabym do Melanie - powiedziała, drżąc z niecierpliwości.

Ashley machnęła ręką i się uśmiechnęła.

- Rozumiem, zaraz do niego zadzwonię. Tak jak mówiłam, znam go od zawsze, to żaden problem.

Wstała, otrzepała dzinsy z kurzu i podeszła do lady, wydając spod niej najnowszą designerską torebkę.

- Doprawdy nie wiem, dlaczego dostajesz pensję za pracę u nas, skoro obnosisz się z taką torebką - stwierdził Joshua zgryźliwie. - Właściwie to księgarnia powinna zwrócić się do ciebie z prośbą o dofinansowanie.

Ashley się roześmiała.

- Przestań, to prezent. Przecież wiesz, że jestem przy-
mierającą głodem absolwentką college'u.

Joshua przewróci! oczami.

- Córeczka tatusia.

Darcy zignorowała ich przekomarzania i czekając, aż Ashley wybierze numer, skarciła się w duchu za to, że wtedy tak szybko się poddała. Ale skąd miała wiedzieć, że jest dwóch Nate'ów Cleaverów-Parksów?

Ashley nacisnęła kilka guzików w telefonie i chwilę później zagruchała:

- Nate, słoneczko, od wieków z tobą nie gadałam... Darcy wpatrywała się w nią, mając nadzieję, że Ashley

szybko zakończy wstępne pogaduszki i przejdzie do rzeczy. Koleżanka spojrzała na nią i mrugnęła.

- Tak czy owak, Nate, jak najbardziej mam ochotę zabawić się dobrze w sylwestra. Słyszałam, że Kanye urządza jakieś party w mieście? Na pewno się wręcimy. - Roześmiała się, a Joshua cmoknął z dezaprobatą, wypowiadając bezgłośnie słowo „niewiarygodne” i patrząc jednocześnie z niedowierzaniem na Ashley. Zignorowała go. - Słuchaj, właściwie dzwonię w konkretnej sprawie... - Przerwała, słuchając tego, co miał do powiedzenia Nate.

Darcy kreśliła kółka obiema dłońmi, chcąc przyspieszyć bieg rozmowy, bo umierała z niecierpliwości. Na szczęście Ashley konsekwentnie prowadziła konwersację w prawidłowym kierunku:

- Jest obok mnie koleżanka, moja szefowa z księgarni. Próbuje znaleźć jednego faceta. To naprawdę zwariowana historia, ale jesteśmy prawie pewne, że go znasz. - Ashley

nagle przerwała, jakby Nate się wtrącił. Zachichotała.

- Nie, na pewno z nim nie chodzisz. Właściwie to myślę, że on jest hetero, przynajmniej moja koleżanka tak uważa.

Darcy przełknęła głośno, nieco zaskoczona. Nigdy nie zastanawiała się nad tą sprawą.

- No tak. Więc tak jak mówiłam, musisz go znać albo chociaż z nim rozmawiać. Na początku tygodnia zostawiłeś mu wiadomość na sekretarce. Nazywa się Aidan Harris.

Ashley umilkła i uważnie słuchała odpowiedzi Nate'a. Darcy chodziła tam i z powrotem, chcąc za wszelką cenę dowiedzieć się, o czym rozmawiają i co z tego wyniknie. Wkrótce Ashley odezwała się znowu.

- Cóż, to bardzo ciekawe - powiedziała - i pasuje do wielu rzeczy, o których mi mówiła. Biega po całym mieście, próbując znaleźć kogoś, kto go zna. - Chwila ciszy. - Nie, nie, rozumiem. Ale może ty znasz kogoś, kto mógłby pomóc Darcy? - Znowu cisza. - Tak, jest moją przyjaciółką. Ta dziewczyna, która zna Aidana. Coś w tym rodzaju. To dość dziwna historia. - Ashley znowu umilkła. - No wiesz, nie mógł odebrać twojej wiadomości, bo jest w tej chwili w szpitalu. - Kiwnęła głową. - Jasne, przepraszam, oczywiście, że nie mogłeś tego wiedzieć.

- Teraz znowu słuchała. Darcy miała ochotę wyrwać jej aparat. - Okej, już ją daję.

Ashley podała Darcy telefon.

- Proszę - powiedziała. - Nate chce z tobą pogadać.

Rozdział trzydziesty szósty

Aidan Harris? Mówi Stephanie Everly. Widzę, że próbował pan się ze mną skontaktować - powiedziała rzeczowym tonem kobieta na drugim końcu linii. Zanim zdążyłem się odezwać, dodała: - Słyszałam od Nate'a Cleavera-Parksa, że interesuje pana kolekcja Millera.

- Tak - odpowiedziałem, mając ochotę skakać z radości. Zacisnąłem kciuki. - To ja. Byłbym zachwycony, gdyby zechciał dobić ze mną targu... Może jeszcze dzisiaj?

Zagryzłem wargę, starając się zmusić do opanowania.

- Rozumiem. Ale nie mogę pana umówić bez porozumienia z Millerem, a on w tej chwili podróżuje po Europie. Dzisiaj wieczorem będę z nim rozmawiać, ale już teraz mogę powiedzieć, że podobnie jak ogromna większość kolekcjonerów Miller zawsze cieszy się z zainteresowania zbiorami, zwłaszcza jeśli towarzyszy temu odpowiednia cena.

Wyraźnie coś sugerowała. Zamknąłem oczy, nie wiedząc, czy mam czuć ulgę, czy się bać. A więc to było realne... Oczywiście tylko za właściwą cenę.

- Tymczasem może zechciałby pan przyjść do domu i obejrzeć kolekcję... Zobaczyć, czy ten egzemplarz, o który panu chodzi, odpowiada pańskim wymaganiom. Wiem, że ma pan mało czasu.

- To znaczy... teraz? Dzisiaj? - zapytałem, nie wierząc własnym uszom.

- Tak, teraz - odpowiedziała Stephanie.

Podawała mi adres w Westchester County, dobre czterdzieści pięć minut jazdy taksówką z Manhattanu.

- Będę tam na pana czekała.

Rozłączyłem się, nie wierząc swemu szczęściu. Pozostały dwa dni do godziny zero, a ja w końcu byłem na dobrym tropie.

Szybko ruszyłem, dosłownie ciągnąc za sobą Bailey'a. Patrząc na mnie tak, jakbym postradał zmysły. Przez chwilę zastanawiałem się, czy aby nie powinienem wrócić do domu i tam go zostawić, ale byłem w centrum i nie miałem chwili do stracenia.

W końcu znalazłem taksówkę, która mogła zabrać do Westchester County psa takiego jak Bailey. Mówiąc „psa takiego jak Bailey”, mam na myśli jego rozmiary i fakt, że nie jest przedstawicielem rozreklamowanej przez Paris Hilton rasy wielkości filizanki. Powód, dla którego taksówkarz zgodził się nas zabrać, stał się oczywisty, gdy tylko usadowiliśmy się w środku. W aucie pachniało falafelami, przepoconymi skarpetami, curry i jakby fretkami.. . Wnętrze nie było sprzątane chyba od co najmniej półtora roku.

Ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma...

Po upływie niecałych trzydziestu pięciu minut dojechaliśmy pod adres podany przez Stéphanie Everly. Moim oczom ukazała się rozległa podmiejska posiadłość, na której wzniesiono dwupiętrowy budynek w stylu neoklasycyżnym, zgodny ze wzorami beaux arts. Budowlę z kamienia wieńczył stromy dach. Z okien domostwa roztaczał się widok na linię horyzontu, tworzoną przez wysokie budynki w centrum oddalonym o czterdzieści kilometrów w kierunku południowym. Natychmiast pomyślałem o Pemberley Estate z *Dumy i uprzedzenia*. Zapłaciłem taksówkarzowi i pomogłem Baileyowi wyjść z samochodu. Cholera, pomyślałem, przenosząc wzrok z husky na dom i z powrotem. To nie jest dobre połączenie. Ale może są tu jacyś miłośnicy psów? Po posiadłościach takich jak ta zazwyczaj przechadza się kilka czworonogów.

Mocno trzymając smycz Baileya, wstąpiłem na kamienne stopnie prowadzące do wejścia. Jedne z dwojga drzwi uchyliły się i stanęła w nich kobieta, zapewne Stéphanie Everly. Miała na sobie czarny kostium składający się z żakietu i spodni, starannie skrojony na jej drobną figurkę rozmiaru XXS, a płomiennorude włosy upięła w elegancki węzeł na karku.

- Aidan Harris? - zapytała. - Tak.

Popatrzyła na Baileya. Miałem wrażenie, że ocenia, ile psiej sierści zostanie w domu po wyjściu mojego pupila. No, no...

- To jest Bailey-powiedziałem niepewnie. - Przepraszam, ale przyjechałem tu zaraz po pani telefonie i nie miałem czasu, żeby...

- Wspaniałe imię. - Ku mojemu zaskoczeniu się uśmiechnęła.
- Wychowałam się z kilkoma husky. Ale strasznie linieją, ich sierść jest wszędzie.

- Mam go poprosić, żeby tego nie robił, póki jest tutaj?

- zażartowałam.

Stephanie się roześmiała.

- Prawdę mówiąc, kocham psy - powiedziała - ale pani domu... Czy Bailey mógłby poczekać w foyer? - Zanim zdążyłem się odezwać, pospieszyła z wyjaśnieniem: - Nie chodzi o to, że pani domu nie lubi psów. Po prostu ma alergię. Poważną. Bardzo mi przykro.

Uniosłem rękę.

- Proszę się nie tłumaczyć, nie czuję się dotknięty. Doskonale panią rozumiem i nie zamierzam zabierać pani wiele czasu. Bailey chętnie poczeka, prawda? - zapytałem mojego czworonożnego przyjaciela, który popatrzył na mnie i szybko przysiadł, jakby na znak zgody.

- Mądry pies - oceniła Stephanie, unosząc brwi. - I dobrze wyszkolony.

- Często mam wrażenie, że jest mądrzejszy ode mnie

- powiedziałem, poklepując Bailey'a po głowie.

Udałem się za Stephanie w głąb luksusowego domu, przyglądając się wystrojowi wnętrza. Byłem przyzwyczajony do przebywania w pomieszczeniach urządzonych z gustem, ale w porównaniu z tym miejscem domy w mieście wypadały bardzo blado. Chociaż wielu spośród moich nowojorskich znajomych ostatnio doszło do dużych pieniędzy, ludzie mieszkający tutaj musieli się tu urodzić, a do tego w ich żyłach z pewnością płynęła błękitna krew.

Stukot podeszew moich butów o marmurowe posadzki rozchodził się echem wśród ścian. Mijałem kolejne antyki. Na stolikach i wbudowanych regałach z książkami stały niezliczone srebrne ramki. Udało mi się omieść wzrokiem niektóre z nich. Chlebodawcy Stephanie bez wątpienia dużo podróżowali i znali wiele ważnych osobistości. Dowody tego były dosłownie wszędzie.

Idąc przez salon, mijając jadalnię ze stołem, przy którym mogło zasiąść co najmniej trzydzieści osób, a potem wkraczając do biblioteki, zastawionej od podłogi do sufitu półkami z drewna mahoniowego i dziesiątkami cennych manuskryptów w szklanych gablotach, dokonałem kolejnego odkrycia. To miejsce przypominało muzeum. Byłem w budynku, ale nie w domu w pełnym tego słowa znaczeniu. Pomyślałem o budynku z elewacją z brązowego piaskowca i znalazłem kilka zdumiewających podobieństw pomiędzy nim a tym, w którym się teraz znajdowałem... a potem pomyślałem o moim rodzinnym domu w Dublinie, o moim starym domu, a także o mieszkaniach, które zajmowałem w ciągu minionych lat. To były prawdziwe domy - miejsca, w których można było powiesić kapelusz, odpocząć i pozwolić psu łązić wszędzie bez strachu o to, że narobi bałaganu.

Stephanie popatrzyła mi prosto w oczy.

- Chciałam powiedzieć, że przy podobnych transakcjach ewentualny nabywca pierwszy podaje sumę. Zwłaszcza kiedy sam nas szuka, a my nie zgłaszaliśmy zamiaru sprzedaży za pośrednictwem domów aukcyjnych ani innych podmiotów.

A więc to tak... Chcieli się zorientować, jak poważnym jestem kontrahentem, sądząc po tym, ile zamierzam zaoferować. Nie ma sprawy.

Kiwnąłem głową.

- Rozumiem.

- Nate nie powiedział mi, dlaczego ma pan tak mało czasu. Mogę się tylko domyślać, że zależy panu na szybkiej dostawie.

- Zerknęła na mnie z ukosa. - Znam pańską firmę. Thrill Seeker Holdings ma ciekawą reputację.

Aha. Sprytnie wytknęła mi, że zależy mi na czasie, a moja firma ma tendencję do szastania pieniędzmi.

- Muszę również się przyznać, że jestem jej fanką - dodała z lekkim uśmiechem.

Popatrzyłem na nią zaskoczony, a jednocześnie dumny z popularności Thrill Seeker.

- Miło mi to słyszeć, dziękuję. - Skinąłem głową. - Ma pani rację. Rzeczywiście z wielu powodów chciałbym jak najszybciej dokonać transakcji... Jeśli to możliwe, jeszcze dzisiaj.

Stephanie zastanowiła się nad moimi słowami.

- Rozumiem. Przekażę pańską propozycję Millerowi, kiedy będę z nim rozmawiała. Czyli poda pan dzisiaj cenę i będzie gotowy do negocjacji?

Wolałem się nie odzywać, bojąc się, że przeceniam swe siły.

- Chciałbym obejrzeć towar, zanim przejdziemy do konkretów.

- Oczywiście - powiedziała i przeszliśmy po schodach do zupełnie innej części budynku.

- Proszę się nie niepokoić, Miller dotrzymuje najwyższych standardów. Wszystkie przedmioty z jego kolekcji znajdują się w nienagannym stanie. Z pewnością nie przeżyje pan rozczarowania.

- Miło mi to słyszeć.

Zaczerpnąłem tchu. Mogłem swobodnie operować pieniędzmi. Orientowałem się mniej więcej, jaka jest wolnorynkowa cena tej pozycji, składałem jednak nietypowe zamówienie.

Dokonawszy podstawowych obliczeń, przybrałem beznamiętny wyraz twarzy. Zdałem sobie sprawę, że ostatnio nie wykazywałem należytego szacunku dla pieniędzy. W połączeniu z brakiem ostrożności mogło to okazać się zgubne.

Otworzywszy kolejne drzwi, Stephanie wprowadziła mnie do ogromnego pomieszczenia przypominającego hangar.

- To tu. Przesunęłam go do przodu, żeby mógł się pan lepiej przyjrzeć. - Uśmiechnęła się. - Bo chyba tego właśnie pan szuka?

Idąc za jej wzrokiem, zobaczyłem rzędy za rządami... rzędy bez końca. Cicho gwizdnąłem, gdy w końcu ujrzałem moją zdobycz. Była absolutnie wspaniała.

Rozdział trzydziesty siódmy

Wystrzegaj się fałszywej wiedzy; jest ona bardziej niebezpieczna niż ignorancja.

George Bernard Shaw

Czując zimny wiatr wiejący w twarz, Darcy różnym krokiem zmierzała na spotkanie z Nate'em Cleaverem-Parksem. Planowała spotkać się z nim po pracy albo podczas przerwy na lunch, ale Joshua pozostał nieprzejeđnany: „Żartujesz? Idź... Ash i ja pozostaniemy na posterunku. Chciałbym się dowiedzieć, jak to wszystko się potoczy”. Przygotował nawet kolejny ze swoich słynnych bonów Joshui z zapewnieniem, że zastąpi Darcy na późniejszej zmianie, i dosłownie wypchnął ją za drzwi.

Darcy była równie ciekawa tego, co ma do powiedzenia jedyna odnaleziona przez nią osoba, która znała Aidana. Szybko przemierzyła więc odległość dzielącą ją od umówionego miejsca spotkania - Bomboloni, popularnej cukierni na Upper West Side, najwyraźniej ulubionej kafejki Nate'a. Darcy słyszała już o tej włoskiej piekarence,

ale nigdy nie jadła tamtejszych słynnych miniaturowych pączków z najprzeróżniejszymi, owocowymi i kremowymi, nadzieniami. Skręcając z Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy w Columbus Avenue, uniosła wzrok i zobaczyła szyld cukierni. Na zewnątrz przygotowano sporo miejsc siedzących, a chociaż panował nieprzyjemny ziąb, prawie wszystkie stoliki były zajęte. Lampy grzewcze pomagały klientom w walce z żywiołem.

Zbliżając się do wejścia, Darcy zaczęła przeczesywać wzrokiem twarze zgromadzonych pod markizą w biało-czerwone pasy. Nie wiedziała, jak wyglądał Nate, ale powiedział jej przez telefon, że będzie ubrany w czerwoną aksamitną marynarkę Prądy (choć Darcy nie odróżniała Prądy od JCPenneya), że ma sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu i blond włosy. Pomyślała wtedy, że to bardzo tuzinkowy wygląd, ale gdy już zobaczyła Nate'a, doszła do wniosku, że ten młody człowiek jest pod każdym względem niezwykły.

Przede wszystkim był niezwykle atrakcyjny. Siedział przy stoliku tuż przy ścianie budynku i (na szczęście) tuż pod lampą grzewczą. Miał około dwudziestu pięciu lat, pięknie zarysowaną szczękę i przyciągające uwagę jasnoniebieskie oczy, szerokie muskularne ramiona i wysportowaną sylwetkę. Zastanawiała się, czy gra w drużynie lacrosse dla Harvardu.

Nate od razu rozpoznał Darcy, prawdopodobnie dlatego, że tak jak zapowiedziała, niosła książkę. Gdy wstał, by się przywitać, wszystkie kobiety w sąsiedztwie odwróciły ku niemu głowy, jakby zazdrosne o Darcy. Gdyby знаły prawdę...

Uśmiechnęła się i podeszła do Nate'a.

- Darcy? Darcy Archer? - zapytał, wskazując egzemplarz *Dumy i uprzedzenia*. - Nic dziwnego, że mając takie imię, wybrała pani akurat tę książkę - dodał żartobliwie, a Darcy natychmiast poczuła do niego sympatię.

- Proszę, mów mi po imieniu. Miło cię poznać, Nate - powiedziała, wyciągając ku niemu rękę. - Dziękuję, że znalazłeś chwilę, żeby ze mną porozmawiać.

- Nie ma sprawy - odparł uprzejmie. - Tak czy owak, przechodziłem tędy, a skoro byłaś niedaleko...

Wysunął dla niej krzesło. Darcy usiadła pod oknem piekarenki, mogąc cieszyć się widokiem wnętrza. Niewielkie pomieszczenie było wyłożone gustownymi sycylijskimi kafelkami, a na suficie znajdował się ręcznie wykonany drewniany plaster miodu. Najważniejsza jednak była ogromna szklana gablota z ciastkami, na których widok ciekła ślinka.

- Masz ochotę na któreś? - spytał Nate, podążając za wzrokiem Darcy. - Najbardziej lubię bomboloni z nutellą i marakują. To pozornie dziwne połączenie, ale naprawdę smakuje wspaniale.

- Nie wiem... Nigdy tu nie byłam - przyznała.

- W takim razie musisz znaleźć swój ulubiony pączek. Zamówię sześć różnych - zaproponował. - Napijesz się kawy?

- Dziękuję, wolę herbatę - odpowiedziała.

Sześć? Chociaż donuty były małe, wyglądały na bardzo kaloryczne. Darcy jednak miała ochotę spróbować różnych rodzajów nadzienia, między innymi pistacjowego, tiramisu i z pomarańczy malinowej. Jako dżentelmen w każdym

calu Nate wszedł do środka, by złożyć zamówienie. Darcy czekała na zewnątrz, ciesząc się ciepłem lampy.

- No dobrze, w takim razie opowiedz mi wszystko o swoim przyjacielu Aidanie Harrisie - zażądał, kiedy stały już przed nimi gorące napoje i pudełko świeżych ciastek. - Zważywszy na to, że prawie w ogóle go nie znam, bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego ty i Ashley sądzicie, że mogę okazać się pomocny.

- Słabo go znasz? - Darcy przeżyła rozczarowanie. Miała nadzieję, że Nate jest dobrym przyjacielem Aidana, a przynajmniej jego znajomym z pracy.

- No tak. Ostatnio wyświadczyłem mu pewną przysługę, ale to wszystko.

Ta przysługa może okazać się kluczem do rozwiązania zagadki - pomyślała Darcy i skosztowała wspaniałego bomboloni z nadzieniem miodowym, a potem opowiedziała Nate'owi o wszystkim, co się zdarzyło, odkąd w sensie dosłownym wpadła na Aidana przed kilkoma dniami, oraz o tym, jak wiadomość, którą Nate zostawił w jego poczcie głosowej, doprowadziła ją w to miejsce. Kiedy skończyła, Nate zapatrzył się na ulicę, jakby się nad czymś zastanawiał, a potem zaczął się uważnie przyglądać Darcy.

- Parę rzeczy mi tu nie pasuje.

- Na przykład co?

- Rozumiem, że znalazłaś tę tancerkę, Melanie, i że ona również zostawiała wiadomości na jego sekretarce, ale skąd wiesz, że jest jego dziewczyną?

- Nie jestem tego pewna - odpowiedziała Darcy - ale wszystko na to wskazuje. Zwłaszcza pierwsza wiadomość. Wyraźnie spodziewała się spotkania z Aidanem w tym

dniu... Musiał to być jakiś ważny dzień dla niej albo dla nich dwojga... Może jakaś rocznica... A kiedy on się nie pojawił...

- Ale dlaczego miałyby być na niego wściekła dlatego, że nie przyszedł? Jeśli w grę wchodzi miłość, powinna chyba raczej się zaniepokoić, zamiast wpadać w złość?

Darcy opadła na oparcie krzesła.

- To zależy od tego, jak ważna była ta okazja.

Musiała jednak przyznać, że Nate ma rację. Wszystkie te telefony i jad w głosie Melanie, dobrze słyszalny w ostatnim nagraniu, nie pasowały do wyobrażeń o wielkiej miłości. Zwłaszcza w zestawieniu z tym, co powiedziała na pożegnanie.

- Między wierszami można było wyczytać coś takiego, że Aidan pewnie się w tym wszystkim gubi. Nie jestem pewna... będę musiała jeszcze raz odsłuchać wiadomość.

Darcy zdawała sobie sprawę, że ma na to małe szanse teraz, kiedy Aidan przebywa w domu i sam sprawdza nagrania. Najprawdopodobniej odzyskał już kontrolę nad swoim życiem.

Spojrzała na zegarek i ukradkiem sprawdziła, czy nie ma w swoim telefonie nieodebranych połączeń. Dochodziła dwunasta, a więc Aidan powinien już być w domu. Miała nadzieję, że z Baileyem wszystko jest w porządku. Zdążyła się już za nim stęsknić.

- Cóż, skoro ona sądzi, że on ma kłopot z nadmiarem wrażeń, to może tak jest - rzeki Nate. - Rozmawiałem z nim zaledwie kilka razy, ale muszę przyznać, że nie wygląda! mi na takiego typka.

- Jakiego typka?

- Takiego, który nie może się opędzić od kobiet. Darcy poczuła, że na tę myśl robi się jej niedobrze.

- Cóż, różnie to bywa. Więc myślisz, że mogę się mylić, uważając, że Aidan zamierzał wręczyć prezent Melanie?

- Nie mam pojęcia. Zwracam tylko uwagę, że nie masz podstaw do przypuszczeń, że szedł na spotkanie z tą dziewczyną. Do diabła, mógł iść na spotkanie z kimkolwiek. A może po prostu wyprowadzał psa na spacer, zastanawiałaś się nad tym?

- Ale ten prezent... Jest tak pięknie zapakowany... Widać, że ktoś bardzo się starał, a po tym, jak wspomniany został wielki dzień, uznałam, że to musiał być prezent dla... - Darcy przypomniała sobie nagle, jaki był najważniejszy powód spotkania z Nate'em. - W wiadomości, którą zostawiłaś Aidanowi, powiedziałaś, że masz nadzieję, że uda mu się zdobyć to, czego sobie życzy, przed wielkim dniem. Czy brałeś w tym udział? Pomagałeś mu zdobyć ten prezent?

Nate się zawahał.

- Ja? Skąd ci to przyszło do głowy?

- W takim razie czemu to wszystko powiedziałeś? Dlaczego w ogóle do niego dzwoniłeś?

- Żeby być na bieżąco. Aidan chciał coś załatwić, a ja skontaktowałam go z kimś, kto mógł mu pomóc, ale - zachichotał - możesz mi wierzyć, nie chodziło o żaden pięknie opakowany podarunek. Chyba że... - Wyjął telefon.

-Że?

- Chcę zapytać o to Stephanie, to właśnie ten kontakt. Dowiem się, czy Aidan naprawdę dostał to, czego chciał. Chwileczkę.

Darcy zamilkła, zmieszana. Nate czekał na połączenie.

Zastanowiła się nad tym, co powiedział. Być może miał rację; może nie było żadnego ważnego spotkania, a Aidanowi nie umknęła żadna romantyczna okoliczność. Zapewne Aidan w ogóle nie był typem romantyka. Miała nadzieję, wielką nadzieję, że Nate się nie myli. Może Aidan w jakiś sposób zawiódł Melanie, ale nie miało to nic wspólnego z prezentem ani spotkaniem. Trudno było również nie zauważyć, że dziewczyna dała upust swej złości w sposób bardzo dziwny jak na osobę bliską sercu Aidana. Należało także wziąć pod uwagę możliwość, że Aidan jest kobieciarzem, a w takim razie prezent mógł być przeznaczony dla kogokolwiek.

Co też Nate miał na myśli, kiedy powiedział, że pomagał Aidanowi, ale chodziło o coś zupełnie innego niż podarunek w pięknym opakowaniu?

- Poczta głosowa. - Nate zmrużył oczy. - Prawdę mówiąc, Sherlocku Archer, uważam, że twoja teoria jest do kitu. Coś tu nie gra... Oczywiście z wyjątkiem faktu, że kochasz się w Aidanie - dodał z figlarnym uśmiechem.

- Nie kocham się w Aidanie - próbowała się bronić. - Przecież prawie w ogóle go nie znam.

- Och, najśłodsza, proszę... - odparł Nate. - Bujać to my, ale nie nas. Musiałbym być ślepy, żeby tego nie zauważyć.

Darcy nie odezwała się, bojąc się swojej reakcji. Nate zabębnił palcami w blat stolika.

- Coś tu zdecydowanie się nie zgadza.

- Tak myślisz? - Zaśmiała się, rozpaczliwie starając się pokryć zmieszanie. - Cała ta sytuacja jest taka dziwna, że sama już nie wiem, co mam o tym myśleć.

Nate zmarszczył czoło.

- Powiedziałaś, że masz fotografię kobiety, którą, jak sądzisz, jest Melanie. - Gdy Darcy przytaknęła, kontynuował: - Wiesz, co jeszcze wydaje mi się dziwne? Jeśli Aidan obraca się w kręgach, o jakich mówisz, powinienem był już dużo wcześniej o nim usłyszeć. A nie słyszałem dosłownie niczego. Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, odniosłem wrażenie, że mam do czynienia z nowobogackim, tyle że nie z tych aroganckich. Czy mogę zobaczyć zdjęcie jego rzekomej ukochanej?

Darcy sięgnęła do torebki.

- A więc uważasz, że wszyscy bogaci ludzie w Nowym Jorku się znają - powiedziała, wyjmując fotografię. - Pamiętaj, że to wielkie miasto.

Nate uniósł fotografię.

- To nie jest reguła dla reguły, tylko faktyczny stan rzeczy. Nie chcę brzmieć jak snob, ja tylko stwierdzam fakt. Spotykasz tych samych ludzi na przyjęciach i imprezach kulturalnych. Nuda. Tak to wygląda. Ludzie z pieniędzmi spotykają się z ludźmi z pieniędzmi. Bogaci znają bogatych.

Darcy wskazała zdjęcie.

- No więc? Znasz ją?

Nate zastanawiał się przez chwilę.

- Wygląda znajomo, ale jest ode mnie starsza o jakieś osiem, dziesięć lat i nie wiem, czym się zajmuje. Niestety, nie jestem najlepszą osobą do odpowiadania na takie pytania. Znam niektórych graczy, ale nie zdążyłem jeszcze wsiąknąć w starsze towarzystwo. Pokazałaś tę fotkę Tabicie Kensington?

- Nie, wtedy jeszcze nie by to to dla mnie takie ważne, a poza tym Aidan miał ją w szpitalu. Sądziś, że Melanie może być przyjaciółką Tabithy?

Teraz wydawało się to całkiem prawdopodobne. Ale jeśli Tabitha zna Melanie, dlaczego nie zareagowała na imię Aidana wtedy, u Elizabeth Arden? To wszystko mogło przyprawić o zawroty głowy. Swoją drogą, to ciekawe, że Nate wymienił nazwisko Tabithy Kensington. Wyraźnie miała z tym wszystkim jakiś związek.

- No dobrze. Na razie wystarczy.

Wyjął z kieszeni aksamitnej marynarki portfel i położywszy na stoliku kilka dwudziestodolarówek, dał Darcy znać, by udała się za nim.

- Zostawię jej wiadomość. Chodź. Niczego mądrego już tu nie wymyślimy. Nie upieczemy dwóch pieczeni na jednym ogniu. Stephanie na pewno uzupełni brakujące fragmenty układanki.

Rozdział trzydziesty ósmy

Kiedy wszystkie szczegóły idealnie pasują, coś jest nie tak z fabułą.

Charles Baxter*

Nate przeprowadzi! Darcy przez wyłączone drzwi oszalałego apartamentowca przy Park Avenue. Onieśmielona bogatym wystrojem holu na chwilę przystanęła, podziwiając swego towarzysza, poruszającego się ze swobodą bywalca. Nie wiedząc, dokąd zmierzają, podeszła do niego, gdy zatrzymał się przy ladzie recepcyjnej konsjerża. Mężczyzna po drugiej stronie blatu najwyraźniej rozpoznał jej towarzysza i przeniósł wzrok na Darcy.

- Jesteśmy umówieni ze Stephanie Everly w penthousie - oznajmił Nate.

Konsjerż uniósł telefon, uzyskał potwierdzenie, po czym skinął w ich kierunku.

* *Burning Down the House: Essays on Fiction.*

- Pani Everly powiedziała, że oczekuje państwa. Proszę skorzystać z tej windy.

Darcy nerwowo przełknęła ślinę, zastanawiając się, czego może się spodziewać. Niedługo potem znaleźli się na najwyższym piętrze w obszernym westybulu. Czekala już tam na nich Stephanie Everly. Nate szybko dokonał prezentacji.

- Darcy, to jest Steph. Steph, Darcy.

- Miło mi panią poznać - powiedziała do Darcy elegancko ubrana kobieta, której urodę podkreślał perfekcyjny makijaż. Potem zwróciła się do Nate'a: - Muszę przyznać, że twoja wiadomość trochę mnie przeraziła.

Nate otoczył Stephanie ramieniem.

- Steph, tak jak powiedziałem, Darcy ma ostatnio zwariowane życie. Możemy wejść? Wszystko ci opowiemy.

Stephanie poprowadziła gości do salonu. Kiedy usiedli, wyczekująco popatrzyła na nich. Darcy westchnęła, zdawszy sobie sprawę, że będzie musiała kolejny raz streścić historię poznania Aidana. Przystąpiła jednak do dzieła, mając nadzieję na uzyskanie odpowiedzi na swe pytania. Kiedy skończyła mówić, Stephanie w zamyśleniu kiwnęła głową.

- Zasmuciła mnie wiadomość o amnezji Aidana. Zrobił na mnie sympatyczne wrażenie - powiedziała.

Darcy wychyliła się z krzesła zadowolona, że Stephanie przyznała się do spotkania z mężczyzną. Poza tym ich opinie na jego temat się pokrywały.

- Aidan jest bardzo sympatyczny.

- Nie wiem, jak mogłabym wam pomóc - ciągnęła Stephanie. - Spotkałam się z nim tylko raz, w zeszłym

tygodniu, kiedy przyjechał do Westchester... do głównej rezydencji - tę informację dodała dla Darcy - żeby zobaczyć kolekcję Millera. To ja zaproponowałam mu, żeby najpierw obejrzał kolekcję, a potem potwierdził chęć zakupu i omówił warunki przesłania towaru. Potem zadzwoniłam do niego jeszcze raz kilka dni temu, żeby potwierdzić otrzymanie przelewu bankowego, ale nie odbierał komórki. Nie udało mi się też skontaktować z nim w biurze.

Stephanie najwyraźniej była asystentką człowieka, z którym Aidan załatwiał interesy, i pośredniczyła w sprzedaży jakiegoś przedmiotu z kolekcji szefa. To ona wykonała przynajmniej jeden z nieodebranych telefonów do domu Aidana - pomyślała w oszołomieniu Darcy. Imię lub nazwisko Miller wydało jej się znajome, ale nie mogła sobie przypomnieć dlaczego.

- W takim razie udało mu się wszystko załatwić na czas

- powiedział Nate.

- Tak. Przy okazji... Dziękuję, że mi go poleciłeś. - Stephanie się uśmiechnęła. - Miller był bardzo zadowolony z ceny.

Ciekawość Darcy odnośnie do prezentu znacznie się wzmogła. Skoro Aidan kupił go od milionera, jej podejrzenia najprawdopodobniej nie były pozbawione podstaw i chodziło o książkę, białego kruka albo egzemplarz brakujący do kolekcji. Tylko o jaki tytuł mogło chodzić?

- zastanawiała się, rozpaczliwie starając się dojść prawdy.

- Przesłanie towaru? - powiedziała, podejmując przerwana rozmowę. - Więc Aidan nie miał zamiaru doręczyć go osobiście?

Stephanie uśmiechnęła się, jakby Darcy powiedziała coś zabawnego.

- Nie mógł tego zrobić, skoro chciał, by następnego dnia towar znalazł się w Los Angeles.

- W Los Angeles? - powtórzyła Darcy zbita z tropu. Popatrzyła na Stephanie Everly i zadała pytanie, które dręczyło ją przez cały czas. Nate nigdy by jej tego nie powiedział wcześniej niż jego przyjaciółka. - Stephanie, czy może mi pani zdradzić, co dokładnie kupił od pani Aidan?

- Przepraszam, myślałam, że już to pani wie - odpowiedziała Stephanie. - Oczywiście kupił to nie ode mnie, tylko od Millera. To był samochód. A dokładnie stary, absolutnie wyjątkowy mustang shelby.

- Och. - Darcy poczuła się wręcz głupio. Bogaci rzeczywiście bardzo się różnili od reszty. To by było na tyle, jeśli chodzi o ekoprzyjaznego Aidana.

Miała ochotę wypytać Stephanie o szczegóły, ale w tej właśnie chwili ktoś wszedł do pokoju.

- Stephanie? - rozległ się zatroskany głos, który Darcy natychmiast rozpoznała. - Widziałaś zaproszenie na biblioteczną imprezę charytatywną w sylwestra? Pamiętam, że przyszło. Wiem, że mam tam być z Millerem, ale właśnie odebrałam telefon z komisji nadzorującej. Powiedzieli, że...

Darcy wiedziała już, dlaczego imię Miller niemal dzwoniło w jej głowie i do kogo należał dom. Wszystko zaczynało się układać w logiczną całość. To była Tabitha Kensington, tym razem bez szlafroka z salonu Elizabeth Arden i maseczki z glinki; żona Millera Kensingtona,

mężczyzny, od którego Aidan w zeszłym tygodniu kupił samochód.

Tabitha najwyraźniej gdzieś się spieszyła. Przeżyła zaskoczenie, zobaczywszy, że asystentka męża ma gości.

- Och, przepraszam, Stephanie, nie wiedziałam, że jesteś umówiona, ale... ooo, chyba cię znam? - zwróciła się do Darcy i zamyśliła się, jakby starając się sobie przypomnieć, gdzie ją spotkała. - Ach, tak, kilka dni temu w salonie Elizabeth Arden. Daisy?

Darcy wstała i uściśniła wyciągniętą ku niej dłoń Tabithy.

- Darcy. Miło mi znów cię widzieć. Kobieta przeniosła wzrok na Nate'a.

- Przyjechałeś do domu na wakacje? Jak się miewa ojciec? - Gdy już wymienili uprzejmości, Tabitha ponownie zwróciła się do Stephanie: - Sprawdzisz to zaproszenie? - zapytała, zmierzając do wyjścia.

Stephanie kiwnęła głową.

- Zaraz się tym zajmę.

Tabitha przystanęła i spojrzała na Darcy, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, o czym rozmawiały.

- Mam nadzieję, że wszystko się wyjaśniło z tym twoim znajomym... Jak on się nazywa?

- Aidan. Aidan Harris.

W tym momencie Darcy zorientowała się, że to Stephanie w dniu wypadku dzwoniła do domu Aidana z rezydencji Kensingtonów, by, jak to ujęła, „potwierdzić otrzymanie przelewu bankowego”. A jeśli chodzi o samochód... Darcy kręciło się w głowie.

- Tak, dziękuję, zyskuję już coraz więcej odpowiedzi na moje pytania.

- Aidan Harris to ten człowiek, który w zeszłym tygodniu kupił mustanga shelby z 1966 roku od Millera - wtrąciła Stephanie.

Twarz Tabithy rozjaśniła się w uśmiechu.

- Aha. I to jest ten sam młody człowiek, na którego wjechałaś rowerem?

Darcy skinęła głową.

- Cóż, Darcy, przykro mi, że nie mogłam ci pomóc, kiedy spotkałyśmy się u Elizabeth Arden, ale, jak widzisz, nie brałam udziału w tej transakcji. Prawdę mówiąc, nie nadążam za moim mężem i jego interesami. Chłopcy mają swoje zabawki, prawda? - Zaśmiała się ciepło. - Wiem tylko, że Miller był bardzo zadowolony, kiedy w zeszłym tygodniu rozpisywano się o tym w gazetach. Ten Will Anderson to urodzony showman! No ale już lepiej sobie pójdę i zostawię was z tą sprawą... Jestem okropnie zajęta! - zanuciła. - Miło było cię spotkać... ciebie też, Nate. - To powiedziawszy, pani Kensington wyszła.

Darcy słabo odnotowała ten fakt w pamięci.

- Will Anderson, autor thrillerów? - zapytała w osłupieniu.

Człowiek, z którym jej ciotka usiłowała ją swatać. Teraz naprawdę już nie miała pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Księgarnia Chaucer's sprzedawała dziesiątki książek Willa tygodniowo. Obecnie wystawę sklepu zdobiło wydanie filmowe jego pierwszej powieści z serii *Thrill Seeker... Łowca wrażeń...* - Kolejny kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce.

- Tak - powiedziała Stephanie. - Nie rozumiałam, dlaczego Aidan stawał na głowie, żeby zdobyć ten samochód,

ale wyjaśnił mi, że Will chce go mieć na premierę filmu w Los Angeles. - Nie doczekawszy się reakcji Darcy, kontynuowała: - Jeśli czyta pani książki z serii *Thrill Seeker*, to na pewno pani wie, że Max Bailey jeździ mustangiem shelby z roku 1966. Aidan mówił, że Anderson uparł się, że podjedzie tym wozem na premierę.

- Jak James Bond w astonie martinie? - Nate uniósł brwi. - Muszę przyznać, że nie czytałem żadnej jego książki, ale facet ma wycucie stylu.

- Powinieneś przeczytać - rzekła Stephanie. - Max Bailey jest wspaniały.

Darcy odebrało mowę. Pomału wszystko się układało: firma Thrill Seeker zawdzięczała swą nazwę serii bestsellerów. A do tego... Bailey, nazwany na cześć Maksa Bailey, bohatera tych książek. Jakie jednak miejsce zajmował w tym wszystkim Aidan? Czyżby także był pisarzem, przyjacielem Willa? Być może wydawał swe książki pod pseudonimem?

Podeksytowana swoim odkryciem, doszła do wniosku, że to wszystko doskonale pasuje do Aidana, jego zainteresowania literaturą i wspaniałego księgozbioru. Naprawdę był jej bratnią duszą!

- Wiem, że Aidan był zachwycony, kiedy udało mu się zdobyć samochód na czas. No i na pewno czuł wtedy wielką ulgę - powiedziała Stephanie, zanim Darcy zdążyła się odezwać. - Podobno Will Anderson jest... trudny. Cóż, skupiony na sobie multimilioner na pewno nie jest łatwym współpracownikiem. Nie zazdroszczę pani przyjacielowi. Ani przez chwilę.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Prawda rzadko jest czysta, a nigdy prosta.

Oscar Wilde*

Po wizycie u Stephanie Nate zaproponował Darcy, że odwiezie ją taksówką do Chaucer's. Pozwolił jej się wygadać, rozumiejąc, co musi przeżywać po usłyszeniu ostatnich wiadomości.

- Więc Aidan pracuje dla Willa Andersona? Nie mogę w to uwierzyć.

Stephanie Everly wydawała się absolutnie pewna, że Aidan jest asystentem, dyrektorem handlowym, człowiekiem do zadań specjalnych i chłopakiem na posyłki, jednym słowem - służącym Andersona.

- Czyli wykonuje wszystko to, czego wymaga się od osób takich jak my. Po to nas zatrudniają - wyjaśniała cierpliwie.

** Bądźmy poważni na serio.*

Darcy nie mogła się uspokoić, w jej głowie kłębiły się tysiące myśli. Zastanawiała się, jakie znaczenie mają dla niej te odkrycia.

- Nic dziwnego, że nie poprawiała mu się pamięć - powiedziała, czując się idiotycznie - skoro nieustannie karmiłam go nieprawdziwymi wiadomościami. Przynosiłam mu rzeczy nienależące do niego, upierałam się, że jest obrzydliwie bogaty i mieszka w tym wspaniałym...

O nie! - krzyknęła, doznawszy olśnienia. - Dom z elewacją z brązowego piaskowca musi należeć do Willa Andersona. Aidan miał do niego klucze, bo jest asystentem Willa.

I nie tylko dom nie należy do Aidana. Bailey też nie jest jego psem.

- Chyba że zdecydował się nadać psu imię fikcyjnego bohatera z książek Andersona - wtrącił Nate. - Anderson może być jego szefem, ale równie dobrze Aidan może po prostu być jego fanem.

- Nie, nie - upierała się Darcy. - Jestem pewna, że Bailey należy do Willa. To dlatego zaciągnął mnie do tego domu... - Coś sobie nagle przypomniawszy, pochyliła się ku taksówkarzowi. - Mała zmiana planów... Proszę zawieźć mnie na Siedemdziesiątą Siódmą przy Park Avenue. - Przerażona, zwróciła się do Nate'a: - Zostawiłam dziś rano Bailey'a w tym domu z piaskowca. Pomyślałam, że zaczeka tam, aż Aidan wróci ze szpitala.

Boże, co za zamieszanie. Aidan uważał, że mieszka w domu przy Park Avenue, i zapewne teraz tam był, starając się dojść prawdy. Darcy potrafiła sobie wyobrazić reakcję biedaka, gdy będzie mu tłumaczyła, że w ciągu minionych dni podawała mu błędne informacje; że dom

i pies należą do kogoś innego, a ona nie ma pojęcia o jego prawdziwym życiu.

Aidan został określony mianem sługi. Czyjego obowiązki obejmowały również wyprowadzanie psa? Z jakiego innego powodu szliby razem owego nieszczęsnego ranka i dlaczego po przebudzeniu Aidan przypominał sobie jedynie Baileya? Pozostawała jeszcze kwestia prezentu...

Wiele kawałków układanki nie trafiło jeszcze na swoje miejsce; teraz jednak Darcy usiłowała się skupić na najbliższym zadaniu.

- W takim razie pozwól, że wysiądę przy końcu Piątej - powiedział Nate, poklepując ją po ramieniu. - Nie zamartwiaj się. Jestem pewien, że u Aidana wszystko w porządku. Nie mogłaś przecież wiedzieć, że to nie jego dom. Najważniejsze jest to, że chciałaś mu pomóc.

- Owszem, i zobacz, jak bardzo nabałaganiałam. - Darcy przygryzła wargę. Starając się zrekonstruować życie Aidana, zanadto dała się ponieść wyobraźni i stworzyła historię niemającą odzwierciedlenia w rzeczywistości.

- Jestem pewien, że Aidan to zrozumie - próbował ją pocieszyć Nate. - Łatwo było popełnić taki błąd. Zobaczysz, że w końcu wszystko dobrze się ułoży i wszyscy będą zadowoleni.

Łatwo było popełnić błąd? Darcy miała nadzieję, że Aidan będzie tego samego zdania, kiedy przekaże mu wiadomość o tym, że nie jest milionerem.

Przez chwilę zastanawiała się, jak prawdziwe wiadomości na temat tego mężczyzny, które udało jej się zdobyć w ciągu kilku ostatnich dni, wpłynęły na jej stosunek do niego. Doszła do wniosku, że fakty niczego nie zmieniły.

Była pewna, że Aidan jest mądry, przystojny i oczytany. Przypuszczała również, że jest przebojowym światowcem o wyrafinowanym guście. To przekonanie zrodziło się w niej, gdy poznała jego rzekomy dom, zainteresowania, należące do niego przedmioty. Status materialny Aidana nie miał dla niej znaczenia. Nie należała do kobiet, które przywiązują wielką wagę do pieniędzy. Aidan zaciekał ją jako człowiek; chciała wiedzieć, co go cieszy, a co złości, co lubi, a czego nie lubi.

Tworząc bajkę na temat jego życia, przeoczyła wiele szczegółów, ale jednocześnie nie potrafiła właściwie zinterpretować znanych faktów. Na przykład dlaczego nikt go nie szukał w ciągu tych dni? Nawet jeśli Will Anderson przebywał przez cały tydzień w Los Angeles w związku z premierą filmu i nie potrzebował w tym czasie swego asystenta, to byli przecież także inni, zwłaszcza niedoszła odbiorczyni prezentu. A skoro Aidan nie mieszkał na Upper West Side, to gdzie znajdował się jego dom?

Gdy wolno, w długim sznurze samochodów jechali Piątą Aleją, usłyszała sygnał telefonu. Ledwie zerknęła na wyświetlacz, jej serce przyspieszyło rytmu. Natychmiast odebrała połączenie i przystąpiła do rozmowy:

- Aidan, wszystko w porządku? Dotarłeś już do domu?
- Przepraszam, że znowu cię niepokoję, Darcy, ale to wszystko jest bardzo dziwne... - powiedział, wyraźnie zdezorientowany. - Jestem na Long Island. Szpital zamówił taksówkę, żeby mnie odwiozła do domu, a ja po pewnym czasie zorientowałem się, że facet wywozi mnie z miasta... Sprawdziłem więc w dokumencie i wyobraź sobie...

Darcy myślała gorączkowo. Przypomniała sobie lekarkę mówiącą coś o tym, że znaleźli adres w dokumentach Aidana. Pomyślała, że w dokumencie tożsamości powinien znajdować się prawdziwy adres. Long Island, kółko na klucze z breloczkiem New York Mets... - to wszystko układało się w spójną całość.

Ponieważ Bailey uporczywie ciągnął ją do domu z elewacją z czerwono-brązowego piaskowca, a Aidan miał do niego klucze, nie przyszło jej do głowy, by zapytać o jego adres albo sprawdzić go w dokumencie. Poza tym w papierach często figurował nieaktualny adres, mało kto zadawał sobie trud szybkiego powiadamiania władz o przeprowadzce.

- No dobrze - powiedziała do Aidana, starając się, by w jej głosie nie było słycać zaniepokojenia. - Poproś taksówkarza, żeby zawiózł cię z powrotem na Manhattan. Spotkamy się, powiedzmy... - Darcy starała się jak najszybciej przypomnieć sobie pobliskie miejsce, gdzie mogliby usiąść i porozmawiać, jakieś spokojne, ale nie za spokojne, na wypadek gdyby Aidan niepokojąco zareagował na wiadomości.

Nate szturchnął ją delikatnie. Spojrzała w okno we wskazanym kierunku. Hotel Plaża.

- ...w Central Parku - dokończyła, kręcąc głową.

Nate przewracał oczami, ale Darcy nie miała zamiaru przekazywać Aidanowi wiadomości w miejscu, które mogło przypomnieć mu o wszystkim, co utracił. A raczej czego nigdy nie miał.

- Spotkajmy się przy narożnym wejściu naprzeciwko hotelu Plaża, przed dorożkami.

Aidan zachichotał.

- No, nie wiem, czy mam przy sobie odpowiednią ilość gotówki.

Darcy wzdrygnęła się na myśl o tym, że pozbawiła go niemal wszystkich pieniędzy, by kupić mu telefon na kartę.

- W takim razie pozostaje metro - odrzekła bez namysłu. - Wróc taksówką tak daleko, jak możesz, a potem dojeżdż stamtąd metrem. Miej przy sobie telefon. Spotkamy się przy wyjściu ze stacji metra przy Central Parku.

- Dobrze, dziękuję... Naprawdę możesz to dla mnie zrobić? Pewnie jesteś teraz w pracy... Darcy, naprawdę przepraszam, że tak cię dręczę. Naprawdę nie wiem, co się stało. Wszystko w porządku z Baileyem?

Zbierało jej się na płacz. Jak miała wyjaśnić temu sympatycznemu, ufnemu człowiekowi, że wymyśliła mu życie bardzo odległe od rzeczywistości? Biedak sądził, że mieszka we wspaniałym domu, posiada imponujący księgozbiór, podróżuje po całym świecie i zwiedza egzotyczne zakątki, no i że otacza go wianuszek urodziwych kobiet, ma Bailey'a... Nie będzie potrafiła powiedzieć mu, że ukochany husky nie należy do niego. Była w pewien sposób nawet zła na Bailey'a, że doprowadził do takiego zamieszania. Wolą pominąć milczeniem swój udział w całej sprawie. Jeśli pies był na tyle mądry, by zaciągnąć ją pod swój dom, powinien był także doprowadzić ją do całej prawdy. Koniec porównań Bailey'a do Lassie!

- Miewa się dobrze - odpowiedziała wymijająco. - Do zobaczenia.

Pożegnawszy się z Aidanem, wysłała krótkiego SMS-a do Joshui, w którym przeprosiła za przedłużającą

się nieobecność i zapewniła, że wróci do księgarni, kiedy tylko stanie się to możliwe. Odpowiedział niemal natychmiast, prosił, żeby się nie spieszyła, bo wszystko jest w porządku. No, przynajmniej to jedno, stwierdziła.

Głęboko zaczerpnęła powietrza pokrzepiona myślą, że jej koledzy z pracy są tak wspaniałomyślni i wyrozumiali. Ciekawe, jakim współpracownikiem był Will Anderson. Darcy mgliście przypominała sobie spotkanie sprzed mniej więcej roku, kiedy to Katherine przedstawiła ich sobie na przyjęciu. Zapamiętała go jako zarozumiałego bubka, zakochanego w sobie z wzajemnością. Pozostawało jej mieć nadzieję, że nie jest zbyt surowy dla Aidana.

Silny wiatr obsypywał samochód płatkami śniegu. Aut przybywało, coraz wolniej jechali Piątą Aleją wzdłuż Central Parku. Darcy podskoczyła, gdy w jej kieszeni po raz kolejny zadzwieczał telefon. Przeraziła się, że Aidan wpadł w jakieś tarapaty, ale ktoś dzwonił z zastrzeżonego numeru.

- Darcy? Co słychać? Mówi Jenna z salonu Apple'a - rozległ się radosny szczebiot.

- Och, witaj, Jenno - odpowiedziała znużonym głosem Darcy. W tej chwili nie była w stanie odwzajemnić entuzjazmu dziewczyny.

- Dzwonię, żeby powiedzieć, że centrala wyraziła zgodę na wymianę telefonu dla pana Harrisa, więc możemy dokonać transferu danych, jeśli będzie pani uprzejma przynieść do nas stary aparat.

- Dobrze, bardzo się cieszę, dzięki.

Darcy zapomniała zostawić zepsuty telefon w domu z elewacją z piaskowca tamtego ranka, z czego w tej

chwili była niezmiernie rada. Gdyby teraz udała się do Apple'a i poprosiła o transfer danych, byłoby jej znacznie łatwiej przekazać wiadomości Aidanowi. Miałaby pod ręką jego korespondencję, zdjęcia i tak dalej... nieosiągalne do tej pory szczegóły z jego życia.

- Mogę przyjść teraz, powiedzmy, za pięć minut? Jestem w okolicy i mam przy sobie telefon. Czy też muszę umówić się na spotkanie? - Jęknęła w duchu na samą myśl o takiej ewentualności.

- Nie, nie ma takiej potrzeby, znajdę chwilę dla pani. Transfer potrwa najwyżej kilka minut. Do zobaczenia!

- Dziękuję - powiedziała Darcy w odrętwieniu i się rozłączyła. Miała wrażenie, że za chwilę mózg jej eksploduje. Nie była pewna, czy tego dnia da radę przyjąć kolejną porcję informacji o Aidanie i jego życiu... Prawdziwym życiu.

Pozostawało jeszcze tak wiele niewyjaśnionych spraw, ale wszystko wskazywało na to, że nadszedł dzień uzyskiwania odpowiedzi. Przypomniała sobie słowa Nate'a o szczęśliwych zakończeniach. Cóż, aż nazbyt dobrze wiedziała, że w życiu nie wszystko dobrze się kończy. Realny świat rządzi się innymi prawami niż fikcja.

Rozdział czterdziesty

Udało się w ostatniej chwili. Dzięki Bogu Stephanie Everly zrobiła, co do niej należało. Wprawdzie musiałem zaproponować nieco więcej, niż planowałem, żeby zdobyć ten samochód i załatwić jego natychmiastową dostawę do Los Angeles, ale dzięki Nate'owi Cleaverowi-Parksowi i sieci jego zaufanych kontaktów Thrill Seeker Holdings znalazło się w posiadaniu pięknego mustanga shelby z 1966 roku.

Ten niesamowity wóz bez wątpienia miał wkrótce zostać odprzedany, gdy tylko przestanie być przydatny, tymczasem był nową zabawką Willa, bardzo dobrze pasującą do blichtru i szumu towarzyszących premierze filmu w Los Angeles.

Popijając kawę, przyglądałem się, jak za oknem pada gęsty śnieg, i przez chwilę nawet żałowałem, że nie przyjąłem zaproszenia na premierę na Zachodnim Wybrzeżu, ale wnet przypomniałem sobie, że tutaj wciąż bardzo wiele się dzieje. Zerknąłem na zegarek i uznałem, że lepiej już się ruszyć, jeśli chcę zdążyć na czas. Na szczęście w pracy swoje zrobiłem (przynajmniej na razie) i ten dzień był

wyłącznie mój. Poza tym czułbym się okropnie, gdybym z powodu lotu do Los Angeles musiał zostawić Bailey'a w przechowalni dla psów. Niby był on tylko jeszcze jednym słynnym rekwizytem z książek mojego szefa (szary husky wystąpił w drugiej powieści z cyklu *Łowca wrażeń* i stał się obiektem krótkotrwałej obsesji Willa, która doprowadziła go do zakupu), ale wiedziałem, że jest kochany. Tyle że życie z dnia na dzień nie było metodą, która pozwoliłaby Willowi na poświęcenie się tak żywiołowej istocie, a ponieważ od wielu lat uwielbiałem psy, z wielką radością podjąłem się opieki nad Baileyem. Właśnie dlatego spędziłem w tym domu cały tydzień i spędziłbym jeszcze dużą część następnego, aż Will wróciłby w chwałę w Wigilię Bożego Narodzenia.

Bardzo lubiłem zabierać tego husky z sobą, gdy załatwiałem różne sprawy w mieście, ale istniały też miejsca dla niego niedostępne. Właśnie dlatego musiałem go dzisiaj umieścić w przechowalni. Tylko na kilka godzin. Zresztą Bailey lubił kontakty z innymi psami, że nie wspomnę o uwadze, jaką otaczały go pracownicy. Planowałem wziąć go jak zawsze na spacer po parku, a potem odprowadzić w to samo miejsce co zawsze niedaleko Ósmej Alei.

Gdy nakarmiłem psa i nalałem sobie drugą filiżankę kawy, usiadłem w kuchni przy włączonym laptopie. Natychmiast pojawiła się na ekranie strona TMZ i relacja z wczorajszej gali z czerwonym dywanem. Will i jego samochód byli dosłownie wszędzie. Wymyślna sztuczka zadziałała i na podstawie relacji w niezliczonych portalach poświęconych rozrywce można by sądzić, że mój szef był teraz jednym z najgorętszych nazwisk w Hollywood.

Niech sobie ludzie mówią o Willu Andersonie, co im się podoba, ale trzeba mu przyznać, że wie, jak działa przemysł rozrywkowy. Zdawał sobie sprawę, że aby zrobić karierę na książkach albo w kinie, trzeba było wykreować się na jeszcze większą postać niż opisywani bohaterowie. Ludzie lubili go przedstawiać jako zwykłego sprzedawcę szmatławych pocket-booków, ja jednak byłem na co dzień świadkiem wysiłku wkładanego przezeń nie tylko w pisanie, lecz również w marketing książek, i wiedziałem, że Will traktuje swoją pracę tak jak prawie wszystko w życiu - niezwykle poważnie. Dowodził tego gwałtowny wzrost popularności książek o Maksie Baileyu w ciągu ostatnich czterech lat, a teraz bez wątpienia również dochód Willa z opłat licencyjnych za nakręcenie filmu. Ponieważ zawsze stawiał on sobie wysokie wymagania, z takim samym zapałem i poświęceniem jak w pracę angażował się również w rozrywkę, na przykład w różne maratony, w czasie których przez ostatnie lata testował swoją wytrzymałość.

Czasem zastanawiałem się, czy Will nie ma w sobie skłonności do autodestrukcji, jeśli zgłasza akces do tylu ekstremalnych przedsięwzięć. Kusił los skokami ze spadochronem, BASE jumpingiem, nurkowaniem na dużych głębokościach - a wszystko w imię doskonalenia samego siebie. W ten sposób, jak przypuszczam, nadawał realny kształt tęsknocie za silnymi wrażeniami, która cechowała bohatera jego książek, Maksa Bailey'a.

Przeglądając portale poświęcone rozrywce, uśmiechnąłem się kwaśno. Jeśli przez ostatnich kilka lat żywiłem przekonanie, że jestem zapracowany, to tylko dlatego, że nijak nie umiałem przewidzieć tego, co spadnie na mnie,

gdy rozkręci się praca nad filmem, że zacznę niemal skakać przez płonące obręcze, szukając dróg do producentów w Hollywood i wydawców na Park Avenue.

Trzeba jednak podkreślić, że moje wysiłki spotykały się z bardzo hojną rekompensatą, a gratyfikacje były nie do przecenienia. Owszem, zdarzało się, że Will doprowadzał mnie do szału swoimi co bardziej dziwacznymi żądaniem (zwłaszcza wyrażanymi w ostatniej chwili, jak to było z mustangiem), ale podobało mi się, że obracam się w świecie biznesu. Lubiłem też twórczą stronę Thrill Seeker i nie wyrzekłbym się tego za nic w świecie. Każde zajęcie, które pozwalało mi znaleźć się w otoczeniu książek, uszczęśliwiała mnie po stokroć. Ta praca dała mi ponadto szansę obracania naprawdę dużymi pieniędzmi, pomogła pogodzić się z wielkimi zmianami w moim życiu osobistym, które zaszły w ostatnich latach, i przezwyciężyć rozczarowania. I choć niektórzy, jak Ciara, mogliby twierdzić, że to właśnie moje zaangażowanie w sprawę stanowiło częściową przyczynę niepowodzeń, osobiście uważam, że pewne rzeczy po prostu nie wychodzą, i tyle. W każdym razie ostatnio żyje mi się dobrze, a Mel i ja nigdy nie byliśmy bliżej.

I chociaż mój szef bywa uciążliwy, to wiem również, że docenia moje wysiłki i szanuje wkład pracy. Mogę na przykład przypisywać sobie autorstwo niektórych bardziej dziwacznym cech osobowości Maksa Baileya, takich jak upodobanie do starych mustangów (tak, to moja wina) i potajemnie żywiona miłość do wielkiej literatury. Tę ostatnią cechę, zadziwiająco niepasującą do osobowości wojowniczego samotnika, chętnie uznawałem za jeden

z powodów wielkiej popularności Maksa wśród czytających kobiet. Stąd właśnie wzięła się ulubiona biblioteka Willa. Pomogłem mu w wyborze tytułów i nawet osobiście sprowadziłem do niej - dzięki George'owi z domu aukcyjnego Christie's - wiele rzadkich pierwszych wydań, zwłaszcza Marlowe'a, który był akurat ulubionym pisarzem Maksa Bailey'a. Will często żartuje, że ta popularna postać jest w równym stopniu jego, jak i moim tworem. Muszę też oddać mu sprawiedliwość, że zawsze wymienia mnie w podziękowaniach dołączanych do książek i wyraża tam uznanie dla mojej pracy. W swoim czasie wykazał również dużo zrozumienia dla moich problemów domowych i pozwolił mi mieszkać u siebie, póki nie zdołam pozałatwiać swoich spraw.

Zdaje się, że takim ludziom jak mojej siostrze trudno jest zrozumieć tę stronę osobowości Willa, ale to właśnie ona sprawia, że byłbym gotów zrobić absolutnie wszystko, by dowiedzieć się, o co chodzi, gdy Will czegoś chce. Nie łączy już nas tylko stosunek szef i podwładny, przez lata staliśmy się w pewnym sensie dobrymi kumplami, chociaż z dwóch różnych bajek. Will zawsze był bogaty, bądź co bądź pochodził z rodziny zamożnych Skandynawów, którzy ułożyli sobie życie w Stanach, podczas gdy ja jestem zwykłym imigrantem z Dublina, który wciąż próbuje wydeptać swoje ścieżki w Nowym Jorku. Stwierdzenie, że przyjęcia w Metropolitan Museum of Art, obrazy Rothki i zimowe wakacje w Val d'Isère są zazwyczaj poza moim zasięgiem, byłoby bardzo oględnym przedstawieniem problemu, chociaż w charakterze mojej pracy leży to, że nieraz mam okazję przekonać się, jak wygląda bardziej ekskluzywna

strona Manhattanu. Częste zakupy w Christie's i pozwolenie na wydatki bez ograniczeń są tego częścią. I lubię to. Ale nie permanentnie, jak powiedziałyby Ciara.

Nalałem sobie jeszcze jedną kawę, sprawdziłem maile i od razu zauważyłem jeden od Willa, wysłany, jeśli sądzić po dacie, poprzedniego dnia, na kilka godzin przed premierą.

Chłopie, jeszcze nie mogę uwierzyć w to, że ci się udało! Jesteś wspaniałym pracownikiem, Aidanie, i nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Ten wózek jest fantastyczny! Nie mogę się DOCZEKAĆ, żeby przejechać nim po Hollywood Boulevard, zatrzymać go przed Teatrem Chińskim Graumana i wyjść na czerwony dywan. James Bond, nie?

A tak poważnie, chłopie, mam u ciebie dług wdzięczności i żałuję, że cię tu nie ma, ale wiem, że dobrze się opiekujesz moim przyjacielem. Mam nadzieję, że u niego wszystko okej. Tymczasem na znak uznania chcę ci ofiarować drobiazg - oczywiście nie gwiazdkowy, bo nie muszę chyba zapewniać, że dostaniesz wyczesany bonus - i mam nadzieję, że ci się spodoba. Należy ci się jak mało komu. Zapakowałem go i zostawiłem w biurze, otwórz górną szufladę biurka po prawej stronie. Klucz jest tam, gdzie zwykle.

Dzięki jeszcze raz, chłopie. Życz mi szczęścia na wieczór. Mamy zamiar powalić wszystkich na kolana. Do zobaczenia dwudziestego czwartego.

Will

Rozdział czterdziesty pierwszy

Najdłuższa okólna droga jest najkrótszą drogą do domu.

James Joyce*

W salonie Apple'a Darcy wyjęła z torby rozbity iPhone Aidana i położyła go na ladzie, a Jenna włączyła nowy.

- Hm - powiedziała dziewczyna po chwili.

Darcy podniosła głowę i westchnęła, zastanawiając się, na czym tym razem polega problem.

- Musi pani wiedzieć, że transfer danych nie będzie pełny. Prawdopodobnie nie zachowało się nic, co nie miało kopii zapasowej na iCloud. Obrazki, aplikacje i takie rzeczy.

Na iCloud? To wszystko było dla Darcy czarną magią.

- Ja nigdy nie robię kopii danych z telefonu. Czy to oznacza, że jeśli coś stanie się z aparatem, stracę wszystko?

* *Ulisses*, przet. Maciej Słomczyński, Kraków 2000, s. 305.

Jenna nadal była uprzejma, ale Darcy wyczuwała, że w głowie dziewczyny pojawiła się myśl: „Och, ty niedoróbko”.

- Chce pani wiedzieć, ile przychodzi do nas osób, które straciły wszystko, bo nie robiły po bożemu kopii zapasowych?
- spytała Jenna z lekką przyganą.

Darcy znalazła iskierkę otuchy w tym, że ani ona, ani najwyraźniej również Aidan nie robią po bożemu.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie znam się na elektronice
- mruknęła, podczas gdy Jenna nie przestawała majstrować przy iPhone.

- To nie ma nic wspólnego ze znajomością elektroniki
- stwierdziła Jenna. - To ma związek z czymś zupełnie innym.
- Spojrzała na Darcy znacząco. - Proszę sobie wyobrazić, że w wyniku wypadku straciła pani przytomność na ulicy, a z rozbitego telefonu nie można odzyskać danych, co bardzo utrudnia zadanie osobie, która chce pani pomóc...

Darcy mimo woli się uśmiechnęła.

- Nie wiem, Jenno, może powinna pani wykorzystać sytuację Aidana jako nowy pouczający przykład na stronę Apple'a?

- Okej, gotowe. Nowy telefon już działa.

Jenna przesunęła urządzenie po kontuarze ku Darcy, która nagle poczuła, że trochę drżą jej ręce, zupełnie jakby miała za chwilę ująć w dłonie detonator bomby. Współczesne telefony bez wątplenia były porównywalne z dawnymi pamiętnikami-wrazie sposobności można się było dowiedzieć o ich właścicielach zarówno złych rzeczy, jak i dobrych. Nie mogła zaprzeczyć, że posmutniała,

wiedziała bowiem, że w telefonie znajdują się dane, pozwalające skontaktować się z wszystkimi ludźmi, których Aidan zna i kocha, a to oznaczało, że jej rola w tej historii bez wątpienia zbliża się do końca. Aidan na pewno wpadnie we wściekłość i już nigdy więcej nie będzie chciał jej zobaczyć, gdy się dowie, że był przez nią karmiony fałszywymi informacjami.

- Chyba już pójdę - powiedziała, wzięwszy się w garść.
-Jeszcze raz dziękuję, Jenno. Jestem pani bardzo wdzięczna za pomoc. Aidan z pewnością również ją doceni. I obiecuję robić w przyszłości kopie zapasowe.

- Świetnie, nie ma sprawy. Zawsze do usług.

Po pożegnaniu sprzedawczyni Darcy spojrzała na zegarek, wyszła schodami na górę i znalazła się przed budynkiem, wiedziała jednak, że minie jeszcze pewnie sporo czasu, zanim Aidan wróci z Long Island. Przynajmniej co do kółka na klucze z breloczkiem New York Mets miała rację. Tylko że pomyliła się w wielu innych sprawach.

Z uwagi na pisemne zastrzeżenie, jakie Aidan zgłosił do Apple'a, ochrona hasła w jego nowym telefonie raczej jeszcze nie została aktywowana, bo trudno było sądzić, by pamiętał stare hasło. Oznaczało to, że w tej chwili wszyscy mieli dostęp do jego prywatnych informacji. Darcy znów wyjęła aparat z kieszeni i wbiła w niego wzrok, walcząc z głosem sumienia. Za kilka minut miała zobaczyć Aidana, a telefon powinien go wyposażyć we wszelkie wiadomości pozwalające mu wrócić do dawnego życia. To były wiadomości bardzo różniące się od tych, które otrzymywał od niej.

Jak bardzo? Zaczęła się zastanawiać. No cóż, Aidan nie był milionerem, tylko pracował u milionera, co - gdy

Darcy się nad tym zastanowiła - wydawało się logiczne, bo przecież nigdy nie zdradzał skłonności do królewskich kaprysów. A chociaż tej imponującej biblioteki nie miał na własność, to był niezwykle czytany i najprawdopodobniej cenił znajdujący się w niej zbiór bardziej niż właściciel. Potem pomyślała o pamiątkach z podróży, medalach za udział w biegach i zdjęciach kogoś, kogo brała za Aidana - to była zasadna pomyłka, zważywszy na to, że rysy mężczyzny na większości zdjęć były częściowo niewidoczne, a jej nawet nie przyszłoby do głowy, by przypuszczać co innego. I nawet jeśli nie był właścicielem Bailey'a, to z pewnością kochał tego psa i dbał o niego tak samo jak właściciel, a może nawet bardziej - przecież jedyne jego wspomnienie po przebudzeniu dotyczyło właśnie pięknego husky. Było też zupełnie niemożliwe, by Aidan utrzymywał znajomość z baletnicą imieniem Melanie. Wydawało się znacznie bardziej prawdopodobne, że jest to w rzeczywistości dziewczyna Willa albo przynajmniej jedna z dziewczyn, jeśli sądzić po połajance nagranej na automatyczną sekretarkę i po reputacji pisarza znanego ze słabości do kobiet. Teraz gdy o tym myślała, przypomniała sobie, że Willowi naprawdę nieco rzedną włosy na czubku głowy... stąd buteleczka rogainy.

Podczas tych wszystkich rozważań pojawiła się w jej sercu iskierka nadziei na to, że Aidan jest jednak wolny. Stopniowo uspokajała się, jej umysł pracował, a kawałki łamigłówek trafiały na swoje miejsca. Ale była na siebie zła, że zmarnowała dużo czasu i przez ostatnie pięć dni, próbując pomóc Aidanowi, nieraz zabrnęła w ślepią uliczkę, przez co w istocie tylko opóźniła jego

rekonwalescencję. Potem nagle przyszło jej do głowy coś nowego. Pudełko z prezentem. Gdzie jest jego miejsce w łamigłówce? Jeśli przez ostatnie tygodnie Aidan z takim zapalem polował na stary samochód, to skąd wziął się podarunek, który niósł tamtego ranka, i dla kogo był przeznaczony?

Cofnęła się myślami, żeby zrozumieć, dlaczego natychmiast założyła, że ten prezent jest ważny. Przypomniała sobie, że to z powodu pierwszej wiadomości odsłuchanej na automatycznej sekretarce, która, co teraz było już jasne, była skierowana do Willa. Ale telefonująca kobieta, która została „zawiedziona”, stanowczo szukała Aidana i nawet wymieniła jego imię - tego Darcy była pewna. Może więc słuszny był jej domysł, że tamtego ranka, gdy zdarzył się wypadek, Aidan był w drodze na spotkanie. Tylko z kim? I czy właśnie ta osoba miała otrzymać prezent?

Ni stąd, ni zowąd iPhone Aidana zaczął jej dźwięczeć w dłoni, aż podskoczyła z wrażenia. Gdy spojrzała na wyświetlacz, szerzej otworzyła oczy. „Dzwoni Mel”. Gorączkowo szukała skojarzeń. Mel? Jak Melanie Rothschild? No proszę, może jednak nie wszystko odtworzyła całkiem niewłaściwie.

Zerknęła na drugą stronę ulicy, ku wyjściu z metra, żeby sprawdzić, czy nie widać Aidana, ale nawet gdyby tam był, nie zdążyłby podejść na czas i odebrać telefonu. A Mel, kimkolwiek była, na pewno odchodziła od zmysłów.

- Słucham - powiedziała do mikrofonu pełna wahań, czy podjęła właściwą decyzję. - Telefon Aidana Harrisa.

- Co... Gdzie on jest? Co się dzieje? Kim pani jest? - powiedziała na jednym oddechu dzwoniąca osoba.

Darcy usłyszała w jej głosie desperację i uświadomiła sobie, że musi to być ktoś z bliskich Aidana, a przynajmniej ktoś, kto niepokoi się jego nieobecnością. Nareszcie!

- Wszystko w porządku - powiedziała uspokajająco.

- Aidanowi nic nie jest, słowo daję. Proszę się nie martwić. Miał drobny wypadek kilka dni temu i rozbił telefon, dlatego przez pewien czas nie było z nim łączności, ale już ma telefon z powrotem i...

Rozległ się głośny płacz, a potem stłumiony głos, mówiący coś w rodzaju: „Nie wiem”. Darcy się wzdrygnęła niepewna, czy nie powinna przekazać tej wiadomości jeszcze raz innymi słowami. Ale przecież zapewniła rozmówczynię, że Aidanowi nic się nie stało, i próbowała jej wytłumaczyć, dlaczego nie odbierał telefonu, a to były najważniejsze informacje, czyż nie?

Teraz w słuchawce rozległ się inny głos.

- Kto mówi? - Ta kobieta była starsza, mówiła zdecydowanie mniej emocjonalnym tonem, w którym było więcej pewności siebie. - Gdzie jest Aidan? I czym pani tak przestraszyła moją córkę?

- Przepraszam... Pani Rothschild, prawda? - zaryzykowała z wahaniem Darcy, starając się jakoś ułożyć i ten wątek.

- Kto mówi? Gdzie jest Aidan? - powtórzyła kobieta stanowczo.

- Nie zamierzałam nikogo przestraszyć, pani Rothschild - plątała się Darcy.

- To niech pani coś wyjaśni, na miłość boską! Nie jestem żadną panią Rothschild i nie wiem, o kogo chodzi

- powiedziała kobieta z irytacją. - Ja jestem żoną Aidana.

Rozdział czterdziesty drugi

Siedziałem z filiżanką kawy w dłoni przeszczęśliwy, że Willowi tak spodobał się samochód - dzięki temu nagle poczułem, że warto było przeżyć wszystkie stresy związane z jego zdobyciem. Właśnie miałem zamknąć list od Willa, gdy zauważyłem, że pod jego imieniem znajduje się jeszcze postscriptum.

PS. Na marginesie, jeśli ta pochrzaniona Melanie zadzwoni w czasie, kiedy będziesz w domu, po prostu nie zwracaj na to uwagi. Do niej wciąż nie dociera, więc zostawiła mi już na sekretarce ze sto różnych wrzasków i płaczów. Moja wina, że spotykałem się z psycholką... Zresztą wiesz, co mam na myśli, bo widziałeś Czarnego łabędzia...

Uśmiechnąłem się. Potem sprawdziłem, która godzina, i uświadomiłem sobie, że muszę się pospieszyć, jeśli przed spotkaniem z Ciarą chcę wziąć Bailey'a na przebieżkę, a potem zostawić go w przechowalni.

Wstałem i zabrałem kawę do biura zaciekawiony tym, co Will nazwał drobiazgiem „na znak uznania”. Wiedziałem jednak, że nie należy się zanadto podniecać. Jak na człowieka pod wieloma względami obdarzonego niesłychanie bogatą wyobraźnią Will często objawiał zaskakujące jej braki na innych polach, zwłaszcza gdy przychodziło do wyboru prezentów. Gdyby nie moja interwencja, jego matka dostałaby na gwiazdkę blender z Pottery Barn zamiast kaszmirowego szala od Bergdorfa, a dziewczyna - rękawiczki z Macy's zamiast kolczyków od Tiffany'ego.

Może zresztą chodziło o dziewczyny, a nie o dziewczynę. Coraz trudniej było mi nadążyć za aktualną sytuacją, zwłaszcza ostatnio, odkąd poznawał setki ludzi w Los Angeles, przez co z kolei zaniedbywał część znajomych ze Wschodniego Wybrzeża.

Zatrzymałem spojrzenie na umieszczonym na półce zdjęciu Melanie Rothschild w bikini. Przyczynek do postscriptum. Najwidoczniej postawiła tam to zdjęcie, gdy kiedyś została na noc, całkiem nieświadoma tego, że biuro jest moje, a nie Willa. Sam Will wolał rozdzielać życie prywatne i zawodowe, więc wynajął pomieszczenia w Trump Office Tower przy Piątej Alei i tam pisał, gdy akurat nie podróżował, dla inspiracji otoczony najróżniejszymi wydaniem książek o Maksie Baileyu. Ponieważ jednak ustaliliśmy, że do moich obowiązków będzie należała opieka nad Baileyem (sam przy tym obstawałem), wygodniej mi było urządzić sobie stanowisko pracy u Willa w domu, co miało znaczenie głównie przy prowadzeniu księgowości, bo poza tym raczej pracowałem na mieście - zbierałem dane do książek, spotykałem się z wydawcami albo, tak

jak w zeszłym tygodniu, starałem się zrealizować jakieś nietypowe życzenia szefa.

W tym, że baletnica niebezpiecznie zadurzyła się w Willu, zorientowałem się niemal natychmiast. Nie był to najlepszy pomysł, jeśli wziąć pod uwagę, że od czasów przedszkolnych nie zdarzyło się chyba, by Will spotykał się z jedną tylko dziewczyną. Kiedyś nawet próbowałem Melanie delikatnie ostrzec, wyraźnie jednak bez powodzenia.

Znalazłszy klucz pod starą suszką do atramentu, otworzyłem wskazaną w mailu szufladę zaintrygowany, co Will dla mnie przeznaczył. Pamiętając jednak, że poprzedni prezent okazał się niezbyt trafiony - była to replika sztyletu występującego w jednej z książek o Maksie Baileyu - nie żywiłem wielkich nadziei.

Gdy wyjąłem pięknie opakowaną paczkę, podejrzenie przypominającą kształtem książkę, zrozumiałem, że instynkt mnie nie omylił. Will miał zwyczaj obdarowywania mnie pierwszymi wydaniem swoich dzieł - co zresztą było z jego strony miłym gestem - a ponieważ zaraz po Nowym Roku miał ukazać się nowy tom przygód Maksa Bailey'a, domyśliłem się, że taka właśnie jest zawartość paczki. Mniejsza o to, pomyślałem, machinalnie sprzątnąłem blat biurka i schowałem do szuflady teczkę z dokumentami z Christie's. Ludzie często mówią, że najważniejsza jest intencja.

Po powrocie do kuchni też wszystko pochowałem, odłożyłem laptop na miejsce w biurze, wstawiłem kubek do zmywarki, wreszcie wziąłem kręcącego się już Bailey'a na smycz.

- Chodź, piesku, czas na nas. Mamy przed sobą dzień pełen zajęć.

Klasnąłem w dłonie, a Bailey ziewnął. Najwyraźniej nie miał zrozumienia dla mojego pośpiechu.

Szybko wsunąłem prezent do torby, którą znalazłem w spiżarni, i postanowiłem otworzyć go później. W najgorszym razie ucieszy się z niego Ciara. W sieni wygładziłem swój płaszcz Cole Haan, strzepnąłem z rękawa jakiś pyłek. Ładne było to okrycie. Prawdę mówiąc, jak na moją pracę o wiele za ładne, ale gdy spojrzałem na nieziemsko drogi obraz Rothki, będący jeszcze jednym niespodziewanym zakupem Willa po sprzedaniu praw do filmu, przypomniałem sobie, że muszę zachowywać pozory.

Szybko szliśmy z Baileyem zaśnieżonymi ulicami. Tego dnia wszystko wydawało mi się świeże i nowe. Często miałem takie wrażenie, gdy uporałem się z jakimś trudnym zadaniem. To było zupełnie tak, jakby zdjęto ze mnie wielki ciężar, dzięki czemu mogłem skupić uwagę na kolejnym celu. Rozejrzałem się dookoła i pierwszy raz od wielu dni dostrzegłem różne uroki miasta, widoczne zwłaszcza o tej porze roku. Czułem, jak serce mi rośnie.

Od wejścia do parku przy Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy wybrałem naszą typową okólną drogę wokół jeziora, a gdy już je obeszliliśmy, skierowaliśmy się do wyjścia na Central Park South i zawróciliśmy ku Ósmej Alei, gdzie mieściła się przechowalnia zwana Szczęnięca Miłość, do której od czasu do czasu trafiał Bailey. Idąc, wybijałem stopą o ziemię rytm, i zniecka zacząłem nucić pod nosem *It 's Beginning to Look a Lot Like Christmas*. Bailey zerknął na mnie, a ja puściłem do niego oko.

Uśmiechnąłem się wyrozumiałe na widok salonu firmowego Apple'a, w którym niecałe dwa tygodnie temu przeżyłem niemały szok, i obejrzałem świąteczne wystawy w Bergdorfie. Razem z Baileyem bez trudu manewrowaliśmy wśród ludzi, którzy przyszli tu zrobić świąteczne zakupy, oraz tych, którzy wysiedli z metra i spieszyli do pracy. Przynajmniej raz nie odczuwałem rozdrażnienia na widok morza ludzi, jacy pojawili się na naszej drodze przy skrzyżowaniu z Piątą Aleją, gdzie cały rząd dorożek czekał na turystów, by obwieźć ich po romantycznie zimowym Central Parku. Nagle spojrzałem na zegarek i zrozumiałem, że moja zrelaksowana poza zaczyna być mocno niestosowna. Było już po dziesiątej, a samolot Gary z San Diego lądował na Newark o jedenastej. Machinalnie napisałem SMS-a do firmy taksówkarskiej, prosząc o podstawienie samochodu pod przechowalnię dla psów, po czym przyspieszyłem kroku.

Bailey poszedł za moim przykładem, natychmiast zauważył zmianę rytmu. Gdy podniosłem głowę, na przejściu przez Szóstą Aleję mrugało czerwone światło. Zerknąłem w bok. Na światłach zatrzymał się kierowca vana Fed-Ex-u, który rozmawiał przez telefon i wyglądał tak, jakby wcale nie spieszyło mu się do ruszania.

- Naprzód, piesku, jeszcze zdążymy...

Nie dokończyłem jednak tego zdania, bo wydało mi się, że słyszę krzyk kobiety:

- Hej, uwaga!

A potem nie wiadomo skąd coś z impetem mnie uderzyło. Czyżby ten van? Nawet nie wiedziałem, co to takiego. Miałem takie poczucie, jakbym oglądał całą tę

scenę z daleka i doświadczył bycia poza ciałem. Moje nogi poleciały nagle ku czystemu błękitnemu niebu, a głowa i tułów były skierowane ku ziemi. Próbując odgadnąć, co zaraz się stanie, miałem moment zadziwiającej jasności umysłu: będzie twarde lądowanie.

I rzeczywiście. A potem świat wokół mnie zatonął w czerni.

Rozdział czterdziesty trzeci

Logika zaprowadzi cię z punktu A do punktu B. Wyobraźnia zaprowadzi cię wszędzie.

Albert Einstein

Darcy? Mówi Aidan. Przepraszam cię, wciąż jestem na Long Island, w moim domu. Nie uwierzysz, ale teraz, kiedy go zobaczyłem, wszystko wraca! Okazuje się, że niesłusznie uważałaś, że mieszkam na Upper West Side, ale chyba potrafię to wyjaśnić... Słuchaj, chcę tylko powiedzieć, że nie musisz się teraz ze mną spotykać. Mam się dobrze i sądzę, że wszystko będzie w porządku. Jeszcze raz przepraszam za zamieszanie, mam nadzieję, że nie narobiłem ci kłopotu. Porozmawiamy wkrótce.

Darcy odtworzyła nagraną w telefonie wiadomość chyba ze sto razy, próbując zrozumieć, jak mogła się tak bardzo mylić.

Wiadomość nadeszła, kiedy Darcy rozmawiała z jego żoną - jego żoną! Usiłowała wytłumaczyć tej kobiecie, co się działo przez ostatnich kilka dni i dlaczego ona i jej

córka Amelia - córka Aidana! - nie mogły się z nim skontaktować. Zapewniwszy panią Harris, że każe Aidanowi do nich zadzwonić, jak tylko się z nim spotka za kilka minut przy wejściu do metra, zakończyła połączenie i wyruszyła na umówione miejsce. I wtedy odkryła, że dzwonił do niej, by ją powiadomić, że nie przyjdzie. Z jego radosnego tonu mogła domniemywać, że po dotarciu do domu natychmiast ochoczo wrócił na łono rodziny i od tego momentu wszystko potoczy się dawnym torem. I będą żyli długo i szczęśliwie. Tylko to mogła zakładać, jako że minęło prawie czterdzieści osiem godzin i nie miała w tym czasie od nich - czy raczej od Aidana - żadnych wieści.

Wiedziała, że będzie musiała zwrócić telefon i oczywiście klucze od domu, które zabrała spod klonu, doglądając Bailey'a, i to będzie koniec jej zaangażowania w życie Aidana Harrisa. Wyśle mu SMS-a z informacją, że może przyjść do niej do księgarni Chaucer's, kiedy mu będzie wygodnie. Zapewniła go też, że będzie miała oko na Bailey'a.

Domyślała się, że Aidan i jego rodzina mają całkiem sporo do nadrobienia.

Husky wydawał się szczęśliwy, że jest znowu u siebie, a ponieważ Darcy wiedziała, że Aidan ma dość innych spraw na głowie, przez ostatnie dwa dni rano w drodze do pracy napełniała Bailey'owi miskę i zabierała go na spacer do parku. Domyślała się, że jego prawdziwy pan wkrótce wróci, ale w żadnym razie nie miała zamiaru zaniedbywać psich potrzeb.

Darcy nadal kulila się na myśl, że mogła popełnić aż tak wielki błąd w ocenie Aidana... i stracić głowę dla człowieka, którego stworzyła w swojej wyobraźni:

błyskotliwego, czarującego, tak samo jak ona kochającego książki, a przy tym obdarzonego godnym zazdrości nowojorskim szykiem... Jakże daleki od rzeczywistości był ten wizerunek. Był żonaty i miał córkę Amelię (Mel), a może nawet więcej dzieci.

Ale nie chodziło tylko o jej fantazje. Darcy szczerze polubiła dobroć tego prawdziwego Aidana, jego łagodny śmiech, błyszczące oczy i cudowny irlandzki zaśpiew w głosie, kiedy się z nią droczył, że pomaga mu z takim uporem, czy wystawiał na próbę jej wiedzę o książkach. I przez cały ten czas był żonaty.

Darcy miała ochotę sama siebie kopnąć za to, że nie wzięła pod uwagę tej ewentualności; wciąż od nowa ogarniało ją poczucie winy, że pozwoliła sobie myśleć z upodobaniem o mężu innej kobiety. Pamiętała jednak dokładnie, że tamtego pierwszego wieczoru, kiedy go poznała, z całą pewnością nie widziała u niego ślubnej obrączki. Cóż, pomyślała ze wzruszeniem ramion, na to także musiało być jakieś proste wytłumaczenie. Może w szpitalu zdjęto obrączkę z jakiegoś medycznego powodu albo Aidan zapomniał ją tego dnia włożyć na palec po porannym prysznicu. Mogła snuć domysły w nieskończoność, tyle że było już po wszystkim i nie miało to żadnego sensu.

Siedziała teraz przy stoliku w restauracji i patrzyła na zbliżającą się Katherine.

- Cześć, skąd ta smutna mina, kochanie? - powitała ją ciotka.

Usiadła i od razu wezwała kelnera. Spotkały się w Gramercy Tavern na przedświątecznym lunchu. Do Bożego Narodzenia pozostały zaledwie dwa dni.

Darcy uśmiechnęła się, bynajmniej nie zaskoczona pytaniem; zachowanie Katherine dawało się bez trudu przewidzieć.

- Ach, tak tylko rozmyślałam.

Kelner natychmiast wyrósł przy ich stoliku i ciotka bez konsultacji z Darcy zamówiła butelkę jakiegoś wina o niemożliwej do wymówienia nazwie, które bez wątpienia było równie kosztowne co doskonałe.

- Mam dla ciebie coś na poprawę humoru - oznajmiła. - Tak się składa, że mogłam pozyskać trochę ciekawych informacji o twoim znajomym. Kluczem okazała się biblioteka, o której mi mówiłaś.

- Katherine...

- Wykonałam kilka telefonów i rozmawiałam z pewnym dżentelmenem w domu aukcyjnym Christie's... Miał na imię chyba George? Wprawdzie część tych informacji jest poufna, ale George zdradził mi, że egzemplarz *Dido* Christophera Marlowe'a został sprzedany jakieś półtora roku temu. Jako jedyny w historii nowojorskich aukcji. W istocie wszystko wskazuje, że stanowił jeden z niewielu egzemplarzy tego dzieła znajdujących się w Stanach Zjednoczonych. Chociaż... i tu najważniejsze - zrobiła pauzę, uśmiechając się z zadowoleniem - książka nie została sprzedana twojemu znajomemu, tylko firmie Thrill Seeker Holdings, o której wspominałaś i której nazwa wówczas wydała mi się znajoma.

- Katherine...

- Wypytałam więc dokładniej o Thrill Seeker Holdings, co wcale nie było łatwym zadaniem, możesz mi wierzyć, bo holdingi z zasady skąpią publicznych informacji na swój

temat. Zawzięłam się jednak, można nawet powiedzieć, że przekupiłam drobną łapówką urzędnika z archiwum... nic wielkiego, doprawdy, ale podziałało. Okazał się podatny na urok Le Cirque. Nigdy byś się nie domyśliła, co odkryłam i dlaczego nazwa brzmiała tak znajomo. - Teatralnie zawiesiła głos, wstrzymując się z wygłoszeniem puenty. Darcy tymczasem postanowiła nie oponować, tylko pozwolić jej się wygadać do końca.

W tym momencie jednak sommelier pojawił się z winem i Katherine przystąpiła do odprawiania swej zwykłej ceremonii oceniania smaku i bukietu, nim wydała pozytywny werdykt w sprawie trunku i mogła podjąć przerwana opowieść.

- Właścicielem tej firmy holdingowej jest nie kto inny tylko Will Anderson! - wykrzyknęła takim tonem, jakby sama w to nie wierzyła. - Will Anderson, nie pamiętasz go? Ten autor thrillerów, którego ci przedstawiłam - dodała z naciskiem, nie doczekawszy się ze strony Darcy natychmiastowej reakcji w postaci zaskoczenia, nie mówiąc już o wdzięczności.

- Tak, wiem.

- Pomyślałam więc, że może twój znajomy jest po prostu zatrudniony w jego firmie... Co by znaczyło, że nie taka znów z niego świetna partia, kochanie. Dlatego lepiej nie odtrącać tak zupełnie Olivera Martina. Może ci się wydawać trochę... inny, ale kilka dni temu widziałam go znowu w pewnej restauracji w centrum i pytał o ciebie. To na marginesie, żebyś wiedziała, że istnieją różne możliwości. Tak czy inaczej, zdrówko... - Przerwała tylko po to, żeby zaczerpnąć oddechu i wznieść kieliszek.

- Zdrówko - powtórzyła apatycznie Darcy, myśląc przelotnie o Hemingwayu i jego przekonaniu, że alkohol to różowe okulary, przez które patrzymy na życie. Znienacka poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Co się dzieje, kochanie? - zaniepokoiła się Katherine.

- Nie sądziłam, że aż tak go nie lubisz.

- Nie, nie chodzi o Olivera. - Darcy zdobyła się na słaby uśmiech. - Po prostu... och, byłam taka głupia!

Popłynęła opowieść o wszystkim, co zaszło w ciągu ostatnich kilku dni: o wypadku, Baileyu, wędrownkach po mieście, żeby pomóc Aidanowi, wreszcie o odkryciu, że tak głupio, tak okropnie się pomyliła. Co najgorsze, myślała, że ich dwoje mogłaby połączyć jakaś szczególna więź.

Katherine słuchała cierpliwie.

- Sama ponoszę winę za to, że spędzam większą część życia w wymyślonych światach do tego stopnia, że nie potrafię już chyba oddzielać fantazji od rzeczywistości

- mówiła Darcy drżącym głosem. - Stworzyłam sobie wymyślony obraz życia Aidana, co w istocie utrudniło biedakowi dojście do siebie. I tak mi się spodobała ta wersja... pełna sekretów i romantyzmu, którego tak naprawdę wcale nie było... że nie widziałam, że jest zwyczajnym facetem, ma rodzinę i zupełnie inne życie. Nie, dla mnie był jakimś tajemniczym romantycznym bohaterem... gwiazdą romansu.

- Domyślam się, że w przypadku tego bohatera spodobała ci się nie tylko romantyczna fikcja? - dodała Katherine cicho.

Darcy żałośnie pociągnęła nosem.

- Owszem. I to jest najgłupsze ze wszystkiego. Katherine, dlaczego jestem aż taką idiotką? Masz rację, wiesz... Rzeczywiście spędzam za dużo czasu z nosem w książkach, zamiast stawić czoło rzeczywistości i dostrzec, dokąd mnie to zaprowadziło.

- Ciii... - Ciotka pocieszającym gestem poklepała jej dłoń, co nie zdarzyło się od bardzo dawna i było miłe. - Och, skarbie, wiem, że czasami bywałam dla ciebie surowa, ale przecież wiesz, że cię kocham i jestem z ciebie dumna. Nic dziwnego, że spędzasz tyle czasu w wyobrażonych światach, skoro ten prawdziwy tak okropnie cię zawiódł u progu życia.

Darcy podniosła wzrok, zaskoczona. Chyba nigdy wcześniej nie myślała o tym w taki sposób, że po śmierci rodziców ukochane książki stanowiły formę pocieszenia, pozwalały jej uciec od smutku.

- Wiesz, że codziennie tęsknię za twoją matką - mówiła Katherine niezwykłym u niej rzewnym tonem. - Lauren była nie tylko moją siostrą, ale i przyjaciółką. Twojego taty także mi brakuje, Steven był wspaniałym człowiekiem. Żałuję, że na mojej drodze nie stanął kiedyś taki mężczyzna. Twoi rodzice bardzo się kochali. I kochali ciebie.

Darcy obserwowała ciotkę z uwagą. Katherine nigdy nie należała do osób roztrząsających uczucia czy żale, więc mogło dziwić, że nagle mówi takie rzeczy.

- Pamiętam, jak raz mnie spytali, czy zgodziłabym się zostać twoją opiekunką, gdyby im się coś stało. Wtedy zupełnie szczerze zwątpiłam w ich poczytalność. Ostatecznie Steven miał rodzeństwo, siostry i braci, żonaty,

posiadających własne dzieci, ludzi z odpowiednimi kwalifikacjami do pełnienia rodzicielskich funkcji. W przeciwieństwie do mnie - w jej głosie pojawił się sarkazm

- bezdziejnej starej panny z Nowego Jorku, całkowicie pochłoniętej swoją pracą. Obie wiemy, że nie jestem szczególnie ciepłą i miłą osobą. - Napotkała spojrzenie Darcy i obie uśmiechnęły się ze zrozumieniem. - Ale wiesz, twoi rodzice okazali mądrość. Wiedzieli, że gdyby im się coś stało, my dwie będziemy się nawzajem potrzebować. Twoje ciotki, wujkowie i kuzyni mogli cię wychować i wiem, że u każdego z nich byłoby ci dobrze. Ale moja siostra wiedziała, że to ja będę kogoś potrzebować. Przyznając to, czuję się okropnie, ale tak naprawdę nie mogło mi się zdarzyć w życiu nic lepszego. Lepszego niż ty.

Darcy nie mogła uwierzyć w to, co słyszała. Oczy znów zaszczyły jej łzami. Zawsze miała poczucie, że zawadza Katherine w życiu. Owszem, kochała ciotkę, która zawsze bardzo się dla niej starała, mimo to odnosiła wrażenie, że rola zastępczej matki, objęta z dnia na dzień, była czymś najgorszym, co mogło się zdarzyć Katherine Armstrong, której wcześniej świat leżał u stóp.

- Chyba można powiedzieć, że dzięki tobie zostałam uratowana przed samą sobą - ciągnęła Katherine.

- Wciąga! mnie... a właściwie wciągnął bez reszty styl życia wolnej miejskiej dziewczyny. Za dużo piłam i... tak, czasami brałam narkotyki - przyznała się osłupiałej Darcy - nie mówiąc już o zadawaniu się z niewłaściwymi mężczyznami z niewłaściwych powodów. A potem zjawiłaś się ty, zagubiona dwunastolatka, i z impetem sprowadziłaś mnie na ziemię. Wiem, że pod wieloma względami cię

zawiodłam, natomiast ty sprawiłaś, że zapanowałam nad swoim życiem i skupiłam się na sprawach rzeczywiście ważnych.

Darcy pokręciła głową.

- Naprawdę nie miałam pojęcia... Zawsze się martwiłam, że cię powstrzymuję.

- Tylko w najlepszym znaczeniu tego słowa. Kto wie, jak by teraz wyglądało moje życie? Najwyraźniej jednak ten układ był zbyt jednostronny. Podejrzewam, że nie otrzymywałaś ode mnie emocjonalnego wsparcia w potrzebnej ilości... więc znajdowałaś je w swoich ukochanych książkach. Ale, Darcy, to nie było nic złego, proszę, staraj się nie postrzegać tego w taki sposób. Zawsze miałaś cudownie żywą wyobraźnię, byłaś pozytywnie nastawiona i otwarta na wszelkie możliwości, jakie oferuje życie. Taka postawa jest prawdziwym darem. I z pewnością uchroni cię przed wstąpieniem na drogę zgorzknienia i cynizmu, którą ja zmierzałam.

- To nieprawda. Jesteś największą optymistką, jaką znam. Jeszcze nie postawiłaś na mnie krzyżyka - zażartowała Darcy. - Podczas gdy ja już wiem, że jestem przypadkiem beznadziejnym.

- Nie mów tak - poprosiła Katherine. Na chwilę zamilkła, zaczerpnęła głęboko powietrza. - Ale skoro już poruszamy otwarcie różne sprawy... - Znów na moment zwiesiła głos. - Sądzę, że to może być dobry moment, bym ci coś wyznała.

Głos ciotki brzmiał tak poważnie, że Darcy nagle się przestraszyła, że zaraz usłyszy o chorobie albo czymś równie strasznym.

- Od pewnego czasu spotykam się z kimś... z mężczyzną - powiedziała Katherine cicho.

Darcy spojrzała na nią zaskoczona. Ciotka nigdy, przenigdy nie opowiadała jej o swoim życiu uczuciowym.

- Jest bardzo miły i myślę... mam nadzieję, że go polubisz. Ponieważ wygląda na to, że odtąd będzie odgrywał ważną rolę w naszym życiu.

Jakby z wahaniem wyciągnęła przed siebie lewą dłoń, na której błyszcza! piękny brylant. Darcy z wrażenia otworzyła usta.

- O mój Boże!

- Masz coś przeciwko? - spytała Katherine niepewnym tonem.

- Już od jakiegoś czasu chciałam ci o nim powiedzieć, ale nie byłam pewna, jak to przyjmiesz.

- Oszalałaś? Jak mogłabym przyjąć inaczej niż z największą radością?! - Darcy poderwała się z miejsca, żeby serdecznie uściskać ciotkę. - Och, Katherine, tak się cieszę. Gratuluję, to wspaniała wiadomość!

Wciąż nie mogła uwierzyć, że ciotka uznała za konieczne trzymanie swojego związku w tajemnicy.

- Trochę mnie martwiło, że mogłabyś się poczuć opuszczona - wyznała łagodnie Katherine. - W końcu od tak dawna byliśmy tylko we dwie.

- Czy dlatego tak gorliwie próbowałaś wydać mnie za mąż? - spytała Darcy ze śmiechem. Zrozumiała prawdziwy powód, dla którego Katherine tak często wcielała się w rolę swatki.

Mina ciotki świadczyła o poczuciu winy.

- Mam trzydzieści trzy lata i sądziłam... a przynajmniej miałam nadzieję, że nie czujesz się już za mnie

odpowiedzialna. Nawet sobie nie potrafię wyobrazić, jak się czułaś wtedy, przed laty, gdy nagle wylądowałam w twoim życiu, jakbym spadła z księżyca. Dlatego chciałam oddać ci jak najszybciej twoje dawne życie.

- Och, skarbie, wszelkie poczucie odpowiedzialności dawno temu zastąpiło uczucie, czyste i proste. Kocham cię, Darcy, i zawsze pragnęłam tylko tego, żebyś była szczęśliwa. Chciałam, żebyś miała kogoś, z kim będziesz dzielić życie, kogoś znacznie lepszego ode mnie.

- Proszę, nie mów tak, doskonale się spisałaś. - Oczy Darcy lśniły od łez, nie mogła uwierzyć, że ciotka otwiera przed nią serce.

Kiedy Katherine opowiadała o Francisie Cartwrightcie, owdowiałym biznesmenie, z którym przyjaźniła się od lat, nim ich znajomość przerodziła się w coś poważniejszego, Darcy ze zdumieniem odkrywała, jak głębokie uczucia żywiła do niej ciotka.

- Mam pięćdziesiąt trzy lata i od dawna mi nie w głowie białe suknie i cały ten ślubny kram, ale on się uparł na pierścionek - powiedziała Katherine beztroskim tonem. - Nie ma znaczenia, czy w końcu dotrzemy do ołtarza, czy nie. Wiem, że on jest dla mnie stworzony.

- Tak się cieszę, naprawdę, nie mogę się doczekać, żeby go poznać - zapewniła Darcy. Skrzywiła się żartobliwie. - Choć wyobrażam sobie, że musi mnie uważać za potwora, jeśli widział, że boisz się nas z sobą zapoznać.

- Absolutnie nie. Francis sam ma dwie córki, więc doskonale rozumie sytuację. Zresztą to był raczej mój problem, nie chodziło o ciebie. Jakkolwiek, mówiąc szczerze,

cieszę się, że wszystko zostało już wyjaśnione - zachichotała.
- Wiesz, jaka jestem beznadziejna w utrzymywaniu sekretów.

- Zatem wy dwoje jedziecie na Saint Barts razem? - podsunęła Darcy domyślnie.

- Owszem, i zastanawiałam się, czy zechcesz do nas dołączyć.

- Brzmi cudownie, ale jeśli pozwolisz, wolałabym w tym roku zostać w domu - powiedziała Darcy. - Muszę nadrobić parę rzeczy i nie sądzę, żebym mogła wziąć wolne w pracy.

Tak naprawdę po wydarzeniach ostatnich kilku dni pragnęła jedynie zaszyć się w domu, w niosącym pociechę otoczeniu ukochanych przedmiotów. Chciała poznać narzeczonego ciotki, ale nie miała na to teraz dość siły.

- Cóż, skoro jesteś pewna... Zawsze możemy zorganizować coś po powrocie. Może noworoczny obiad u mnie? Nic wymyślnego, po prostu miły wspólny wieczór.

- Świetnie. - Darcy uśmiechnęła się blado, na co ciotka wyciągnęła rękę nad stolikiem i chwyciła jej dłoń.

- Staraj się nie zamartwiać - poprosiła, jakby dokładnie wiedziała, co się dzieje w duszy jej siostrzenicy. - Owszem, mogłaś dojść do kilku błędnych wniosków, ale niech to nie gasi blasku twojej cudownej wyobraźni... wiary, że na tym świecie wszystko jest możliwe. To jedna z najwspanialszych cech, jakie można posiadać. Szczerze żałuję, że nie jest mi dana.

- Dziękuję ci - powiedziała Darcy.

Nagle poczuła się znacznie lepiej. Słowa Katherine świadczyły o tym, że wyobraźnia, której dała się ponieść,

była czymś dobrym. Sama czuła, że w niektórych przypadkach działała na jej korzyść.

Ale nie w przypadku Aidana Harrisa. W tym scenariuszu, pomyślała ze smutkiem, unosząc do ust kieliszek z winem, fantazja ją zawiodła.

Rozdział czterdziesty czwarty

Wszystko musi się kiedyś skończyć.

L. Frank Baum

W Wigilię Darcy stała z Joshua za ladą zatłoczonej księgarni Chaucer's. Cały dzień na nogach, uzupełniała książki na półkach, pomagała klientom w dokonaniu wyboru, głównie jednak wybijała na kasie zakupione pozycje. Nie mogła się doczekać przerwy na kawę, podczas której planowała dogodzić sobie cynamonową mokką w kawiarni na górze. Niebiańską w smaku.

- Zastanawiam się, czy mogłaby mi pani pomóc - odezwał się następny klient z kolejki. - Szukam książki...

Darcy podniosła wzrok na dźwięk znajomego głosu. I zobaczyła jeszcze bardziej znajomą osobę stojącą przy ladzie naprzeciw niej.

- Aidan!

Wbrew sobie poczuła irytację. Też sobie wybrał czas, żeby przyjść po swój telefon i klucze. Wyglądało jednak, że przy okazji postanowił zrobić zakupy.

- Historia opowiada o dwojgu ludzi, których losy zderzają się z sobą pewnego śnieżnego poranka w Nowym Jorku - mówił dalej z rozbawieniem w głosie i w błyszczących piwnych oczach. - Początek jest trochę wolny, jako że dziewczyna i chłopak potrzebują czasu, żeby się poznać, natomiast od razu widać jedno: że mają z sobą dużo wspólnego. Tak czy inaczej, po drodze zdarza im się wiele nieporozumień, na przykład on po uderzeniu w głowę zapomina, kim jest, a ona nabiera przekonania, że jest bogatym człowiekiem sukcesu, podczas gdy naprawdę jest zwykłym chłopakiem... - Patrzył jej w oczy, a ona nie potrafiła uciec spojrzeniem. - Albo jeszcze większe nieporozumienie, kiedy jego zaniepokojona, ale od dawna żyjąca osobno żona sugeruje, że wciąż są razem. - Serce Darcy podskoczyło. - Odstraszona i zniechęcona przez nią dziewczyna nie próbuje go... tego prawdziwego, bliżej poznać. Aha, jest jeszcze uroczy pies.

- Mnie też się podoba ta historia - włączyła się piskliwie młoda kobieta z kolejki. Spojrzała pytająco na Darcy.

- Jaki ma tytuł?

Joshua zachichotał.

- Myślę, że ty i Jason Bourne powinniście dokończyć tę rozmowę na zewnątrz, bo macie w głowach klientom.

- Ale jest taki ruch, że nie mogę cię zostawić samego

- zaprotestowała słabo Darcy, choć w istocie aż ją skręcało, żeby normalnie porozmawiać z Aidanem i dowiedzieć się, co jeszcze ma do powiedzenia.

- Jest Wigilia Bożego Narodzenia, kochana, ludzie poczują się nieswojo, jeśli nie będą musieli stać w kolejce. Zresztą Ashley zaraz wróci z przerwy, więc uciekaj, już!

Darcy z bijącym sercem wyjęła kurtkę spod lady i razem z Aidanem wyszła z księgarni. Cisnęły jej się na usta rozmaite pytania, ale nie chciała przerywać opowieści... w wersji Aidana. Idąc, przysunął się do niej bliżej, tak blisko, że mógł jej dotknąć.

- Sądysz, że mogłaś znać tego, o którym mówię? - zapytał. Pod spojrzeniem jego błyszczących oczu serce Darcy niebezpiecznie zmiękło.

- Ja... nie jestem pewna - odpowiedziała, podchwytyjąc jego ton. - Chyba coś mi świta, ale istnieją pewne luki. Zona żyjąca osobno, powiedziałaś?

- Owszem. Separacja trwa już dwa lata. Jesteśmy... oni są, ten chłopak i jego była, dobrymi przyjaciółmi i oboje kochają swoją dwunastoletnią córkę, która, nawiasem mówiąc, jest zagorzałą wielbicielką książek i tak się składa, że obecnie najbardziej podoba jej się *Narieczona księcia*, którą chłopak akurat czytał z nią kilka dni przed tym, jak został rozjechany. - Pokręcił głową. - Niewyobrażalne.

W tym momencie Darcy nie umiała powstrzymać uśmiechu.

- Córka zaczęła się więc martwić, kiedy przez kilka dni nie dawał znaku życia i nie mogła się z nim skontaktować. Podobnie jak jego siostra, którą miał odebrać z lotniska tamtego ranka, gdy uległ wypadkowi, więc musiała sama dotrzeć do jego domu na Long Island... zostawiwszy wcześniej po kilka wiadomości na wszystkich numerach kontaktowych, jakie od niego dostała.

- Wygląda na niezły bałagan - przyznała Darcy. Szli przed siebie ulicą, instynktownie kierując się do Central Parku. Nie czuła chłodu, pochłonięta opowieścią

Aidana, w której znajdowała wiele odpowiedzi dotyczących ostatnich kilku dni.

- Tak mi przykro, że wszystko opacznie zrozumiałam, Aidanie - oznajmiła w końcu, choć miała poczucie, że przeprosiny są mocno spóźnione. - Ale kiedy Bailey zaprowadził mnie do tego domu z elewacją z piaskowca, od którego ty miałeś klucze, nie przyszły mi do głowy żadne wątpliwości.

- Oczywiście, to całkiem zrozumiałe. A teraz, kiedy wszystko do mnie wróciło, rozumiem, dlaczego opary niepamięci rozwiewały się tak długo. Doktor Mandeville również - dodał, zerkając na nią z ukosa.

Darcy oblała się rumieńcem.

- Ta kobieta musi mnie przeklinać. Na tyle się zdała moja pomoc.

- Darcy, bardzo się starałaś, naprawdę bardzo. Brak mi słów, żeby ci podziękować za wszystko, co zrobiłaś.

- Wszystko, co zrobiłam? Masz na myśli to, że opóźniałam twój powrót do zdrowia, przysparzając zgryzoty twojej rodzinie, która od kilku dni nie wiedziała, co się z tobą dzieje?

Aidan zbliżył się do stojącej w pobliżu ławki i usiadł. Na jego twarzy zagościł wyraz melancholii. Spojrzał na Darcy, która zajęła miejsce w pewnej odległości od niego. Westchnął głęboko.

- Uwierzyłybyś, że niczego nie zauważyli, dopóki nie wróciłem do domu?

Przyjrzała mu się uważnie; choć mówił lekkim tonem, po jego minie poznała, że czuje się zraniony.

- Co takiego? Na pewno odchodzili od zmysłów, próbując cię znaleźć. Sprawdzali w szpitalach i wydzwaniali,

gdzie tylko się dało. Jestem pewna, że zamierzali wkrótce zgłosić na policji twoje zaginięcie. Aidan kręcił głową.

- Musisz zrozumieć. Mówiłem ci, jesteśmy z Tessą w separacji, więc nie mieszkam już w rodzinnym domu na Long Island. Wynająłem niedaleko mieszkanie w kamienicy i widuję się z Mel, moją córką, o wiele... najczęściej, jak to możliwe, kiedy nie jest w szkole, ale przez większość czasu ona i jej matka prowadzą własne życie, niezwiązane z moim. A że pracuję na Manhattanie, to tam spędzam wiele czasu.

Okej, zatem skoro nie mieszkał z nimi, Darcy mogła zrozumieć, że nie tęskniły za Aidanem aż tak bardzo przez te dni, jeśli nie wiedziały, że coś mu się stało.

- A twoja siostra, ta, z którą miałeś się spotkać na lotnisku. .. Ona z pewnością się zmartwiła, że nie przyjechałeś?

W tym momencie Darcy nagle sobie uzmysłowiła, że to właśnie ona, siostra Aidana, zostawiła pierwszą wiadomość na telefonie Willa Andersona, tę z pretensją, że zapomniał i ją zawiódł. Aidan sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Przykro mi to mówić, ale nie było w tym nic wyjątkowego. Ciara wie, jak traktuję swoją pracę. Niechętnie przyznaję, że już wcześniej zdarzało mi się ją zawodzić. Mieszka w San Diego, miała wpaść do mnie z krótką wizytą, jadąc na święta do domu w Dublinie. A ponieważ wie, że często w pracy tracę poczucie czasu, i wie też, że to było jedną z... jeśli nie główną przyczyną rozpadu mojego małżeństwa... Więc w pewnym sensie mnie kryła.

- Kryła cię?

- Owszem. Sama dotarła do mojego mieszkania i założywszy, że znów zatrzymało mnie coś związanego z pracą, pojechała odwiedzić Tessę i Mel, ale nie wspomniała im ani słowem, że ją wystawiłem do wiatru. A potem, następnego dnia wróciła na lotnisko i zgodnie z planem odleciała do Dublina. Była zła, że się nie pokazałem i nie odpowiadałem na jej telefony, ale jak już mówiłem, takie rzeczy zdarzały mi się wcześniej, więc nie przyszło jej do głowy, że mogło się wydarzyć coś niezwykłego.

- Spojrzał na Darcy. - Nawet żartowała na ten temat na krótko przed swoim przyjazdem, mówiąc mi, że uważam się za Supermana.

Darcy wciąż nie mieściło się w głowie, że nikt nie zauważył jego nieobecności.

- Więc twoja córka i... żona nie widziały nic dziwnego w tym, że nie dajesz znaku życia?

- Jak już mówiłem, znają moją pracę, a ostatni tydzień był wyjątkowo absorbujący. Mel nocowała u mnie niedawno i powiedziałem jej wówczas, że mam przed sobą kilka trudnych dni. Pewnie doszły do wniosku, że obowiązki służbowe pochłonęły mnie bez reszty.

Darcy ściągnęła brwi. Przez cały ten czas starała się odnaleźć jakichś przyjaciół lub krewnych Aidana, bo sądziła, że odchodzą od zmysłów ze zmartwienia, podczas gdy oni prawie nie zauważyli, że zniknął. Po wyrazie oczu Aidana domyślała się, że jego to odkrycie także mocno zabolowało.

- Niełatwo się pracuje dla Willa Andersona?

- Aha, zatem tę część historii już poznałeś - odpowiedział z krzywym uśmiechem. - Tak, przykro mi, ale

nie jestem bogatym światowcem, jak sobie wyobrażałaś. To był mój pracodawca.

- Nie ma za co przepraszać. Mój błąd, że byłam tak głupia, by to zakładać. - Darcy nagle pomyślała o czymś innym. - Powiedziałeś, że w dniu wypadku zmierzałeś na lotnisko, żeby odebrać siostrę. W takim razie co robił z tobą Bailey? A paczka? Była dla Ciary? No i te bilety na balet?

Aidan pochylił się i oparł dłonie na kolanach.

- Mel ma ostatnio bzika na punkcie baletu. Planowałem ją zabrać na *Dziadka do orzechów*, ale na szczęście jeszcze jej o tym nie powiedziałem. A co do paczki... - Uśmiechnął się. - Tak się składa, że to był prezent od Willa i nie miałem okazji go rozpakować. Byłem spóźniony, odprowadzałem Bailey'a do przechowalni dla psów. Dlatego ryzykowałem drogę na skróty. - Spojrzenie Aidana mówiło, że czuje się winny.

Darcy otworzyła szeroko oczy.

- Czyli prezent jednak był twój... To znaczy przeznaczony dla ciebie, nie dla jakiejś wyjątkowej osoby.

- Uważasz, że ja nie jestem wyjątkowy? - spytał żartobliwie, na co trochę się zarumieniła.

- Więc co to było?... Chodzi mi o prezent - spytała Darcy, choć nie miało to już większego znaczenia. Niemniej tajemnicza paczuszka tak długo doprowadzała ją do szaleństwa, że musiała w końcu zaspokoić ciekawość.

Aidan sięgnął do kieszeni marynarki.

- Można rzec, że przewidziałem twoje pytanie i doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie rozpakować go przy tobie.

- Serio? - Darcy się zaśmiała.

- Owszem. Ale nie podniecaj się za bardzo - ostrzegł dziwnie obojętnym tonem. - Chyba się domyślam, co jest w środku.

Ozdobnie zapakowane pudełko leżało między nimi na ławce. Darcy zastanawiała się, co Aidan miał na myśli.

- Zaczniemy od podstaw: lubisz powieści Willa Andersona?

- Niespecjalnie. - Nie zamierzała się przyznawać, że osobiście miała do czynienia ze sławnym szefem Aidana i nie była o nim najlepszego zdania. - Dlaczego pytasz?

- Ponieważ raczej oboje już wiemy, że to książka, a ja nawet mam przeczucie jaka - wyjaśnił, rozwiązując wstążkę. Następnie wręczył pudełko Darcy. - Równie dobrze ty możesz to zrobić.

Zaskoczona jego zgaszonym tonem powoli uniosła wieczko, odsunęła na bok bibułę... i zobaczyła egzemplarz jednej z najnowszych książek Willa Andersona z serii *Łowcy wrażeń - Mocne uderzenia*. Nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok jakże adekwatnego tytułu. Teraz rozumiała, dlaczego Aidan nie okazywał entuzjazmu. To się nazywa rozczarowanie...

-Hm.

- Ciągle to robi - westchnął Aidan, kiedy Darcy podała mu tom w twardej oprawie. - Mam teraz pierwsze wydania z autografem wszystkich powieści o Maksie Baileyu. Miłe, choć może mało oryginalne, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Otworzył książkę na stronie tytułowej, żeby pokazać Darcy podpis autora, i w tym momencie z książki wysliznęła się biała koperta.

- A to co? - spytała Darcy. Aidan zmarszczył czoło.

- Nie wiem. Zwykle niczego nie wkłada. Otworzył kopertę i wyjął z niej niewielką kartkę papieru przypiętą do czegoś, co dla Darcy wyglądało jak bilety lotnicze. Przeczytawszy wiadomość na kartce, powiedział wolno:

- Nie wierzę. Wydaje ci się, że kogoś znasz... Podał kartkę Darcy, żeby sama przeczytała.

Zobaczyłem je i pomyślałem o tobie. Zrób sobie przerwę, moja prawa ręko, zasłużyłeś! Pomyślałem, że twojej córce też może się spodobać taka wycieczka. Zaszalej z guinnessem, jeszcze raz dziękuję za wszystko. W.

Darcy obejrzała bilety dokładniej i odkryła, że miejscem docelowym jest Dublin, a jako data wylotu figuruje 27 grudnia, do którego pozostały trzy dni.

- Nie byłem tam od prawie ośmiu lat - mówił Aidan, a oczy dziwnie mu błyszczały. - W rodzinnym domu został tylko ojciec, a ostatnie lata, przez separację i w ogóle, były trudne. Wcześniej nie zarabialiśmy z Tessą wystarczająco dobrze, żeby tam polecieć.

Potem wyjaśnił Darcy, że w jego związku kiepsko się działo, odkąd przed dziesięciu laty przeprowadzili się z Dublina do Nowego Jorku, zwłaszcza gdy na początku niespodziewanie utracił posadę i przez jakiś czas pozostawał bez pracy.

- Później, kiedy zacząłem pracować dla Willa, starałem się dawać z siebie wszystko, ale długie godziny poza

domem i ciągła dyspozycyjność odbiły się na nas jako rodzinie.

Darcy tym razem nie potrzebowała wyobraźni, żeby uzupełnić brakujące elementy opowieści. Nadmierne poświęcenie pracy skończyło się dla Aidana rozpadem małżeństwa.

- Nie chodziło tylko o pracę - przyznał, kiedy delikatnie mu to zasugerowała. - Tessa nigdy tak naprawdę nie zadomowiła się w Stanach. Jest domatorką, zawsze była, podczas gdy mnie i Mel bardzo się podoba w Nowym Jorku. Postanowiła jednak, że zostanie, skoro Mel jest tu szczęśliwa.

Czytając między wierszami, Darcy domyśliła się, że wciąż pozostawało wiele nierozwiązanych kwestii dotyczących żony Aidana i jego poświęcenia dla Willa Andersona kosztem córki. Sytuacja Aidana była doprawdy niełatwa. Tym smutniejszy wydał się Darcy fakt, że rodzina tak mocno przywykła do jego ciągłej nieobecności, że prawie nie zauważyła, gdy nagle zniknął. Will Anderson co do jednego niewątpliwie miał rację: Aidanowi należały się wakacje.

- Mel oszaleje ze szczęścia, kiedy o tym usłyszy. Nie widziała dziadka od czasu, jak była mała. - Następnie, jakby nagle sobie o czymś przypomniał, dodał: - Wyjadę tylko na tydzień, wiesz... do Irlandii.

Spojrzała na niego pytająco. Nie wiedziała, jak rozumieć jego ostatnie słowa. Schował bilety do kieszeni i zmienił pozycję na ławce, siadając przodem do Darcy.

- Wracając do tej historii, którą ci opowiadałem - zaczął z wyrazem rozbawienia w lekko przymrużonych oczach.

- Wygląda, że większość pobocznych wątków została już wyjaśniona, lecz ten główny nadal wymaga odpowiedniego zakończenia.

Darcy poczuła ściskanie w dołku.

- No cóż, przeczytałeś chyba wystarczająco dużo książek, by wiedzieć, że nie wszystkie historie kończą się tym, że ich bohaterowie żyją długo i szczęśliwie - stwierdziła z uśmiechem.

- Wiem. - Patrzył na nią piwnymi oczyma, w których dostrzegła czułość i ciepło. - I naprawdę nie oczekuję, że wszystko da się związać w dużą czerwoną kokardę, ale dla mnie nie ma nic gorszego od zakończenia, które nie daje satysfakcji.

Darcy uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- W przypadku niektórych opowieści nie można niczego przyspieszyć - zastrzegła. - Czasami najlepiej po prostu wygodnie usiąść i cieszyć się samą podróżą przez kolejne stronic.

- Wiem, co masz na myśli. Ale rozpoznajesz historię, którą ci opowiadam?

Sięgnął po jej dłoń, a ona odwróciła się, żeby spojrzeć mu w oczy. Tym razem były całkiem poważne.

- Bo jeśli nie, to chyba oszaleję, nie znając zakończenia.

- Och, ale z książkami tak już jest, że nie mają końca...

- powiedziała Darcy, przysuwając się delikatnie do Aidana - ..
.tylko miejsce, w którym postanawiamy przerwać opowieść.

Epilog

Leżąc w łóżku, otworzyłem oczy. Usłyszawszy cichutkie pochrapywanie z sąsiedniej poduszki, przetoczyłem się na bok. Darcy leżała z ręką na czole, mamrocząc coś przez sen. Próbowałem usłyszeć, co mówi, ale nie udało mi się rozróżnić słów. Znowu coś jej się śni, pomyślałem z czułością.

Przysunąłem się bliżej i przytuliłem twarz do jej szyi, znacząc lekkimi pocałunkami linię obojczyka. Wzdrygnęła się i zaraz odprężyła, uświadomiwszy sobie, że to ja, a potem otworzyła oczy, mrużąc je przed ostrym światłem wpadającym przez okno. Był kolejny piękny letni poranek w centrum Nowego Jorku.

- Mmm... dzień dobry - wymruczała z uśmiechem. Objąłem ją w talii i leżeliśmy tak, zwróceni do siebie twarzami.

- Rozumiem, że ten sen był o Heathcliffie? - zażartowałem. Parsknęła śmiechem.

- Faceci są strasznie uparci. Ale dzięki, że mnie obudziłeś. Rzeczywistość jest o wiele lepsza niż wszystko, co może mi zaoferować moja podświadomość.

Sześć miesięcy, pomyślałem. Minęło sześć krótkich miesięcy od momentu, gdy moje życie zmieniło się na lepsze. Oczywiście moja przestrzeń życiowa jest obecnie trochę bardziej zatłoczona, ale wszystko dobrze się układa. I jestem szczęśliwy jak nigdy.

Pocałowałem ją i przesunąłem dłonią po jej twarzy. Nie mogłem uwierzyć, że zaszły aż tak wielkie zmiany. U mnie. U niej. U nas. Byłem zachwycony, że tu zamieszkała. Ze mną. Choć ledwie wystarczało miejsca dla nas dwojga. Rozmiary biblioteki Willa zbladły w porównaniu z naszym połączonym zbiorem książek.

Strasznie się cieszyłem, że Amelia polubiła Darcy. I Tessa również. Nawet Will sprawia wrażenie, jakby uległ jej urokowi. Jakkolwiek nie jestem całkiem pewien, czy akurat to jest korzystne. No i jej niesamowita ciotka Katherine także mnie zaakceptowała. Nawet się specjalnie nie przestraszyłem, kiedy spytała mnie wprost, czy Will dobrze mi płaci i kiedy Darcy może się spodziewać pierścionka.

Wszystko w swoim czasie.

Po pierwsze, chcieliśmy dopracować zasady wspólnego życia, w jednym mieszkaniu, rozważyć możliwość udostępniania naszego księgozbioru, a także rozkręcić wspólne przedsięwzięcie o nazwie: Literackie Spacerunki po Manhattanie. Dopiero zaczynamy, ale ze znajomością miasta prezentowaną przez Darcy i moim doświadczeniem w biznesie chyba stworzymy dobry zespół. No i jeszcze całe to zamieszanie związane z maluchem.

Jakby wyczuły, że o nich mówię. Usłyszałem szuranie w sąsiednim pokoju.

- Tato! Darcy! Wstaliście już?! - wołała Mel, pukając do drzwi. - Lizzy się obudziła.

- Chwileczkę, już idę.

Darcy usiadła na posłaniu, pocałowała mnie w nos i okryła się szlafrokiem ściągniętym z pobliskiego krzesła.

Spuściłem nogi z łóżka, wciągnąłem na siebie podkoszulek i niemal w tym samym momencie drzwi sypialni otworzyły się na oścież i do środka wpadła płatanina nóg i futra. Moja ukochana córka i trzymiesięczna Lizzy - suczka po Baileyu, którego Will zdecydował się rozmnożyć. Zgadnicie, kto ją tak nazwał?

Zaskakujące, ale to był wybór Mel. Zaproponowała to imię nauczona przez Darcy dostrzegać subtelne różnice między silnymi i dowcipnymi bohaterkami Jane Austin i wciągnięta przez nią w maraton czytania romansów regencyjnych.

- Możemy pójść do miasta i zabrać Lizzy do Central Parku? - spytała moja promienna córka, jak zawsze przepełniając moje serce ojcowską miłością. - A jak już tam będziemy, możemy pojeździć na karuzeli? - dopytywała, wtulając buzię w puszyste futro małej husky.

- Zapytaj Darcy, w ten weekend ona decyduje, co będziemy robić.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Darcy, która jedynie tajemniczo się uśmiechnęła.

- Możemy, Darcy, możemy?! - zawołała Amelia. Darcy postukała palcem w usta, jakby się namyślała,

na co właściwie ma ochotę, podczas gdy w istocie zależało jej, by jak najdłużej zwlekać z odpowiedzią.

- Hm... Myślę, że to dobry pomysł. Pod warunkiem, że wstąpimy na coś pysznego.

- Hura! - Od radosnego okrzyku mojej córki niemal zadrżały ściany.

Wywróciłem żartobliwie oczami, na co ze śmiechem wywlokła Lizzy z pokoju. Darcy przytuliła się do moich pleców i objęła mnie w pasie.

- Będzie fajnie. Może moglibyśmy zajrzeć do Willa i zabrać też Bailey'a.

- Powiedziałaś: coś pysznego... Może w Serendipity?

- podsunąłem, myśląc o ich słynnej mrożonej czekoladzie.

- Tylko chyba powinniśmy zadzwonić i zrobić rezerwację

- dodałem, automatycznie przechodząc na tryb zadaniowy, jakby chodziło o pracę.

- Nie, szkoda zachodu. Znam lepsze miejsce... mniej oblegane przez turystów. Myślałam raczej o donutach.

Darcy przejechała szczotką po długich jedwabistych czarnych włosach, zaczynając przygotowania do wyjścia.

- Donuty? Brzmi intrygująco - wymruczałem, przyciągając ją do siebie.

- Bomboloni. Uwierz mi, pokochasz to miejsce. Nachyliłem się, żeby ją pocałować. Uświadomiłem

sobie, że trzeba być największym szczęściarzem na świecie, by zostać - dosłownie - zwalonym z nóg przez Darcy Archer.

- Jak sobie życzysz - powiedziałem z uśmiechem.

Podziękowania

Z całego serca dziękuję Kevinowi, Carrie, mojej rodzinie i przyjaciołom za nieustające wsparcie.

Ogromne podziękowania należą się również mojej cudownej agentce literackiej Sheili Crowley i wszystkim z Curtis Brown - nie wiem, jak bym sobie bez Was poradziła.

Dziękuję mojemu nieocenionemu wydawcy Maxine Hitchcock, która za pomocą sobie tylko znanych czarodziejskich sztuczek sprawia, że książki stają się o niebo lepsze. Dotyczy to szczególnie tej powieści.

Całe mnóstwo podziękowań za troskliwą opiekę kieruję do znakomitego zespołu Simon & Schuster w Zjednoczonym Królestwie oraz Hess w Irlandii.

Wyrazy szczerzej wdzięczności niech zechcą przyjąć fantastyczni księgarze z całego świata, zajmujący się moimi dziełami, oraz zagraniczni wydawcy za umożliwienie mi łączenia moich pasji: książek i podróży.

Jak zawsze dziękuję wszystkim, którzy kupują i czytają książki. Bardzo cieszy mnie każdy kontakt z Wami. Możecie mnie znaleźć na www.melissahill.info, na Facebooku i Twitterze.

Mam nadzieję, że ta książka się Wam spodoba.